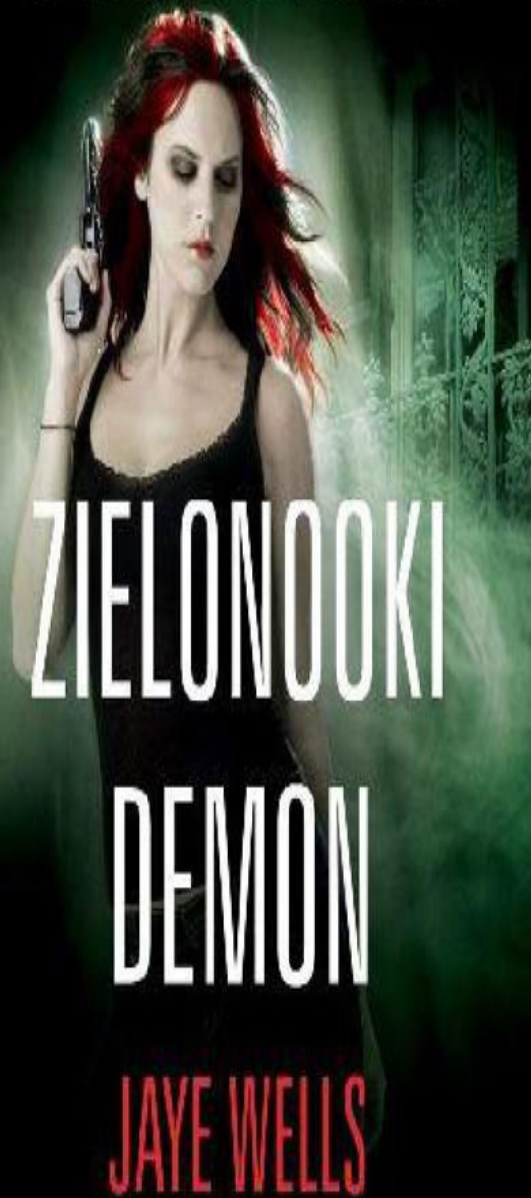
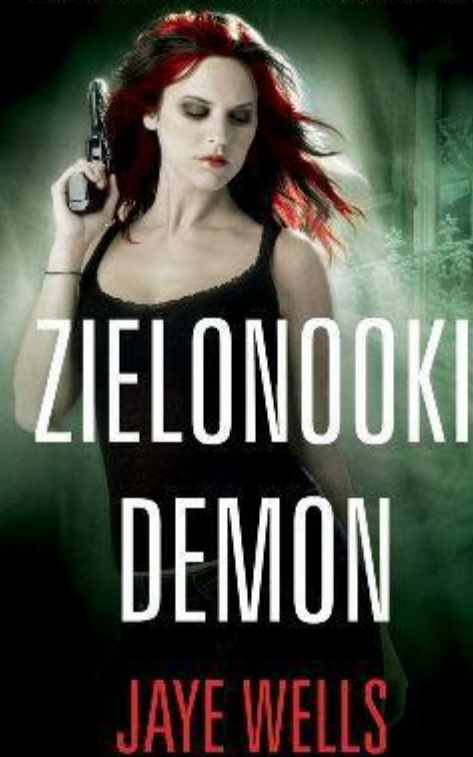


TOM TRZECI BŁYSKOTLIWEGO CYKLU O SABINIE KANE



TOM TRZECI BEYSKOTLIWEGO CYKLU O SABINIE KANE



ZIELONOOKI DEMON

JAYE WELLS



REBIS

Wells Jaye

Sabina Kane 03

Zielonooki demon

Lawinia, okrutna babka Sabiny Kane, porywa jej siostrę. Sabina postanawia odbić Maisie. Pomagają jej –

Giguhl, demoniczny sługa, i Adam Lazarus – zabójczo seksowny nekromanta. Aby akcja ratunkowa się powiodła, muszą pośredniczyć w pakcie pomiędzy magami i wampirami, inaczej wszystko diabli wezmą – nie tylko przenośnie... Nie będą w tym jednak osamotnieni, pomocy udzielią im między innymi Zen, kapłanka wudu, a także wróż-transwestyta o wdzięcznej ksywce „Pussy Willow”. Plan jest trywialny – Sabina musi powstrzymać babkę przed przyzwaniem Kaina, ojca wszystkich wampirów, przy okazji ocalić bliźniaczą siostrę, przestać w nieskończoność opierać się Adamowi i zapobiec wojnie. Zanim jednak zdoła ocalić tych, na których jej najbardziej zależy, musi uratować siebie przed duchami minionych lat.

Na me rozkazy otwarły się groby

I wypuściły zbudzonych umarłych.

Siły mych czarów wypieram się teraz.

- William Szekspir, *Burza*, akt V, sc. 1 (przeł. Leon Ulrich)

ROZDZIAŁ 1

Na długiej liście moich wrogów dwa pierwsze miejsca okupują Lawinia Kane i czas. Pierwszą zamierzałam zabić najszybciej jak się da. To znaczy, jeśli wcześniej nie zabraknie mi tego drugiego.

Zegar na desce rozdzielczej przeskoczył, pokazując 10.01. Jedyne drażniły się ze mną jak dwa wystawione środkowe palce. Trzecim wrogiem była moja niecierpliwość.

Już od dwudziestu minut siedziałam w białej furgonetce zaparkowanej na wietrznym odcinku drogi w

pobliżu Pacific Palisades. Maskę samochodu była podniesiona, ale silnik chodził na luzie, co stanowiło element składowy zasadzki.

- Giguhl, widzisz jakiś wóz?

- Nie. - W słuchawce zaskrzeczał głos demona, który jak kura na grzędzie siedział na drzewie przed posiadłością Dominii.

Westchnęłam.

- Dobra, dzięki.

- Nie chciałaś powiedzieć „roger”?

- Jak wolisz. Zawiadom mnie, gdy tylko brama się otworzy.

- Hej, Sabina?

- Taaa? - zapytałam odrobinę zbyt niecierpliwie.

- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego nie mogę mieć broni. Przewróciłam oczami.

- Mogę być szalona, G, ale nie głupia. Skup się teraz.

- Żyję, by służyć - zagderał.

Oparłam się na siedzeniu. Otoczenie furgonetki nie łagodziło mojego zniecierpliwienia. Karłowate zarośla, niskie kamienne mury i rozjechane zwierzęta w roli spowalniaczy na drodze. Światła Miasta Aniołów lśniły ponad szczytami wzgórz jak pokryta kurzem zorza.

Pieprzone Los Angeles.

Ktokolwiek powiedział, że nie można wrócić do domu, gadał bzdury. Prawda jest taka, że nie powinno się wracać. I kiedy opuściłam Kalifornię, obiecałam sobie, że moja noga nigdy więcej tu nie postanie.

Przenigdy. Ale Los -ta kapryśna dziwka - zrobił ze mnie kłamczuchę. Kolejny raz.

Trzy dni temu Maisie, moja siostra-bliźniaczka, została porwana z posiadłości magów w Nowym Jorku. Trzy tygodnie wcześniej nie wiedziałam nawet, że mam siostrę. To długa historia; krótka

wersja jest taka, że nasza wampirza matka zmarła w połogu kilka miesięcy po tym, gdy zamordowano nam ojca-maga. Ponieważ międzyrasowe związki seksualne były zakazane, Maisie i ja zostałyśmy

wtedy rozdzielone przez babki z rodu wampirów i ne-kromantów, by zachować pokój. Maisie dorastała wśród magowskiego odłamu naszej rodziny w Nowym Jorku, a ja wyciągnęłam krótszą słomkę - wampirzy chów w Los Angeles. Pragnienie zobaczenia utraconej dawno temu siostry-bliźniaczki było jednym z powodów, dla których opuściłam Miasto Aniołów.

Innym było to, że moja wampirza babka, Lawinia Kane, chciała mnie widzieć martwą.

Teraz jednak sytuacja się odwróciła. Chcąc mnie zranić, Lawinia porwała Maisie, obecnie więc ja

się pragnęłam zabawić w kidnapping.

Głos Giguhla zahuczał mi w uchu, aż podskoczyłam.

- Big Black jest w ruchu. Powinnaś go mieć na ogonie za T minus sześćdziesiąt sekund.

Nagły skok ciśnienia krwi. Dłonie zacisnęły się na kole kierownicy. Czas na przedstawienie.

- Bądź gotowy, kiedy cię wezwę - odparłam spokojnym tonem.

- Dobra.

W moim poprzednim wcieleniu cyngla usuwałam wampiry sprawiające Dominiom problemy. W związku z tym, pomimo osobistego zaangażowania i adrenalinowego kopa, moje ciało weszło instynktownie w tryb działania. Wrzuciłam pierwszy bieg. Ze spoconymi dłońmi wymagało to ode mnie dwóch prób.

- Hej, Rudzielcu?

To odezwał się mag Adam Lazarus, trzeci członek naszego małego zespołu i niezłe ciacho. Mieliśmy jeszcze czwartego uczestnika, demonicę próżności, ale wypadła z grupy dzień wcześniej w związku z niefortunnym incydentem, mającym związek z wampirzym klubem stripti-zowym, wielką eksplozją i kłótnią kochanków - jej i Giguhla.

- Taaa?

- Jesteś gotowa? - Mag miał zawsze frustrującą umiejętność przebijania się przez warstwy izolacyjne, jakimi chroniłam swoje uczucia. Niech go szlag.

Kilka przecnic za mną na drodze pokazały się dwa punkciki światła. Wzięłam głęboki wdech i zmusiłam serce do zwolnienia rytmu.

- Żartujesz? - prychnęłam. - Oczywiście. Za dobrze mnie znał, żeby to kupić.

- Odzyskamy ją, Sabina. - W jego głosie brzmiał ton niepożądanego litości.

Zignorowałam iskrę strachu rozdmuchaną tymi słowami.

- Oczywiście, że tak. - Nieodzyskanie Maisie nie wcho-

dziło w grę. - Słuchajcie wszyscy, cisza w eterze. Załatwmy to.

Dłonie zaciśnięte na kierownicy, blade kłykcie w mrocznym świetle. Staralam się nie myśleć o jedynym felerze naszego planu: mieliśmy porwać niewłaściwą Dominię.

W idealnym świecie wampirzycą w tamtym mercedesie byłaby moja babka. Kiedy porwała Maisie, splotła swój los z moim. Chociaż, jeśli mam być szczerą, znajdowała się na szczycie mojej listy osób do likwidacji z powodu mnóstwa innych czynów, na które składały się: manipulacja, kłamstwo, porwanie, usiłowanie zabójstwa i zniszczenie mojego cennego ducati.

Taaa, wiem, sprawiamy, że Rodzina Mansona wygląda jak Rodzinka Robinsonów.

Porwanie Lawinii tak czy inaczej nie wchodziło raczej w grę, gdyż rzadko opuszczała posiadłość

Dominii, Persefona jednak wyjeżdżała stamtąd w każdy wtorek, by w świątyni znajdującej się w Santa Monica odprawiać msze dla wampirzego plebsu. Wobec majaczącego na horyzoncie zbrojnego

konfliktu między wampirami i magami Dominie musiały rozpowszechnić antymagowską

propagandę, chcąc uzyskać mocne poparcie dla wojny. A kiedy lepiej to robić, jak nie podczas posługi religijnej?

Poza tym z trzech Dominii władających rasą wampirów Persefona była najslabsza. Oczywiście

„najslabsza” to względne określenie w odniesieniu do starożytnej wampirzycy, ale Persefona

wydawała się bardziej zainteresowana pielęgnowaniem historii i krzewieniem spirytualizmu wśród

wampirzej burżuazji niż miażdżeniem opozycji lub gromadzeniem ogromnego bogactwa, jak to robiły

obie pozostałe Dominie. To oznaczało, że manipulować Persefoną byłoby dużo łatwiej niż Lawinią

lub Tanith, Dominią beta, która kierowała ich imperium gospodarczym. Plan sprowadzał się do

schwywania Persefony i przekazania jej przywódcom wróżów i magów w celu przesłucha-

nia jej, a także jako ewentualnej zakładniczki na wymianę. Proste.

Jeśli przeżyjemy.

Mercedes był teraz dwie przecznice z tyłu. Kilka długości samochodu za nim dostrzegłam

zniszczonego pikapa, którego ukradliśmy. Adam trzymał się w bezpiecznej odległości, czekając na

mój znak.

- Czekaj - powiedziałam, wlepiając wzrok w lusterko wsteczne. Kiedy cel znajdował się o jedną

przecznicę za mną, napięłam mięśnie stopy opartej na pedale gazu. -Nie ma tu nic do oglądania. - Z każdym obrotem kół sedana moje serce przyspieszało rytm. - To tylko zepsuta furgonetka.

Już prawie.

Ciemne jak noc szyby mercedesa nie pozwalały mi policzyć głów. Wyglądało na to, że będziemy to musieli załatwić ostro; jak zwykle.

- Teraz!

Nacisnęłam na gaz. Koła zabuksowały na żwirze, po czym samochód wystrzelił na drogę. Pisk hamulców i ryk klaksonu. Wszystkie mięśnie sztywne w oczekiwaniu na zderzenie. Zgrzyt

zgniatanego metalu. Zawrót głowy i ból, gdy furgonetka się przewróciła i poślizgiem przeleciała kilkadziesiąt metrów. Pas bezpieczeństwa wbił mi się w skórę, ale przynajmniej nie latałam w środku jak drobiaki w suszarce. Kiedy świat ponownie znieruchomiał, zapanowała złowieszcza cisza. Diabła

tam, nie dokładnie cisza. Chłodnica furgonetki syczała, a ktoś jęczał.

No dobra, to ja jęczałam.

- Teraz, Giguhl! - Nacisnęłam guzik i pas bezpieczeństwa wypluł mnie na drzwi pasażera.

Rozbłysk oślepiającego światła na zewnątrz vana zasygnalizował przybycie Giguhla. Na drodze rozległy się krzyki i odgłosy wystrzałów. Wczołgałam się na tyły furgonetki. Lodówka, którą tu wcześniej ukryłam, leża-

ła obok drzwi. Otworzyłam ją szarpnięciem i chwyciłam woreczek krwi. Kły momentalnie przebiły silikonową powłokę. Przynajmniej raz chemiczny posmak nie przeszkadzał mi, gdy pochłaniałam wampirzą wersję eliksiru uzdrawiającego i energetycznego napoju w jednym.

Gwałtowne szarpnięcie i drzwi furgonetki się otworzyły. Wytoczyłam się na zewnątrz i wylądowałam

u kopyt Giguhla. Nie marnował czasu na pytanie, czy wszystko w porządku, tylko chwycił mnie swoimi łapami pod ramiona i dźwignął na nogi. Kiedy dotknęłam stopami podłoża i zachwiałam się, pomógł mi utrzymać równowagę. Skinąwszy głową w podziękowaniu, wyjęłam broń zza paska

spodni. Odwróciłam się, by się zorientować w sytuacji. Mercedes tkwił w pułapce między furgonetką a półciężarówką, która miała teraz akordeon zamiast błotnika. Tuż za pikapem Adam zachodził

mercedesa od tyłu.

- Idź! - poleciłam Giguhlowi.

Ruszył tak szybko, że ledwie byłam w stanie nadażyć za nim wzrokiem. W następnej chwili klęczał już przy mercedesie. Wycelowałam pistolet w okienko kierowcy i posłałam w nie dwa pociski, te jednak, zamiast rozbić szybę, zostawiły pajęczne wzory na kuloodpornym szkłe.

Silnik mercedesa ryknął i furgonetka szarpnęła się w przód. Koła samochodu wirowały, wyrzucając obłoki dymu i żwiru.

-Adam?! - zawołałam.

- Pracuję nad tym! - Włoski na karku zakłuły mnie, gdy rzucił zakłęcie na miotającego się w przód i w tył mercedesa. Silnik wydał głośny, metaliczny, zamierający grzechot, po czym ostatecznie zdechł.

- Ruszaj się, to przypuszczalnie jednostronne szk... Od strony pasażera wystrzelił pocisk.

Zanurkowałam

i przetoczyłam się, kończąc w przykłęku w miejscu styku mercedesa z podwoziem vana.

- Teraz, G!

Z drapieżnym uśmiechem demon wybił dziurę w okienku kierowcy. Zdecydowana wada kuloodpornego szkła? Nie może powstrzymać zdecydowanego demona! Giguhl masywną łapą sięgnął do środka jak kot do akwarium i wyciągnął zza kierownicy wijącego się wampira.

- Łap, Giguhl! - zawołał Adam. Rzucił jabłoniowy kołek demonowi, który złapał go wolnym łapskiem.

Dwie sekundy później wamp zapłonął, gdy jego dusza się ulotniła, a popioły rozwiął wiatr.

- W środku jest metalowa przegroda. Nie dostanę się do nich tą drogą! - zawołał Giguhl, sięgając po pasażera.

-Załatwię to! - Przesunęłam się w stronę tylnych drzwiczek. Adam zrobił to samo po drugiej stronie auta. Dwie kolejne kule świsnęły w naszym kierunku zza szyby, ale poszły bokiem. To problem

związany z jednostronnym szkłem. Pociski przechodzą z wnętrza, ale z powodu warstwowej konstrukcji każdy strzał nie wprost jest niecelny. A przynajmniej tak uważałam, póki mag nie krzyknął za samochodem, a jego głowa nie zniknęła z mojego pola widzenia.

- Cholera! Adam? - Serce waliło mi w piersi jak tłok. Czym innym jest postrzelenie mnie, ale zupełnie czymś innym zranienie maga.

- Nic mi nie jest. Chybili o włos.

Tętno spadło mi od tempa charakterystycznego dla paniki do właściwego dla stanu wkurzenia. Przez boczne okienka padły kolejne strzały. Zanurkowałam obok tylnego pasa nadwozia, mając nadzieję, że pancerne płyty samochodu osłonią mnie.

- Gighl!

- Jestem zajęty - mruknął.

Obejrzałam się i zauważyłam, że kuca obok rozbitego okienka. Dwa pociski przeleciały ze świstem ponad jego rogami. Chociaż kierowca został wzięty przez zaskoczenie, to pasażer obrał sobie demona za tarczę strzelecką.

Pora była kończyć to zamieszanie. Załomotałam pięścią w pokrywę bagażnika.

- Wyjdźcie z rękami w górze, a nikomu nic się nie stanie!

Dwie kule wystrzeliły przez tylną szybę. Zaklęłam pod nosem. Wyglądało na to, że mamy regularny impas do chwili, aż którejś ze stron skończy się amunicja.

- Sabina? - Z powodu nieprzerwanej nawały ognia ledwie słyszałam głos Gighla.

-Co?

-Jeśli dokonam małej dywersji, wyciągniesz tego faceta?

Skinęłam głową.

- Uważaj.

Jego czarne wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

- Tak jest, proszę pani.

Podniósł łapę. Odliczył na szponach od trzech. Na „jeden” wskoczył na dach samochodu i zaczął nim

kołysać na boki. Rzuciłam się ku rozbitemu oknu. Uwaga trzęsącego się nad swoim cennym życiem wampira była skierowana na dach.

- Hej! - zawołałam.

Obrócił głowę, a oczy rozszerzyły mu się nanosekundę wcześniej, zanim wpakowałam mu kulę w środek czoła. Jego ciało buchnęło płomieniem, niszcząc elegancką skórę fotela.

- Nieźle! - powiedział Giguhl, pompując w powietrzu pięścią w trakcie zeskakiwania z dachu mercedesa.

Przeciągnęłam dłonią po czole.

- Za wcześnie na świętowanie, G.

Jakby na potwierdzenie moich słów nowy grad pocisków posypał się z tyłu samochodu. Oboje z Giguhlem przykucnęliśmy i popęzliśmy w stronę przedniego zderzaka. Ponad maską auta napotkałam wzrok maga.

- Jakiś pomysł?

- Żadnego, który by nie dotyczył zarobienia przez kogoś z nas dodatkowego otworu.

Pod koniec jego głos zabrzmiał nienaturalnie głośno. Wtedy pojęłam, że strzały ucichły. Zamarłam.

Zmrużyłam oczy, obserwując tylne drzwiczki. Samochód zaczął się ponownie kołysać, ale tym razem pod wpływem ruchu wewnątrz. Coś się przetaczało na tylnym siedzeniu.

Przemknęłam wzdłuż boku auta ku bagażnikowi, pilnując się, by mnie nie zauważono. Z otworów po kulach dobiegały stłumione krzyki. Głosy - jeden męski, jeden kobiecy; sprzeczano się coraz głośniej.

Mercedes się trząsł, póki - nagle - pojedynczy strzał nie zgasił głosu mężczyzny. Przez otwory po pociskach wyciekły drobne smużki pachnącego miedzią dymu.

- Nic ci nie jest, nekromanto? - zapytałam Adama wysilonym szeptem w nienaturalnej ciszy, która potem zapadła.

- Wszystko w porządku - odparł. - Nie miałbym jednak nic przeciwko temu, żeby mi ktoś, do cholery, powiedział, co się tutaj dzieje!

To już było nas dwoje takich.

Dwie sekundy później uzyskaliśmy odpowiedź, kiedy tuż obok mojej głowy z rozmachem otworzyły się tylne drzwiczki i zwały mnie na tyłek. Kolba pistoletu stała się śliska w dłoni. Dysząc, przesuwałam muszkę w górę drzwiczek, zza których wychynęła czupryna rozczochranych włosów mahoniowej barwy. Stopa obuta w czarne czółenka na niskim obcasie zstąpiła na asfalt, a za nią podążyła druga. Następnie szczupła, młeczna dłoń z zakrwawionymi skórkami przy paznokciach chwyciła obramowanie drzwiczek.

Kiedy w polu widzenia pojawiła się twarz, z przerażenia ścisnęło mnie w żołądku. Na klasycznie piękne oblicze Persefony nie składał się rzymski nos, dwoje świdrowatych czarnych oczu ani rozszczepiony jak tyłek podbró-

dek. Nie, tylko jedna z Domirii była naznaczona tak męskimi rysami. Tanith.

Nagle miałam ochotę zwymiotować na te praktyczne, ale nieładne buty. Poza tym, że była najbrzydsza z całej trójki, była także najinteligentniejszą mistrzynią podstępów. Innymi słowy, stanowiła komplikację, której nie potrzebowałam. Drżącą dłonią trzymałam niemrugające oko broni wycelowane w Dominię.

- Tanith? Co, do jasnej cholery?

Rzeczowy uśmiech uwypuklił jej nieszczęsne rysy twarzy.

- Sabina - odezwała się. - Wybacz mi arogancję w związku z zabiciem ostatniego ochroniarza, ale czas to pieniądz, a oczekiwanie stawało się męczące.

Mrugnęłam zaskoczona. Giguhl podszedł i stanął za moimi plecami. Wziął mnie łapami pod pachy i podniósł. Stopami dotknęłam ziemi, podczas gdy wylot broni ani na chwilę nie zboczył z celu. Adam przemknął za bagażnikiem i zajął pozycję za plecami jednego z najpotężniejszych żyjących wampirów.

- Dlaczego zabiłaś własnego goryla?

Spojrzała wilkiem i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Z początku wasza zasadzka stanowiła nieprzyjemną niespodziankę, ale kiedy siedziałam tam,

czekając, żeby moi strażnicy się was pozbyli, nagle mnie oświeciło. -Wzruszyła ramionami. - Zabicie ostatniego ochroniarza było najbardziej celowym działaniem.

- Czego właściwie dotyczyła ta iluminacja myśli? - zapytał Adam.

Dominia ledwie raczyła obdarzyć maga pogardliwym spojrzeniem. Patrząc na mnie, odparła:

- To może zanim zjawi się wsparcie wezwane przez moją ochronę, przejdziecie do uciezkowej części waszego planu? - Urwała i zmrużyła oczy, patrząc na nas. Gdyby

nosiła okulary, opuściłaby je na nosie. - Macie plan ucieczki, co?

Mimo że otaczaliśmy ją - demon, mag i ja z bronią -patrzyła na nas z góry jak na podwładnych.

- Oczywiście, że mamy plan ucieczki, ale poważnie się zastanawiam, czy nie zrezygnować z całej misji, póki się nie wytłumaczysz. Dlaczego nam pomogłaś?

Przechyliła głowę, jakbym powiedziała coś, co jej nie pasowało.

- Pomagam sobie. Albo raczej to wy mi pomożecie. Przypuszczam, że twój plan polega na wymianie mnie na twoją siostrę?

Zerknęłam na nią, nie potwierdzając ani nie zaprzeczając, ale jej tupet odebrał mi mowę. Jakbym jeszcze kiedykolwiek w życiu miała pomóc którejkolwiek Dominii po tym, przez co przez nie przesłam!

-Naprawdę uważasz, że Lawinia przystanie na wymianę? - prychnęła Tanith. - Oczywiście, że w to wierzysz. Masz tę naiwność po magach.

Wzięłam długi, oczyszczający wdech przez nos.

- Co powiesz na to, żebyś ograniczyła czas przeznaczony na obrażanie mnie i poświęciła go na wyjaśnienie, dlaczego uważasz, że ci pomogę?

- Bo wiem, gdzie jest Maisie. I mam plan, który nie tylko pozwoli ci ocalić siostrę, ale także sprawi, że raz na zawsze zniknie widmo tej ohydnej wojny.

- Gdzie ona jest? - zapytałam.

- Nie w Los Angeles. Tyle mogę ci powiedzieć, zanim otrzymam pewne gwarancje zarówno ze strony Rady He-kate, jak i królowej Maeve.

- I kto teraz jest naiwny? Zapomniałaś już może o armii wysłanej kilka dni temu w celu zabicia większości nowojorskich magów?

Podniosła palec.

- Poprawka. Lawinia wysłała tę armię. Dopiero po ataku powiedziała Persefonie i mnie, że zawiązała sojusz z Kastą Błądzących.

Zwana inaczej Kastą z Nod*, ta tajemnicza sekta została utworzona przez członków wszystkich mrocznych ras. Z tego, co wiedziałam, ich celem było przysparzanie mi mnóstwa pieprzonych problemów. W Nowym Jorku urządzili kilka zamachów na moje życie, gdyż uważają, że moim przeznaczeniem jest zjednoczyć wszystkie mroczne rasy, a to ostatnie, czego chcą, gdyż jedynie powszechna wojna doprowadzi do powtórnego przyjścia Lilith. Innymi słowy, byli kompletnie stuknięci. I morderczy, jeśli o to chodzi.

- Zakładając, że ci wierzę, iż Lawinia działała za waszymi plecami, dlaczego się jej nie sprzeciwiłaś?

Roześmiała się; nieszczerzy odgłos zażenowania.

- Z pewnością nie zapomniałaś jeszcze, jak tutaj wszystko się kręci. Sprzeciw wobec Dominii alfa to wyrok śmierci.

Zmarszczyłam brwi.

- Prawo stanowi jednak, że wszystkie trzy macie jednakową władzę.

- Bez względu na literę prawa, twoja babka od wieków jest faktyczną przywódczynią rasy wampirów.

Persefona i ja pomagamy jej, oczywiście, kierować wszystkim, ale to ona skupia w swoich rękach całą realną władzę. W najlepszym wypadku mogłaby zmusić Radę Niższą do pozbawienia nas tytułów. W

najgorszym, cóż... -Urwała, wiedząc, że nie musi kończyć tej kwestii. W końcu zarabiałam wcześniej na życie, będąc najgorszym scenariuszem dla wampów, które wkurzyły Dominie.

- A co z Persefoną?

Jej zazwyczaj gładkie czoło pokreśliły zmarszczki niepokoju.

* Nod (hebr. *nod* - „błądzić”), biblijny kraj na wschód od Edenu, dokąd został wygnany Kain (przyp. tłum.).

- Niestety, Persefona pozostaje lojalna wobec Lawinii. Poza tym jest zbyt słaba, by stanowić realne zagrożenie. Jeśli chodzi o to, dlaczego tutaj jestem, to proste. - Poprawiła wysokie mankiety przy białej bluzce. - Przechytrzam twoją babkę. - Zrobiła przerwę, pozwalając, by ta rewelacja zapuściła korzenie w naszych umysłach. - Pomogę ci znaleźć Maisie w zamian za to, że Rada Hekate i królowa poprą moje plany.

-Jakie plany? - Skrzyżowałam ramiona. To powinno być interesujące.

- Mój plan zostania jedyną władczynią Lilim, oczywiście. - Wargi Tanith się rozchyliły, ukazując kły.

- Żeby mogła przejąć władzę nad rasą wampirów, Lawinia musi umrzeć, a ja muszę mieć w kieszeni

sojusz z radą i królową Maeve.

Po tym oświadczeniu zapadła cisza. Oszołomiona, nie miałam zielonego pojęcia, co jej odpowiedzieć.

Zerknęłam na Adama i pomachałam pistoletem, dając mu znać, że potrzebuję chwili do namysłu.

- Pilnuj jej, Giguhl. Jeśli drgnie, urwij jej łeb! Demon intrygi strzelił kłykciami szponów i zastrzygł nad starożytną wampirzycą czarnymi, krzaczastymi brwiami. Tanith postukała czubkiem buta o asfalt, ale poza tym pozostała obojętna. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Do-minię, podeszłam do Adama, by odbyć pogawędkę na osobności.

- Co jest, kurwa? - zapytał, krzyżując ramiona.

- To mniej więcej to samo, co i ja myślę! Skinął w roztargnieniu głową.

- Nie sądzę, żebyśmy mogli ją teraz zabić - ciągnęłam - i oszczędzić sobie w ten sposób sporo kłopotów.

Obdarzył mnie jednym z tych swoich spojrzeń pod tytułem „bądź rozsądna, Sabino”.

-Wiem, że to podkręcana piłka, Rudzielcu, lecz naszym celem było porwanie Dominii, zgadza się?

-Taaa, ale...

- Tak jak ja to widzę, mamy dwie możliwości. - Wyliczał opcje na palcach. - Możemy stać tutaj całą noc, kwestionując jej motywacje i ryzykując, że staniemy się celem kolejnych strażników, lub możemy

postępować zgodnie z planem, zabrać ją w miejsce strzeżone przez naszych własnych gwardzistów i pozwolić, by resztę załatwili nasi przywódcy.

Stojący dwadzieścia stóp za Adamem Giguhl zawołał:

- Głosuję za trzecią, znaczy przestać gadać i wynosić się stąd!

- Popieram - wtrąciła Tanith.

To tyle, jeśli chodzi o rozmowę na osobności.

Pomijając przywódczynię wampirów i wścibskie demony, nie podobało mi się to ani trochę. Nie bardziej jednak chciałam się stać strzeleckim celem treningowym niż Giguhl.

- Zbierzcie się wszyscy w koło.

Znamionujące zniecierpliwienie kiwnięcie głowy ze strony Tanith wyrażało jej niezadowolenie z powodu dalszego opóźnienia. Skinęłam na Giguhla. Chwycił pradawną wampirzycę za ramiona i podprowadził ją na pobocze drogi, żeby Adam mógł wykonać swoją magiczną sztuczkę.

Na ułamek sekundy przed tym, nim mag wyszeptał formułę dematerializującą nasze ciała, z linii drzew padł strzał.

- Znowu ja?! - wrzasnął Giguhl.

Potem, równie gwałtownie, ciemność i powiew zimnego wiatru wywiały nas na Jasny Dwór.

ROZDZIAŁ 2

Nigdy wcześniej nie byłam na Jasnym Dworze, ale wiedziałam, że znajduje się gdzieś w paśmie Blue Mountains w Karolinie Północnej. Kiedy zatem zmaterializowaliśmy się w wilgotnej jaskini zamiast na zalesionym stoku wzgórza, byłam lekko zdziwiona.

Od mokrych ścian i niskiego sklepienia odbijał się ogłuszający łoskot. Odwróciwszy się, pojęłam, że dźwięk dochodził od kurtyny wody, która zasłaniała wejście pieczary.

- Gdzie my właściwie jesteśmy? - zapytałam Adama, przekrzykując ryk wodospadu.

- Na kompletnym odludziu. - Rzucił znaczące spojrzenie na Tanith.

Dominia stała obok, z godnością znosząc dotyk obozwładniających ją łapsk Giguhla. Odpowiedź

Adama wykrzywiła jej usta w żartobliwym uśmiechu. Kiwnęłam głową, rozumiejąc, iż nie chciał, by wampirzyca mogła później sama znaleźć to miejsce.

- Więc gdzie jest dwór?

Uśmiechnął się i wskazał mokrą kamienną ścianę na końcu jaskini.

- Tamtędy.

Mrugnęłam, patrząc na solidną skałę.

- Dlaczego nas tam po prostu nie przeniesiesz?

- Ściany są strzeżone przed nieproszonymi gośćmi. To oznacza, że musimy poczekać, aż ktoś otworzy portal od środka.

Rozluźniłam się lekko. Kiedy wcześniej zadzwoniliśmy do Orfeusza i poinformowaliśmy go o planie porwania Dominii, z początku był temu mocno przeciwny. Powiedział, że nie chce ryzykować utraty i nas, i Maisie, ale w końcu oboje z Adamem przekonaliśmy go, że śmiała akcja jest naszą jedyną szansą. Nie przeszkadzało i to, że podobał mu się pomysł, iż spróbujemy wziąć górę nad Lawinią.

Kiedy już dał nam zielone światło, wyregulowaliśmy zegarki i doprecyzowaliśmy uzgodnienia, żeby

-kiedy zjawimy się z naszą zdobyczą - sprawy potoczyły się gładko.

- Długo to potrwa? - zapytał Giguhl. Spiorunowałam go wzrokiem.

- O co chodzi? Musisz być gdzie indziej?

Obdarzył mnie spojrzeniem pod tytułem „wyluzuj, jędzo”.

- Nie, ale chciałbym zaznaczyć, że być postrzelonym w tyłek wciąż nie jest zabawnie.

Obrócił się, żeby mi pokazać lewy pośladek, na którym, w spodniach od dresu, widniał teraz idealnie okrągły otwór po kuli. W mroku nie widziałam krwi, ale czułam jej zapach.

- Rany, Giguhl, znowu? - zapytał Adam.

- Tak, Mr Perfect, znowu. Na szczęście dla was, sukinsyny, moje rany szybko się goją.

Towarzyszące magii mrowienie, które przeszło falami przez jaskinię, oszczędziło mi odpowiedzi.

Ściana, którą wcześniej wskazywał Adam, zaczęła pulsować, po czym rozbłysły na niej plamki światła. Włosy na karku zaszczy-pały mnie, a niskie dudnienie magii przyprawiło o skurcz żołądka.

W

jednej chwili skała skrzyła się jak piryt, a w następnej zniknęła. Po drugiej stronie portalu pojawiła się kobieca sylwetka.

-Kto szuka wejścia do posiadłości królowej Maeve, przywódczyni Truatha de Danan?

Adam wystąpił naprzód. Swoboda ruchów wskazywała na jego obeznanie z tym rytuałem. Nic

dziwnego, skoro kilka tygodni temu spędził tutaj jakiś czas, w imieniu Rady Hekate negocjując sojusz z królową.

-Adam Lazarus, Strażnik Pytyjski starożytnej i czcigodnej Rady Hekate, oraz moi towarzysze: Sabina Kane, Wysoka Księżniczka Krwawego Księżyca i wnuczka hekatyjskiej wyroczni Ameritat

Graecus... bogini, chroń jej duszę... oraz alfy Dominii Lawinii Kane; Tanith Severinus, beta Dominia i więzień Rady Hekate, a także Giguhl, demon intrygi piątego poziomu z rejonu Gizal w Irkalli.

Obejrzałam się na demona i przewróciłam oczami, jednak wróżka po drugiej stronie wejścia swobodnie kontynuowała wykręcający język protokół.

- Rycerzu Lazarus, ty i twoi towarzysze jesteście oczekiwani. Ja, Calyx, odźwierna portalu, zezwalam ci w imieniu królowej Maeve na wejście do królestwa wróżów.

Tafla magii zafalowała i zniknęła z pstryknięciem. Kiedy wszystkim formalnościom stało się zadość, Calyx, machając szaleńczo, popędziła nas przez wejście.

- Szybko.

Adam i ja trzymaliśmy się z tyłu, żeby Giguhl z Tanith mogli przejść pierwsi. Zgodziliśmy się w

milczeniu, iż jest ważne, by Dominia znalazła się bezpiecznie w środku. Oboje liczyliśmy się z tym, że w ostatniej chwili wampirzyca może spróbować wykręcić nam jakiś numer.

Tuż za progiem otoczyła nas ciemność. Nic dziwnego, skoro była noc, ale nie podobało mi się

przechodzenie przez magiczny portal, nie mając pojęcia, co nas czeka po drugiej stronie, Adam jednak oparł dłoń na moich plecach i przeprowadził mnie pewnie przez przejście.

W chwili gdy minęliśmy płaszczyznę rozdzielającą dwa światy, brama zamknęła się z trzaskiem.

Chwilę przyglą

dałam się otoczeniu. Po tej stronie przejście było ukryte w stromej skalistej ścianie, wznoszącej się setki stóp wzwyż. Spoglądałam w górę zbocza, kiedy Giguhl szturchnął mnie w plecy.

- Zerknij na to, Rudzielcu.

Odwrociłam się i zamarłam z opuszczoną szczęką. Przed nami majaczyło coś, co można jedynie opisać jako największy, najbardziej skomplikowany nadrzewny domek w historii świata. Wysoko ponad poziom lasu wznosił się inżynierski cud, konstrukcja stworzona z drewna i szkła. Wziąwszy pod uwagę jego przytłaczające rozmiary, mogłam jedynie zarejestrować mignięcia detali. To, w jaki sposób księżycowy blask odbijał się w setkach okrągłych okien. Pajęczną sieć drewnianych mostków rozpiętych między wieżami. Zdające się frunąć w powietrzu rzeźbione balkony.

Kiedy opuściłam wzrok, zauważyłam w końcu strażników formujących półkole za plecami Calyx.

Dwaj wystąpili natychmiast naprzód, biorąc w areszt Tanith. Starożytna wampirzyca poddała się temu, po czym powiedziała:

- Żądam natychmiastowego widzenia z królową Maeve.

Chociaż jej władczy ton nie stanowił zaskoczenia, okazana niecierpliwość zakrawała na żart, jeśli wziąć pod uwagę złożoność i długotrwałość większości wampirzych protokołów. Sam Sabat trwał cztery godziny. Nie mówiąc już o biurokracji i marnotrawstwie czasu w trakcie spotkań Rady Niższej Dominii. W porównaniu z tym działanie urzędu skarbowego wydawało się sprawne.

W każdym razie połowa strażników zawróciła i popędziła przed sobą Tanith, zanim mogłam się sprzeciwić. Chociaż w istocie nie miałam takiej pozycji, by to zrobić. Naszym zadaniem było dostarczyć tutaj porwaną Domi-nię. Nie miałam wiele do powiedzenia na temat tego, jak Rada Hekate i królowa z nią postąpią. Niestety.

Początkowo sądziłam, że pozostali strażnicy trzymają-

cy się wokół nas służą naszej ochronie. Póki jeden z nich nie stanął obok mnie, a drugi koło Giguhla.

Nie dotknęli nas, ale było oczywiste, że nie zrobili tego z przyjaźni. Otworzyłam usta, chcąc zażądać wyjaśnień, ale Adam odchrząknął. Spiorunowałam go wzrokiem.

- Trzymaj się, Rudzielcu - odezwał się mag. - Królowa nie jest tak elastyczna i wybacząca jak

Orfeusz.

Westchnęłam i rozluźniłam barki. Orfeusz - lub raczej Wysoki Radny Orfeusz starożytnej i czcigodnej Rady Hekate - nie był osobnikiem, którego uznałabym za elastycznego. Jasne, dla Maisie był jak

ojciec, i w końcu przekonał się do mnie, ale jednocześnie reagował nieco niecierpliwie na moją skłonność do kwestionowania wszelkich autorytetów. A wnosząc z komentarza Adama, królowa - która już nie była moją największą fanką - również nie zachwycałaby się moją pyskatością i buntowniczością. Bogowie, chrońcie mnie przed drażliwymi przywódcami, pragnącymi okazywania im „szacunku”.

- Pośpieszcie się - powiedziała Calyx. - Nie możemy pozwolić królowej czekać.

Odetchnęłam głębiej i przykleiłam uśmiech do twarzy.

- Prowadź!

Adam strzelił w moją stronę spojrzeniem, które wskazywało, że przesadziłam z fałszywą wesołością.

Nieważne. Chciałam się tylko dostać do środka i dowiedzieć, jak odzyskać siostrę. Jeśli oznaczało to konieczność znoszenia dworskiej etykiety i zadzierających nosa regentów, dam sobie radę.

Po dziesięciu minutach i mnóstwie kroków wynurzyliśmy się ze spiralnej klatki schodowej, kryjącej się w masywnym pniu drzewa i prowadzącej od podszytu leśnego w górę, ku fortecy. Domyślałam się,

iż wróże uznali, że jeśli zawiodą wszystkie inne środki bezpieczeństwa, to mocno zmęczą wrogów, zanim ich wpuszczą do środka.

Z klatki schodowej wkroczyliśmy do wielkiej sali. Wy-

sokie, wypukłe okna zakrzywiały się ku jasnemu drewnianemu sufitowi, rzeźbionemu w bogate

celtyckie wzory. Efekt był taki, jakby stać w bańce zawieszanej w koronie drzewa. Koksownicy na

słupkach, rozstawione na obrzeżach pomieszczenia, jarzyły się ciepło dzięki jakiemuś źródłu światła, którego nie potrafiłam zidentyfikować. Nie za sprawą ognia, oczywiście, zważywszy na nadzwyczaj

łatwopalny charakter budowli. Było to coś innego, jakaś magia wróżów.

W sali znajdowały się ich setki; różnili się pod względem wielkości i kształtów ciała i reprezentowali rozliczne gatunki baśniowej krainy. Na przekór kulturowej różnorodności kostiumów wszyscy nosili

się w kolorach klejnotów: w nasyconych głębiach rubinów, ametystów, szafirów, szmaragdów i

topazów. Pominęłam miły dla oka, ale dziwnie ułożony schemat kolorystyczny, i skupiłam wzrok na

znajomych twarzach, które wyłoniły się z tłumu.

Orfeusz prowadził niewielki orszak, złożony z pozostałych przy życiu członków Rady Hekate.

Gdybyśmy się znajdowali w Nowym Jorku, w oficjalnych salach Rady, wszyscy oni mieliby na sobie białe greckie chitony, świadczące o ich pozycji. Ponieważ jednak przebywaliśmy na terytorium królowej, nosili stroje dyplomatów - czarne spodnie i różnokolorowe kurtki w stylu Nehru. Ogólny efekt był bardzo startrekowy, ale wyobrażałam sobie, że w obecnej chwili nikt nie chciałby usłyszeć tej opinii.

Za czterema członkami rady podążała Rea, ciotka Adama, która była moją nauczycielką magii w

Nowym Jorku, a za nią dwaj przedstawiciele Straży Pytyjskiej, będącej odpowiednikiem tajnych służb i agencji specjalnych w jednym. Skromny oddział magów, z ponurymi twarzami, zbliżył się do Tanith i pilnujących jej wróżów.

Obecni pozdrowili się lapidarnymi skinieniami głów, po czym w pieczarowatym pomieszczeniu

rozległo się głośnie stukanie. Napięcie wzrosło, gdy wszyscy stanęli na

baczność. Morze jesiennych barw zaczęło się rozdzielać, tworząc pośrodku wielkiej sali szerokie przejście.

- Pokłońcie się Jej Wysokości Królowej Maeve, obrończyni Krainy Wróżów, zwierzchnicze Jasnego

Dworu i najszlachetniejszej Matce Jesieni.

Wysoki, wąty mężczyzna w szmaragdowozielonej szacie rozejrzał się wyczekująco po sali. Na jego

piersi, na ciężkim złotym łańcuchu wisiał medalion. Symbole władzy określały go jako bardzo ważną postać, ale uwagę wszystkich obecnych przyciągnęła kobieta, która wyłoniła się z bocznych drzwi.

Zgromadzeni jak jeden mąż pochyłili się w poddańczym pokłonie. Nie lubię się nikomu podlizywać,

ale poszłam za przykładem innych, by uniknąć zwracania na siebie uwagi. To oczywiście nie

powstrzymało mnie od zerkania spod opuszczonych włosów i gapienia się na regentkę.

Słyszałam wiele historii o królowej Maeve - zaledwie kilka z nich pochlebnych - spodziewałam się

więc ujrzeć imponującą postać, nie sądziłam jednak, że jest taka... stara.

Siwe włosy - nie srebrne, jak Rei, ale szare niczym wełna, jakby domagały się sporej porcji

szamponu J<olo-ryzującego Miss Clairol - opadały wokół pomarszczonej twarzy. Skórę miała barwy świeżej

śmietany, ale obwisłą wokół szczęk, co było świadectwem zwycięstwa grawitacji w wojennej batalii z młodością. Gdybym musiała się domyślać jej wieku w ludzkich kategoriach, powiedziałabym, że jest

po pięćdziesiątce. Dobrze po pięćdziesiątce.

Miała na sobie ciemnoniebieską jedwabną tunikę ozdobioną srebrnymi pasmami, które tworzyły skomplikowany celtycki deseń na wysokim kołnierzyku i mankietach. Czoło zdobiła opaska o tym samym wzorze. Kiedy Maeve usiadła, sylwetkę miała równie sztywną jak drewno oparcia jej tronu, w

którym wyrzeźbiono bezlistne drzewa i niknący księżyc. Na wielkim gobelinie za siedziskiem widniał

herb z kotłem, włócznią, tarczą i głazem.

Orfeusz poprowadził nas ku królowej, nasz pochód jed-

nak zatrzymała podniesiona upierścieniona dłoń. Maeve skinęła na rządcę i coś do niego szepnęła.

Ten się wyprostował po chwili i krzyknął wysokim, czystym głosem:

- Mieszaniec i demon nie są mile widziani! Zesztywniałam ze zdumienia.

- Co do...

Papierowo gładka dłoń Rei znalazła moją i mocno ścisnęła.

- Milcz, dziecko. -Ale...

Adam szturchnął mnie łokciem. Spojrzałam na niego ostro, zła, że nie wziął mojej strony.

- Nadal jest wkurzona z powodu Banethsheha - szepnął pod nosem. - Obiecuję, że wszystko ci potem opowiem, ale teraz musisz wyluzować.

Buzowało we mnie pragnienie buntu. Potem zimny wzrok królowej spotkał się z moim; zmrużyła

oczy. Wtedy pojęłam, że Adam nie przesadza. Chociaż Hawthor-ne'a Banethsheha, zdradzieckiego

ambasadora królowej, zabiłam w samoobronie, najwyraźniej to mnie winiła o całe zajście. Przyznaję, że pewnie mogłam załatwić to lepiej, ale obciążanie tą śmiercią mojego konta było niedorzeczne. To nie ja skłoniłam Banethsheha do zamachu na mnie w imieniu Kasty z Nod, jednak

najwyraźniej

królowa nie miała nastroju do trzeźwej oceny.

Przez chwilę bezczelnie wytrzymywałam jej spojrzenie, po czym spuściłam wzrok. Nienawidzę tego robić, ale wiedziałam, że moja obecność skomplikuje i tak już napiętą sytuację. Dużo ważniejsze było poznać teraz miejsce pobytu Maisie, niż ocalić zranioną dumę. Otaczający mnie wypuścili zbiorowo

oddech, jakby się wcześniej spodziewali pokazowego wybuchu ze strony Sabiny Kane. Skinęłam im głową i wycofałam się, by dołączyć do Giguhla. Demon spojrzał mi w oczy, a jego mina świadczyła, że jest pod wrażeniem i zarazem współczuje mi.

Pochód ruszył dalej. Adam odwrócił się, by rzucić mi pełne wdzięczności spojrzenie, ale gwardziści stojący po obu stronach masywnych drzwi z klonowego drewna zatrzasnęli mu je przed nosem. To sprawiło, że Giguhl i ja pozostaliśmy w antyszambrach jak dwie oferty niemające zaproszenia na bal.

- Hmm, to dopiero kicha - odezwałam się. Giguhl walnął mnie w ramię.

- Och, no nie wiem. Jak się nad tym zastanowić, to tak jest chyba lepiej.

- Dlaczego? - Zerknęłam na niego.

- Spójrz prawdzie w oczy, Rudzielcu. Nawet jeśli królowa wybaczyła ci puszczenie z dymem ambasadora, to ile czasu by minęło, zanim twoja niewyparzona gęba kazałaby jej domagać się twojej głowy?

Zacisnęłam wargi.

- Coś w tym jest. Objął mnie ramieniem.

- Oczywiście, że tak.

Ktoś chrząknął za naszymi plecami. Przy drzwiach stała wróżka Calyx, która nas tutaj przyprowadziła, a za nią gwardzista z długim mieczem w pochwie na plecach.

- Jeśli pójdziecie za mną, zaprowadzę was do Jesiennego Ogrodu. Twój partner dołączy tam do ciebie, kiedy tylko królowa go zwolni.

Zamarłam, kiedy powiedziała „partner”. Z jednej strony chciałam ją poprawić. Pragnęłam jej

powiedzieć, że Adam nie jest wcale moim partnerem. Po prostu dobrym przyjacielem, towarzyszem broni. Jednak prychnięcie, jakie wydobyło się z ust Giguhla, oraz spojrzenie jego koźlich oczu powiedziało mi, że lepiej będzie nie prostować błędu.

-Taaa, dobra - odparłam. - Chodźmy zobaczyć ten ogród.

ROZDZIAŁ 3

Oddam to wróżom: znają się na kształtowaniu krajobrazu. Na widok Jesiennego Ogrodu odjęło mi mowę, a to coś mówi, gdyż rzadko kiedy dostrzegam przyrodę. Kilkanaście odmian klonów w jaskrawych żółciach, szkarłatach i pomarańczach rozpościerało się jak parasole na tle zielonych, niebieskich i złotych iglaków. Starannie wykonane japońskie mostki spinały brzegi upstrzonych nenu farami wodnych oczek. Te same baśniowe światła, jakie widziałam w sali tronowej, zwieszały się z metalowych latarni, rzucając złoty blask na ścieżki z rzecznych otoczaków. Posadowione na małych wyspach, otoczonych przez rozchlapujące wodę, ozdobione klejnotami sazany, znajdowały się domki dla ptaków, przypominające pago-dy. Mieszkające w nich skrzydlate, ogrodowe skrzaty przemykały między gałęziami i liśćmi jak spastyczne świetliki. Gdy brzęczały w pobliżu brzegu stawu, gdzie siedzieliśmy, ich wysoko nastrojone głosiki brzmiały jak ptasi śpiew.

Na przekór idyllicznemu otoczeniu byłam gotowa zawrócić i domagać się wpuszczenia do wielkiej sali. Tyłek bolał mnie od siedzenia na ławce, a skórki krwawiły na skutek nieustannego ogryzania paznokci. I jeśli miałabym słuchać jeszcze przez minutę coraz bardziej żalonych i prostackich prób poderwania wróżki przez mojego demona, to pocięłabym dziwkę.

- Wpuściłaś kiedykolwiek wcześniej przez portal demona? - zamruczał do Calyx.

Koniuszek jego szpona zataczał leniwe kręgi w pokrytej rzęsą wodzie stawu.

- Hmm, nie sądzę - odparła z wahaniem i rozejrzała się, jakby nie mogąc się doczekać, by stąd zniknąć.

Giguhl mrugnął do laski.

- Wierz mi, ślicznotko, że pamiętałabyś, gdybyś miała demona w swoim portalu.

Przewróciłam oczami i odgoniłam machnięciem dłoni skrzata, który mi brzęczał zbyt blisko ucha.

- Suka! - pisnęło stworzenie.

Chcąc umknąć przed grubiańskimi zalotami i pomyśleć w spokoju, poszłam pospacerować po mostku.

Własna skóra wydawała mi się zbyt ciasna, a w głowie buzowało mi od możliwych wyników spotkania. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że królowa wykluczyła mnie z narady. Normalnie byłabym wkurzona, że nikt się za mną nie ujął, ale w większym planie rzeczy moja duma nie była tak ważna, jak uczynienie postępu w znalezieniu Maisie. Niemniej to wciąż bolało. Gdyby nie ja, w ogóle nie miałiby Tanith.

Gdyby nie ty, to przede wszystkim nie porwano by Maisie, szepnęło sumienie. Skrzywiłam się na wspomnienie napisanej krwią na białym blejtramie wiadomości, pozostawionej mi przez Lawinię w miejscu, z którego Maisie została zgarnięta sprzed mojego nosa: „Szach i mat”. Tamtą rundę wygrała moja babka, ale miałam dość prowadzenia gier. Chciałam tylko odzyskać siostrę, a potem pragnęłam się skupić na budowaniu sobie nowego życia, które nie byłoby związane z przepowiedniami i polityką.

Jedynie jasny umysł i beznamiętna logika osiągnęłyby te cele. Siedzenie i rozwodzenie się nad tym, jak to wpływa na moje samopoczucie, było stratą czasu. Chciałam jedynie, by rzekoma zdrada Tanith nie okazała się kijem w szprychach naszego planu. Oryginalna strategia była

elegancka w swojej prostocie: porwać Persefonę i wymienić ją na Maisie.

Teraz jednak nie tylko mieliśmy niewłaściwą Dominię, ale na dodatek taką, która nagle stwierdziła, iż jest naszą sojuszniczką. Gdyby to ode mnie zależało, trzymałabym się pierwotnych założeń. Problem polegał na tym, że mój cel oraz cele Rady Hekate i królowej nie szły w parze.

Nie były mi obce przepychanki między przywódcami i szeregowymi żołnierzami, których ci pierwsi wykorzystywali do realizacji własnych planów. W chwili, gdy do misji doda się kwestie polityczne lub dyplomatyczne, prosi się o kłopoty. I obawiałam się, że owe komplikacje mogą sprawić, iż ocalenie mojej siostry stanie się dla rządzących mniej istotne niż zapobieżenie wojnie.

Musiałam zatem przyznać, że chociaż na dłuższą metę pokój był lepszy od tego stanu niemal permanentnej wojny, moimi priorytetami było wymienienie Tanith i ocalenie Maisie - i niech kule

spadną, gdzie mają spaść.

Oczywiście inna możliwość była taka, że Tanith pieprzyła bzdury i została wysłana przez Lawinię, by nas wyrolować. Tak czy inaczej, nie dostrzegałam niczego pozytywnego w ogłoszeniu przez Tanith

niezależności od Lawinii.

Ostry ból dłoni gwałtownie przerwał moje myśli. Spojrzałam w dół i pojęłam, że tak mocno ściskam barierkę, iż odłamałam ostrą drzazgę, która wbiła mi się w rękę.

O bogowie, traciłam to! Aż do tego momentu nie wiedziałam nawet, że przestałam spacerować.

Wzięłam głęboki wdech i usunęłam drzazgę. Drobną ranka szybko się zagoi, ale musiałam coś zrobić z napięciem przeszywającym mi łopatki.

Zdrową dłonią masowałam rozognione miejsce, starając się rozluźnić. Niebawem Adam i pozostali zjawią się

i zaznajomią mnie z planem. Modliłam się jedynie, żeby podjęli właściwą decyzję.

Teraz, kiedy wróciłam do rzeczywistości, posłyszałam głęboki głos Giguhla, dobiegający z drugiej strony sadzawki. On i wróżka Calyx znajdowali się tam, gdzie ich zostawiłam, i nie zauważyli mojego drobnego kryzysu egzystencjalnego.

- Masz siostrę? - zapytał demon wróżkę.

Właśnie wtedy jaskrawopomarańczowy sazan, ozdobiony czarnymi kropkami, wziął omyłkowo palec Giguhla za robaka.

- Auu! - Szpon demona wyskoczył z wody, rozpryskując ją.

Wykrzywiłam lekko kącik ust. Zaczęłam się drażnić z Giguhlem, ale moją uwagę zwrócił jakiś ruch na drugim końcu ogrodu. Otworzyły się wielkie podwoje i na ścieżce pojawili się Orfeusz, Rea oraz Adam. Na widok ich ponurych min żołądek zawiązał mi się na supeł, a mięśnie barków znów stężały.

Na końcu Strażnik Pytyjski i gwardzista wróżów prowadzili Dominię. Orfeusz powiedział coś strażnikowi, który stanął przed Tanith i wróżem, przypuszczalnie w celu zapewnienia nam odrobiny prywatności. Ponad jego barkiem Tanith błysnęła w moją stronę kołtuńskim uśmieszkiem, który

uruchomił dzwonki alarmowe w mojej głowie, zanim jeszcze magowie do mnie dotarli.

- Przejdźmy się. - Orfeusz był skrajnie rzeczowy. Minęło zaledwie kilka dni, odkąd się widzieliśmy ostatni raz, ale brak ciepła w jego powitaniu usztywnił mnie.

Calyx wymamrotała, że jest potrzebna gdzie indziej. Nigdy nie widziałam kobiety, która by z taką ulgą uwalniała się od umizgów. Przybity Giguhl obserwował jej odejście.

Skinęłam głową i wskazałam ręką, żeby ruszył przede mną ku najbliższemu mostkowi. Kiedy już przeszedł, spojrzałam na Adama, który jak dżentelmen trzymał pod ramię swoją ciotkę. Jego mina nie zdradzała wiele. Wyobrażając sobie, że niebawem poznam złe wieści, uśmiechnęłam się do Rei.

- Jak się masz?

Pochyliła się i pocałowała mnie w policzek.

- Jestem zmęczona - powiedziała szczerze. - Chodź, zapoznamy cię z... rozwojem sytuacji.

Kiedy Rea ujęła mnie za ramię, chciałam ją zapytać, co tutaj robi, ale ugryzłam się w język. Ostatnie, co wiedziałam, to że zamierzała rekrutować w całym kraju magów, by odbudować armię, jakiej Rada

Hekate mogłaby potrzebować na czas nieuchronnej, zdawało się, wojny. Biorąc jednak pod uwagę oczywiste napięcie, jakie wyczuwałam na dworze wróżów, miało sens, że Orfeusz wezwał Reę, by mu

doradzała w tej delikatnej sytuacji. O to wszystko mogłam jednak zapytać później Adama. W tej chwili potrzebowałam innych odpowiedzi.

Orfeusz poprowadził nas przez most na bagnistą wysepkę na drugim końcu stawu, znajdującą się poza zasięgiem słuchu pradawnej wampirzycy i baśniowych gwardzistów. Kiedy mag się do nas odwrócił, nie zaprzętał sobie głowy zagajaniem.

- Jest zmiana planów - zaczął.

Przełknęłam przekleństwo, które cisnęło mi się na usta pod wpływem materializowania się moich najgorszych obaw, i skinęłam głową.

Orfeusz mówił dalej.

- Zgodziliśmy się pomóc Tanith wtedy i tylko wtedy, gdy jej informacje doprowadzą do bezpiecznego powrotu Maisie.

- A jeśli kłamie? - zapytałam.

- Wtedy nie zawahamy się jej zgładzić.

Póki co była to jedyna część nowego planu, z którą się zgadzałam.

- Gdzie więc Lawinia przetrzymuje Maisie?

- W Nowym Orleanie - powiedziała Rea.

- To strzał poza tarczę - wtrącił się Giguhl. Musiałam się zgodzić z jego stwierdzeniem. Spodziewałam się usłyszeć, że Lawinia więzi moją siostrę w jakimś odludnym miejscu w Kalifornii. Sami nigdy

byśmy nie odkryli, że były w Luizjanie.

- Dlaczego tam? - chciałam wiedzieć.

- Dominia twierdzi, że ma to coś wspólnego ze związkiem Lawinii z kastą - odparł Orfeusz. -

Najwyraźniej Tanith i Persefona są trzymane z dala od tych spraw.

- Sprytnie ze strony Lawinii, zważywszy na to, jak łatwo Tanith odwróciła się od niej - stwierdził

Adam.

- Nie sądzę, żeby podała wam dokładny adres - dociekałam.

Orfeusz skrzywił się i potrząsnął głową.

- Nie, żeby nie doceniała wspaniałomyślności Tanith czy co tam - ciągnęłam głosem ociekającym

sarkazmem - ale wygląda mi to na szukanie igły w stogu siana. Jak mamy znaleźć Maisie w mieście tej wielkości? Nigdy nawet nie byłam w Nowym Orleanie. A ty, Adamie?

Pokręcił głową, tak zniechęcony, jak ja się czułam.

- Znając twoją babkę - zwrócił się do mnie Orfeusz - wątpię, by się wahała z ujawnieniem swojej obecności, kiedy już się znajdziesz na miejscu.

- To pocieszające - rzekł Adam.

- Mam tam starą przyjaciółkę, która mogłaby ci pomóc - odezwała się Rea. - Nazywa się Zenobia

Faucher. I prowadzi sklep magiczny na Bourbon Street. Zadzwoń do niej.

Cóż, to przynajmniej jest coś, pomyślałam.

- Dobra, to co zamierzacie zrobić z Tanith?

- Królowa Maeve położyła na niej areszt. Zrobiłam wielkie oczy.

- Dlaczego ona, a nie wy?

- Ona jest... - Rea urwała, jakby powstrzymując się przed ujawnieniem czegoś skandalicznego. - Cóż, po-wiedzmy po prostu, że jest trudną osobą. Każe strażom śledzić nasz każdy krok i żąda swego

uczestnictwa we wszystkich naszych naradach. Orfeusz ma ręce pełne roboty, starając się ją

udobruchać, a jednocześnie znaleźć nową bazę operacyjną. Ja wyruszam jutro na objazd społeczności magów ze Środkowego Zachodu, by spróbować zwerbować nowych żołnierzy. Zakląłam pod nosem.

- Jak sądzisz, jak się to potoczy? - Skinęłam głową w stronę Tanith, która szukała zdobyczy na drugim brzegu stawu. Rude włosy wampirzycy wtapiały się w szkarłat liści za nią, sprawiając, że jej twarz zdawała się płynąć w kałuży krwi.

- Królowa jest dosyć dumna z tego, jak łatwo jej się udało przywieść Dominię do sprawiedliwości. -

Jego głos skwasił ton pogardy. - Możesz być jednak pewna, że bardzo szybko obwini nas, jeśli plan się nie powiedzie.

- Oczywiście, że tak robi - potwierdził Adam.

- Niemniej - ciągnął Orfeusz - jesteśmy zdani na łaskę zasobów królowej, które są większe od naszych. Konkretnie chodzi o wieżę, w której będzie przetrzymywana Tanith, póki się nie przekonamy, czy mówi prawdę.

Paznokcie jednej mojej dłoni wycisnęły półksiężycy na drugiej.

- Niech będzie zapisane, że moim zdaniem powinniśmy natychmiast zabić Tanith. Stanowi obciążenie.

- Popieram - powiedział Giguhl.

Obrzuciłam go spojrzeniem wyrażającym wdzięczność. Czasami dobrze jest mieć podręcznego.

Adam zerknął na mnie z niepokojem. Zignorowałam go. Ktoś musiał to powiedzieć. On nigdy by tego nie zrobił z szacunku dla swojego zwierzchnika i ciotki, ale ja nie miałam podobnych skrupułów.

- Przyjęte i zapisane - stwierdził Orfeusz. - Ale niemożliwe. Jeśli Tanith mówi prawdę, może być najlepszym

sposobem na zapobieżenie wojnie, na której wygranie nie możemy w tej chwili liczyć. Rea

westchnęła.

- Orfeusz ma rację. To wszystko, co teraz mamy. - Jest coś jeszcze - dodał Orfeusz. Jego już ponury ton przybrał ostrości spod znaku „nie próbuj tego kwestionować”. - Wiem, że nie jest to coś, na co miałaś nadzieję, ale Lawinia absolutnie nie może się dowiedzieć, że mamy Tanith w areszcie.

Otworzyłam usta, by zaprotestować, ale Orfeusz zgasił mnie.

- Nie. Lawinia musi wierzyć, że Tanith nie żyje. Kiedy strażnicy Dominii nie znajdą w jej limuzynie nic prócz popiołów, uwierzą, że zginęła. Nie powiesz swojej babce nic innego.

Zacisnęłam szczęki tak mocno, że zabolały mnie zęby. W końcu spojrzałam Orfeuszowi prosto w oczy.

- Nawet gdyby powiedzenie tego ocaliłoby życie Maisie? Przywódca rasy magów pochylił się; wzrost

miął imponujący, a gniew wręcz namacalny.

- Ani się waż sugerować, że nie obchodzi mnie bezpieczeństwo Maisie! Pomagałem wychowywać to dziecko, jakby było moje własne.

Żołądek ścisnęło mi poczucie winy, gdy zauważyłam napięcie na twarzy nekromanty i cienie pod jego oczami. Tak byłam pochłonięta własnymi problemami, że nie przyszło mi do głowy, iż Orfeusz może

się martwić równie mocno jak ja. Kiedy Dominie ich zaatakowały, magowie ponieśli dotkliwie straty

tak w ludziach, jak i zasobach. Opłakiwanie ofiar oraz konieczność polegania na pomocy królowej i znoszenia jej kaprysów musiały być wielkim ciosem dla dumy Orfeusza, zwłaszcza że Maeve nie mia-

ła najwyraźniej żadnych skrupułów przed wykorzystaniem osłabionej pozycji magów. I chociaż

Orfeusz grał z królową w polityczne szachy, to jednocześnie martwił się

o Maisie. Była dla niego jak córka, owszem, ale jako oficjalna szefowa rządu nekromantów i

wyrocznia pomagająca podejmować mu decyzje, była także jego przyjaciółką

i powierniczką.

Czułam się głupio.

- Przepraszam. Wiem, że robisz, co możesz. Orfeusz dostojnie skinął głową.

- Wiem, że ty i Adam dopilnujecie, by Maisie wróciła bezpiecznie do domu.

- A kiedy już ją znajdziecie - wtrąciła Rea - wymyślimy, jak najlepiej wykorzystać zdradę Tanith.

-Jedno jest pewne - odezwałam się. - Póki Lawinia żyje, Tanith za cholere nie będzie miała szansy na przejęcie władzy.

- To wielce prawdopodobne, jednak twoim priorytetem jest znalezienie Maisie. - Orfeusz spojrział mi prosto w oczy.

- Oczywiście, że tak - odparłam automatycznie.

- Co znaczy, że jeśli będziesz miała okazję, skorzystaj z niej.

Poczułam skurcze w brzuchu. Czym innym była chęć zabicia babki, a czym innym otrzymanie od przywódcy rasy nekromantów polecenia zlikwidowania jej. To jak zielone światło ze strony Wszechświata.

- Królowa popiera tę część planu?

- Pragnie schwytać Lawinię, by ją przesłuchać. - Orfeusz mrugnął. - Ale nie mogłaby psioczyć, gdybyś przypadkowo zabiła tę sukę podczas ratowania Maisie.

Moje usta powoli rozciągnęły się w uśmiechu.

- No, to jest plan, który zdecydowanie mogę poprzeć.

- Sądziłeś, że ci się spodoba - przyznał Orfeusz. Rea poruszyła się niespokojnie.

- Chciałabym, żebyśmy miały więcej czasu na treningi. Twoje umiejętności są wciąż zbyt surowe.

Poza tym są jeszcze emocjonalne kwestie związane z czekającym cię zadaniem...

Niedawno siwowłosa nekromantka poświęciła tygodnie na szkolenie mnie w delikatnych aspektach magii. Właśnie doszliśmy do najciekawszych rzeczy, kiedy w Nowym Jorku rozpętało się piekło. Te ciekawe rzeczy to była moja umiejętność opanowania chtonicznej magii, odziedziczonej po zmarłym dawno temu ojcu. Chtoniczną magię większość ludzi nazywa czarną. Prawdę mówiąc, żadna nekromancja nie jest wyłącznie czarna lub biała. Jednak nawet na skali szarości chtoniczną magia zdecydowanie plasuje się po ciemnej stronie skali, ze względu na magię płodności oraz nacisk

kładziony na śmierć. Nadal nie wiedziałam dosyć, by się móc komunikować ze zmarłymi - nie, żebym się do tego paliła - ale umiałam usmażyć kogoś z odległości dwudziestu kroków. Więc to było coś.

Jeśli chodzi o emocjonalne aspekty, o których wspomniała...

- Nie martw się - zapewniłam ją. - Nie pozwolę, by mój temperament wziął nade mną górę.

Moje oświadczenie spotkało się z czterema powątpiewającymi spojrzeniami. Wzięłam się pod boki.

- Dobra, niech wam będzie. Wszyscy wiemy, że stracę panowanie nad sobą, ale przynajmniej teraz jestem lepsza w ogniskowaniu gniewu.

Rea poklepała mnie po ramieniu.

- Tak, jesteś. Pamiętaj po prostu, że Lawinia będzie próbowała wyprowadzić cię z równowagi.

Korzystaj z głowy, a nic ci się nie stanie.

Giguhl objął Reę ramieniem.

- Nie martw się o Sabinę. Ma nas, żebyśmy ją wspierali. Patrząc na demona, nekromantka zmarszczyła brwi.

- Czekał no, a gdzie jest Valva?

Giguhl wzdrygnął się z sykiem i odsunął od Rei.

- Ani słowa o Alvavay - szepnęłam.

Po „incydencie” w klubie striptizowym „Kiel” parę

dni wcześniej, zaraz po naszym przybyciu do Los Angeles, Valva stała się Tą, Której Imienia Nie Śmiemy Wypowiadać.

Mina Rei graniczyła z wyrazem zaskoczenia.

- Słucham?

Na szczęście Adam wkroczył z odpowiednio dyplomatycznym wyjaśnieniem.

- Powiedzmy po prostu, że nie będzie nam towarzyszyć, i poprzestańmy na tym.

Rzucił ostre spojrzenie na mającego kwaśną minę demona. Usta Rei utworzyły idealne kółko; nekromantka skinęła głową.

- Jasne.

- Chociaż tak bardzo nie chcę przerywać tej intrygującej rozmowy, to jednak musimy ruszać. Królowa nie była zachwycona, kiedy jej powiedziałem, że przed odejściem będziesz chciała zamienić słówko z Tanith.

Zmarszczyłam brwi. Normalnie to Orfeusz sprawował władzę. Wiadomość, że potrzebował pozwolenia królowej, zaniepokoiła mnie.

Rea kiwnęła głową.

- Zatelefonuję do Zenobii i dam jej znać, żeby się was spodziewała dziś w nocy. - Nektromantka

wymówiła się, by zadzwonić, podczas gdy Orfeusz, Adam, Giguhl i ja podeszliśmy do Tanith, stojącej w towarzystwie straży.

Kiedy się zbliżaliśmy, wzrok Domirii skupiony był na mnie. Odpowiedziałam tym samym. Póki nie udowodni, że jest inaczej, nie było sensu udawać, iż nie jest moim wrogiem. Orfeusz odprawił straż.

- Mam nadzieję, że wszystko w porządku? - zapytała go.

Kiwnął głową.

- Tak. Sabina przystała na warunki. Potwierdziłam skinieniem.

-Łącznie z tym, który omówiliśmy w trakcie posłu-

chania u królowej? - Wiedziałam od razu, że chodziło jej o zabicie Lawinii.

- Możesz się założyć - powiedziałam, skrzyżowawszy ramiona na piersi.

Zacisnęła usta i obrzuciła mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Niemal chciałabym tam być, żeby zobaczyć tę walkę.

- Doprawdy? - spytałam mocno znudzonym tonem.

- Oczywiście. To nie może nie być spektakularny pokaz. - Zawahała się i przeszła mnie

wyzywającym spojrzeniem. - Zastanawiam się jednak, czy naprawdę uważasz, że możesz pokonać własną babkę?

- Zbytek troski - odparłam głosem pełnym sarkazmu. - Zabijanie jest tym, z czego żyję, pamiętasz?

- Zakazany owoc nie pada daleko od jabłoni, moje dziecko. Odziedziczyłaś tę żądzę krwi po Lawinii.

Nie jesteś także jedyną, którą napędza wszechogarniająca chęć zemsty.

Nie musiałam pytać, co moja babka pragnęła pomścić, lakkolwiek było, żądza wyrównania przeze mnie rachunków była ściśle związana z jej pragnieniem. Kiedy moja wampirza matka i ojciec nekromanta postanowili zlekceważyć obowiązujący od wieków prawny zakaz związków między przedstawicielami mrocznych ras, dali początek sekwencji zdarzeń, które doprowadziły do obecnego kryzysu. Od śmierci moich rodziców, przez zdradzenie przeze mnie Dominii, aż po porwanie Maisie kilka dni temu, przeszłość ciągnęła się za mną jak droga na Golgotę. I teraz na mnie spoczywało zadanie powstrzymania Lawinii przed dalszym karaniem Maisie i mnie za sytuację, której nie stworzyłyśmy. Nie wspominając już o tym, że gdyby wyszło na jej, zabiłaby wszystkich mi bliskich tą bezsensowną wojną, którą starała się wywołać i wplątać w nią mroczne rasy.

Rozejrzałam się i zobaczyłam, że kilka z owych obcho-

dzących mnie istot - Adam, Giguhl, Rea i Orfeusz - utworzyło wokół mnie ochronny krąg.

Uśmiechnęłam się do Adama, który patrząc na Dominię, miał szczególnie zaciętą minę. Taaa, miałam mnóstwo powodów, żeby nie dać się pokonać.

Wzięłam głęboki wdech i spojrzałam Tanith prosto w oczy.

- Chociaż doceniam twoją serdeczną troskę, to nie masz powodu się o mnie martwić. Mam zalety, o jakich Lawinia nie może nawet marzyć.

ROZDZIAŁ 4

Teleportowanie się do Nowego Orleanu było jak nurkowanie w letniej kąpieli. Wychowałam się w Los Angeles, ciepły październik więc nie był dla mnie niczym dziwnym, lecz wilgoć stanowiła nowe i niezbyt miłe doświadczenie. Wilgotne powietrze nie tylko wzmocniło kwaśny odór śmieci i cielesnych wydzielin w zaułku, ale także sprawiło, że moje włosy natychmiast się splątały.

W ostatnich kilku dniach odbyłam dosyć magicznych podróży, by początkowy zawrót głowy zelżał do lekkich mdłości. Niestety, tego samego nie można było powiedzieć o Giguhlu.

Jego bezwłose kocie wcielenie garbiło się na stercie starych gazet. Dobiegające stamtąd dźwięki

przypominały coś pomiędzy odgłosami suchych torsji i wypluwania sierści. W postaci demona znosił wszystko dobrze, ale jakaś interakcja między jego kocią formą i międzyprzestrzenną podróżą zamieniała go w fabrykę żółci.

- Musiałeś wycelować w moje buty? - zapytał sucho Adam.

Uklękałam obok kota i poklepałam go po denerwująco łysym łebku.

W porządku?

Ghrk! - Kocie uszy się skurczyły, gdy Giguhl się odwrócił do mnie. - Nie, nie w porządku. Dlaczego nie mo-

żemy polecieć po prostu samolotem lub pojechać autem, jak normalni ludzie?

Zerknęłam na mojego bezwłosego kota, czyli demona intrygi.

- Normalni, Giguhl? Naprawdę...?

- Nieważne, krwiopijco. - Otrzeptał się i wstał; łapy przyklejały mu się do ludzkiego gulaszu pokrywającego asfalt.

Ignorując naburmuszonego demona, odwróciłam się do Adama.

- Jak daleko stąd jest ten sklep?

-Być może parę przecznic. - Wskazał wylot zaułka. W istocie nie był to zaułek, lecz raczej wąskie przejście między budynkami. Na jego końcu zielona drewniana furtka oddzielała nas od ulicy. - To powinna być Bourbon Street.

Dwie brudne łapki wylądowały na nogawce moich dżinsów; Giguhl był jednym wielkim błagalnym spojrzeniem.

- Na jaja Baala, możemy się już stąd wynieść? Śmierdzi tutaj jak w dupie Szatana.

I z tym wyszliśmy, by odnaleźć przyjaciółkę Rei.

Najpierw jednak musieliśmy zejść z drogi pijanym studentkom, ominąć kałuże wymiotów i uchylić

się przed sznurem paciorków, który przeleciał w powietrzu niczym szrapnel. Jak na przeciętny wtorek lub raczej środowy poranek października, miejsce dawało czadu. Normalnie poświęciłabym więcej

czasu na przyglądanie się szaleństwom, ale tej nocy odwiedziłam już trzy strefy czasowe i miałam na głowie poważniejsze sprawy niż sprawdzanie, czyje nazwisko zdobi front Larry Flynt's Hustler Club.

Giguhl zaś większość drogi pokonał z otwartym pyszczkiem i oczami większymi od spodków.

- Jak w niebie! - wydyszał, gdy mijaliśmy wspaniale obdarzoną przez naturę blondynkę, wymieniającą swoją godność na garść tanich plastikowych koralików.

Parę przecznic dalej Adam zatrzymał się przed dwupiętrowym domem. Neonowy szyld nad drzwiami reklamował „Madame Zenobia's Voodoo Apothecary”. Stałam obok maga i zmarszczyłam brwi, patrząc na napis.

- Rea nie wspomniała, że magiczny sklep jej przyjaciółki specjalizuje się w wudu.

- No cóż, to Nowy Orlean... - Adam wzruszył ramionami.

Wyciągnęłam obok niego rękę i szarpnęłam drzwi. Zważywszy na porę, zaskoczyło mnie, że były otwarte. Kozległ się dźwięk dzwonka, po czym ku nam podryfo-wał zapach kadzidła i stęchłe tajemnicze wonie.

- Ty pierwszy - powiedziałam.

Wszedł do środka, mięśnie barków miał napięte. Przeniosłam Giguhla na drugie ramię i przepatrzyłam wzrokiem ulicę w poszukiwaniu podejrzanych postaci, jednak pośród bachanaliów rozgrywających

się na Bourbon Street „podejrzany” wygląd to rzecz względna. Nie dostrzegłam zad nych

rudowłosych potomków Lilith i Kaina - zwanych również wampirami - więc się rozluźniłam.

Odwróciłam się i przekroczyłam próg, ale od razu się zatrzymałam, skonfundowana widokiem.

Najwyraźniej dodatkowym hobby madame, obok wudu, było zbieractwo. Maski, wielkie szklane słoje

pełne tajemniczych ziół i przypraw, lalki, kości kurczaków, kawałki wstążek i figurynki obdarzone nieprawdopodobnie wielkimi fallusami zajmowały każdy skrawek powierzchni. Nawet głośniki

przekazujące dudnienie bębnów były ozdobione paciorkami i nalepkami.

Wąskie schodki w głębi sklepu wiodły na pierwsze piętro. Zasłona z drewnianych, kościanych i

kryształowych koralików oddzielała część przeznaczoną dla klientów od pracowniczej. Adam

podszedł do kontuaru i zadzwonił srebrnym dzwonkiem. Ja obeszłam sklep, przyglądając się

otoczeniu pod kątem dróg ewakuacji i dostępnej bro-

ni. Jeśli mieliśmy tutaj zostać, czułabym się lepiej, znając zasoby pozostające w mojej dyspozycji na wypadek pojawienia się Lawinii.

Po dłuższej chwili zasłona się rozdzieliła, ukazując łysego mężczyznę o wielkich brązowych oczach za jeszcze większymi szklami w czarnej plastikowej oprawce. Miał może z metr sześćdziesiąt pięć

wzrostu, a jego drobną sylwetkę można było nazwać kruchą. Nosił wytarte dżinsy i stary T-shirt,

podkreślający ptasią budowę klatki piersiowej. Otaczający go silny zapach lawendy wskazywał, iż

jest wróżem. Kiedy zauważył Adama, zatrzymał się.

- O co chodzi, *cher*? - wymruczał zaskakująco głębokim barytonem.

Adam przestąpił niespokojnie z nogi na nogę.

- Witaj. Zastaliśmy madame Zenobię?

- Mógłbym jej powiedzieć, kto pyta?

- Nazywam się Adam Lazarus. - Wskazał mnie gestem. - To jest Sabina.

- A to Pimpuś Sadełko. - Uniosłam kota, który zasyczał mi do ucha.

- To najbrzydsze łyse futerko, jakie widziałem! - Kiedy wróż poklepał ladę i zaśmiał się z własnego dowcipu, Gi-guhl zagłębił mi pazury w ramieniu.

-Z twojego wyglądu sądząc, nie widziałeś ich zbyt wiele. Kropka - warknął demoniczny kot.

Mężczyznę zatkało; przestał się śmiać.

- Nie, żeby on się mylił, ale... Czy twój kot dopiero co mi odpyskował?

- W istocie, to demon - wyjaśniłam bez przekonania. -Poza tym, jest trochę przeczulony na punkcie braku sierści.

- Och, demon! - Oczy wróża się rozszerzyły. Skinęłam głową.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby mi pozwoliła przybrać normalną postać?

Mężczyzna oparł podbródek na dłoniach.

- Coś takiego muszę zobaczyć.

Skrzywiłam się. Po transformacji Giguhl pojawiał się zawsze nagi, zatem wróż miał ujrzeć coś więcej, niżby chciał. Postawiłam kota na podłodze.

- Giguhl, zmień kształt.

Kiedy pachnąca siarką chmura się rozproszyła, obok mnie stał siedmiostopowy, zielonołuskowaty, czarnorogi demon z gołym tyłkiem. Odwracałam wzrok, ale spojrzenie wróża było ześrodkowane na Giguhlowym, hmm, małym demonie.

- No, no - wycedził. - Demon zafundował sobie niezłe widły!

Wyjęłam z plecaka portki od dresu i rzuciłam je Giguhlowi. Może to było tylko moje wrażenie, ale nie śpieszył się zbytnio z naciąganiem ich. Jakby cieszyła go zwrócona na niego uwaga. Pokręciłam głową. Nigdy nie zrozumieć demonów.

- Eee, w każdym razie, przysłała nas Rea - odezwał się Adam, najwyraźniej zdezorientowany.

Wróż odwrócił wzrok od Giguhla, nagle ożywiony.

- Przyjaciele Rei? Dlaczego nie powiedzieliście od razu? Madame Z oczekuje was. - Wyszedł zza kontuaru i przesunął dłonią po masywnym bicepsie Giguhla. - Przy okazji, jestem Brooks.

Ciągnąc demona w stronę schodów, jakby po namyśle, zawołał do mnie i do Adama:

- Chodźcie wszyscy.

Na piętrze Brooks powiódł nas korytarzem w kierunku czerwonych drzwi. Podniósł palec, pokazując, że powinniśmy poczekać, i zniknął za progiem.

Oparłam się o ścianę. Adam skrzyżował ramiona na piersi i oparł się z westchnieniem obok mnie.

-Jest... przyjacielski - odezwał się Giguhl, przerywając milczenie.

Uśmiechnęłam się.

- Lubię go. Ale to tylko ja czy ktoś inny też zauważył, że jest... - zrobiłam przerwę dla dramatycznego efektu -...wróżem?

Kącik ust Adama drgnął.

- Nie mów.

- Zaskakujące, że nie ześwirował, kiedy weszliśmy z kotem.

Wedle mojej wiedzy wróże z zasady nie znoszą kotów. Mojej byłej współlokatorce, nimfie Vince - niech spoczywa w pokoju - dużo czasu zabrało przyzwyczajenie się do obecności Giguhla. W końcu się polubili, ale przez pewien czas była to sytuacja spod znaku „na dwoje babka wróżyła”.

- Kilka gatunków nie uważa kotów za swoich śmiertelnych wrogów. Chociaż za wcześnie, by powiedzieć, do którego z nich należy Brooks. - Adam wzruszył ramionami. - Przynajmniej sprawiał wrażenie fana Pimpusia Sadełko.

Giguhl powiódł łapami po swoich bokach.

- Nie mogę go winić, że docenił to niezłe ciacho. Przewróciłam oczami, patrząc na demona.

- Coś mi mówi, że madame Zenobia okaże się interesującą osobą. Czy to nie dziwne, że mag praktykuje wudu?

- Nigdy dotąd nie spotkałem żadnego, który by to robił, ale kto wie? Tutejsi nekromanci różnią się pochodzeniem od tych z Nowego Jorku.

- Dosłownie inne pochodzenie? - zapytał Giguhl.

To było zasadne pytanie. Magowie zostali stworzeni przez boginię Hekate, co nie znaczyło, że nie istniały odgałęzienia od tej oryginalnej rasy. W końcu, wróże dzielili się na dziesiątki podgatunków.

Adam pokręcił głową.

- Nie, chodziło mi o to, że nie zdziwiłbym się, gdyby

postępowali tutaj inaczej. Skoro żyją w takim oddaleniu od centralnej nowojorskiej grupy, to można założyć, że rozwinęli własne sposoby działania.

Drzwi otworzyły się ponownie i Brooks wystawił z nich głowę.

- Madame Zenobia gotowa jest was przyjąć.

Odsunął się, by umożliwić nam wejście. Kiedy go mijaliśmy, zauważyłam, że jego spojrzenie spoczęło na zgrabnym tyłku Adama. Wróż uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo, zupełnie niezakłopotany przyłapaniem go na obmacywaniu wzrokiem maga. Sama się gapiłam, więc mnie to nie dziwiło. Usłyszawszy za sobą szuranie kopyt, odwróciłam się do Giguhla.

- Zaczekaj tutaj, dobra? - powiedziałam.

- Dlaczego? - zapytał demon.

Rzuciłam mu spojrzenie, od którego natychmiast się zamknął. Skrzyżował po prostu ramiona na piersi i oparł się o ścianę. Zamykając drzwi, usłyszałam, jak mówi do brooksa:

- A więc kręcą cię faceci, co?

Słyszac śmiech wróża, uznałam, że tych dwóch można bezpiecznie zostawić na jakiś czas samym sobie. Zamknawszy do końca drzwi, odwróciłam się i rozejrzałam.

Większa część pomieszczenia tonęła w mroku, gdyż wewnątrz rozjaśniało tylko kilka świec. Moje wampirze oczy z łatwością przystosowały się do ciemności, ale Adam zerkał wokoło, starając się wypatrzeć naszą gospodynię. Ja już widziałam, że jej tutaj nie ma, więc skorzystałam z okazji, by ogarnąć lokal wzrokiem.

Wyglądał na coś w rodzaju salonu. Pomijając fakt, iż w większości takich przybytków, jakie widziałam w albumach, nie znajdowały się ołtarze zastawione świecami i usiane czaszkami oraz kośćmi kurczaków. Miejsca siedzące przycupnęły pod sięgającym od podłogi do sufitu oknem, wychodzącym na Bourbon Street.

Naprzeciwko okna znajdowało się dwoje drzwi. Sądziłam, że Zenobia korzysta z tego piętra jako ze swojego mieszkania, więc przypuszczalnie jedno z nich wiodły do kolejnego krótkiego holu albo do kuchni i sypialni.

Drzwi po lewej otworzyły się i weszła madame Zenobia. Nie bardzo wiem, czego się spodziewałam po wyglądzie kapłanki wudu. Przypuszczalnie kogoś starego i możliwe, że otyłego. Wina za to spada na filmy, jak sądzę. Powinnam była jednak być mądrzejsza, a nie dopasowywać oczekiwania do trendów popkultury. Przecież Hollywood od dziesięcioleci przedstawiało w niewłaściwy sposób wampiry, i nawet nie prowokujcie mnie, bym zaczęła mówić o pozbawionej duszy niemartwej istocie... Albo o tych przeklętych, błyszczących w słońcu wampirach. W każdym razie kobieta, która wślizgnęła się przez drzwi, zdecydowanie nie była stara ani gruba.

Światło świec rzucało złoty blask na jej śniadą, pozbawioną skazy cerę. Ciemne fale włosów okalały wysokie kości policzkowe. Prosta biała tunika i dzinsy obejmowały jej kształtną sylwetkę. Nie

można było odgadnąć jej wieku, ale pewna siebie postawa i brązowe ciepłe oczy wskazywały na mądrość

zdobytą za sprawą wieloletniego doświadczenia.

Zerknęłam na Adama. Otworzył usta na tyle szeroko, że mógłby w nich zamieszkać mały ptak.

Szturchnęłam maga w ramię. Zamknął paszczę, ale nie spuszczał wzroku z kobiety. Nie mogłam go o to winić.

Dobra, zdecydowaniem mogłam. Madame Zenobia była zimną jak głaz lisicą i obserwowanie, jak Adam przygląda się jej z podziwem zarezerwowanym normalnie dla bogiń, sprawiło, że zazdrość stanęła dęba jak zielonooki demon.

Zenobia zbliżyła się z szerokim, zapraszającym uśmiechem.

- Adam i Sabina, jak sądzę. Witajcie w Nowym Orle-

anie. - Wypowiedziała nazwę miasta, zaciągając ze słodyczą syropu - *N'Awlin*.

Wyciągnęła do Adama dłoń o drobnych kostkach. W przeciwieństwie do spotkania z Brooksem nie ociągał się, skłonił się i wycisnął elegancki pocałunek na jej kłykciach.

- Madame Zenobia - powiedział. - Miło mi panią poznać.

Jej śmiech zabrzmiał jak szelest aksamitu.

- Mów mi Zen, proszę. Praktycznie należysz do rodziny.

- Dobrze, Zen. - Adam błysnął ku niej dołeczkami w policzkach.

Może wyobrażałam sobie coś, ale mogłabym przysiąc, że nadał swemu głosowi barytonowe brzmienie. Staralam się nie poddać nagłemu pragnieniu kopnięcia go w goleń. Zamiast tego wyciągnęłam rękę.

- Cześć, jestem Sabina.

Odwróciła się do mnie i jej uśmiech zwiądnął nieco.

- Ach, tak, mieszana krew. Miło mi cię poznać. Zignorowałam wzmiankę o moim pochodzeniu, które, szczerze, nie było jej zakichanym interesem, i skupiłam się na naszych złączonych dłoniach.

Normalnie, kiedy dotykam nekromanty, doświadczam łaskotania magii. Nie tak bardzo w jej wypadku. Hmm.

- Siadajcie, proszę. - Wskazała salonik. - Musicie wybaczyć mi mój wygląd, ale kiedy Rea zadzwoniła, dopiero co wróciłam po nocy.

Adam zajął jedyne krzesło, co znaczyło, że muszę dzielić sofę z Zenobią.

- Przepraszamy za późne przybycie, ale mamy ważną sprawę.

- Nic nie szkodzi, naprawdę. - Zen zbyła jego wyjaśnienie machnięciem ręki. - Rea powiedziała, że szukacie zaginionej krewnej?

Odwracając się do niej, odsunęłam się trochę, by zyskać nieco przestrzeni.

- Tak, mojej siostry, w istocie bliźniaczki. Mamy powody przypuszczać, że jest przetrzymywana gdzieś w mieście.

Zen skrzywiła się współczująco i poklepała mnie po kolanie.

- To straszne. Wiecie, kto ją porwał? Skinęłam głową.

- Nasza babka. Zen osłupiała.

- Mówisz poważnie? - wykrztusiła.

Wtrącił się Adam, widząc, że mięśnie szczęk mi tężą.

- To długa historia. - Nekromanta pochylił się, nie dopuszczając do mojej riposty. - Jestem jednak pewny, że rozumiesz nasz pośpiech, żeby zacząć poszukiwać miejsca jej pobytu.

- Oczywiście. Naturalnie zapraszam was, żebyście tutaj zamieszkali. Brooks i ja zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby wam pomóc.

Podczas gdy Adam zapoznawał Zen z naszą skromną wiedzą na temat sytuacji, przyglądałam się

kobiecie. Coś z nią było nie tak, jednak nie potrafiłam określić co. Była absolutnie uprzejma w ten denerwujący monarszy sposób, ale to nie jej zachowanie wzbudziło moje wątpliwości. Wróciłam myślami do braku mrowienia, kiedy uścisnęłyśmy sobie dłonie, i postanowiłam poddać ją drobnej próbie.

Nie jestem dumna z tego, co następnie zrobiłam, ale, no cóż, pochyliłam się i jak najsubtelniej, uważacie, powąchałam ją. Zamiast woni sandałowca - znaku probierczego nekromantów - poczułam ziemisty zapach. Zmarszczyłam brwi i przysunęłam się jeszcze bliżej. Kolejne niuch-nięcie. Taaa, zdecydowanie ziemia.

Ponieważ jednak nie jest możliwe pozostać niezauważonym podczas wąchania kogoś...

- Przepraszam? - Zen przerwała Adamowi i zerknęła na mnie kątem oka. - Czy mnie wąchałaś?

Adam spojrzał z irytacją. Zignorowałam go i zwarłam się wzrokiem z Zenobią.

- Jesteś człowiekiem!

Zerknęła na mnie, jakby starała się zdecydować, czy jestem szalona, czy opóźniona w rozwoju.

-1 co z tego? - Przeciągnęła wypowiedź, jakby to powinno być czymś oczywistym.

Wskazałam ją palcem i odwróciłam się do Adama.

- Jest człowiekiem!

Mag oderwał tyłek od krzesła i powąchał powietrze przed madame Zenobią. Ta odsunęła się na przeciwległy koniec kanapy.

- Brooks!

- Niech mnie szlag - powiedział Adam w końcu. - Jest człowiekiem!

- Ha! Mówiłam ci. - Skupiliśmy się wokół kapłanki wudu, przyglądając się jej badawczo, jakby była jakąś obcą formą życia.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Na przekór mikrej postawie Brooks był cały ramionami i zaciśniętymi pięściami, kiedy do nas dotarł.

- Cofnijcie się, kurwa!

Za Brooksem wtoczył się Giguhl. Spojrzał na mnie, oczekując poleceń. Pokręciłam głową. Nie potrzebowałam pomocy demona, żeby sobie poradzić z wkurzoną kobietą i wróżem. Oboje z Adamem

podnieśliśmy dłonie i cofnęliśmy się wolno.

- Nie mieliśmy złych zamiarów - mówił szybko mag, gdy Brooks się zbliżał. A do Zenobii: -

Przypuszczaliśmy po prostu, że jesteś nekromantką.

Zmrużyła oczy.

- A dlaczego mielibyście tak uważać?

- A dlaczego nie? - odpaliłam. - Rea powiedziała, że pomożesz nam się poruszać wśród subkultur tutejszych mrocznych ras. Nie mieliśmy podstaw, by uważać cię za człowieka.

- Dla waszej informacji - powiedziała Zenobia - jestem człowiekiem tylko w trzech czwartych. Mój dziadek był magiem. Babcia i matka były kapłankami wudu. Rea przysłała was do mnie, gdyż mam kontakty zarówno z ludźmi, jak i z mrocznymi rasami Nowego Orleanu.

- Mimo to - odezwałam się, ignorując jej wyjaśnienie -nie mogę uwierzyć, że Rea wysłała nas po pomoc do śmiertelniczki.

- Och, rozumiem. - Skrzyżowała ramiona na piersi. -Jesteś rasistką.

Szczęka mi opadła.

- To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. -Doprawdy? Ilu masz przyjaciół wśród osobników upośledzonych przez ludzkie geny? Zamknęłam usta.

- Daj spokój. Znam mnóstwo ludzi.

- Wiesz co, Sabina? Chyba nie powinnaś liczyć tych, którym rozerwałaś gardła - wtrącił się Giguhl.

- Hej! - Spiorunowałam wzrokiem mojego niełojalnego sługę.

-Wampiry są najgorsze. - Zenobia zasznurowała usta. - Nieśmierteliści, większość z was.

-Wybacz, ale jestem tylko w połowie wampirzycą. A ty masz czelność! Jakby ludzie byli lepsi. Kiedy ostatni raz sprawdzałam, to nie uważaliście krów za równe sobie.

Wyprostowała się.

- Nazywasz mnie krową? Uniosłam brew.

- Muuuu.

W tym momencie Zen i ja stałyśmy oko w oko. Byłam o włos od obnażenia kłów, kiedy Adam

wcisnął

się między nas.

- Dobra, moje panie, wyluzujcie!

Ponad jego ramieniem zmiażdżyłam Zen wzrokiem.

- To ona nazwała mnie nieśmierteliską.

- Daj spokój - wtrącił się Giguhl. - Jesteś nią w każdym calu.

Strzeliłam spojrzeniem ku mojemu demonowi.

- Pilnuj swojego języka, G!

- Tak tylko mówię. Ona ma rację.

Patrząc na mnie, Zen uniosła brew, wyrażając bez słów: „A nie mówiłam?”. W odpowiedzi ujrzała wystawione oba środkowe palce.

- Giguhl! - warknął Adam. - Nie pomagasz mi. Pchnął Zen w stronę Brooksa, używając jednocześnie swojego ciała, by mnie zablokować.

Skrzyżowałam ramiona na piersi i zagryzłam wargi. Jakim prawem ta dziwka śmiała mnie tak nazywać? A poza tym, nie ja jedna brałam ją za nekromantkę. Ale czy przeżywała Adama?

Oczywiście, że nie.

Mag wyciągnął mnie na korytarz, zatrzasnął za nami drzwi i przyszpilił mnie do ściany.

- Musisz przeprosić - szepnął.

- Co? Ani mi się śni! To ona... Położył dłoń na moich ustach.

- Zamknij się i posłuchaj, dobra? Potrzebna nam jej pomoc. Przełkniesz więc swoją dumę i przeprosisz. Zrozumiałaś?

Usiłowałam spopielić go wzrokiem.

- Proszę, Sabino.

Przekonał mnie błagalny ton jego głosu. Nagle zatęskniłam do dawnych czasów, kiedy w nosie miałam konsekwencje utraty panowania nad sobą. Miał jednak rację. Potrzebowaliśmy pomocy Zen,

jeśli chcieliśmy ocalić Maisie. Poza tym zbyt szanowałam Reę, żeby być taką suką wobec jej przyjaciółki, która wyszła nam naprzeciw, by zaoferować współpracę.

Wzięłam długi, powolny wdech. Przyniósł jednocześnie uspokojenie i idący do głowy sandałowcowy

zapach Adama. Zamknęłam oczy i skinęłam głową, poddając się.

Mag zabrał dłoń, a kiedy ponownie podniosłam powieki, zostałam nagrodzona pokazowym uśmiechem Lazarusa. Nagle poczułam się znacznie lepiej z koniecznością przeproszenia. Oblizałam wargi.

- Dobra, przeproszę. Chcę jednak, by zostało zapisane, że jej nie lubię.

- Wysłuchane i zapisane - stwierdził. - Ale ja uważam, że jest w porządku. Po prostu źle zaczęliśmy.

Nie podzielałam jego zdania na temat możliwości Zenobii, ale zatrzymałam tę opinię dla siebie.

Widzicie? Już dojrzywałam. Nie będzie można powiedzieć, że się nie uczę na własnych błędach.

Kiedy wróciliśmy do salonu, obecni rozbiegli się jak karaluchy w pokoju, w którym nagle zapalono światło. Giguhl i Brooks pierzchli ku ołtarzowi, gdzie starali się z całych sił sprawiać wrażenie, że nie podsłuchiwali.

Zenobia siedziała pod oknem, niczym królowa oczekująca na przybycie gości. Przełknęłam rozblysk dumy, grożący wycofaniem się z danej Adamowi obietnicy. By temu zapobiec, przywołałam w pamięci obraz twarzy Maisie. Wzięłam głęboki wdech i powiedziałam sobie, że te przeprosiny są wyłącznie złem koniecznym na drodze do odnalezienia siostry. Stałam przed kapłanką wudu ze skruszoną miną.

- Przepraszam, że nazwałam cię krową. -1? - Przechyliła głowę.

Zawahałam się, starając się odgadnąć, za co jeszcze mam przeprosić. -Ico?

- Zapomniałaś dodać, że będziesz bardziej wspaniałomyślna w podejściu do istot upośledzonych przez naturę genami człowieczeństwa.

Masz babo placek! Adam chrząknął; subtelne napomnienie, bym trzymała temperament na wodzy.

Dając z siebie wszystko, skinęłam głową.

- Obiecuję, że się postaram.

Przesunęłam językiem po zębach, testując moją szczerłość.

- Prócz tego żądam, żebyś przysięgła, iż nie będziesz żerować na mnie oraz na moich pracownikach i klientach.

Wzniosłam oczy do nieba, modląc się o cierpliwość.

- Nie ma problemu. - Prawdę mówiąc, pomijając nieudane polowanie w Nowym Jorku, już od tygodni

nie żerowałam bezpośrednio na człowieku. Nadal nie lubiłam smaku paczkowanej krwi, ale musiałam

przyznać, że oszczędzało mi to mnóstwa kłopotów. Zen skinieniem głowy wyraziła aprobatę dla mojej szybkiej zgody na jej warunki. - Pokaż mi tylko drogę do najbliższego banku krwi - ciągnęłam - a

niezwłocznie tam ruszymy.

Zenobia cofnęła się z grymasem na twarzy.

- Ani mi to w głowie. Dobrzy ludzie z Nowego Orleanu bardziej potrzebują krwi niż ty.

- Posłuchaj, paniusiu. - Westchnęłam. - Czego się po mnie spodziewasz? Głodówki?

-Nie mówiłam tego - odparła Zen. Jej uśmiech sugerował, że nie spodoba mi się to, co padnie z jej ust.

-Istnieje inne absolutnie akceptowalne rozwiązanie. Mój przyjaciel rzeźnik będzie szczęśliwy, mogąc sprzedać całą potrzebną ci krowią krew.

- Dobra. - Nie, żebym pragnęła wysysać zwierzęta hodowlane ani nic takiego, ale chciałam po prostu, żeby ta rozmowa już się skończyła. Uniosłam brew, prowokując wudu, by postawiła kolejny warunek.

Ona jednak wstała, klaszcząc w dłonie.

- Znakomicie! Skoro to postanowione, to może zaprowadzę was do waszych pokoi?

- Czekał - powstrzymał ją Adam.

- Tak? - powiedziała, marszcząc czoło.

- Nadal zamierzasz nam pomóc?

- Oczywiście, *cher*. Prawdziwa kobieta Południa nigdy

nie pozwala, by drobne nieporozumienie przeszkodziło jej w okazaniu gościnności. - Zachichotała i podniosła się z kanapy. Zawahała się. - Poza tym Rea ostrzegła mnie przed tej tam... - wskazała mnie ruchem głowy - ..barwną osobowością.

Podeszła wolno do Adama i ujęła go pod ramię. Mag zaśmiał się - trochę nieswojo, uważacie - i zdawał się cieszyć odgrywaniem roli eleganckiego dżentelmena, wyprowadzając ją z pokoju przed postępującymi za nimi Giguhlem i Brooksem. Spiorunowałam ich wzrokiem, ale zdołałam się powstrzymać od wykrzyknięcia jakiejś b a r w n e j riposty.

Agresywno-pasywny komentarz Zenobii zapędził mnie w kozi róg. Gdybym się z nią spierała, potwierdziłabym tylko jej rację.

Zanim do nich dołączyłam, rozluźniłam mięśnie karku, przechylając głowę z boku na bok. Wydawszy westchnienie męczennicy, przypomniałam sobie, że mam trzymać temperament na wodzy. Jeśli w ogóle się nauczyłam czegokolwiek, to tego, iż zabijanie wkurzających mnie ludzi generalnie powoduje więcej problemów, niż ich rozwiązuje.

W duchu poklepałam się po plecach. Widzicie? Niewątpliwy postęp.

ROZDZIAŁ 5

Pół godziny później Adam, Giguhl i ja szliśmy w kierunku halogenowych świateł Jackson Square. Po tym, gdy Zen pokazała nam nasze pokoje - w istocie apartament na strychu, stanowiącym drugie piętro budynku - postanowiliśmy wybrać się na krótką przechadzkę po okolicy. Nie byłabym w stanie usnąć, nie wiedząc, gdzie się właściwie znajduję i co się czai w cieniach French Quarter.

Przeszliśmy Pirate's Alley i weszliśmy na plac przed St Louis Cathedral. Dwaj chłopcy grali dla tłumy turystów na wielkich plastikowych wiadrach jak na bębnach. Chiromanci siedzieli przy rozstawionych po okolicy karcianych stolikach. Nikt nie dostrzegał ironii w oferowaniu lak pogańskich usług w

cieniu wznoszącej się katedry.

Z westchnieniem pozwoliłam, by moje niepokoje odpłynęły z biegiem Missisipi. Nie czułam napięcia między łopatkami, a mój oddech zwolnił pierwszy raz od wielu dni. Przekonałam się nawet, że się uśmiecham do jasnowidzki, obiecującej przepowiedzieć mi przyszłość. Nawet gdybym uważała, że

może mi pomóc - a tak nie było czułam zadowolenie z bycia tu i teraz.

W końcu dochodziliśmy do czegoś i chociaż sytuacja daleka była od idealnej, niemal czułam obecność Maisie. Może to było jedynie życzeniowe myślenie, ale miasto

pulsowało magią. Ciemna, ziemna energia wirowała pod powierzchniami ulic, w głębi błotnistych podwalin miasta.

W powietrzu czułam jednak także lżejszą, bardziej znajomą moc. Jeśli ta magia miała barwę, to była nią chłodna kobaltowa niebieskość. Jeśli miała zapach, była to delikatna woń cedru i jaśminu.

Pierś wezbrała mi nadzieją, a puls przyspieszył. Gdzieś tutaj była Maisie. Po prostu wiedziałam to.

Moje spojrzenie spoczęło na kobiecie w średnim wieku, wręczającej dwudziestkę szczerbatemu

jasnowidzowi o tłustych włosach. Zaufanie i jawna nadzieja malująca się na twarzy klientki dały mi do myślenia. Czy moja mina odzwierciedlała jej?

Adam cofnął się kilka kroków, by sprawdzić, co ze mną. Giguhl przysiadł na jego ramieniu, ale był zbyt zajęty wchłanianiem atmosfery karnawału, by zauważyć moje roztargnienie.

- Dobrze się czujesz, Rudzielcu? - zapytał nekromanta.

Wzięłam głęboki wdech i oderwałam wzrok od zdesperowanej kobiety przy stoliku. Wiedziałam, że nie ma sensu pokładać zaufania w rzeczach nienamacalnych. Doznania w trzewiach, talizmany, zanoszenie modłów do egoistycznych bóstw - to wszystko nie zwróci mi Maisie. Sprawę załatwi jedynie jasne myślenie i strategia.

- Taaa, przyglądam się tylko oskubywaniu głupich ludzi z forsy. - Skinęłam Adamowi głową.

Odciągnęłam go na bok, zbywając sytuację lekceważącym ruchem dłoni. Idąc, przeniosłam Giguhla na własne barki. Z jakiegoś powodu ciężar i ciepło jego małego ciała pomagały mi rozwiać część utrzymującej się mgły niepokoju.

Przeszliśmy obrzeżem placu, na którym stał pomnik Andrew Jacksona, i brukowaną ceglami aleją ruszyliśmy w kierunku rzeki. Na rogu zebrał się tłum ludzi obserwujących pozujący żywy pomnik.

Kobieta była przebrana za Statuę Wolności. Skórę miała pomalowaną na barwę grynszpanu. Stanęliśmy na skraju zbiorowiska i przyglądaliśmy się przez chwilę.

- O bogowie, co to za zapach? - syknął Giguhl, siedząc na moim ramieniu. Różowy nos zadarł jak peryskop, szukając źródła aromatu samym powonieniem.

Powąchałam powietrze. Błotnisty fetor Missisipi mieszał się z uwodzicielskim zapachem ciepłej krwi płynącej w żyłach wszystkich tych śmiertelników, ale wiedziałam, że ani muł, ani krew nie kazałyby kotu się wiercić i prychać, jakby to była kokaina. Na mój domysł, mógł to być płynący z drugiej strony ulicy aromat smażonych racuchów z cukrem pudrem i dymnej kawy z cykorii.

- *Cafe du Monde* - powiedział Adam, wskazując gestem patio z markizami w biało-zielone pasy i długą kolejkę śmiertelników, czekających na obsłużenie.

- Możemy kupić trochę? - syknął mi do ucha demoniczny kot. - Proszę?

Wymieniliśmy z Adamem spojrzenia. Tego rodzaju, jakie udręczeni, pokonani rodzice posyłają sobie ponad głową zawodzącego berbecia. W końcu mag westchnął.

- Ty też chcesz?

Pokręciłam głową. Adam zdjął kota z mojego ramienia i wsadził go sobie pod pachę jak brzydką futbolówkę.

- Dobra. - Rzucił mi cierpiętnicze spojrzenie. - Zaraz wrócimy.

Podczas gdy nekromanta truchtał na drugą stronę ulicy, by dołączyć do długiej kolejki na zewnątrz kawiarni, oparłam się o ceglana ścianę i przyglądałam występującym. Okolica buzowała od przeróżnej działalności. Obok Statui Wolności mężczyzna w ubraniu z aluminiowej folii wykonywał taniec robota do wtóru muzyki grzmiącej z przenośnego stereo u jego stóp. Za nimi malarze oraz rękodzielnicy zachwalali portrety gigantów jazzu i plecione wiklinowe koszyki turystom, którzy wysiadali z dwukołówek przy Decatur Street. Dalej w dół rzeki wioślna łódź wdzięczyła się na wodzie jak dama podczas kotyliona.

Miałam właśnie ruszyć, gdy krew w żyłach zmroziło mi znajome skrzeczenie. Przykucnęłam odruchowo i przeszukałam wzrokiem niebo. Jasne, wieżę katedry spiralnie okrążał biały pierzasty kształt. Wiedziałam, bez konieczności uważniejszego przyglądania się, że sowa ma czerwone oczy.

Stryx.

Ptaka podążał za mną od tygodni - całą drogę z Los Angeles do San Francisco, a potem w poprzek

kraju, do Nowego Jorku. Początkowo uważaliśmy oboje z Adamem, że Stryx jest szpiegiem Lilith.

Bogini tkwiła w Irkalli, w zaświatach mrocznych ras, i wierzono, iż sowa jest jej oczami na ziemi.

Wtedy Stryx trzymała się przeważnie z dala ode mnie, sądziłam więc, że jest nieszkodliwa. W Nowym Jorku jednak odkryłam, że nie służy wcale Lilith, tylko szpieguje mnie na rzecz Kasty z Nod. Sowa przekazywała im, gdzie się właśnie znajduję, dzięki czemu mogli organizować zamachy na moje

życie. W czasie wielkiej bitwy w posiadłości magów postrzeliłam skrzydlatego szczura, ale najwyraźniej ptaszysko wylizało się już z ran. Jego obecność w Nowym Orleanie wskazywała, że jesteśmy na tropie.

Odwróciłam się, by powiedzieć o tym Adamowi, ale w nos uderzyła mnie jak obuchem woń miedzi.

W przeciwieństwie do przyjemnego, metalicznego zapachu ciepłej krwi - wiele mówiący aromat wampira piekł jak pozostałość miedziaków na skórze.

Żołądek mi się ścisnął, gdy się obróciłam wokół osi, omiatając wzrokiem otoczenie. Wokół kłębiło się tylu ludzi, że z początku jej nie zauważyłam. Potem tłum się rozstał, jakby rozdzielił go sam

Mojżesz.

Niczym jeden z żywych pomników stała nieruchomo przed okalającym plac żeliwnym ogrodzeniem.

Karmino-

we włosy odcinały się wyraźnie jak rana od pogrzebowo czarnej szaty, którą nosiła niczym całun.

Lawinia.

Nie wiem, czy wyszeptalam jej imię, czy tylko wykrzyczałam je w głowie. Tak czy inaczej, widok

babki stojącej ode mnie nie dalej niż piętnaście metrów sprawił, że tętno weszło mi w nadbieg. Skórę zmroził zimny pot, a wszystkie mięśnie się napięły. Zamarłam, czekając, że ucieknie, zaatakuje...

zrobi cokolwiek.

Zamiast tego uniosła tylko wyzywająco brew. To był jej sposób przywoływania mnie. Spoczone dłonie

zaciśnęły mi się w pięści. Zastanawiałam się przelotnie nad wyciągnięciem broni, ale wobec tak wielu śmiertelnych świadków byłoby to zbyt ryzykowne.

Poruszając się powoli, zmniejszyłam dzielący nas dystans. W umyśle wirowały mi wszelkie możliwe scenariusze rozwoju sytuacji. Lawinia nieprzypadkowo wybrała to miejsce. Mimo że wampiry nie przejmują się bezpieczeństwem śmiertelników, przeważnie stosują się do niepisanego prawa, które wymaga zachowania w ich obecności dyskrecji. Jako alfa Dominii, Lawinia mogła się uważać za stojącą ponad tym prawem, ale liczyła, że ja będę bardzo świadoma publiczności. Co oznaczało, że chciała pogadać. To jeszcze bardziej wzmogło mój niepokój. Walka to dla mnie nie nowina, ale rozmowa oznaczała niespodzianki. Miałam ich po dziurki w nosie. Zwłaszcza że moja babka wiedziała zawsze, jakie guziki nacisnąć - te, które popierniczają mi w głowie.

Oczywiście, nie zdradziłam przed nią żadnego z tych niepokojów. Zatrzymałam się po prostu i przechyliłam głowę, pokazując, że teraz pora na jej ruch. Kącik krwistoczerwonych ust Dominii uniósł się, ale ustąpiła mi i zrobiła kilka kroków do przodu. Teraz stałyśmy w odległości półtora metra od siebie.

Dzieliła nas również przepaść goryczy tak szeroka i głę-

boka, że nie dało się jej przekroczyć. Przynajmniej póki któraś z nas nie umrze. A ja zamierzałam żyć jeszcze długo.

- Sabina - mruknęła. Za jej plecami Stryx wylądowała na wysokiej czarnej bramie. Ptak obserwował mnie czerwonymi oczami, nie mrugając. - Nie dzwonisz. Nie piszesz. To dość, by złamać babcine serce.

Zmrużyłam oczy. Pragnęłam pięścią zetrzeć z jej twarzy ten fałszywy uśmiezek, jednak powiedziałam tylko:

- O, Lawinia. - Zmrużyła oczy na impertynenckie posłużenie się jej imieniem. Dobrze. - Nie oszukujmy się. Obie wiemy, że nie masz serca, które można by złamać.

Kiedy mówiłam, moja dłoń skradała się za plecami i wniknęła między pasek a skórzaną kurtkę.

- Zawsze byłaś takim kłopotliwym dzieckiem. Zawsze trzeba ci było przypominać, byś posługiwała się rozumem - powiedziała, mlaszcząc i patrząc znacząco na moje zgięte ramię. - Jak znajdziesz

siostrę, jeśli mnie teraz zabijesz?

- Przede wszystkim nie myśl, że zabicie ciebie nie stanowiłoby najlepszej rzeczy, jaka mi się

kiedykolwiek przytrafiła. - Śliską od potu dłonią przesunęłam po powierzchni kolby pistoletu. - A co do Maisie, to pozwól, że sama będę się o to martwiła.

Skrzyżowała ramiona na piersi i przyglądała mi się z przechyloną głową.

- Mogę coś zaproponować?

Nienawidziłam się za swoje wahanie. Powinnam już była wpakować jej kulę między oczy, i niech

szlag trafi świadków. Jednak niepokój o Maisie i, szczerze, skręcający flaki strach, unieruchomiły mi rękę.

-Co?

- Poddanie się.

Zaniosłam się śmiechem. Szorstki, gniewny dźwięk.

- Jesteś niesamowita! - wyrzuciłam z siebie.

- A ty naiwna, skoro uważasz, że wyjdiesz zwycięsko, jeśli dojdzie do walki. Poza tym czy naprawdę chcesz mieć na sumieniu śmierć swojej siostry...

- Daj spokój! Przestań mnie traktować protekcyjnie, dobra? Obie wiemy, że zabiłabyś Maisie, gdybym się poddała.

Zacisnęła usta tak mocno, że zbieleły jej wargi.

- Nie przerywaj mi więcej, moje dziecko. Zapominasz, do kogo mówisz. Wydaje ci się, że zdobyłam pozycję Dorn inii alfa w konkursie dobrych manier? Rozlałam w życiu rzekę krwi. Tak potężną, że mogłaby rywalizować z tą płynącą za twoimi plecami.

Zadarłam brodę.

- Zabiłam Tanith. - Skoro nie mogłam powiedzieć jej prawdy, użyłam na swoją korzyść kłamstwa.

Twarz jej drgnęła.

-Tak, słyszałam. Godna pożałowania strata. Tanith miała zabójczy instynkt do interesów, ale nie była wojowniczką. Naprawdę uważasz, że możesz mnie pokonać?

Teraz drżały mi ręce. Zignorowałam jej pytanie. I tak nie było sensu na nie odpowiadać. Obie znałyśmy szanse.

- Skoro jesteś taka pewna zwycięstwa, to dlaczego tego nie rozegrać?

- Bo mimo że masz tak wysokie mniemanie o sobie, jesteś zwykłym utrapieniem. Takim, którego chciałabym się szybko pozbyć, by się zająć ważniejszymi sprawami.

Strzała trafiła w cel, ale nie okazałam tego.

- Masz na myśli wojnę.

Uniosła podbródek na znak, że to prawda.

- Między innymi.

- A więc przepowiednia, co? Jeśli naprawdę wierzysz, że moim przeznaczeniem jest pokrzyżować twoje wojenne plany, to dlaczego mnie jeszcze nie zabiłaś?

- To, w co wierzę, jest bez znaczenia. Tak się składa, że plany mistrza Mahana są zgodne z moimi.

Kiedy wypowiedziała to imię, Stryx zahukała cicho. Zignorowałam ptaka bo, no cóż, nie lubiłam na niego patrzeć - na tę sowę o wariacko czerwonych oczach i z przyprawiającą o gęsią skórkę skłonnością do wyskrzekiwania mojego imienia w dziwnych odstępach czasu. Nigdy w życiu nie słyszałam o Mahanie.

- Kto to?

Lawinia przechyliła głowę i obdarzyła mnie spojrzeniem, jakim się patrzy na ociężałe umysłowo dziecko.

- Mistrz Mahan... - kolejne pohukiwanie - .. jest, między innymi, przywódcą kasty. I chce się z tobą spotkać, Sabino.

Potrzebowałam oczywiście więcej informacji na ten temat, ale wiedziałam, że Lawinia usiłuje zbić mnie z tropu.

- A ty czego chcesz?

- Zetrzeć wszystkich magów z powierzchni ziemi. - Uśmiechnęła się z wyczekiwaniem, które zmroziło

mi krew w żyłach. - Zwłaszcza mieszaińców.

Nie pochwyciłam tej przynęty. W końcu nie powiedziała nic takiego, czego bym wcześniej nie słyszała.

- A mistrz Mahan? Czego on chce? Wzruszyła ramionami.

- Także śmierci nekromantów, ale z innych powodów.

- Zapomniałaś dodać, że chce też mojej śmierci. Żeby sprawić, że dojdzie do wojny, zgadza się?

Uciekła wzrokiem w lewo.

- Niebawem poznasz jego plany wobec ciebie. Westchnęłam. Tajemnicze bzdury zawsze mnie wkurzały. - Skąd mam mieć w ogóle pewność, że Maisie nadal żyje?

Wyjęła coś z kieszeni szaty. Kiedy podniosła przedmiot do światła, zamigotało złoto. Gdy poznałam biżuterię, krew mi zlodowaciała.

Naszyjnik Maisie. Amulet określał jej pozycję jako Wy-

sokiej Kapłanki Dziewiczego Księżycy. Skaleń odpowiadał temu, który wisiał na mojej szyi, tak jak i inskrypcja na jego złotej oprawie: „Ona jest przewodniczką, ta córka I łekate; ona oświecili drogę”. W istocie jedyńi różnicę między naszymi i Maisie stanowiła smuga krwi na powierzchni jej kamienia księżycowego.

Żołądek skurczył mi się z obawy o siostrę bliźniaczkę. Sięgnęłam po amulet, ale Lawinia odsunęła go poza zasięg mojej ręki, zmuszając mnie do zrobienia kroku naprzód, bym mogła go pochwycić. W

końcu moja dłoń zamknęła się na ciepłym złotym łańcuchu i wyszarpnęła go.

- To niczego nie dowodzi. - Zazgrzytałam zaciśniętymi zębami.

-To najlepsze, co masz. Poddaj się, a jeszcze dziś w nocy zobaczysz ją na własne oczy.

- Gdzie ona jest?

- W miejscu, w którym większość wampirów nie skończyłaby martwa. - Zachichotała, jakby

opowiedziała dowcip. - Poddasz się? Czy też zamierzasz zmusić mnie do ujawnienia planów i

wystrzelania po kolei wszystkich twoich przyjaciół, byś doszła do rozumu?

Podrzuciła głowę, by zwrócić uwagę na coś za moimi plecami. Obejrzałam się przez ramię i

ujrzałam przechodzącego przez ulicę Adama. Tyłek kota wystawał z papierowej torby w ramionach maga,

który szukał mnie wzrokiem w tłumie.

Odwrociłam się z uśmiechem do babki i skrzyżowałam ramiona na piersi. Otworzyłam usta, chcąc powiedzieć coś na ten temat, że sprawy zaszły zbyt daleko, by się poddawać - chociaż i tak nigdy nie brałam tego pod uwagę. Zanim jednak zdołałam coś powiedzieć, Lawinia się pochyliła i jej zimne białe dłonie zacisnęły się na moich bicepsach.

- Jej krew smakuje jak nektar.

W mózgu eksplodował mi płomień białej furii. Potem

obraz mojej babki pochylającej się nad szyją Maisie przesłonił mi wzrok krwawą czerwienią.

Skoczyłam naprzód z dłońmi jak szpony trzaskając kłami. Jakby z bardzo daleka usłyszałam krzyk

Adama. - Sabina!

Za późno. Za późno na rozsądek. Za późno na strategię lub chłodny umysł. Szpula z taśmą o Lawinii zerującej ma Maisie kręciła się bez końca w mojej głowie na szybkim przewijaniu. A ścieżkę dźwiękową dla tego filmowego horroru stanowił zawodzący głos: Zabij ją, zabij ją, zabij ją!

Lawinia zatoczyła się do tyłu, poza zasięg moich ramion. Wściekłość pchnęła mnie naprzód.

Paznokcie wbiły się w skórę jej barków. Zwolnione tempo. Białka jej oczu. Moje drżące kły.

Opadanie ku jej pulsującej aorticie. Głośny chrzęst. Przeszywający uszy skrzek Stryx. Trzepoczące skrzydła. Gorący wybuch magii.

Impet rzucił mnie w wolną przestrzeń. W miejsce, w którym Lawinia stała zaledwie milisekundy wcześniej. Ziemia ruszyła na spotkanie z moją twarzą. Trzask kości zderzającej się z cegłami.

Pieczenie dłoni. Opuszczające mnie powietrze i wszystkie zmysły.

ROZDZIAŁ 6

Adam zatrzymał się nade mną poślizgiem. Z torby w jego ramionach sterczał koci ogon.

Otrząsnąwszy się, starałam się zrozumieć, co się przed chwilą stało.

- Adam, co jest? - zapytałam.

Wyraz zaniepokojenia na jego twarzy zmienił się w kontuzję. -Co?

- Dlaczego ją teleportowałeś? - dopytywałam się. Znieruchomiał.

- Nic nie zrobiłem, Sabino. Nie miałem czystej pozycji. Szczęka mi opadła.

- To w jaki sposób zniknęła, do diabła?

Potem do mnie dotarło. Żerowała na Maisie. Zacisnęłam mocno powieki. Prócz zgrozy wywołanej

tym, że Lawinia żywiła się krwią własnej wnuczki, na nowo zaświtał strach. Skoro moja babka miała teraz w swoim organizmie potężną krew Maisie, trudniej będzie ją zabić niż kiedykolwiek dotąd.

Jasne, była potężną wampirzycą - być może najpotężniejszą - ale obecnie krew mojej siostry dawała jej także możliwość posługiwania się magią.

Nie to jednak było najgorsze. Normalnie wprowadzenie do wampirzego krwiobiegu zakazanego

owocu w dowolnej postaci odzierało nas z nieśmiertelności i pozwalało zabić. Ja jednak byłam dwa razy pchnięta w serce

jabłoniowym kołkiem i przeżyłam. Moja mieszana krew chroniła mnie przed przykrymi

konsekwencjami. Taka sama mieszana krew płynęła w żyłach Maisie. A teraz w La-winii. Co

oznaczało, że zabicie mojej babki konwencjonalnymi metodami mogło się okazać niemożliwe. Jeśli

tylko ktoś uważał kołki jabłoniowe i wypełnione cydrem kule za broń konwencjonalną!

Zanim zdołałam zapoznać Adama z tymi ponurymi wieściami, otoczyło nas kilkunastu ludzi. Ich miny

wyrażały różne stadia zaniepokojenia i zdumienia. Przez kilka pełnych napięcia sekund gapili się, po czym w grupie rozległ się nieskoordynowany aplauz. Łysiejący mężczyzna z dyndającym na szyi

nikonem wyciągnął rękę. U dłoni zwisał mu dolarowy banknot. Patrzyłam na niego oniemiała.

- Rany, jesteście niesamowici - powiedział. - Nie widziałem podobnej sztuczki od czasu telewizyjnego programu Davida Blane'a.

- W jaki sposób zniknęła twoja przyjaciółka? - Chciała wiedzieć towarzysząca łysawego.

Spojrzałam na nich wilkiem i oparłam się na dłoni Adama, by wstać. Kilka stóp dalej, jak śmieć, na ulicy leżał naszyjnik. Ruszyłam, by go zabrać, ale nieatrakcyjna kobieta w bluzie New Orleans Saints podniosła go pierwsza. Wyrwałam łańcuch z jej ręki, z trudem jedynie się powstrzymując, by nie

syknąć na nią za to, iż miała czelność dotknąć własności Maisie.

- Jak śmiesz! - Spiorunowała mnie wzrokiem.

Nie zwracając na nią uwagi, przepchnęłam się przez otaczający Adama tłum, ignorując pytania i poklepywania po plecach.

- Zjeżdżajmy stąd w cholere.

Adam objął mnie wolnym ramieniem i poprowadził przez zbiorowisko, mamrocząc pod nosem przeprosiny i kiepskie wyjaśnienia. Wszyscy w zasadzie zdawali się wierzyć, że należymy do jakiejś trupy magików i że Lawinia prawdopodobnie ukrywa się w pobliskich krzakach. Uznałabym to za zabawne, gdybym nie była

taka przerażona.

Gdy tylko opuściliśmy plac, Giguhl wynurzył się, by zaczerpnąć powietrza. Cały jego łepek - od wąsów po nieto-perzowate łyse uszy - pokryty był białym pudrem. Mruganiem otrzepał cukier z powiek i przenosił wzrok z Adama na mnie.

- Oho, co mnie ominęło?

- Chciała, żebym się poddała - powiedziałam.

Idąc przez French Quarter, czułam, że mam drewniane nogi. Otoczeni przez tylu ludzi nie mogliśmy się po prostu teleportować, szliśmy więc tak szybko, by nam ubywało drogi, ale nie na tyle prędko, by zwracać na siebie uwagę. Umysł wypełniał mi zgiełk myśli, a żadna z nich nie była pozytywna.

- Pieprzeni śmiertelnicy! Powinnam była po prostu zastrzelić ją i mieć to z głowy. Ale nieee!

Musiałam się przejmować, że przerażę gównianych ludzi. Co za głupota! -

zaliłam się.

Adam poklepał mnie po ramieniu.

- Wiem, że jesteś zdenerwowana, Sabino, ale staraj się opanować, zanim któryś z tych śmiertelnych, których przeklinasz, usłyszy cię.

- Do diabła z nimi wszystkimi! - wrzasnęłam.

Trójka przechodzących ludzi popatrzyła na mnie nieprzychylnie. Syknęłam na nich. Nie najbardziej dojrzała reakcja, ale byłam nieźle wkurzona. W końcu nie co noc dziewczyna ma okazję zabić swoją

nemesis i partoli to. Adam westchnął.

- Dobra, no więc chciała, żebyś się poddała. Co się potem stało?

Nie mogłam opanować dreszczy. Pomasowałam ramiona, starając się przypomnieć sobie przebieg spotkania. Zanim zebrałam myśli, Giguhl prychnął.

- Niezła z niej cwaniara. Jakbyś w ogóle była w stanie się poddać.

Wobec jej gróźb, wciąż brzmiących mi w uszach, musiałam się zastanowić, czy ta możliwość jest rzeczywiście tak bardzo nierealna. Zagroziła wszak, że zajmie się moimi przyjaciółmi, jeśli tego nie uczynię.

- Może powinnam to zrobić - stwierdziłam.

Teraz, kiedy było po wszystkim i szok bladł, inne niepokoje kiełkowały jak chwasty. Ile czasu minie, zanim Lawinia zabierze się za Adama i Giguhla? Czy moja odmowa współpracy rozeźliła ją jeszcze bardziej? Odegra się na Maisie? O bogowie, co ja narobiłam!?

Adam ścisnął mi rękę i zatrzymał mnie.

-Absolutnie nie powinnaś się poddawać. Nawet tam nie idź.

Odwróciłam się do niego.

- Muszę, Adamie. Zagroziła, że będzie was wybierać po jednym, póki się nie poddam.

-Niech tylko się spróbuje do mnie dobrać! - Zadarł brodę.

Uwolniłam ramię z jego uścisku i przygotowałam się do zdetonowania kolejnej bomby.

- Ona żeruje na Maisie, Adamie. - Zacisnął szczęki, a oczy zrobiły mu się chłodne jak krzemienie. - To dzięki temu zniknęła stąd w magiczny sposób - ciągnęłam, zdecydowana doprowadzić rzecz do końca.

- A jeśli jest zdolna do tego, by zatopić kły w ciele własnej wnuczki, to naprawdę uważasz, że zawaha się przed załatwieniem ciebie?

Patrzył mi w twarz, głos miał niski.

- A ty naprawdę uważasz, że pozwolę ci się poddać temu potworowi, by mnie chronić?

- Taaa - wtrącił się Giguhl, jego łeppek sterczał między nami. - Dość tego głupiego gadania, Sabino.

Cofnęłam się i zastanowiłam, mając przed sobą dwa uparte oblicza moich przyjaciół. Ich lojalność

wiele dla

mnie znaczyła, zrobiłabym jednak wszystko co trzeba, by ich ochronić. Wiedziałam także, że poddanie się nic nie da. Odetchnęłam głośno i rozluźniłam sztywne mięśnie.

- Dobra, niech wam będzie. Żadnego poddawania się. I co teraz? Tylko bogowie wiedzą, co Lawinia robi w tej chwili z Maisie. - Zdawało mi się, że zwymiotuję, kiedy te możliwości paradowały w moim umęczonym umyśle.

Przed dzisiejszym wieczorem łatwiej było postrzegać tę misję właśnie tak - jak serię strategicznych posunięć prowadzących do z góry założonego celu. Ale teraz? Teraz niemożliwe było oddzielić zadanie od budzącego mi się w trzewiach przerażenia, od dręczącego niepokoju o Maisie, od wściekłości, jaką czułam na babkę. A znając Lawinię, będzie gorzej, zanim zacznie być lepiej. Jeśli w ogóle będzie lepiej.

- Musimy porozmawiać z Orfeuszem - stwierdziłam. - Nie jest za późno na wymianę Tanith.

Twarz Adama znieruchomiała, jakby mentalnie meandrował po polu minowym.

- Sabino - zaczął wolno - musisz wziąć głęboki wdech i pomyśleć.

- Myślę, Adamie. Myślę, że jeśli nie zadziałamy szybko, Maisie umrze. Musimy ją stamtąd wydostać.

Adam skrzyżował ramiona na piersi.

- Orfeusz jasno wyraził swoje stanowisko. Lawinia nie może wiedzieć, że Tanith żyje. Zniwelowałyby to przewagę, jaką obecnie mają magowie i wróże.

- Już nie jestem tego taka pewna - prychnęłam. Adam chwycił mnie za ramię.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

- Słuchajcie - odezwał się Giguhl. - Wyluzujcie. Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

Nie zwracając nań uwagi, odepchnęłam Adama.

- To znaczy, że bardziej jesteś zainteresowany pozostaniem w łaskach Orfeusza niż ocaleniem Maisie.

Gwałtownie zmarszczył brwi.

-Doprawdy? Chcesz się w to teraz wdawać? Wiesz cholernie dobrze, że Maisie jest dla mnie tak samo rodziną jak Rea. Zważywszy, że znasz siostrę zaledwie od trzech tygodni, jesteś z nią słabiej

związana niż Orfeusz czy ja. To, że mamy różne poglądy na sposób jej ocalenia, nie oznacza, iż mniej się o nią troszczę.

- Uważam jedynie za interesujące, że twoje poglądy są przypadkowo zbieżne z tym, co polecił ci zrobić Orfeusz.

-Dla jasności: posłuszeństwo zawsze jestem winien Radzie Hekate - powiedział. - Jestem Strażnikiem Pytyj-skim, pamiętasz? Ślubowałem przestrzegać decyzji Rady we wszystkich sprawach, ale to nie

znaczy, że nie mam własnego rozumu, Sabino. I logika podpowiada mi, że w celu uratowania Maisie i zakończenia wojny należy trzymać sprawę Tanith pod kloszem tak długo jak to możliwe. I nie, żebym chciał się okazać bezceremonialny, ale jeśli można zakwestionować czyjekolwiek motyw, to twoje.

Giguhl gwizdnął zgorszony. Szarpnęłam się w stronę Adama, zmuszając go, by spotkał się z moim piorunującym spojrzeniem.

- Słucham?

- Daj spokój. Nie robisz tajemnicy z tego, że pragniesz śmierci Lawinii. Porwanie Maisie daje ci idealny pretekst, byś dążyła do tego celu z całkowitym zaangażowaniem.

Głos miałam jak nuklearna zima.

-Jeżeli wszystko, o co mi chodzi, to zabicie Lawinii Kane, to dlaczego wciąż oddycha? - Wskazałam w stronę Jackson Square. - Jeśli chcę wyłącznie jej śmierci, to dlaczego oręduję na rzecz wymiany

Tanith, co odbiera wszelką możliwość ostatecznej rozgrywki? I jeśli dążę jedynie do zabicia własnej babki, to dlaczego zawracam sobie głowę przyjmowaniem jakichkolwiek poleceń od królowej lub

Rady? Jestem pieprzoną zabójczynią, Adamie. Naprawdę

uważasz, że nie potrafiłabym samodzielnie przeprowadzić na boku tajnej operacji, by zgładzić

Lawinię, bez komplikacji w postaci partnerów lub ratowania Maisie?

Kiedy skończyłam mówić, Adam stał chwilę w milczeniu. W powietrzu między nami panował taki

chłód i napięcie, że równie dobrze mogłoby być ono zmrożone. Zatrzeszczała papierowa torba, kiedy Giguhl poruszył się niespokojnie, przenosząc wzrok między nami, by zobaczyć, które uderzy

pierwsze. W końcu Adam wypuścił głośno powietrze z płuc.

- Jakie to uczucie?

- Co? - warknęłam.

- Gdy ktoś cię oskarża, że jesteś zaślepionym idiotą, którym kieruje wyłącznie egoistyczny interes? -

Bezlitośnie świdrował mnie wzrokiem. - Nie jest to miłe, co, Sabino?

Krzywiąc się, przełknęłam tę gorzką pigułkę. -Nie.

Giguhl wetknął łepkę między nas.

- Czy możemy zaprzestać wzajemnych oskarżeń choć na chwilę, by sobie przypomnieć, że wszyscy chcemy tego samego? Jesteśmy zespołem, pamiętacie?

Zanim zdołałam potwierdzić, Adam dodał:

- Nie będzie to ani ostatnia, ani najgorsza niespodzianka, jaka nas spotka ze strony Lawinii. -
Chwycił

mnie za rękę. - Nie możemy pozwolić, żeby z nami pogrywała. I musimy przestać skakać sobie do
oczu za każdym razem, gdy jesteśmy przestraszeni lub źli.

Odpowiedziałam ściśnięciem jego dłoni.

- Masz absolutną rację. - Wzięłam głęboki wdech, mając nadzieję, że to rozwieje utrzymujący się
opar gniewu i strachu. Przeniósłszy spojrzenie z Adama na wciąż spiętego Giguhla, dodałam: -

Przepraszam was. Chyba niezbyt dobrze znoszę przerażenie.

Kącik ust Adama się uniósł.

- Prawdę mówiąc, radzisz sobie z tym lepiej niż ktokolwiek, kogo kiedykolwiek znałem.

Jego słowa sprawiły, że zadławiłam się podczas uspokajającego wdechu, co skończyło się
prychnięciem w postaci:

- Jaaasne...

-A teraz wracajmy i prześpijmy się. Jutro wcześniej przed zachodem słońca musimy nawiązać kontakt
za znajomymi Zen. Jeśli się nam powiedzie, znajdziemy Maisie, zanim księżyc stanie wysoko na
niebie.

Próbowałam czerpać otuchę z jego optymizmu, jednak prawda była taka, że szczęście i ja od bardzo dawna nie byliśmy ze sobą w najlepszych stosunkach.

ROZDZIAŁ 7

Następnego wieczoru obudziło mnie słodkie chrapanie demona. Jęknąwszy, obróciłam się i przykryłam głowę poduszką. Przypuszczalnie powinnam była pójść do salonu i powiedzieć Giguhlowi, by sobie zrobił fajrant, ale nie chciało mi się ruszyć. Kolejna nawała chrapnięć przedarła się do mojego ucha przez warstwy gęsiego pierza. Kogo ja oszukiwałam? Giguhl i chrapanie to nierozłączna para jak nekromanci i magia.

Zrzuciłam poduszkę na podłogę i przeciągnęłam się. Kiedy moja dłoń trafiła na coś ciepłego i twardego, krzyknęłam i szarpnęłam głowę w bok.

- Dobry, słonko - powitał mnie Adam. Był odwrócony ode mnie, co dawało mi widok na cudownie złotą skórę, szerokie barki i grę mięśni.

- Co do... ? - zaczęłam.

Odwrócił się do mnie, i cokolwiek zamierałam powiedzieć, wyparowało mi z języka. O bogowie, od

frontu widok był jeszcze milszy. Jego tors przyciągał mój wzrok jak magnes. Zerknęłam niżej, ale od pasa w dół okrywała go pościel. Ciekawe, czyby zauważył, gdybym ściągnęła ja w celu dokonania inspekcji na okoliczność posiadania przezeń bielizny.

- Ziemia do Sabiny - odezwał się lekko rozbawiony.

- Hmm. - Mrugnęłam. Moje spojrzenie skoczyło ku je-

go zmiętej od snu twarzy. - Czekał no! Co ty robisz w moim łóżku, do diabła?

Poprzedniej nocy dokonaliśmy podziału posłań pod względem płci. To oznaczało, że mnie przypadła w udziale sypialnia, podczas gdy Adam i Giguhl otrzymali większą kanapę w salonie. Mag kiwnął głową w kierunku ściany, która praktycznie wibrowała od dochodzącego zza niej hałasu.

- Tak jest cały dzień. Potarłam oczy i ziewnęłam.

-Więc zamiast tego mnie postanowiłeś poprzekadzać w spaniu.

- Przyszedłem tutaj trzy godziny temu, Sabino. Spałaś cały czas. - Oparł głowę na rękę i uśmiechnął się, jakby znał jakiś sekret. - Mówisz przez sen.

- Wcale nie!

- Ależ tak.

Policzki rozgrzał mi ogień.

- Co mówiłam?

Wysilałam umysł, by przypomnieć sobie sny, ale nic z tego nie wychodziło. Adam wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, było to raczej senne mamrotanie. Nie mogłem zrozumieć żadnych słów. - Uniósł brew. - Ale bądź pewna, że dziś w nocy będę nadśluchiwał.

-Powodzenia z nadśluchiowaniem z podłogi, nekro-manto.

Wtedy usiadł prosto. Na głowie rozkosznie sterczały mu koguty.

- Żartujesz.

Rzuciłam mu spojrzenie, zapewniające go, że ani mi to w głowie.

- Och, kapuję. Nie ufasz sobie sam na sam ze mną. Zamarłam w trakcie wstawania z łóżka.

- Jeśli chodzi ci o to, że nie ufam sobie, czy cię nie walnę, to masz rację.

-Wiesz, że w niektórych kulturach groźby fizyczne oznaczają zainteresowanie seksualne?

Patrząc na niego, pokręciłam głową i na przekór samej sobie uśmiechnęłam się.

- Jesteś nienormalny.

Leżał na plecach, z rękami pod głową, co jedynie zapewniało mi lepszy widok na męską ucztę dla oczu, jaką stanowił Adam Lazarus.

- Doprawdy? Czy też może jestem tak bliski prawdy, że cię to przeraża? - Uśmiechał się, pokazując, że się drażni, ale w słowach brzmiała pewna ostrość.

Nigdy bym się do tego przed nim nie przyznała, ale miał oczywiście absolutną rację, jednak jego przekomarzanie się rozpałiło mi w trzewiach flarę paniki.

- Dobra. Chcesz spać w tym łóżku? - Dotknęłam stopami podłogi, po czym pomaszerowałam do łazienki, zanim zdążył odpowiedzieć. - Jest całe twoje.

Kilka minut później wyplułam z ust pastę do zębów i spojrzałam z ukosa na własne odbicie.

- Nawet nie myśl o seksie z Adamem.

To nie był pierwszy raz, kiedy musiałam odbyć ze sobą tę krótką rozmowę. W ostatnich dwóch miesiącach erotyczne napięcie między nami nieustannie narastało. Wiele z moich początkowych argumentów przeciwko wdaniu się w aferę z magiem nadal pozostawało w mocy, łącznie z faktem, że międzyrasowy związek moich rodziców doprowadził do ich śmierci oraz zaowocował gównianym życiem dla mnie. Prawda, byłam jedynie półwampirem, i z każdym upływającym dniem traciłam trochę mojej krwiożerczej tożsamości, którą wcześniej się otulałam jak kocem bezpieczeństwa. Zanim sprawy w Nowym Jorku się popieprzyły, poważnie rozważałam odrzucenie wszelkiej ostrożności i

zabranie się ostro za maga.

Ale sytuacja się schrzaniła i myśl o międleniu się z Adamem przyprawiała mnie o pieprzone poczucie winy, zwłaszcza gdy *zważyć*, że moja siostra była trzymana w niewoli i wysysana z krwi. Nie jest to akurat ten rodzaj duchowych rozterek, które sprzyjają romansowi, wicie?

Wszystkiego tego powinno wystarczyć, by powstrzymać mnie od bawienia się myślą o otwarciu drzwi

łazienki i rzuceniu się na nekromantę. Ale była jeszcze jedna rzecz - tajemnica, która stanowiła ostatni gwóźdź do trumny wszelkich możliwości.

W Nowym Jorku spotkałam dawnego chłopaka, wampira i byłego zabójcę nazwiskiem Slade Corbin.

Z początku trzymałam go na dystans, ale z powodu nieobecności Adama, przebywającego na dworze królowej, a także w związku z poważnymi emocjonalnymi zawirowaniami zwróciłam się do Slade'a zarówno w poszukiwaniu rozrywki, jak i ku narzędziu samozagłady. Nikt nie wiedział o tym pojedynczym skoku w bok. Nawet Giguhl. Jednak incydent ten jasno wskazywał, iż nie można mi ufać, że nie skrzywdzę Adama.

Zdecydowanie stuknęłam trzy razy szczoteczką do zębów o umywalkę. Dźwiękom tym

odpowiedziało echo zza moich pleców. Podniosłam wzrok i pojęłam, że ktoś puka do drzwi.

- Czego? - warknęłam.

- Z kim rozmawiasz?

Znieruchomiałam. Najwyraźniej słyszał mnie, ale czy zrozumiał, co mówiłam?

- Z nikim.

- To zabawne - powiedział. - Mógłbym przysiąc, że dopiero co ślubowałaś komuś nie uprawiać ze mną seksu.

Doznałam w żołądku wrażenia spadania. Spojrzałam ponownie w lustro, mając nadzieję, że na jego powierzchni pojawi się nagle właściwa odpowiedź. Jeśli otworzę drzwi, będzie forsował temat. Może, pomyślałam, jeśli go zignoruję, podda się i odejdzie. Pokręciłam głową. Kogo ja oszukiwałam?

Kiedy otworzyłam drzwi, blokował mi drogę, trzymając ręce na obu framugach futryny. Brew miał uniesioną wyzywająco.

- Nikt ci nie mówił, że nieładnie jest podsłuchiwać? Zignorował moją ofensywną taktykę. Zielone jak mech

oczy przyciągały mnie niczym wiązka naprowadzająca. Albo może postąpił naprzód. Nie potrafiłam powiedzieć, gdyż przede wszystkim czułam ulgę, że przed chwilą umyłam zęby. Potem dotarł do mnie jego senny zapach. Ciepły i sprośny. Niczym tajemnice szeptane wśród skotłowanej pościeli.

Wszystkie świadome myśli uciekły jak nocny złodziej. Wstrząs rozpoznania, gdy jego wargi musnęły moje. Miętko. Początkowo z wahaniem. Kiedy się nie sprzeciwiłam, pogłębił pocałunek, ale dłońmi nadal ścisnął boki futryny, jakby nie ufał sobie, że może mnie dotknąć. Jego tors drażnił moje piersi przez cienką bawełnianą koszulkę na ramiączkach. Zapach i pocałunki Adama wprowadziły mnie w stan przypominający trans.

- Sabina - szepnął przy moich wargach. Przyciągnął mnie do siebie. Ruch sprawił, że amulety między moimi piersiami szczyknęły, zderzając się ze sobą.

O, cholera. Ale ze mnie siostra!

- Spokojnie. - Oparłam dłoń na gładkiej skórze tułowia Adama. Jego serce dudniło pod moją dłońią.

-

Nie możemy tego zrobić.

Odsunął się, minę miał na poły sfrustrowaną, na poły zmartwioną.

- O co chodzi? - zapytał szeptem.

Przez chwilę nie byłam w stanie mówić. Prawda - prawdziwy powód, dla którego go powstrzymałam -

spadła na mnie jak błyskawica. *Bo jeśli cię wpuszczę do środka, zobaczysz, jak w istocie jestem połamana, i odejdziesz.* Gdy nie odpowiedziałam od razu, twarz maga ściągnęła się.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie.

Zlizałam z warg jego smak i starałam się skoncentrować na tym, by na mojej twarzy nie pokazała się panika, ale w trzewiach doznawałam takiego wrażenia, jakbym jechała na rollercoasterze.

- Strzelaj.

Zawahał się, pozwalając, by napięcie wzrosło. Jego poważne spojrzenie spotkało się z moim.

- Jak długo zamierzasz kazać mi czekać?

Już chciałam odpowiedzieć żartem. Zbyć całą sprawę, jakby nic się nie stało, ale za bardzo zależało mi na Adamie, by beztroskim sarkazmem zlekceważyć jego szczere zainteresowanie.

- Nie wiem.

Patrzył na mnie przez chwilę. Widziałam trybiki obracające się w jego głowie. Rozwagał opcje i ewentualności. W końcu odetchnął przez nos, jakby wydalał złą energię.

- Cóż, sądzę, że to lepsze niż „nigdy”.

Mógł być ninie przypiekać pytaniami. Forsować temat. Ponieważ tego nie uczynił, poczułam się jeszcze bardziej winna.

-Przepraszam. Po prostu... potrzebuję czasu. By wymyślić, jak być z tobą, nie niszcząc nas obojga.

Przesunął palec po moim policzku.

- Czas to teraz cenny towar, Rudzielcu. Zaczekasz za długo, a może być za późno.

Przełknęłam z wysiłkiem. Zamarłam, gdy żołądek ścisnęło mi przerażenie. Czyż w Nowym Jorku

Maisie nie użyła niemal tych samych słów, gdy zachęcała mnie do wyznania uczuć Adamowi?

- Wiem.

Pochylił się i obdarzył moje usta kolejnym miękkim pocałunkiem. Odsunąwszy się, patrzył mi w oczy.

- Niebawem, Sabino.

Tym razem jego słowa były nie tyle groźbą, ile obietnicą. Czym bardziej, nie wiedziałam. Miałam wrażenie, iż

chodzi mu o to, że zmęczy się czekaniem i się podda, ale równie dobrze mógł uważać, że niebawem wykona swój wielki ruch. Tak czy inaczej, przekaz był jasny i czysty. Wiedział, że celowo trzymam go na dystans. Przypuszczalnie uważał nawet, że wie, dlaczego tak jest.

Zamiast jednak wyjaśnić wszystko, przechyliłam tylko głowę, potwierdzając, że go usłyszałam.

Zdawało się, że wystarczyło mu to, gdyż się odwrócił bez słowa. Kiedy drzwi zamknęły się za nim ze szcęknięciem, zwiotczałam na chwilę, oparta o framugę. Potem wyprostowałam się i weszłam z powrotem do łazienki i pod zimny prysznic.

Pół godziny później wyłoniłam się z pokoju, gotowa do działania. Została nam tylko jakaś godzina dziennego światła, więc wyjście w obecnej chwili nie dokonałoby zbytniego spustoszenia w moich zasobach energii. W przeciwieństwie do wampirów pełnej krwi mogłam wyjść na słoneczny blask, nie

ryzykując życia, jednak to poważnie obciążało mój organizm, dlatego starałam się unikać nasłoneczniania.

Giguhl siedział w kuchennym aneksie przy blacie, mając przed sobą kubek kawy i talerz ciastek.

Kiedy weszłam, podniósł wzrok znad *New Orleans Dispatch*. Z gębą pełną ciasta i obsypanymi cukrem pudrem ustami obwieścił:

- Brooks przyniósł nam racuchy!

Mrugnęłam. W pierwszej chwili nie zauważyłam wróża. Opierał się o zlew, gawędząc z Adamem.

- Cześć, Brooks - powitałam go. - Dzięki. Pozdrowił mnie uniesieniem różowego kubka z napisem:

Włóż majtki swojej matki i radź sobie z tym.

- ...dobry, *cher*. Dobrze spałaś?

Mhmm - odparłam chłodnym tonem, idąc po dzbanek z kawą.

Adam opowiadał mi właśnie, że wcale nie spał dobrze, biedaczysko.

Przeszyłam demona znaczącym spojrzeniem. Giguhl uniósł krzaczastą czarną brew.

- Ciekawe dlaczego? - Obrócił kartkę i poświęcił chwilę na wyglądzenie gazety, zanim podjął śpiewnym tonem. - Być może dlatego, że ktoś zmieniał łóżka w środku nocy?

Sporunowałam go wzrokiem.

- Przeniósł się, bo chrapiasz głośniej od zgonionego gnu.

- Zaprzeczam - zwrócił się demon scenicznym szeptem do Brooksa.

- Wystarczy, G - odezwał się cicho Adam.

Giguhl chwycił kubek kawy oraz dwa kolejne racuchy i wstał.

- Gdybyście mnie potrzebowali, to będę w drugim pokoju, nadganiając lekturę informacji.

Z tymi słowami wyszedł w dramatycznym stylu, który Blanche DuBois zmusiłby do zacieklej rywalizacji. Westchnęłam.

- Ale wrażliwiec!

- Daj mu spokój, Rudzielcu - mitygował mnie Adam. - Nadal cierpi z powodu miłosnego zawodu.

- Jasne. Zakończenie tygodniowej przygody z Valwą naprawdę musiało złamać mu serce. Daj spokój,

Adamie - prychnęłam. - Czego się spodziewał, zadając się z demonem próżności?

Brooks gwizdnął cicho.

- Muszę przyznać, że co do jednego jesteście najbardziej... zajmującymi gośćmi, jakich kiedykolwiek mieliśmy.

Skrzywiłam się pełna obaw, że mogliśmy zużyć cały zapas dobrej woli gospodarzy, zanim jeszcze zdołaliśmy uczynić najmniejszy choćby postęp.

- Przepraszam. Zwykle zachowujemy się dużo lepiej - skłamałam. - To jednak bardzo stresujący okres dla nas wszystkich.

Brooks wzruszył ramionami.

- Nie ma się czym przejmować, *cher*. Póki nie zniszczy-

cie czegoś ani nie zeżrecie żadnego z naszych klientów, jesteście tutaj mile widziani. - Dzięki, Brooks.

Adam odchrząknął i zmienił temat.

-Kiedy byłaś pod prysznicem, dzwoniłem do Orfeusza. Zapoznałem go z treścią naszej małej pogawędki z Lawinią zeszłej nocy.

Zatrzymałam się w drodze po mleko do lodówki.

-I?

-I - westchnął - chce, żebyśmy dalej działali zgodnie z planem. Mamy się skupić na odnalezieniu miejsca pobytu Maisie.

Zacisnęłam zęby i ruszyłam ku lodówce, licząc, iż zyskam trochę czasu, zanim wybuchnę stekiem przekleństw, które walczyły w moich w ustach o pierwszeństwo. Próba znalezienia Maisie i tak była naszym celem, ale doskwierało mi, że przekazywano mi to w formie rozkazu. Wiedziałam jednak, że to głównie przemawia moje ego. Po sprzeczce z Adamem poprzedniej nocy zrozumiałam, że muszę mocniej trzymać nerwy na wodzy, jeśli ma się nam cokolwiek udać.

Odnalazłam palcami amulet Maisie. Musnęłam go, uznając dotyk za przypomnienie, by zachować spokój. Przełknąwszy oburzenie, pociągnęłam za uchwyt lodówki. Wewnątrz ujrzałam puste półki, zero światła i poczułam zapach stęchłego, ciepłego powietrza. Odwróciłam się i rzuciłam Brooksowi skonfundowane spojrzenie.

- Uuups, zapomniałem powiedzieć, że lodówka jest zepsuta - odezwał się Brooks. - Ale w *Cafe du Monde* wrzuciłem do torby trochę małych pojemniczków ze śmietanką, jeśli potrzebujesz.

Wymamrotałam podziękowania i wyjęłam z białej papierowej torby porcję śmietanki. Nalewając ją, odpowiedziałam w końcu Adamowi.

- Brzmi jak plan- stwierdziłam dyplomatycznie. - Czy wspomniał o tym, co powinniśmy zrobić, kiedy ją zlokalizujemy?

Adam się skulił.

- Tak. Mamy złożyć mu raport i czekać na dalsze instrukcje.

Drugi pojemniczek pękł mi w dłoni, oblewając mnie małym białym gejzerem.

Brooks, nieświadomy podskórnego napięcia, powiedział:

- W pracowni na dole Zen ma podręczną lodówkę, jeśli musicie trzymać coś w chłodzie.

Uznawszy, że obecnie lepiej będzie unikać bezpośredniego omawiania poleceń Orfeusza, wytarłam dłonie o dzinsy i zmieniłam temat.

- Zenobia jest na miejscu? Brooks odstawił kubek.

- Prawdę mówiąc, między innymi dlatego wpadłem. Madame Z zgłosiła się na ochotnika do odbycia tej nocy dyżuru w kościele, więc to ja będę wam pomagał.

- Kościół? - Adam zmarszczył brwi.

- Jasne. Zen jest gorliwą katoliczką.

- Czy to nie jest niezwykle, że kapłanka wudu jest katoliczką?

- To Nowy Orlean, skarbie. Tutaj mało co jest uważane za niezwykle. Sama zobaczysz.

Poskromiłam ciekawość. Religijne przekonania Zenobii to nie mój interes, ale to, że nie było jej na miejscu, by nam pomóc, frustrowało mnie. Spojrzałam na Adama.

- Co teraz?

Otworzył usta do odpowiedzi, ale Brooks uprzedził go.

- Liczę, iż nie będziecie mieli nic przeciwko temu, że umówiłem was na spotkanie.

Potarłam twarz dłonią, myśląc, że najbardziej w tej chwili potrzebuję wakacji.

- Z kimś powiązaniem z miejscowymi wampirami?

- Można tak powiedzieć - odparł Brooks. - Jeśli chcecie, mogę was teraz zabrać na spotkanie z Mac.

- A nie możesz po prostu podać nam adresu, żebyśmy poszli sami?

Brooks pokręcił głową.

- Lepiej, żebym was ze sobą poznał. Niektórzy przedstawiciele tutejszych mrocznych ras żywią pewną podejrzliwość wobec obcych.

- Absolutnie zrozumiałe - stwierdził Adam. Wróż strzelił palcami.

- Och, byłbym zapomniiał. Zen mnie prosiła, bym ci to dał, kiedy wstaniesz. - Podał mi kartkę papieru z zapisanym na niej adresem.

- Co to?

- Adres rzeźnika, o którym mówiła. Zapomniałam o całej tej sprawie z bydlęcą krwią. -Dzięki - powiedziałam, spoglądając na zegar. Była

szósta wieczór. - Powinniśmy iść tam teraz, przed spotkaniem z twoją przyjaciółką?

- Och, nie ma potrzeby - odparł Brooks, machając ręką. - Sklep jest otwarty całą dobę. Możesz tam pójść później. - Urwał i zmrużył oczy, przyglądając się moim ustom w poszukiwaniu zapowiedzi pojawiających się kłów. -Chyba że jesteś głodna?

Uśmiechnęłam się, ukazując mnóstwo niespiczastych zębów.

- Chyba wytrzymam.

- No to w porządku - stwierdził wróż, odstawiając ze stuknięciem swój kubek. - Chodźmy zatem do

Lagniappe.

Zmarszczyłam brwi.

- Lonż i japa?

- To bar Mac. Nazwa oznacza „odrobina czegoś ekstra”. - Brooks zachichotał, jakby opowiedział dowcip.

- Co jest takiego ekstra w związku z tym lokalem? - zapytał Adam.

Wróż uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Zobaczysz, *cher*, zobaczysz.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy Brooks nam powiedział, że idziemy do baru, trochę się zaniepokoiłam. Z jednej strony

chciałam zobaczyć jak najwięcej ze słynnej nowoorleańskiej French Quarter, a z drugiej, im więcej czasu spędziłabym na otwartej przestrzeni, tym większa istniała szansa, że Lawinia i jej zbiry

wykonają swój ruch. Kiedy pokonywaliśmy odległość jednego kwartału domów, by skręcić w Royal

Street, barki Adama były napięte, a wzrok czujny. Po kilku minutach przekonałam się jednak, że się rozluźniam. Na ulicach roilo się od turystów, co pozwalało łatwo wtopić się w tłum. Gdy zapytałam Brooksa, dlaczego w mieście jest tylu ludzi, wyjaśnił, że w związku z wypadającym w ten weekend

Halloween wielu zjechało wcześniej do Nowego Orleanu, by się zabawić.

- Cholera, kompletnie zapomniałam o Halloween. Policzyłam w myślach i pojęłam, że była już środa, więc do chwili, gdy świąteczne szaleństwo ogarnie miasto i skomplikuje nam życie, pozostały tylko trzy dni.

- Och, to prawdopodobnie największa impreza, pomijając Mardi gras. Parady, kostiumy, uliczne zabawy. Nawet wielki trzydniowy festiwal muzyczny w City Park, Voodoo Fest. Tegoroczny program jest niesamowity, więc wielu ludzi zdecydowało się świętować Halloween w Nowym Orleanie.

Adam spojrzał na mnie znacząco.

- To powinno być interesujące.

Skinęłam głową i zagryzłam wargi. Mnogość balang i ludzi mogła pomóc w trochę dłuższym

ukrywaniu naszej obecności, ale liczyło się też bezpieczeństwo. Nie tylko sprawiało to, iż śmiertelnicy zobaczą coś, czego nie powinni widzieć, ale rosły też szanse, że jeśli sprawy wezmą zły obrót, to ucierpią niewinni. Poza tym pośród tysięcy przebierańców rojących się na ulicach trudno byłoby

zauważyć zbliżających się wrogów. Gdyby jednak wszystko poszło po mojej myśli, to znaleźlibyśmy

Maisie na długo przed tym, zanim gorączka sobotniej nocy karnawałowej sięgnie szczytu.

Przeszliśmy bez żadnego incydentu wzdłuż Royal, po czym Brooks gwałtownie skręcił w Toulouse.

Tuż za „Pat O'Brien's” neon anonsował cel naszej wędrówki. Z zewnątrz „Lagniappe” wyglądał jak każda inna knajpa French Quarter. Wewnątrz typowy wystrój barowy. W istocie jedyną interesującą

różnicę stanowiła estrada naprzeciwko długiego kontuaru. Wziąwszy pod uwagę oświadczenie

Brooksa, że lokal oferuje „odrobinę czegoś ekstra”, poczułam rozczarowanie.

- Pustawo - zauważył Adam, kiedy wróż prowadził nas obok wolnych stolików w stronę zaplecza.

Mimo że nie było klientów, z głośników charczał rock. Coś Melissy Etheridge.

- To nie potrwa długo! - krzyknął Brooks. - Występ zaczyna się o dziewiątej. Wcześniej lokal zapełni się po brzegi.

Powstrzymałam się od wyrażenia zdania na ten temat, gdyż dotarliśmy do drzwi z napisem „Obcym wstęp wzbroniony”. Brooks zapukał dwa razy. Muzyka tak grzmiała, że nie słyszałam odpowiedzi, ale wróż otworzył drzwi i pośpiesznie wprowadził nas do środka.

W rogu, za biurkiem, siedziała drobna brunetka. Z początku, z mojego punktu obserwacyjnego, wyglądała jak kolejny człowiek, kiedy jednak powąchałam powietrze, poczułam psi zapach i się rozluźniłam. Spodziewałam się wampirzycy oczywiście, ale niech będzie i wilkołaczycą. Ulżyło mi po prostu, że Brooks przyprowadził nas do kogoś bardziej zakotwiczonego w podziemnym świecie mrocznych ras niż Zenobia.

- Brooks! - wykrzyknęła kobieta, wstając na powitanie. - Przyprowadziłeś przyjaciół.

- Witaj, skarbie! - odpowiedział, biorąc ją w objęcia. Kiedy przestali się ścisnąć, wróż odwrócił się i wyciągnął dłoń. - To Sabina Kane i Adam Lazarus. Zatrzymali się u Zen.

Mac zbliżyła się z serdecznym uśmiechem i wyciągniętą ręką.

- Miło mi poznać. Jestem MacKenzie Romulus. Możecie mi mówić Mac.

Gdy podeszła do Adama, dotarło do mnie jej nazwisko.

- Co powiedziałaś? Romulus? - Kiedy potwierdziła skinieniem głowy, indagowałam dalej: - Nie jesteś czasem spokrewniona z Michaeliem Romulusem?

- To mój wujek. - Oczywiście wyjaśniały.

Rozdziawiłam usta ze zdziwienia. Trudno było uwierzyć, że pruderyjny alfa nowojorskich

wilkołaków jest spokrewniony z właścicielką nowoorleańskiej spelunki dla tych, co szukają okazji do jednorazowego dymanka.

- Co za zbieg okoliczności! - powiedziałam. - Widziałam go zaledwie kilka dni temu.

- Chciałam do niego zadzwonić, gdy tylko usłyszałam o problemach w Wielkim Jabłku. Powiedz mi, proszę, że nie brał w tym wszystkim udziału.

Wzdrygnęłam się.

- Prawdę mówiąc, to jak najbardziej. On i jego stado pomagali radzie Hekate, kiedy magowie zostali zaatakowani przez Dominie.

Jej brwi się ściągnęły.

- Nic mu nie jest? Skinęłam głową uspokajająco.

- Twój wujek to twarda sztuka. - Nie wspomniałam, że sama próbowałam go zabić i mi się nie udało.

Na szczęście Michael i ja przeszliśmy do porządku dziennego nad tym konfliktem w samą porę, by połączyć siły przeciwko atakowi kasty. - Zarobił jedynie kilka zadrapań. Prawdę mówiąc, ma u mnie spory dług wdzięczności za ocalenie mi tyłka. To porządny facet.

Uśmiechnęła się i wskazała krzesła przed biurkiem.

- Każdy przyjaciel wujka Mike'a jest moim przyjacielem. Siadajcie.

- Możecie mi wybaczyć? - wtrącił się Brooks. - Muszę się przygotować do występu.

- Och, w porządku - powiedziała Mac. - Zmykaj. Wróż zatrzymał się jeszcze w progu.

- Zostaniecie, żeby zobaczyć pokaz? Mrugnęłam.

- Występujesz? Brooks uśmiechnął się.

- Tak jest, proszę pani.

Zerknęłam na Adama, by sprawdzić, czy nie ma nic przeciwko temu. Wzruszył ramionami i skinął głową.

- Nie darowalibyśmy sobie, gdyby nas to ominęło.

Po odejściu wróża rozsiedliśmy się przy biurku Mac.

- Wracając do sprawy... Brooks powiedział, że szukacie informacji o zaginionym magu?

Potwierdziłam ruchem głowy.

-To moja siostra. Została porwana przez wampiry w trakcie walki w Nowym Jorku - wyjaśniłam.

Podając nam piwo, Mac zastygła na moment. - Czemu uważacie, że jest tutaj?

Zawahałam się. Mac mogła być siostrzenicą Mike'a, ale jak o mnie chodziło, to nie ufałam nikomu.

Pominięłam więc fragment dotyczący uprowadzenia Tanith.

- Powiedzmy po prostu, że kierujemy się wiarygodną wskazówką.

Mac upiła łyk piwa i oparła się na krześle.

-1 jak właściwie mam wam pomóc?

Jeszcze bardziej polubiłam tę bezpośrednią kobietę.

-Brooks powiedział, że masz kontakty wśród tutejszych wampirów. Nie będziesz miała nic przeciwko

temu, że zapytam, jakie konkretnie są te związki?

Nie śpieszyła się z odpowiedzią. Wysunęła szufladę biurka i wyjęła z niej paczkę american spirits.

Zaoferowawszy nam papierosy, wzruszeniem ramion skwitowała odmowę z naszej strony i zapaliła jednego zapalką z pakiecika z nazwą jej klubu. Zdusiłam w sobie niecierpliwość. Zorientowałam się już, że Mac jest bystra. Wiedziała o nas tyle, ile my o niej, to znaczy niewiele. Tylko głupiec

odsłoniłby od razu wszystkie karty. Zanim odpowiedziała, wydmuchnęła szereg kółek z dymu.

- Powiedzmy po prostu, że w moim najlepszym interesie leży, by mieć sojuszników wśród wszystkich mrocznych ras.

- Tak sądzę, skoro jesteś tak daleko od swojego stada. Strzeliłam na oślep. Według mnie równie dobrze mogła

być alfą nowoorleańskiej grupy, ale coś w jej zachowaniu mówiło mi, że jest zbyt buntownicza, by należeć do jakiegokolwiek watahy.

- Między innymi. - Zaciągnęła się ponownie.

- Mieliśmy nadzieję, że powiesz nam, czy wśród miejscowych wampirów krążyły ostatnio jakieś plotki? Zaciśnęła wargi.

- Jakiego rodzaju?

- Cokolwiek odbiegającego od normy. - Adam się pochylił. - Nowe wampy w mieście, zmiany w strukturze władzy. Tego typu sprawy.

- Skoro o tym wspominasz - powiedziała Mac - to mam wrażenie, że coś się dzieje. Nie wiem dokładnie co,

ale znajome wampiry, no cóż, niektóre z nich są ostatnio spięte.

- To znaczy? - zapytałam. Wzruszyła ramionami.

- Musicie zrozumieć, że lokalne wampy są dosyć nie-zorganizowane i trzymają się zwykle w małych grupach. C)d czasu do czasu dochodzi do terytorialnych potyczek, ale wobec takiej liczby turystów jest tutaj mnóstwo zajęcia dla każdego. Jednak od kilku dni znane mi wampiry zdradzają oznaki napięcia, jakby zwierały szeregi.

- Masz pojęcie dlaczego? - zapytałam. -Najmniejszego. Chociaż słyszałam, że ktoś mówił o jakiejś dziwnej sowie.

Oboje z Adamem zamarliśmy i spojrzeliśmy na siebie.

- Z czerwonymi oczami? Mac przechyliła głowę.

- Taaa. Wiesz coś o tym?

- Być może. - Zastosowałam unik.

- Tak czy inaczej, ta sowa trzyma się regularnych źerowisk wampirów.

- Nikt nie wspomniał o nowym wampie w mieście? -dociekał Adam.

Pokręciła głową.

-Jeśli powiecie, czego lub kogo właściwie szukacie, mogłabym popytać.

- Rzecz w tym, że nie mogę ci zdradzić szczegółów. I m mniej będziesz w to bezpośrednio zaangażowana, tym lepiej dla ciebie. Wampir, którego poszukujemy, jest nadzwyczaj niebezpieczny.

- Kapuję. - Mac spojrzała mi prosto w oczy. Jej mina wskazywała, że też rozumie, gdy ktoś musi trzymać karty przy orderach. - Popytam wokoło. Sprawdzę, czy moi informatorzy mają coś do powiedzenia.

Będziemy wdzięczni. - Oparłam się gwałtownej pokusie pompowania pięścią w powietrzu.

- Oczywiście w zamian za tę przysługę poproszę o rewanż. Do realizacji w przyszłości.

Spojrzałam na Adama. Skinął głową.

- Brzmi rozsądnie. Mac klasnęła w dłonie.

- A teraz, skoro to załatwione, siądźmy na sali. Występ zaczyna się za kilka minut.

Brooks nie kłamał, mówiąc, że lokal okaże się zatłoczony. Nie spodziewałam się tylko, że bar,

będący własnością wilkołaczycy, będzie służył głównie śmiertelnej klienteli. Wnętrze śmierdziało ziemią i piwem dixie. Piwo mi nie przeszkadzało. Po prawdzie, czekając na rozpoczęcie pokazu, wspomogłam

się kilkoma łykami.

Mac, Adam i ja siedliśmy w głębi sali.

-Jaki show ma zeprezentować Brooks? Będzie śpiewał?

Mac się uśmiechnęła.

- Nie powiedział wam? - Kiedy pokręciłam głową, roześmiała się. - Powiedzmy po prostu, że to podpada pod kategorię „coś ekstra”!

Jakby to był znak, lampy przygasły, a na czerwonej kurtynie zatańczyły światła reflektorów. Rozległa się kocia muzyka i pohukiwania. Wzdrygnęłam się i upiłam kolejny łyk piwa, po którym poczułam się bardziej zrelaksowana. Nadal, nim Mac zdobędzie dla nas więcej informacji, trzeba omówić z

Adamem sposoby dalszego postępowania, ale w tej chwili byłam zadowolona, że siedzę wygodnie oparta i oglądam występ.

- Panie i panowie, witajcie w „Lagniappe” na Biseksualnej Nocy! - zawołał przez głośniki

konferansjer. - Dzisiaj mamy dla was specjalną gratkę! Proszę, powitajcie wszyscy gorąco najnowszą transwestycką sensację w Nowym Orleanie, Miss Pussy Willow!

Kiedy publiczność wybuchnęła aplauzem, Adam od-

wrócił się i powiedział bezgłośnie samymi wargami: „Pussy Willow”?

Wzruszyłam ramionami, zaintrygowana, i zwróciłam wzrok na estradę. Kurtyna się rozsunęła i na scenie ukazała się postać wywijająca różowym boa z piór i w odpowiedniej do tego pozie. Miała na sobie długą do ziemi fioletową suknię zdobioną cekinami, a na nogach piętnastocentymetrowe szpilki.

Wysokie rozcięcie ukazywało nogi, które Rockette przyprawiłyby o atak zazdrości. A do tego wszystkiego tiara, migocząca na szczycie peruki a la fryzura Farrah Fawcett.

Kobieta powiodła wzrokiem po publiczności, szukając kogoś. Kiedy zauważyła Adama i mnie, pokiwała w naszym kierunku palcami i mrugnęła. Zdumiona uderzyłam Adama w ramię.

- O, bogowie! Czy to Brooks? Mag pomasował sobie bark.

- Nie ma mowy - odparł.

- Witajcie, kochani! - zawołała Pussy Willow. - Jak się macie?

Kiedy widownia entuzjastycznie przyjęła powitanie, Mac pochyliła się ku nam.

- Czyż nie jest wspaniała?

Teraz, gdy początkowy szok minął, musiałam przyznać, że Brooks wyglądał ogólnie. Mimowolnie skinęłam głową; mój wzrok podążał za Brooksem/Pussy Willow, gdy paradował po scenie. Mac pochyliła się i powiedziała mi do ucha:

- Wybaczcie na chwilkę.

Skinęłam z roztargnieniem głową, niezdolna oderwać spojrzenia od gawędzącego z publicznością wróża. Poczułam szturchnięcie w łokieć; podążyłam za wzrokiem Adama i ujrzałam stojącego przy drzwiach rudzielca. Przeszukiwała wzrokiem pomieszczenie, najwyraźniej wypatrując kogoś. Kiedy dostrzegła Mac, twarz się jej rozpro-

mieniła. W przeciwieństwie do Brooksa jej przybycie nie anonsowało niczego prócz pary kłów.

Kiedy ją tak obserwowaliśmy, wampirzyca pochyliła się do pocałunku, ale Mac uniknęła go, kręcąc głową i patrząc w naszą stronę. Ruda zmarszczyła brwi. Jej wzrok spotkał się z moim; zmrużyła oczy.

Odwróciłam spojrzenie, zamiast mocować się z nią wzrokiem. Ostatnie, czego chciałam, to żeby mnie rozpoznano lub uznano za zagrożenie dla miejscowych wampirów. Adam przyglądał się wampirzycy

w moim imieniu.

- Mac zabiera ją do biura na zapleczu. Wilkołaczyca prowadziła pośpiesznie towarzyszkę przez salę, jakby się obawiała, że będą widziane razem, po czym zamknęła za sobą drzwi do biura.

Interesujące.

- Myślisz, że to jej kontakt?

- Powiedziałbym, że to bezpieczne... - zanim Adam zdołał dokończyć, w pomieszczeniu zagrzmięła

muzyka.

Otwierający motyw brzmiał znajomo, ale dopiero kiedy Brooks bezgłośnie zsynchronizował usta z początkowymi linijkami *I Touch Myself*, prysnęłam piwem na podłogę. Ledwo się pozbierałam, wróż przeciągnął boa między udami, zapewniając swoim dolnym partiom niezłe szorowanie. Ubił różowe

pióra w kulę i rzucił ją. Boa uderzyło Adama prosto w pierś, po czym zsunęło się na podolek. Mag spoglądał na ozdobę w taki sposób, w jaki patrzyłby, gdyby ktoś cisnął w niego żywym boa dusicielem.

- Pussy Willow ma na ciebie chętkę - zanuciłam.

To zyskało mi wyniosłe spojrzenie Adama. Nekroman-ta podniósł boa i niespiesznie owinął je wokół

mojej szyi. Skrzyżował końce i ściągnął mocno jak garotę. Pochylił się. Groźba w jego spojrzeniu złagodniała, a zamiast niej pojawił się intrygujący błysk.

- Zastanawiam się, czy pasuje do tego jakiś kaganiec. Publiczność zareagowała rykiem na to, co się działo na

scenie, i oboje się obróciliśmy. Piosenka dobiegała końca i cała sala zamarła w oczekiwaniu na wielki finał w wykonaniu Pussy Willow. Najpierw zawirowała jak drejdel, z szeroko rozpostartymi ramionami, bez końca powtarzając refren. Gdy melodia brzmiała coraz głośniejsz, Brooks wykonał szpagat, który jednocześnie zaprzeczał kilku prawom fizjologii i fizyki.

Poderwałam się z miejsca, by się przyłączyć do reszty publiczności w owacji na stojąco. Adam stał obok mnie, ze szczęką opadłą aż do mostka.

- Jasny gwint!

- Co ty nie powiesz? - rzekłam. - Nie wiem jak ty, ale po tym wszystkim potrzebuję czegoś mocniejszego.

Zawahał się.

- Chcesz, żebym ci przyniósł coś z baru? Pokręciłam głową.

- Nie. Chcę iść do rzeźnika po krew.

ROZDZIAŁ 9

Po szybkim pożegnaniu z Brooksem opuściliśmy go, by mógł się pławić w blasku sukcesu. Nasz plan sprowadzał się do pójścia przed powrotem do Zenobii do sklepu mięsnego przy Magazine Street.

Kiedy tramwaj toczył się w kierunku Garden District, Adam i ja pogrążyliśmy się w milczeniu. W innej sytuacji jazda tramwajem mogłaby być miłym sposobem przyjrzenia się miastu, jednak moje myśli nieuchronnie wracały do Maisie, więc nocna sceneria tylko mnie przygnębiała. Hiszpański mech pokrywał draperiami drzewa jak całuny. Stare domy kuliły się po obu stronach St Charles niczym przyglądający się pogrzebowi żałobnicy, a ich ciemne okna przypominały zasnutę smutkiem oczy.

Adam wziął mnie za rękę; jego dłoń, na mojej chłodnej skórze, była ciepła.

- Znajdziemy ją.

Spojrzałam mu w oczy. Pragnęłam uchwycić się jego słów jak boi, ale praktyczna strona mojej duszy wiedziała, że to by nic nie dało. Nadzieja była fatamorganą, a rzeczywistość to wymagająca kochanka.

- Nie możesz tego wiedzieć. Westchnął, frustracja usztywniła mu barki.

- Masz rację, nie mogę.

Przełknęłam i ponownie wyjrzałam przez okno. Dłó-

nią odszukałam dwa amulety, mój i Maisie, jakby ten kontakt mógł w jakiś sposób wykuć prawdziwe połączenie z siostrą. Tymczasem metal i kamień były chłodne. Adam nie puszczał mojej drugiej ręki i przynajmniej raz nie martwiłam się tym, co może sobie myśleć o tym, z jaką łatwością akceptuję jego dotyk. Ofiarowywał bardzo potrzebną mi otuchę i byłabym głupia, odrzucając ją z powodu dumy.

Pod wozem tramwajowym syknęły przekładnie, sygnalizując zbliżanie się do przystanku. Dotarliśmy w końcu do Washington Street.

- Jesteśmy na miejscu.

Wysiedliśmy i potruczaliśmy na drugą stronę St Charles na wspaniałe tereny Garden District.

Według Brooksa, jeśli by pójść prosto, kilka kwartałów dalej dotarlibyśmy do Magazine Street. Ulica była ciemna i niemal wyludniona, pomijając właścicieli domów schowanych we wnętrzach swych rezydencji. Czulałam wręcz zapach ich krwi w wilgotnym powietrzu.

Dla mnie, wychowanej w miejskim otoczeniu Los Angeles, Nowy Orlean był jak obcy kraj. Otoczona zabytkową architekturą, atmosferą wolniejszego tempa życia i zmysłowej południowej kultury przekonałam się, że podoba mi się to, co do tej pory widziałam. Może kiedy ten dramat się skończy, mogłabym tutaj wrócić, by posmakować rozkoszy ofiarowanych przez miasto.

Kiedy skręciliśmy w wyznaczoną przez sklepy Magazine Street, przekonaliśmy się, że trudno przeoczyć jatkę. Dwa ośmiostopowej wysokości fallusy - no dobra, może to były kiełbasy - flankowały drzwi, a szyld nad nimi głosił: „Festiwal kiełbasy cajun, dom najlepszej na świecie kaszanki”.

Przy wejściu zadzwieczał mały dzwonek. Wnętrze chlubiło się długą ladą chłodniczą z mięsem oraz kilkoma stolikami, zepchniętymi do rogu. Dzięki bogom, w tej chwili nie było tutaj klientów. Nic zaskakującego, zważywszy która godzina. Ale kto wie? Może kiedy opustoszeją bary, przez drzwi wleją się hordy poszukujących kiełbas pijaków.

Spomiędzy pionowych plastikowych pasów, oddzielających sklep od zaplecza, wypadł korpulentny mężczyzna. Do glacy miał przyklejone rzadziejące kasztanowate włosy. Poza tym, że zaczeska nikogo nie oszukiwała, uwydatniała jego podgardle. Wytarty fartuch świadczył o usiłowaniu zachowania rytualnej czystości i intensywnym używaniu. W wycięciu chałatu widać było beżową koszulę z krótkimi rękawami i brązowy krawat ze złotą spinką. Na nasz widok rzeźnik się zatrzymał. Otworzył szeroko oczy, a potem je zmrużył, jakby nas szacował. Naprawdę nie mogłam go o to winić.

Domyślałam się, że odziane w skóry wampirzyce i nekromanci w płaszczach jak do konnej jazdy nie należą do jego normalnej klienteli.

Podniosłam dłonie.

- Witaj. Przysłała nas tutaj madame Zenobia. Wyraźnie się rozluźnił.

- Alodius Thibodeaux, do usług. Skinęłam głowę.

- Jestem Sabina, a to mój przyjaciel Adam. Oczy Alodiusa zwęziły się.

- Skąd jesteście?

- Z Nowego Jorku - odparłam automatycznie. Potem się zawahałam. Od kiedy to uważałam Wielkie Jabłko za swój dom? Przez pierwsze pięćdziesiąt trzy lata życia domem mi było Los Angeles. Dziwne, że zaledwie kilka tygodni spędzonych z magami tak bardzo zmieniło moją tożsamość.

- Ach - powiedział. Pojedyncze słowo zabrzmiało jak werdykt: Jankesi. - Mówisz zatem, że jesteście starymi przyjaciółmi madame Z?

- Przyjęła nas na kilka dni pod swój dach - skłamał

Adam. - Powiedziała, że mógłbyś nam pomóc zdobyć trochę... krwi.

- Rozumiem. - Zacisnął wargi i skinął głową. - No cóż, *cher*, przyszłaś we właściwe miejsce. Alodius sam dokonuje uboju, mamy więc mnóstwo świeżej krwi. Wołowa czy wieprzowa?

Zmarszczyłam nos na perspektywę picia świńskiej krwi. Nie w tym rzecz, jak sądzę, żeby zimna krowia krew smakowała lepiej.

- Niech będzie wołowa.

- Doskonały wybór. Większość moich klientów wybiera bydlęcą.

Swobodne zachowanie się Alodiusa podczas omawiania z wampirzycą jej preferencji kulinarnych

zdumiało mnie. W większości miejsc, w jakich bywałam, ludzie byli błogo nieświadomi istnienia

wampirów. Ten facet jednak sprawiał takie wrażenie, jakby cały czas miał do czynienia z podobnego rodzaju sprawami. Pochyliłam się ku niemu i szepnęłam:

- Znasz wiele wampirów?

- Sporo. Większość miejscowych woli żerować na żywcu, ale od czasu do czasu każdy tutaj wpada. -

Wzruszył ramionami. - Zapłacisz Alodiusowi dwudziestkę za pintę, co?

Nie wiedziałam, co bardziej denerwujące: uporczywość, z jaką mówił o sobie w trzeciej osobie, czy jego ceny.

- Wezmę na początek dwie pinty.

- Oczywiście. Załatwimy to dla pani *tout de suite*. Podszedł za ladą do lodówki i wyjął z niej

dzbanek na

mleko, wypełniony czerwonym płynem. Wymieniliśmy grymasy z Adamem. Dzięki bogom, że nie musiałam się obawiać zatrucia pokarmowego. Krzątając się, Alodius ćwierkał jak sójka.

- Od dawna jesteście w mieście?

- Przyjechaliśmy zaledwie wczoraj - odparłam. - Nie wiemy, kiedy wyjedziemy.

Adam strzelił ku mnie spojrzeniem. Zmarszczyłam brwi w odpowiedzi. Nie ma sensu być nieuprzejmym wobec tego faceta. Chociaż był człowiekiem, wydawał się dosyć przyjaźnie nastawiony.

- Cóż, przyszlście w odpowiednie miejsce. Stary Alodius ma najlepszą krew w mieście.

Patrząc na zimną wołową posokę, kapiącą do plastikowego pojemnika, miałam swoje wątpliwości, wyobrażałam sobie jednak, że krew nie może być gorsza od tej paczkowanej, którą byłam zmuszona się żywić w Nowym Jorku. Nie miałam pojęcia, jak zareagować, wydawałam więc stosowne dźwięki.

Adam był nagle zajęty studiowaniem planszy, ukazującej różne sposoby rozbierania tuszy zwierzęcej.

- Jesteś magiem, synu?

Głowa Adama obróciła się wolno.

- Jakie to ma dla ciebie znaczenie?

Spojrzałam na nekromantę. Ostatnie, czego chciałam, to żeby wkurzył mojego dostawcę krwi.

- Podtrzymuję rozmowę. Większość z waszych zwała się tutaj już kilka dni temu. Dziwna rzecz.

Jednego dnia zajmują się swoimi sprawami, a w następnej, puff!, już ich nie ma.

- To ciekawe - powiedział spokojnie Adam.

- Alodius, mogę zadać ci pytanie? - Wkroczyłam w to, chcąc zapobiec drażnieniu tematu.

- Strzelaj.

- Jesteś człowiekiem, prawda?

- Nie, skarbie. - Zachichotał z głębi brzucha. - Alodius nie jestem człowiekiem. Jest Cajunem.

- Dobra, jak to się stało, że Cajun serwuje krew wampirom? Większość ludzi ześwirowałoby, wiedząc, że mają w swoim sklepie któregoś z nas.

- Skarbie, to jest *N'Awlins* - odparł, jakby to wszystko wyjaśniało.

-Taaa, ale...

- Musisz coś zrozumieć. Tutejsi ludzie? Wychowywaliśmy się, słuchając od naszych *Mameres* opowieści o duchach i wudu. Kiedy więc stary Alodius dorósł i się przekonał, że świat pełen jest wampirów i innych magicznych istot? - Jego wzruszenie ramion było zdecydowanie galijskie. -

Oczywiście, pomocne jest to, że sprzedawanie krwi i surowego mięsa twojemu rodzajowi zapewniło Tatuśko-wi trochę słodkich *Mameaux*. - Sącząc słowa, przesuwiał leniwie kciukiem po palcach.

- Ach - westchnęłam.

Wręczył mi reklamówkę z dwoma plastikowymi pojemnikami z krwią.

- Skoro o tym mowa, *cher*, tam, skąd to pochodzi, jest tego więcej. - Chwycił z blatu wyższej części kontuaru magnes w kształcie kielbasy. - Tutaj masz numer Alodiu-sa. Możesz dzwonić o każdej porze dnia i nocy, a on przygotuje ci odpowiednią porcję.

Skinieniem głowy wyraziłam podziękowanie i wsunęłam magnes do tylnej kieszeni spodni.

- Dzięki, panie Thibodeaux. Pomachał ręką, jakby odganiał muchę.

- Pan Thibodeaux był naszym ojcem. To jest Alodius. -Mrugnął do mnie konspiracyjnie. - Albo Tatusiek.

Zmrużyłam oczy, starając się przebrnąć przez zaimkowy galimatias i zastanawiając się, czy ośmielię się zapytać, dlaczego nazywa siebie Tatuskiem. Wydawał się całkiem miły, ale zaczynało mnie ciekawić, czy w gumbo tego dziwnego Cajuna nie brakowało kilku krewetek.

- Dobra - rzekłam wolno. - Zatem Alodius.

- Jesteś pewna, że nie chcesz do tej krwi trochę kaszanki? Może madame Z mogłaby ci ugotować nieco ryżu z dodatkami?

Potem, kiedy wystukał na kasie koszt krwi i funta kielbasy, którą nam wmówił, Adam rzucił szalonemu Caju-

nowi forszę i popchnął mnie ku drzwiom. Gdy ponownie zadźwięczał dzwonek, Alodius zawołał:

- Wpadajcie częściej, słyszycie?

- Ten facet jest dziwny - stwierdził Adam.

- No, nie wiem - odparłam. - Wydawało mi się, że jest przyjaźnie nastawiony.

Idąc, kołysałam plastikową torbą. Mimo wiszących mi nad głową zmartwień byłam dziwnie optymistycznie nastawiona. Może z powodu pięknej nocy. A może za sprawą zakupów w mojej dłoni. Albo seksownego maga, kroczącego u mego boku. Tak czy inaczej, miałam zamiar wycisnąć z tych chwil spokoju wszystko, co się da.

Wzięłam głęboki wdech i starałam się delektować widokiem klasycystycznych, neoromańskich i wiktoriańskich zabudowań. Przed nami trotuar wyrzusał się w miejscu, w którym korzenie wiekowego dębu opierały się duszącemu je betonowi. Kiedy tam doszliśmy, usunęłam się w bok, lecz

Adam był tak z*absorbowany wypatrywaniem możliwego ataku, że nie zauważył pęknięcia nawierzchni. Skończył rozciągnięty na chodniku u moich stóp.

- Uuups, przepraszam - powiedziałam, chwytając go za ramię. - Powinnam cię była ostrzec.

Skrzywił się i z godnością otrzepał spodnie z kurzu. Zanim się zdobył na ripostę, nocne powietrze rozdarło skrzeczenie. Zamarliśmy. Serce miało mi się w piersi. Oczy się zmrużyły.

Pieprzona Stryx.

- Cholera - zaklął Adam pod nosem. Schylił się, jakby się spodziewał, że sowa lada chwila upuści bombę. Co, jak się tak nad tym zastanowić, nie wykraczało poza granice możliwej rzeczywistości.

- Widzisz ją? - zapytałam, kucając obok nekromanty. Nagle, ni stąd, ni zowąd, z prawa uderzył biały rozbłysk.

Rozmazane mignięcie szponów i dzioba. Adam szarpnął się i zaklął. Po policzku pociekł mu strumyczek krwi.

- Dość tego. Zabiję tego pieprzonego ptaka! Przeszukiwałam wzrokiem gałęzie nad głową, usiłując wyśledzić jarzące się czerwone oczy i masę białego pierza. Wskazałam wyższy konar.

- Tam. - Chwyciłam broń.

- Sabiiina! - zaskrzeczała sowa. Włoski na karku mi się zjeżyły. Ptak wzleciał z drzewa jak duch.

Wylotem lufy śledziłam jego ruchy, gotowa dokończyć robotę, której nie wykonałam w Nowym Jorku. Ptaszysko zatoczyło kilka kręgów, drażniąc się ze mną. - Sabiiina!

W ostatniej chwili Adam położył dłoń na mojej ręce.

- Czeka! Może powinniśmy ją złapać i przekonać się, czy powie nam coś o planach Lawinii.

- To ptak, Adamie. Co ma nam powiedzieć? Mag wzruszył ramionami.

- Może moglibyśmy ją wykorzystać jako kartę przetargową?

Przewróciłam oczami.

- Jasne, Lawinia z ochotą wymieniłaby wyrocznie Nowego Jorku za sowę! Daj spokój, Adamie.

- Posłuchaj, ptak działa na rzecz kasty, zgadza się? Być może ma pewną wartość albo coś takiego?

Potrzebna nam jakakolwiek przewaga. A może umknęło twojej uwadze, że nadal nie wiemy, gdzie Lawinia przetrzymuje Maisie?

Skuliłam się w duchu. Oczywiście, że nie umknęło. Godzinami ganiłam się za to.

- Dobra, daj z siebie wszystko, magiku.

Adam wolno podniósł się z przykłąku. Stryx wyrwała się z zataczanego kręgu i jak pocisk wystrzeliła w niebo.

- Cholera! Za nią! - poleciłam, już biegnąc.

Adam dotrzymywał mi kroku, mrucząc coś pod nosem. Podobny laserowemu promień magii wystrzelił w powietrze. Włoski na rękach mi się zjeżyły, gdyż zaklęcie poszło szerokim łukiem.

Pohukiwanie sowy podejrzanie przypominało śmiech, co jeszcze bardziej wkurzyło maga.

Adam pochylił się, przyśpieszając biegu nawet w chwili, gdy wzniósł ramię i zawołał:

- *Zi dingir anna, keshada, Stryx!*

Ostatni skrzek sowy się urwał, jakby ktoś zdjął igłę z płyty gramofonu. Biały kształt zanurkował głową w dół, ku ziemi, i zniknął w krzakach rosnących przy ścianie ogrodu jednej z rezydencji.

Przybiliśmy piątkę, po czym pomknęliśmy, by podjąć naszego pierzastego więźnia. Adam odsunął gałęzie i odsłonił nieruchome ciało Stryx.

- Nie żyje? - szepnęłam.

Złapał sowę za nogi. Jej głowa zwisała nad trotuarem. Nieruszająca się i straszniejsza niż kiedykolwiek, z tymi niewidzącymi czerwonymi oczami.

- Nie, tylko odrętwiała. - Adam uniósł brwi. - Co teraz?

- To był twój plan. Gdyby to ode mnie zależało, zanieśliśmy ją do rzeźnika. Alodius z pewnością uważa sowy za przysmak.

Adam wykrzywił wargi.

- Albo podałby nam nazwisko jakiegoś swojego kuzyna mieszkającego na bagnach, który nie policzyłby nam drogo za wypchanie ptaka.

Zacisnęłam usta w zamyśleniu.

- Teraz, skoro o tym wspomniałeś, to nie przeszkadzałby mi widok tego cholernego ptaszyska wypchanego i wiszącego na ścianie.

Patrząc na mnie, Adam pokręcił głową.

- Albo może zanieśliśmy ją do Zen, zamknęli i zastanowili się, jak wykorzystać sowę do tego, żeby znaleźć Maisie?

- Och, w porządku - zgodziłam się. - Może byś ją jednak czymś okrył albo co?

Adam wetknął sowę pod płaszcz i powędrowaliśmy z powrotem do Zenobii.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy dotarliśmy w końcu do sklepu Zen, dochodziła pierwsza w nocy. Chociaż zwykle kładę się spać o świcie, byłam gotowa to zrobić w chwili przekroczenia progu. Kiepsko, że musieliśmy się jeszcze zająć szatańską sową.

Po otwarciu drzwi do apartamentu na strychu zastaliśmy Giguhla i Brooksa; siedzieli razem na

kanapie. Wróż znów miał na sobie swój męski strój - dżinsy, T-shirt et cetera. Demon trzymał ramiona skrzyżowane na piersi, co uwydatniało wybrzuszony bicepsy. Nadal nosił dresowe spodnie, te same co wcześniej tego wieczoru, kiedy...

- O, cholera!

Wychodząc, kompletnie zapomnieliśmy o demonie. Zrobiłam krok naprzód, gotowa przeprosić, lecz Brooks podniósł dłoń, uciszając mnie. Poklepał towarzysza po ramieniu.

- Sabina, Adam. Giguhl chciałby wam coś powiedzieć. Zdecydowanie demona zastąpiła niepewność.

- Nie sądzę...

Brooks szturchnął go łokciem.

- Dalej. Powiedz jej to, co mówiłeś mnie. Strzeliłam wzrokiem ku Adamowi. Wzruszył ramionami i przewrócił oczami. Giguhl wziął głęboki, wzmacniający wdech i wstał z sofy.

-Słuchajcie, ja... - Zerknął na Brooksa, który skinął zachęcająco głową. Zdawało się, że z demona uszło nieco pary, ale mówił dalej. - Byłem rozczarowany, kiedy wyszliście dziś wieczorem, nic mi nie mówiąc. Zraniliście moje uczucia, nie uwzględniając mnie w swoich planach.

Wstyd mi było, że kompletnie o nim zapomnieliśmy, ale niesienie emocjonalnej pociechy zupełnie mnie teraz nie interesowało. Z westchnieniem męczennicy postawiłam na podłodze torbę z krwią.

Giguhl wyrzucił łapska w powietrze.

- Nie wzdychaj na mnie! Byłem chory z niepokoju, a to, że ciągle okazujesz mi brak poszanowania, jest nieakceptowalne!

Opadłam na kanapę.

- Czego ty od nas chcesz, Giguhl? Są miejsca, do których nie możesz wejść ani jako kot, ani demon. -

Była to kiepska wymówka. Szmuglowałam go w mnóstwo różnych miejsc, ale nie wiedziałam, co powiedzieć. Rzecz w tym, że tak bardzo byłam pochłonięta własnym dramatem, iż kompletnie zapomniałam o Giguhlu. Jednak gdybym się przyznała do tego, jeszcze bardziej poczułby się dotknięty.

-Zawsze dotąd wynajdowaliśmy jakieś sposoby, żebym mógł wam towarzyszyć - prowokował. Wzrok

przenosił między mną a Adamem. - Sądziłem, że jesteśmy zespołem.

Kątem oka ujrzałam, że mag się kuli. Ja także nie mogłam wytrzymać oskarżycielskiego spojrzenia

demona. Kiedy postanowiliśmy znaleźć Maisie, zgodziliśmy się wszyscy, że będzie to działanie zespołowe, ale pomysł, by myśleć o czyichś uczuciach, stał w sprzeczności z moim instynktem dbania wyłącznie o siebie.

-Posłuchaj, G, przykro mi, że ci nie powiedzieliśmy, dokąd idziemy. Zdawało nam się jednak, że jesteś trochę

nieswój, więc nawet się nie zastanawiałam, czy chciałbyś pójść z nami. Przepraszam. To już się nie powtórzy. Prawda, Adamie?

- Przepraszam, G. Masz rację. Jesteśmy zespołem.

Giguhl opuścił podbródek, przyjmując przeprosiny.

-Jeszcze jedna rzecz. Kiedy następnym razem będziecie mieli okazję pójść na drag show, to nie obchodzi mnie, co będziecie musieli zrobić, ale lepiej, żebyście mnie tam przemycili.

Całkiem zapomniałam o występie wróża.

- Ach, racja. Wspaniały pokaz, Brooks. Wróż mrugnął do mnie.

- Dzięki, kochanie. Adamie, jak ci się podobało? Wysilając się, by udzielić odpowiedzi, mag miał bolesciwy wyraz twarzy. W końcu zdobył się na:

- To było... coś.

Brooks się uśmiechnął do nekromanty, a Giguhl odwrócił się do mnie.

- Proszę, powiedz mi, że zrobiłaś zdjęcia.

- Przykro mi, G. Byłam tak oczarowana, że nie przyszło mi to do głowy. - Odwróciwszy się do

Brooksa, dodałam: - Gdzie się nauczyłeś robić takie szpagaty?

- Jestem niezwykle giętki - odparł ze wzrokiem wbitym w Adama.

- Mam pytanie. - Zmieniłam temat. - Jak wolisz, by się do ciebie zwracać?

Brooks się uśmiechnął.

-Chodzi ci o to, czy uważam się za „niego” czy za „nią”? - Gdy zażenowana skinęłam głową, wróż kontynuował: - Wiem, że to konfundujące. Niektórzy transwestyci w ogóle nie uważają się za „one”, niektórzy cały czas upierają się przy formie żeńskiej, a inni tylko wtedy, gdy s.) w przebraniu. Ja?

Odpowiadam na jedno i drugie.

- Dobrze wiedzieć. - Skinęłam głową. - Nie byłam pewna, czy nie jesteś przeczulony...

- Kochanie. - Brooks pomachał ręką. - Wetknąłem sobie niewymawialne i przykleiłem je taśmą izolacyjną!

Giguhl syknął, a Adam zasłonił krocze dłonią.

- Cóż, skoro przedstawiasz to w ten sposób... - Roześmiałam się.

Adam opuścił rękę, którą się osłaniał, i poruszył się skrepowany.

- Ponieważ jesteś w nastroju do wynurzeń, ja też mam pytanie. Do jakiego gatunku wróży należysz?

Brooks skrzyżował ramiona, a jego - dla prostoty postanowiłam się trzymać rodzaju męskiego - wyraz twarzy zmienił się od zalotnego do defensywnego.

- Dlaczego pytasz?

- Tylko się zastanawiam. - Adam wzruszył ramionami. - Większość znanych mi wróżów stara się mieszkać w pobliżu terenów zielonych lub mieć kontakt z pobratymcami.

Brooks zadarł brodę.

- Myślę, że też bym tak robił, gdybym się wśród nich wychował.

- Co to znaczy? - Zmarszczyłam brwi. Adam szturchnął mnie. Szeptem powiedział:

- To podrzutek.

Brooks poszedł za ciosem.

- Powiedział, że jestem podrzutkiem. Moi rodzice zaraz po urodzeniu zostawili mnie ludziom. Byłem wychowywany jak człowiek, póki nie stało się jasne, że nie jestem jak inni śmiertelnicy. Przez jakiś czas starałem się to ukrywać, ale później nie mogłem już dłużej temu zaprzeczać. Niestety, moi ludzcy rodzice nie byli zbyt zachwyceni, kiedy wyszedłem z kopca wróży, by tak powiedzieć, i wykopali mnie z domu, gdy miałem czternaście lat.

- To straszne - zdołałam wykrztusić.

- Niestety, spotyka to wielu odmieńców - stwierdził Adam i zwrócił się do Brooksa: - Jak trafiłeś do Zen?

- Pracowałam w schronisku, w którym wylądowałam jako siedemnastolatek. Byłam wtedy w niezłych

tarapatkach - powiedział mgliście. - Zen poznała, że jestem wrożem, i mi pomogła. Dzięki niej stanąłem na nogach. Dała mi pracę i dach nad głową. Gdyby nie ona, to nie sądzę, żebym nadal żył.

Słuchaliśmy tej opowieści w milczeniu. Całkiem nieźle rozumiałam, jak to jest być nieakceptowanym przez rodzinę z powodu czegoś, co nie zależy od ciebie. I chociaż Lawinia opiekuńczością

przypominała żmiję, to przynajmniej nie musiałam nigdy mieszkać na ulicy. Wcześniej lubiłam

Brooksa, ale teraz także go szanowałam.

- Rany - odezwał się Giguhl, rozpraszając chmurę powagi, wiszącą nad naszą grupą. - Jesteś dokładnie jak Pretty Woman.

Wróż poważnie skinął głową.

-Pomijając to, że wciąż czekam na mojego Richarda Gere.

-Czyż wszyscy nie czekamy? - Giguhl westchnął i powiódł po nas spojrzeniem pod tytułem „niech się tak stanie”.

Zmarszczyłam brwi, patrząc na demona.

- Tak czy inaczej, cieszę się, Brooks, że wszystko dobrze się skończyło.

- Ja też. - Adam skinął głową.

- Dziękuję wam. A teraz, dlaczego powrót tutaj zabrał wam tyle czasu? Wyszliście z klubu całe godziny temu.

Giguhl odwrócił się do nas z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Właśnie! Dlaczego?

- Pojechaliśmy po krew dla Sabiny i wpadliśmy na starego znajomego. - Adam odchylił połę płaszcza, odsłaniając nieprzytomną sowę.

Giguhl skulił się z łapami podniesionymi w obronnym geście.

- Co, do diabła?

Brooks czmychnął za plecy demona.

- Nie żyje?

- Tylko ogłuszona - wyjaśniłam. - Ile czasu może pozostać w tym stanie?

- Niezbyt długo. - Adam zmarszczył brwi. - Musimy chyba przygotować jakąś klatkę, póki sowa jest

wciąż odrętwiała.

- Przepraszam - wtrącił się Giguhl - ale w czym, do diabła, ma pomóc uwięzienie Stryx?

Adam westchnął i wstał, zostawiając sowę na siedzeniu.

- Pójdę poszukać u Zen czegoś, co moglibyśmy użyć jako klatkę, a ty, Sabino, wyjaśnij mu to.

Piorunując maga wzrokiem, zacisnęłam wargi. Tuż przed tym, gdy zamknął drzwi, dostrzegłam na jego ustach cień uśmiechu. Dupek.

- Czekaj. Zanim nam powiesz cokolwiek, możesz przykryć to ptaszysko? - zapytał Giguhl. - Jest cholernie przerażające.

Kiedy Adam przysmażył magią sowę, jej oczy pozostały otwarte. Chociaż Stryx była nieprzytomna, powłoka jej krwistoczerwonych źrenic poruszała się i wirowała jak przyrząd mesmeryzera. Coś mi mówiło, że gdybym patrzyła w nie zbyt długo, uległabym hipnozie. Albo czemuś jeszcze gorszemu.

Wzruszyłam ramionami i narzuciłam na ptaka koc.

Dziesięć minut później, gdy Giguhl i Brooks znali całą historię, siedzieli jak najdalej od nieprzytomnego ptaszydła.

Wrócił Adam, niosąc klatkę na ptaki - tak ozdobną i potężną, że wyglądała na ptasią rezydencję. Za magiem pojawiła się Zen. Na jej widok zdusiłam grymas. Być może czesała mnie pod włos, kiedy się spotkałyśmy, ale była na tyle miła, że za darmo przyjęła nas pod swój dach i w ogóle.

- Gdzie to znalazłeś? - zapytałam.

Adam wskazał ruchem głowy kapłankę wudu, która ruszyła ku przykrytemu kocem wybrzuszeniu.

- Miała ją w sklepie.

Zen podbiegła do ptaka i podniosła okrycie.

- Święty Loa, to ci dopiero duża sowa!

- Przykryj ją - polecił Giguhl, zasłaniając sobie oczy, żeby przypadkowo nie spojrzeć w psychodeliczne źrenice.

Zen spiorunowała demona wzrokiem, ale zrobiła, o co prosił. Muszę przyznać, że ja również czułam

odrazę do ptaka. W końcu to nie było tak, że Giguhl nie widział nigdy wcześniej Stryx. Poza tym, jako obecny mistrz Demonicznego Klubu Wałki nowojorskiej Dzielnicy Czarnych Latarni, Giguhl nie był mięczakiem, ale nawet ja musiałam przyznać, że te straszne oczy i niezwykła nieruchomość sowy są diabelsko złowieszcze.

-Dzięki bogini, że miałam wystarczająco dużą klatkę - odezwała się Zenobia.

Zignorowałam ją i zwróciłam się do Adama:

- Jasne, jest dość duża, ale czy ją utrzyma? Adam poklepał pręty.

- To tylko brąz, ale mogę go zabezpieczyć, żeby ptak się nie uwolnił i nie zabił nas we śnie.

- Och, to pocieszające.

Mag obdarzył mnie złośliwym grymasem, co nie za bardzo uśmierzyło mój niepokój.

- Na razie wystarczy. Rano możemy pomyśleć o czymś mocniejszym.

- Wiem, że nie zostawicie tego demonicznego ptaka tułaj, ze mną - powiedział Giguhl, masując sobie ramiona.

- Nie bądź dzieckiem - prychnęłam.

Drobny wróż poklepał po barku groźnego, mającego siedem stóp wzrostu demona.

- Nie martw się, wielkoludzie. Nie pozwolimy, by ptaszek cię zadziobał.

Giguhl posłał mi spojrzenie mówiące: „Oto ktoś, kto się o mnie troszczy”.

- Masz woreczki wudu? - zwrócił się do Zen - czy cokolwiek innego, co by mnie przed ochroniło przed tą sową?

Zenobia uśmiechnęła się.

- Paczuski *gris-gris*? Jasne. Jeśli ci to tylko poprawi humor. Chodź. - Ujęła pod ramię demona intrygi i wyprowadziła go, przypuszczalnie, by udać się z nim do jej własnego sklepu.

Mijając mnie, Giguhl pokazał mi rozdwojony język.

Choć zaniepokojona tak skorym przeniesieniem przez demona uczuć na Zen, byłam zadowolona, że go wyprowadziła, dzięki czemu mogłam się skoncentrować. Brooks jednak został na miejscu.

Przyglądał się ptakowi zafascynowany.

- Naprawdę jest demonem? Pokręciłam głową.

- Nie dosłownie. Szpieguje dla tajemnej sekty mrocznych ras, zwanej Kastą z Nod, inaczej Kastą Błądzących. Poza tym żywi się krwią zmarłych.

Wróż zrobił wielkie oczy.

- Chyba pójde zobaczyć, co robią Zen i Gigi.

- Gigi? - Zawahałam się. Brooks się zarumienił.

-To przezwisko, jakie wymyśliłem dla Giguhla. Powiedział, że nie ma nic przeciwko temu.

- Hmm. - Spojrzałam na niego zezem. Zważywszy na to, że demon odrzucił wszystkie pieszczotliwe ksywki, jakie ja dla niego wykoncypowałam, tak łatwe przystanie Giguhla na podobnie śmieszny epitet autorstwa Brooksa dało mi do myślenia. - Niech ci będzie.

Kiedy wróż poszedł sobie wreszcie, odwróciłam się do Adama.

- Chcesz, żebym trzymała klatkę, kiedy będziesz wkładał do niej ptaka?

- A może, skoro już ją trzymam, ty będziesz czyniła honory domu?

Westchnęłam i zrobiłam krok w stronę sowy. Trzymając ptaszysko zawinięte w koc, gdyż dotknięcie jego piór przerażało mnie bardziej, niż chciałabym się do tego przyznać po tym, jak sobie podrwiwałam z Giguhla, delikatnie podniosłam Stryx. Wsadzenie jej do klatki okazało się dość skomplikowane, ale wymanewrowawszy tobołkiem, wrzuciłam w końcu sowę do środka. Starannie zamknęłam drzwiczki, upuściłam skażony pled jak parzącą zapalkę i wytarłam dłonie o dzinsy.

- Mamy ją obudzić, żeby się przekonać, czy klatka wytrzyma? - Mój ton jasno dawał do zrozumienia, iż uważam to za cholernie zły pomysł.

Adam skinął głową. Wyniósł klatkę do kuchni i postawił ją pośrodku stołu.

- Lepiej się trzymaj z daleka.

Zrobiłam trzy duże kroki w tył i ujęłam kolbę pistoletu.

- Nie musisz mi tego dwa razy powtarzać.

Mag szepnął coś pod nosem. Rozległ się trzask i z klatki uniósł się obłoczek dymu. Sowa zbudziła się

do życia w eksplozji ptasiej wściekłości. Pomieszczenie wypełniło straszliwe skrzeczenie. W kuchni zawirowała śnieżycy białych piór. Ciało ptaka uderzało o pręty więzienia.

Adam odskoczył na bezpieczną odległość, dołączając do mnie przy drzwiach.

- Jak będzie dalej tak szalała, to klatka spadnie.

Już przesunęła się kilka centymetrów w kierunku krawędzi stołu. Szturchnęłam Adama w żebra.

- Może powinieneś ją postawić na podłodze?

- Dzięki, ale wolę zachować wszystkie palce w całości. Poruszył nimi i w pomieszczeniu zatrzeszczała magia,

oil której zaszczypały mnie włoski na rękach, a klatka uniosła się ze stołu. Ptak tak wściekle się miotał, że jego

więzienie chybotąło się w powietrzu, ale chwilę później wylądowało bezpiecznie na kuchennym linoleum.

- Proszę - powiedział Adam, zacierając ręce.

- Sabiiiiina! Skuliłam się.

- O, cholera. Rozzłościłeś ją!

- Ja? Wyskrzeczła twoje imię.

Raptem w głowie rozbłysło mi wspomnienie z poprzedniej nocy, dotyczące spotkania Lawinii na Jackson Square, co podsunęło mi pewien pomysł.

- Zaczekaj - powiedziałam. - Chcę coś sprawdzić. Przysunęłam się o krok do klatki. Stryx rzuciła się na

pręty. Nie okazując strachu, zatrzymałam się i spojrzałam na sowę.

- Mistrz Mahan.

- Puh? - Zamiast złego syknięcia, jak poprzednio, nawoływanie sowy brzmiało teraz żałośnie, trochę smutno.

- Co do...? - spytał zbity z tropu Adam.

- Tamtej nocy Stryx zachowywała się tak samo za każdym razem, kiedy Lawinia wypowiadała to imię. Jak sądzisz, co to znaczy?

Adam pomasaował łatę zarostu na brodzie.

- No cóż, wiemy, że Stryx działa na rzecz kasty, prawda? Powiedziała nam to Damara w Nowym

Jorku. - Damara terminowała u Rei w dziedzinie magii, a w tajemnicy pracowała dla kasty, próbując mnie zabić. W końcu śpiewała jak kanarek, dzieląc się z nami wszelkimi interesującymi,

smakowitymi informacjami na temat jej powiązań z kastą. Pomijając zamachy na moje życie, nie była nikim więcej jak wprowadzoną w błąd, naiwną dziewczyną. Kiepsko, że złe decyzje przyprawiły ją o

śmierć. - Może Stryx należy do mistrza Mahana?

Puh.

- Jako domowy pieszczoł? - zapytałam, patrząc z powątpiewaniem na sowę.

Adam wzruszył ramionami.

- Możliwe. Żałuję, że nie wiem nic więcej o tym tajemniczym przywódcy kasty. Jaka istota trzymałaby coś takiego jako domowe zwierzę?

Zanim zdołałam odpowiedzieć, Stryx zasyczała i rzuciła się głową na pręty klatki. Jeśli to możliwe, ptak wydawał się nawet mocniej rozżłoszczony.

-Bardziej nagłace pytanie brzmi: Czy klatka wy-ł rzyma?

Adam zerknął na pręty.

- Nie jestem pewien. Mogę ją wzmocnić, żeby sowa się nie wydostała, ale na wszelki wypadek powinniśmy ją może jakoś zabezpieczyć.

Zacisnęłam wargi i rozejrzałam się po pomieszczeniu.

- A gdybyśmy wstawili całą klatkę do czegoś wytrzymalszego? - Ruchem głowy wskazałam przeciwległy koniec kuchni.

- Nie sądzisz, Sabino, że to trochę okrutne? Skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Adamie - powiedziałam pasującym do tego tonem. -To jest przeklęta przez bogów wampirza sowa z

głębin podziemnego świata. Gdyby dać jej okazję, wyssałaby nas wszystkich do sucha i wyłupiła oczy ostrym jak brzytwa dziobem. Zatem nie, nie martwię się zbytnio wstawieniem klatki do zepsutej

lodówki. Zwłaszcza jeśli to oznacza, że będziemy się mogli porządnie wyspać.

Adam wpatrywał się w lodówkę. Podczas gdy się namyślał, Stryx kontynuowała swoje szaleńcze popisy. Klatka przesuwała się po podłodze z takim piskiem, jakby ktoś przeciągał paznokciami po tablicy szkolnej. W końcu cholerne ptaszysko walnęło dziobem w krawędź klatki tak mocno, że cała konstrukcja uderzyła Adama boleśnie w nogę. Mag zawył i podskoczył. Schyliłam się, by przyjrzeć się jego stopie, i zauważyłam w skórzanym wysokim bucie nową dziurę, która pojawiła się za sprawą dzioba.

Sowa znieruchomiała. Potem z ptasiego więzienia dobyło się coś, co brzmiało jak diabelskie gdakanie.

Zerknęłam na Adama, unosząc brew. Spojrzał na mnie wilkiem, jak sędzia wręczający nakaz egzekucji.

- Włóż już tego pieprzonego ptaka do lodówki!

ROZDZIAŁ 11

Następnego wieczoru zebraliśmy się wszyscy w sklepie. Giguhl drzemał na ladzie. Szanując jego pragnienie, by być bardziej zaangażowanym, doszliśmy do porozumienia: w miejscach publicznych pozostanie w postaci kota.

Zen i Brooks nad gablotą z laleczkami wudu omawiali wyniki remanentu. Ja opierałam się o kontuar, sącząc krowią krew i starając się pozbyć mgły z głowy. Adam, trzymając kubek kawy, stał z zamroczonym wzrokiem za ladą. Zmarszczyłam nos z powodu intensywnej woni dryfującej od kota.

- Giguhl, czy naprawdę musisz tutaj to nosić?

Miał czerwony irchowy woreczek, przymocowany do obróżki. Zen nasączyła go olejkiem jaśminowym, którego zapach byłby w porządku, ale zmieszany z aromatem sandałowca, żywokostu i bogowie tylko wiedzą czego jeszcze okazał się przytłaczający.

Kot uniósł powiekę.

- Nie wyładowuj na mnie złego humoru. To nie moja wina, że ta głupia sowa skrzeczała całą noc.

Spiorunowałam go wzrokiem i upiłam kolejny łyk koleiny. Mój pomysł z poprzedniej nocy, by

wsadzić Stryx do lodówki, okazał się w końcu nie taki wspaniały. Skrzynia utrzymała sowę, jasne, ale zamiast stłumić nieustanne dudnienie i nabrzmiące obrazą skrzeczenia, pusta lodówka wzmacniała jedynie harmider. Nie było to takie złe w mojej sypialni, ale hałas wypłoszył Giguhla i Adama z salonu wprost do mojego łóżka.

Około piątej nad ranem wpadli do pokoju i zawładnęli nim, mimo moich gwałtownych protestów.

Ostatecznie poddałam się, kiedy mag mi przypomniał, że zamknięcie ptaka w lodówce było moim pomysłem. W związku z tym większą część dnia spędziłam wciśnięta między seksownego maga i chrapiącego demona.

Moje ponure fantazjowanie przerwała Zen.

- Rozumiem, że nadal nie wymyśliliście, jak się porozumieć z sową?

Adam westchnął i odstawił kubek.

- Nie. Próbowałem do niej mówić, zanim zeszliśmy na dół, ale nie przestawała syczeć i drapać.

Myślałem, że opadnie w końcu z sił, ale... - Mag wzruszył ramionami i pokręcił głową.

Zen zacisnęła wargi.

-Zastanawialiście się, czy nie poprosić o pomoc duchów?

- Nie jest to w zasadzie moja dziedzina - odparł nekro-manta - ale jesteśmy otwarci na sugestie.

Pochyliłam się, opierając łokcie na kontuarze, tyleż ciekawa pomysłów kapłanki wudu, ile urażona, że do niesienia pomocy mojej siostrze potrzebujemy przysług ze strony ludzi. Niemniej smutna prawda

była taka, że mimo moich magicznych genów mało co wiedziałam o nekro-mancji. Owszem, przesłam u Rei pewne szkolenie wstępne, ale całkowita suma moich czarodziejskich umiejętności ograniczała się do przyzywania Giguhla i spopielania wzrokiem wrogów. Ta akurat umiejętność była ogromnie pociągająca, gdy w grę wchodziła Stryx, nie byłam jednak gotowa odrzucić możliwości, że sowa pomoże nam odnaleźć Maisie.

- Chyba miałabym pewien pomysł - powiedziała Zenobia. - Kilka lat temu krewna jednego z moich

klientów była w stanie śpiączki. Bardzo smutne. - Przerwała, by wydać kilka współczujących

dźwięków. - W każdym razie klient poprosił mnie o wezwanie ducha, by się skomunikować z nieprzytomną dziewczyną. Pomyślałam, że moglibyśmy tego samego spróbować z sową.

Adam wyprostował się.

- Chodzi ci o ducha czytającego w umyśle Stryx? Wzruszyła ramionami.

- Dlaczego nie? Warto spróbować, prawda?

-Co właściwie musielibyśmy zrobić? - Praktycznie nic nie wiedząc o wudu, obawiałam się, że rytuał mógłby obejmować ofiarę z kozy lub coś podobnego.

Zen żuła wargi.

-To trochę trudne. Jako medium dla ducha musimy użyć ciała zmarłego niedawno człowieka.

- A w jaki sposób mielibyśmy dostać w swoje ręce umarlaka? - chciał wiedzieć Adam.

- Mam swoje sposoby. - Zenobia się uśmiechnęła. - Ale musi się to stać jutro w nocy, przed Halloween.

Zmarszczyłam brwi.

- Dlaczego nie podczas Halloween?

- Bo wtedy portal do świata duchów będzie szeroko otwarty i może dojść do nieprzewidzianych sytuacji - odparła Zen.

Adam spojrzał na mnie pytająco.

- Ten rytuał nie wymaga ode mnie picia żadnych magicznych napojów, co?

Zenobia zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

- Oczywiście, że nie.

Wziąwszy pod uwagę przykre doświadczenia z wywołującymi wymioty eliksirami, miałam istotny powód, by o to zapytać. Może jednak przyprawianie ludzi o cierpienia magicznymi miksturami leżało w zwyczaju nekromantów? W ciągu tygodnia od przybycia do Nowego Jorku przeżyłam dwa żenujące incydenty.

Do pierwszego doszło, gdy Damara, zdradziecka asystentka Rei, próbowała otruć mnie mieszaniną

strychniny i soku jabłkowego. Wampirze geny ochroniły mnie przed działaniem trucizny, a hybrydowa krew przed zakazanym owocem, ale nic nie uratowało mnie przed obryzaniem całej Rady Hekate niestrawionym pokarmem.

Do drugiego wypadku doszło podczas testu wizji, przy którym Rea się uparła, by znaleźć moją magiczną ścieżkę. Halucynogenna herbatka, którą mnie napoiła, przyprawiła mnie o przykre pół godziny, zanim zaczęły się przerażające fantasmagorie chtoniczne.

Jednak mina Zen nie kryła żadnego podstępu. A jeśli by to oznaczało, że jak najszybciej uwolnimy Maisie, mogłabym się zgodzić na ponowny drobny rozstrój żołądka.

- Załatwione.

- Dobrze. - Zenobia skinęła głową. - Poczynię przygotowania. Obrzęd najlepiej odprawić przed północą, tak więc jutro powinniśmy wyjść z domu koło dziesiątej wieczorem.

- Brzmi nieźle - zgodził się Adam. - Dzięki, Zen. Ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się w pół kroku.

- Przy okazji, zamierzasz niebawem znów odwiedzić sklep Alodiusa?

- Dlaczego pytasz? Potrzebujesz czegoś stamtąd? Skinęła głową.

-Kurze łapki. Halloween za pasem i turyści kupują amulety jak szaleni. Poszłabym dziś w nocy sama, ale wdowa Breaux potrzebuje mnie, by odczynić zły urok.

- Znowu? - prychnął Brooks z drugiego końca sklepu. - To już trzeci raz w tym roku!

- Sama jest sobie winna, skoro zadaje się z mężczyznami innych kobiet. Ale jej czeki mają zawsze pokrycie, więc...

- W porządku, Zen - powiedział Adam. - Możemy odebrać dla ciebie kurze łapki. Uśmiechnęła się do maga.

- Dzięki, Adamie. - Pomachała ręką i ruszyła w stronę zaplecza.

Wraz z ostatnim łykiem kawy przełknęłam komentarz na temat liźdupstwa Adama. W chwili, gdy odstawiałam kubek na blat, drzwi się otworzyły.

- Cześć, Mac! - zawołał Brooks.

- Cześć, przystojniaku! - odkrzyknęła do wroźa, po czym podeszła do lady. Skinęłyśmy sobie głowami sztywno. - Macie chwilkę?

Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się, dlaczego wilko-laczyca jest zaniepokojona.

- Jasne.

Mac spojrzała przez ramię na Brooksa, który odkurzał kurze gnaty. Zerknąwszy ponownie na mnie, szepnęła:

- Na osobności.

- Oczywiście - odparłam. - Hej, Brooks! - zawołałam. -Idziemy na chwilę na zaplecze. Nie masz nic przeciwko temu, że Giguhl zostanie tutaj?

Zaspany kot uniósł łeppek.

- Hmm?

- *No problemo* - odparł Brooks.

- Spij dalej, G.

Kot oblizął pyszczek i ziewnął, po czym złożył głowę na łapkach. Gestem pokazałam Mac drogę.

Adam zrównał ze mną krok i rzucił mi zaniepokojone spojrzenie. Wzruszyłam ramionami.

Przekonamy się niebawem, o co chodzi wilkołacycy.

Przez tylne drzwi wyszliśmy do ogródka za sklepem Zen. Pod zachodnią ścianą bulgotała fontanienka.

Na tę ścieżkę dźwiękową nakładały się świąteczne, lecz na szczęście stłumione odgłosy zabaw na

Bourbon Street. I Isiedliśmy wokół stolika na środku podwórka.

- Mam pewne informacje, które mogą was zainteresować - przemówiła w końcu Mac.

Nie wspomniała, że informatorką jest jej przyjaciółka, chociaż na podstawie tego, co widziałam, było jasne, że tak właśnie mają się sprawy; nie winiłam jej jednak, że nie poszła w tę stronę. To nie była nasza sprawa.

Aż dotąd.

Mac wyjęła z kieszeni kartkę.

- Nie jestem pewna, czy to ważne, ale pomyślałam, że wam to przekażę. Mój kontakt powiedział mi,

że pewna gruba ryba kupiła właśnie rezydencję w Garden District.

-1...? - Ponieważ spodziewałam się czegoś większego, starałam się poskromić niecierpliwość.

-1 w okolicy doszło do kilku zabójstw. Policja klasyfikuje je jako „nożownictwo”, ale rany są tylko na szyjach. Jeżeli więc ktoś nie dźga turystów widelcami... - Wzruszyła ramionami. - Poza tym, remont w tym domu wykonywany jest nocami. Za dnia miejsce jest kompletnie martwe, a w oknach wiszą

zaciemniające zasłony.

- Hmm. - Wydawało mi się to trochę naciągane, póki nie spojrzałam na adres. - Czekaj no, Prytania Street?

Rzuciłam Adamowi znaczące spojrzenie. W Nowym Jorku kwatery główna nekromantów na Manhattanie nazywała się Prytania Place.

- Czy ma to dla was jakieś znaczenie? - zapytała Mac.

- Możliwe - odparł Adam, wzruszając ramionami.

- Dzięki, Mac. - Wetknęłam kartkę z adresem do kieszeni dzinsów. - Pójdziemy tam za chwilę.

Schyliła głowę.

- Dam wam znać, jeśli dowiem się czegoś więcej.

- Prawdę mówiąc, zastanawiałam się, czy mogłabyś ustawić nam spotkanie z twoim informatorem?

Jej wzrok stał się nagle podejrzliwy.

- Po co?

Pochyliłam się, starając się rozładować narosłe gwałtownie napięcie.

- Jesteśmy ci wdzięczni za pomoc. Chodzi jednak o to, że gdybym pogadała z twoją przyjaciółką jak wampirzyca z wampirzycą, to mogłabym się może przekonać, czy czegoś nie przeoczyła.

Mac pokręciła głową.

- Nie sądzę, żeby się na to zgodziła.

- Dlaczego nie? - zapytał cicho Adam. Spojrzenie Mac powędrowało w lewo.

- Nie chce żadnych kłopotów.

- Posłuchaj, Mac. Rzecz w tym, że jeśli wampir, którego szukamy, jest rzeczywiście w mieście...

może nawet w domu, o którym nam powiedziałaś... to do Nowego Orleanu zawitały kłopoty. I wcześniej czy później znajdą twoją przyjaciółkę.

- Nie wiesz tego.

Odchyliłam się i skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Prawdę mówiąc, mogę to zagwarantować, gdyż poszukiwany przez nas wampir... - Urwałam i zerknęłam na Adama. Do tej pory unikałam wymieniania imienia Lawinii, ale najwyraźniej nadszedł czas powiedzieć o tym Mac, żeby mogła ostrzec przyjaciół. - ...nazywa się Lawinia Kane.

Skonfundowana Mac mrugnęła. -I?

To tyle, jeśli chodzi o moją bombę. Sądzę, że reakcja Mac nie stanowiła zaskoczenia, gdyż była wilkołaczycą, a nie wampirzycą. Postanowiłam rzecz wyłożyć w kategoriach, w jakich mogłaby to pojąć.

- Jest alfą całej rasy wampirów. To zwróciło uwagę Mac.

Jasny gwint!

Właśnie. Rozumiesz teraz, dlaczego się wahaliśmy, tyv ci powiedzieć o tym wcześniej. - Kiedy Mac, oszołomiona, skinęła głową, ciągnęłam: - Ale teraz, gdy do tego doszło? Twoi przyjaciele muszą być bardzo ostrożni.

- W istocie powinnaś im powiedzieć - wtrącił się Adam - by trzymali się z daleka, jeśli ją zauważą.

Oczy Mac się zwęziły.

- Dlaczego?

- Lawinia to jeden z najdłużej żyjących wampirów. Przeciętny wampir nie ma z nią szans.

Zadarła brodę.

- Jednak zamierzasz ją załatwić, prawda? Co sprawia, że jesteś taka ostra?

Starałam się zignorować wyzwanie w oczach wilkołaczycy.

-B o jestem najlepiej przygotowana do tego zadania i mam najlepszy powód, by chcieć zobaczyć ją martwą. Mac wzięła głęboki wdech przez nos i zacisnęła wargi.

- Dobra. Nie mogę obiecać, że moi przyjaciele posłuchają, ale się postaram.

- Tymczasem my sprawdzimy tamten dom. Powiedz swoim kumplom, żeby dali nam znać, jeśli się jeszcze czegoś dowiedzą, zgoda?

- Może powinnaś mi podać opis tej Dominii. Żeby wiedzieli po prostu, kogo mają unikać.

- Jest nieco wyższa ode mnie. Ciemne, ciemnorude włosy... bordo, powiedziałabym. Ale bez obaw, zorientują się, kiedy ją zobaczą.

- W jaki sposób? Wzruszyłam ramionami.

- Poczują nagłą potrzebę płaszczenia się przed nią.

- Och, dobra. Powiem im. - Zbierała się do odejścia jakby trochę wstrząśnięta.

- Mam jeszcze jedno pytanie - odezwałam się, kładąc dłoń na ramieniu Adama, kiedy się ruszył, by także wstać. - Czy którykolwiek z twoich rozmówców wspomniał o magu pochodzącym spoza miasta?

Mac zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

- Przykro mi. Ponieważ większość nekromantów kilka dni temu wyjechała z miasta, ktoś nowy zostałby z łatwością zauważony. - Mac spostrzegła, że zrzędała mi mina, i pośpiesznie mówiła dalej. - Sądzę jednak, że to nic nie znaczy. Chodzi mi o to, że twoja siostra ma się niebawem odnaleźć, co?

Westchnęłam.

- Chyba masz rację.

Jeżeli Lawinia już jej nie zabiła.

ROZDZIAŁ 12

Kiedy Zen wprowadziła nas do garażu za sklepem, zdziwiłam się na widok starego, żółtego samochodu. Nie miałam konkretnych wyobrażeń na temat tego, jakie auto mogłaby wybrać kapłanka wudu, ale z pewnością nic podobnego.

- Gremlin? - zapytałam, starając się wyrugować z głosu ton osądu.

Zen miłośnie poklepała maskę.

- Ten tutaj to saint expedite - zachichotała, jakby opowiedziała dowcip. Zerknęłam na Adama, który zwyczajnie wzruszył w odpowiedzi ramionami. - Nie jeżdżę wiele po mieście, ale kiedy muszę się gdzieś dostać, spisuje się znakomicie.

Przeprosiła za bałagan na tylnym siedzeniu i utrzymujący się wewnątrz zapach suszonych ziół.

- Nie będzie zbyt przeszkadzał, skoro przednie szyby się nie podnoszą.

Kiedy wcześniej, zanim Zen pokazała nam samochód, przygotowaliśmy się do wyjazdu, nalegałam, by Gi-guhl włożył coś ciepłego. Wynikła z tego sprzeczka była powodem, dla którego

wyjeżdżaliśmy godzinę później, niż planowaliśmy. Jednak po wyjaśnieniach Zenobii dotyczących

szyb w oknach rzuciłam G spojrzenie pod tytułem: „A nie mówiłam?”. Świsnął ogonem i odwrócił się do

mnie tyłem. Miałam miły widok na jego bezwłosy tyłek, wystający spod czarnego sweterka. Widok, bez którego mogłabym żyć, ale to, że miałam rację, ukoziło w znacznym stopniu ból oczu.

Kilka minut później Zen pomachała nam wesoło i oddaliła się, by zająć się własnymi sprawami. Kiedy zmierzaliśmy z French Quarter w kierunku Garden District, Giguahl oparł swoje bezwłose łapki na

desce rozdzielczej i wyglądał przez przednią szybę. Opuszczał i przechylał łepkę, by uniknąć kontaktu z wiszącą pod wstecznym lusterkiem kurzą łapką, stosowaną - według Zenobii - „w celu odpędzenia

zła”.

Pierwszy przystanek zrobiliśmy przy jatce Alodiusa. Postanowiliśmy udać się tam na samym początku i załatwić sprawunki, zanim pojedziemy sprawdzić trop Mac. Dzięki temu zaliczyłabym trochę krwi przed ewentualnym łomotaniem się z innymi wampirami w domu przy Pry tania Street.

Normalnie nie potrzebowałam krwi codziennie, ale zgadywałam, że skoro jucha nie jest ludzka, to

szybciej ją trawię. Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo się cieszyłam z konieczności picia dwukrotnie większej ilości bydlęcej krwi, by mieć krzepę!

Tym razem, pomimo wątpliwego stanu skrzyni biegów gremlina, znacznie szybciej dotarliśmy do

Garden District. Adam zajechał przez sklep i zostawił auto na dychawicznym, prychającym jałowym biegu. Sięgnęłam do klamki.

- Nie idziesz ze mną? W końcu to ty się zaofiarowałeś, że załatwisz kurze łapki dla naszej czarodziejki wudu.

- Uważaj, Rudzielcu, bo uznam, że jesteś zazdrosna. -Ad a m uśmiechnął się chytrze.

Giguhl parsknął. Dupek. Odwróciłam wzrok.

- Ja k sobie chcesz.

- Poza tym wystarczyło mi rzeźnika zeszłej nocy. Dlaczego nie weźmiesz Gigiego dla ochrony?

Prychnęłam, co zyskało mi ponure spojrzenie ze strony kota.

- Kpij, ile chcesz, ale lubię to przezwisko bardziej od Pimpusia Sadełko - powiedział.

- Sądzę, że po prostu bardziej lubisz Brooksa - stwierdziłam.

Cofnął się.

- Jesteś też zazdrosna o Brooksa?

Naprawdę nie miałam dosyć pary, by z tym polemizować. Pokręciłam tylko głową i zdjęłam z konsoli

jego ciepłe i niepokojąco gładkie ciało.

-Powinnaś może porozmawiać z jakimś profesjonalistą na temat swojej inteligencji i emocjonalnej - sztych, kiedy truchtałam ku drzwiom.

Spojrzałam na niego wilkiem.

- Co to ma znaczyć? Zmarszczył różowy nos.

- Gdybyś oglądała Oprę, wiedziałabyś. - Giguhl uważał, że zna bajecznie bogatą prezenterkę talk-show na tyle dobrze, by nadać jej przezwisko.

Jęknęłam.

- Bogowie, jeśli zamierzasz naciskać na mnie, żebym oglądała to gówno, to mogę całkiem anulować zgodę na oglądanie telewizji.

Syknął.

-Ugryź się! Wystarczy, że Zen nie ma Temptation Channel. Nie zabieraj mi także Opry!

Odetchnęłam przez nos, modląc się o cierpliwość. Na wydechu przypomniałam sobie, że Giguhl czerpie perwersyjną przyjemność z przyglądania się, jak para uchodzi mi uszami. Był w końcu demonem intrygi. Z drugiej strony stałam na ruchliwej ulicy, sprzecząc się z kotem w czarnym golfiku.

- Być może posunęłam się z tą groźbą za daleko. Rozumiem to teraz. Uważasz jednak, że mógłbyś się powstrzymać na pięć minut od wykładów dotyczących rozlicznych i rozmaitych niedoskonałości mojego

charakteru, żebym mogła kupić te przeklęte kurze łapy?

Nie wiedziałam wcześniej, że kot może zacisnąć wargi, ale Giguhl przybrał męczyński wyraz pyszczka ze zręcznością zawodowca.

- Tak sędzę.

- To dobrze. A teraz pamiętaj, żeby się nie odzywać. Alodiusowi może nie przeszkadzać obsługiwanie magów i wampirów, ale jestem całkiem pewna, że nie jest przygotowany na kontakt z tobą.

Giguhl mruknął coś pod nosem, ale usadowił się mi w ramionach jak grzeczny kociak. Otworzyłam

zamaszyście drzwi i weszłam do środka. Tym razem w „Cajun Sausage Fest” przy ladzie stało kilkoro klientów. Wzięłam z urządzenia numerek i przygotowałam się na czekanie. Na moje oko kolejka

składała się z dwojga śmiertelników i wilkołaka.

Alodius gawędził z ludźmi, pakując ich sprawunki. Wilkołak przede mną ożywił się i zerknął na mnie przez ramię. Kudłate brązowe włosy pasowały do koloru oczu. Kiedy obrzucał mnie spojrzeniem od stóp do głów, nozdrza mu się rozdymały. Poczawszy moją woń, zmrużył oczy.

Aromat mojej krwi - kombo złożone z zapachu miedzi i drewna sandałowego - wprawia przeważnie w

konfuzję przedstawicieli innych mrocznych ras. Mieszkańcy są nadzwyczaj rzadkim zjawiskiem, co potencjalnym wrogom utrudnia podjęcie decyzji, czy jestem prawdziwym zagrożeniem, czy jedynie wybrykiem natury.

Przechyliłam głowę w przyjaznym geście. Zawahał się i zadarł brodę w moim kierunku. I tak,

zwyczajnie, napięcie wyparowało. Odwrócił się i postukał kowbojskim butem o linoleum.

Na naleganie Alodiusa ludzie - Niemcy, sądząc po ak-

cencie - dodali do zamówienia funt główizny. Nie uzurpuję sobie prawa do osądzania zwyczajów

żywniowych innych, ale na myśl o mięsnej galaretkie zrobiło mi się niedobrze. Rzecz w tym, że sama nazwa przywołuje obrazy, których lepiej nie kontemplować w trakcie spożywania posiłku.

Giguhl za to się oblizał. Zawijając paczkę, Alodius monologował na temat sposobu robienia tej cholernej potrawy niczym szalony cajuński Willie Szekspir.

- Najpierw moczy się w solance łeb... oczy, ryj i wszystko... wraz z golonką. Do tego wrzucie dla smaku kilka ozorków. Potem gotujcie, aż mięso odejdzie od czaszki... - Powiedział więcej, ale byłam zbyt zaabsorbowana powstrzymywaniem się od wymiotowania na buty wilkołaka. Odwróciłam się w

samą porę, żeby usłyszeć oświadczenie Alodiusa. - Oł-łaaa, to dopiero wyzerka!

W końcu Niemcy wyszli ze swoim łupem.

- Zapraszam ponownie. - Cajun pomachał śmiertelnikom i zwrócił się do wilkołaka: - Przepraszam, że musiałeś czekać.

- Dwa befsztyki z polędwicy - niemal warknął wilkołak. W oczach Alodiusa zapłonęły symbole dolarów.

- Będziesz grillował? Mamy wyśmienity sos...

- Daj mi po prostu te pieprzone steki! - rzucił rozzłoszczony klient.

Alodius skinął głową i pierchnął na zaplecze, by spełnić życzenie. Zdusiłam uśmiech na widok

gadatliwego Cajuna, zmuszonego do zamknięcia się. Rzeźnik zaczął zawijać steki w papier, ale i to spotkało się z kolejnym pomrukiem wilkołaka.

- Nie kłopotz się.

Porwał mięso prosto z wagi. Podniósł do ust pierwszy stek i wgryzł się w niego. Czerwony sok pociął

mu po rękach; wilkołak chrumkał przy tym jak świnia, połykając w całości wielkie kęsy mięsa.

Szczęka mi opadła. Spojrzałam na Alodiusa. Minę miał nietęgą. Zanim komukolwiek z nas przyszło

do głowy, jak na to zareagować, wilkołak oblizał palce do czysta i sięgnął do tylnej kieszeni po

portfel.

Rzucił na ladę kilka banknotów.

- Reszta dla ciebie. - Wspaniałomyślny gest zniszczyło donośne beknięcie. Potem, bez dalszych komentarzy, wypadł ze sklepu.

Alodius odchrząknął.

- Hmm, to ci dopiero sprawa. - Wzrok miał wlepiony w drzwi, jakby się spodziewał w każdej chwili powrotu wilkołaka w ludzkim ubraniu. - Mieszka tutaj mnóstwo wilków, ale zwykle nie zachowują się tak, póki nie jest bliżej pełni.

- Może opuściła go jego wadera - poddałam. Rzeźnik rzucił mi chłodne spojrzenie. Najwyraźniej nie był zwolennikiem kalamburów. Z tłumoka w moich ramionach wzniósł się stłumiony jęk. Stuliłam ramiona, by dać kotu znać, że nie cenię sobie jego opinii.

- Jesteś więc znowu. I przyniosłaś przyjaciela. - Wyciągnął rękę, by pogłaskać kota, ale Giguhl absolutnie nie był w nastroju do pieszczot. Syknął i zamierzył się łapą na mężczyznę. Alodius szarpnięciem cofnął dłoń i rzucił mi oskarżycielskie spojrzenie.

- Przepraszam za niego. - Podniosłam wyżej kota, wyciskając z jego poniżenia wszystko, co się dało.
-

Przepróż tego miłego pana, Pimpusiu Sadełko!

W odpowiedzi kot zagłębił pazury w moje ramię. Zagryzłam zęby i zmusiłam się do posłania uśmiechu patrzącemu chmurnie Cajunowi. Ten odchrząknął i zapytał:

- Przyszłaś po kolejne dwie pinty?

- Jasne - odparłam. Uznałam, że to jak najbardziej na miejscu, skoro już tu jestem. - Poza tym Zen potrzebuje trochę kurzych łapek.

- Nie ma sprawy. - Alodius przechylił się nad kontu-

arem. - Co powiesz na to, żebyś dorzucił smaczny cielęcy mózdzek dla tego niewychowanego kota?

Mogłoby to poprawić mu humor.

Kot jęknął w moich ramionach. Najwyraźniej demonowi, jadącemu na serowych chipsach i piwie,

myśl o surowym mózdzku nie przypadła do gustu.

- Eee, nie trzeba. Ma specjalną dietę. Ale jestem zaskoczona, że sprzedajesz mózdzki. Czy to... normalne?

- Skarbie, my, Cajunowie, jemy wszystko, od ogona do pyska. - Zachichotał z własnego dowcipu, klepiąc ladę.

- Och. - Przełknęłam zółć, którą wyczarowało to obrazowe wyjaśnienie.

Alodius zaśmiał się ponownie.

- Dobra, załatwmy tę krew. - Wyjmując słój z lodówki, gwizdał niemelodyjnie. Postawił naczynie na ladzie, wyjął lejek i zapytał: - Co się stało z twoim przyjacielem magiem?

Wskazałam kciukiem za drzwi.

- Czeka w samochodzie.

Krew chlusnęła z pojemnika i z pluskiem wylądowała na rzeźnickim pieńku. Alodius zręcznie wytarł kloc ręcznikiem.

- To miłe. Mieliście już okazję zobaczyć coś w Nowym Orleanie?

Wzruszyłam ramionami.

- Co nieco.

- Byliście w „Court of Two Sisters”?

Pokręciłam głową. Przerwał robotę i podniósł na mnie wzrok.

- A w „Acme Oyster”? -Nie.

- „U Brennana”? Kolejne zaprzeczenie.

- *Cher*, powiedz, proszę, Alodiusowi, że byłaś w „Tipi-tinas”.

Wzrok uciekł mi w lewo.

- Coście robili ze swoim czasem?

- No cóż, przejechaliśmy się tramwajem i byliśmy na Jackson Square.

Klasnął językiem i pokręcił głową. Jego podgardle zakołysało się hipnotyzujące

- Załatwiałam pewne osobiste sprawy.

Dlaczego nagle czułam potrzebę usprawiedliwiania się przed tym człowiekiem?

- Skarbie, nie będziesz miała nic przeciwko drobnej radzie? - Urwał, czekając na zachętę z mojej strony. - Wszyscy mamy osobiste - wymawiał to „osłobite” - sprawy, ale to nie może nas powstrzymać od cieszenia się życiem.

Milczałam, pozwalając, by mądrości dziwaczego mężczyzny dotarły do mnie. Miał rację? Musiałam przyznać, że w moim życiu zawsze było więcej tragedii niż przeciętnie. Czy używałam tego jako z

wymówki, by unikać korzystania z życia? Sądziłam zawsze, że będę miała czas realizować to, co chcę, kiedy sytuacja się unormuje. Zawsze jednak pojawiała się jakieś nowe zmartwienie, nowy kryzys do

opanowania. Mimo iż rozumiałam jego punkt widzenia, nie byłam przekonana.

Uważałam, że nie jest w porządku zgrywać turystkę, kiedy moja siostra jest w dokładnie przeciwnej sytuacji. Ale czy to nie sama Maisie zaledwie dwa tygodnie temu zachęcała mnie do pozwolenia sobie na odrobinę szczęścia? Argumentowałam wówczas, że jako nieśmiertelna nie mam przed sobą nic

prócz czasu. Jej odpowiedź wskazywała, że skoro tyle ludzi pragnie mojej śmierci, to nic nie jest pewne, a już szczególnie moja nieśmiertelność. Oczywiście, Maisie nie była wtedy przetrzymywana

wbrew swej woli ani nie znajdowała się na początku łańcucha pokarmowego jej psychotycznej babki.

Może więc całe to „korzystanie z chwili” mogło poczekać?

Alodius wręczył mi paczki ponad ladą.

- To będzie czterdzieści za krew i dwadzieścia za kurze łapy. - Mrugnął. - Rada była gratis.

- Dobra. Cóż, dzięki za krew i wszystko. Zbył moją wdzięczność machnięciem ręki.

- Cała przyjemność po mojej stronie, kochanie. Idź się cieszyć tą cudowną nocą.

Uśmiechnęłam się. Nie sądzę, żeby uznał podkradanie się do cudzego domu w poszukiwaniu wampirów za coś romantycznego.

- Prawdę mówiąc, wybieramy się na przechadzkę po Garden District.

Uśmiechnął się.

- No proszę, miło słyszeć. Bawcie się dobrze!

ROZDZIAŁ 13

Dziesięć minut później zaparkowaliśmy gremlina przed murem cmentarnym, dwie przecznice od podanego przez Mac adresu. Kiedy szliśmy w stronę Prytania Street, Giguhl sterczał na barku Adama. Podchodziliśmy wolno, uważnie się rozglądając w przewidywaniu zagrożeń. Było po północy, w większości domów więc w tym kwartale panowała ciemność, ale przed nami, pomiędzy wielkich drzew osłaniających posiadłości od strony drogi, przesączał się ciepły blask. Na rogu sprawdziłam numer ulicy na białym klasycy styczonym budynku.

- Nasz jest następny - powiedziałam. - Sądysz, Giguhl, że mógłbyś się niezauważenie podkraść do któregoś z tych okien?

Kot spojrzał na mnie z politowaniem ze szczytu ramienia maga.

- Żartowałaś, co? Przewróciłam oczami.

- Po prostu nie daj się złapać, dobra?

- Dobrze, mamusiu. - Kot zeskoczył z barku nekromanty. Biały tyłek demona świecił w ciemnościach, tak że łatwo go było śledzić wzrokiem, póki nie zniknął za osłaniającymi dom grubymi konarami.

- Wyczuwasz coś? - zapytał mag.

Zerknęłam w kierunku rezydencji, wyęzając wszystkie zmysły w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, że Lawinia może być wewnątrz. Z sąsiedztwa do moich uszu dotarła muzyka rockowa. Nozdrza się rozděły, kiedy pochwyciły charakterystyczny powiew gryzącego dymu.

- Ktoś w pobliżu pali niezłą gandzię, ale to wszystko, co czuję.

- Hmm - mruknął Adam, wpatrując się w budynek. - Bądź w każdym razie czujna. Trudno powiedzieć, co G zobaczy w środku.

Jakby na zawołanie, z cienia pędem wypadła księżycowo blada sylwetka kota. Schyliłam się, by go złapać. Wstrząsały nim dreszcze.

- Co się stało?

Nie podniósł wzroku, nadal drżąc. Od skórzanej kuli w moich ramionach dobiegało stłumione kwilenie.

- Giguhl? - Pokuśtałam nim, aż spojrzał na mnie.

Spodziewałam się ujrzeć w jego oczach strach. Tymczasem przekłety kot uśmiechnął się jak ten z

Cheshire, a z jego pyska wydobył się rechot. Spojrzeliśmy z Adamem po sobie. Albo zobaczył coś tak wstrząsającego, że postradał zmysły, albo kiciuś miał sporo do wyjaśnienia.

- Nie uwierzycie w to - sapnął.

- Zamierzasz nam o tym opowiedzieć czy mamy zgadywać? - Adam poruszył się niecierpliwie.

- Och, nigdy byście nie zgadli. - Kolejny śmiech.

- Giguhl? - warknęłam. - Weź się w garść. Widziałeś jakieś wampiry?

Kot uczynił mężny wysiłek zapanowania nad wesołością. W końcu pokręcił głową.

-Nie. Informatorka Mac całkowicie się pomyliła. To nawet lepsze od krwiopijców.

- Co takiego? - krzyknęliśmy oboje z Adamem.

- Chodźcie... musicie zobaczyć, żeby w to uwierzyć. Demon zeskoczył na ziemię i pobiegł, oglądając się co

chwile, by się upewnić, że za nim podążamy. Wymieniliśmy z Adamem nieufne spojrzenia.

- Chodźcie - syknął z ciemności.

Nie mając wyboru, potruchtaliśmy za kotem. Chociaż Giguhl twierdził, że nie ma się czego bać,

wyjęłam pistolet. Adam przyglądał się badawczo otoczeniu, wypatrując ewentualnej zasadzki. W

końcu pchnęliśmy skrzypiącą czarną bramę. Gdy w ciemnych oknach nikt się nie pokazał,

zakradliśmy się do ogrodu. Giguhl zniknął za rogiem domu; pochwyciłam mignięcie szarości.

Uskoczyłam w prawo i zanurkowałam pod gałęziami, by dotrzeć do ściany rezydencji.

Jej fundamentami wstrząsała muzyka, którą słyszałam wcześniej. Szokujące było się przekonać, że

ostre elektroniczne dźwięki industrialu dobiegają z wnętrza posiadłości, która mogłaby zdobić

okładkę magazynu „Dom i Wnętrze”.

Gdy dotarłam w końcu do Giguhla, ten kuczał na szerokim kamiennym parapecie okna.

- Uważaj, G - szepnęłam.

- Bez obaw - odparł normalnym, konwersacyjnym tonem. - Te złamasy nie usłyszałyby nas, choćbyśmy przyszli, waląc w bębny.

Marszcząc brwi, przysunęłam się wolno do prostokąta światła przed oknem. Adam przypadł obok, ciało miał napięte. Pochyliłam się, by zerknąć poza krawędź muru, i niemal się przewróciłam.

Nekromanta przytrzymał mnie za ramię. Być może spojrział na mnie ciekawie, ale byłam zbyt zajęta pilnowaniem się, żeby nie zsikać się w majtki.

Pomieszczenie za oknem stanowiło połączenie salonu z jadalnią i szerokimi schodami. Eleganckie, biedermeierowskie tło bladło w porównaniu z szaleństwem pierwszego planu.

Stół z orzechowego drewna służył za prowizoryczną

estradę dla karlicy-striptizerki. Miała na sobie różowe, ozdobione cekinami bikini i malutkie szpilki lucite. Jej dwaj fani nosili artystycznie podarte stroje spod znaku *heroin chic*. W przerwach między uderzeniami rytmicznej muzyki ich opieszale dłonie wyrzucały w powietrze banknoty dolarowe.

Trzeci facet - w stylu rockabilly pośród tego gęgania industrialnych strachów na wróble - wciągał białe kreski z lusterka przy drugim końcu stołu.

Na zabytkowych meblach tuż za tym czarującym obrazkiem troje kolejnych członków Lollipop Guild oddawało się rozmaitym czynnościom seksualnym z grupą typów wyglądających na muzyków. Z czerwonego empire'owego fotela na uboczu tej nieprawdopodobnej orgii, scenie badawczo się przyglądał mężczyzna o sterczących czarnych włosach. Miał na nosie ciemne lotnicze okulary i pociągał często i metodycznie z butelki jima beama.

Przysunęłam się bliżej, by lepiej widzieć.

- Mam zwidy?

- To zależy - odparł Adam. - Czy w twojej halucynacji wokalista Necrospank 5000 obserwuje karlicę, obdarzającą jego perkusistę złotym deszczem?

Obróciłam głowę ku magowi.

- Hmm...?

Nekromanta skinął głową w kierunku faceta w okularach przeciwsłonecznych.

- To Erron Zorn.

- Kto? - Nos Giguhla walnął w szybę.

- Necrospank 5000 to kapela spod znaku shock rocka. Erron Zorn jest jej wokalistą. A także magiem.

Drgnęłam zaskoczona.

- Mag? Co on robi w Nowym Orleanie? Rea i Orfeusz wezwali wszystkich nekromantów na dwór królowej.

Adam wzruszył ramionami.

- Jest odstępcą.

- Co to takiego? - zapytał Giguhl.

-Wyrzutek z kręgu nekromantów. Rada Hekate ich unika. - Pogarda brzmiąca w głosie Adama sugerowała jego ogólną opinię o renegatach. Urwał i uderzył mnie w ramię. - O, cholera. Czy to niewolnik sado-macho?

- Super - westchnął Giguhl z czcią. - To dużo lepsze od kanału porno!

- Jasne - stwierdziłam. - Szkoda, że nie przynieśliśmy chipsów!

Zamilkliśmy wszyscy na widok jednej z dam, dosiadającej niewolnika. Miał na sobie spodnie bez pośladków i maskę, zapinaną na zamek błyskawiczny. Kneblująca mu usta kula tłumiła wszelkie protesty, gdy karlica, jak miniaturowa dzokejka, chlastała go pejcem po półdupkach. Skłoniła go, by zawrócił i popęzł ku kanapie. W chwili, gdy obrócił się tyłkiem, zyskaliśmy niczym niezakłócony widok na jego...

- Och! - krzyknęliśmy jednocześnie. Odskokczyłam od okna, trąc oczy, jakbym mogła zmazać obraz wypalony na siatkówkach. Pewnych rzeczy jednak nie da się cofnąć.

Adam wypuścił gwałtownie powietrze z płuc i zamachał ramionami, jakby chciał się ich pozbyć.

Nawet Giguhl zdawał się nieco pozieleniały wokół wąsów i nie ciągnęło go, by ponownie spojrzeć

w

okno.

- Dobra - odezwałam się. - Myślę, iż można założyć, że nie ma tam żadnych wampirów.

- Po tym, co widziałem, niemal chciałbym, żeby były - odparł Adam.

W domu rozległ się huk.

- Sądzę, że to sygnał do naszego odejścia - powiedziałam, odwracając się w kierunku bramy.

Cała nasza trójka przekradła się ku ulicy ze skruszoną miną. Przyznaję, ironia polegająca na tym, że nasze trio złoczyńców czuło się zażenowane zboczonymi wybrykami, trochę piekła.

- Nigdy nie będziemy o tym mówić - stwierdził Adam.

- Zgoda. - Skinęłam głową.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem - odezwał się Giguhl z ramion nekromanty - ale to, czego dopiero byłem świadkiem, sprawia, że nigdy więcej nie chcę rozmawiać o seksie. Kropka.

Adam i ja zatrzymaliśmy się, by rzucić mu spojrzenia pod tytułem „pieprzysz bzdury”. Westchnął.

- Dobra, może nie „nigdy nigdy”, ale zdecydowanie nie przez następnych pięć minut. - Wzdrygnął się i otarł o pierś maga.

Długą chwilę szliśmy w milczeniu w stronę samochodu. Z każdym krokiem wrażenie zabarwionego

przerażeniem rozbawienia, wywołanego pornograficznym przedstawieniem karliczek, ustępowało

bardziej ponurym rozważaniom. Kolejny raz utknęłam w ślepych zaułku. Poczytałam tak znikome

postępy na drodze odnalezienia Maisie, że kusilo mnie, by zwalić całą winę na Tanith. Tak łatwo by-

łoby się poddać i uznać, że Dominia zachowała dla siebie pewne żywotne informacje. Kuszące, ale

nierealistyczne. Tanith także miała powody, by chcieć śmierci Lawinii. Gdyby dysponowała

wiadomościami pomocnymi w osiągnięciu tego celu, toby nam powiedziała, prawda? Co bezpo-

średnio prowadziło z powrotem do wniosku, że Sabina to nieudacznica.

Adam zrównał ze mną krok, niosąc Giguhla pod pachą jak futbolówkę.

- Uh-hm - mruknął. - Znowu masz tę minę.

- Jaką? - Spojrzałam na niego, marszcząc brwi.

- Taką, jaką przybierasz, kiedy siebie o coś winisz.

- Nie wiedziałam, że mam do tego specjalny wyraz twarzy - prychnęłam.

-Jasne, że tak - wtrącił się Giguhl. - Mrużysz oczy, a między nimi robią ci się zmarszczki.

Moja dłoń skoczyła ku wzmiankowanemu miejscu. Jasne, bruzda się utworzyła. Wygładziłam skórę, wzdychając ciężko.

-Nie mogę na to nic poradzić. Do niczego nie dochodzę.

- Widzisz, to prawdziwa trudność - stwierdził Adam. -Masz problem z zaimkami.

- Co? - Gdy patrzyłam na nekromantę, mars na czole pojawił się ponownie.

- Mhm-mmm - mruknął G. - W przeciwieństwie do szalonego rzeźnika, mówisz jedynie w pierwszej osobie.

Skrzywiłam się, patrząc na demona.

- Nie, to nieprawda.

- Dopiero co tak zrobiłaś - potwierdził Adam z lekkim uśmiechem. Szturchnął mnie barkiem. - Daj spokój, Rudzielcu. To frustrujące, że informacja Mac się nie potwierdziła, ale to nie koniec świata ani nasz jedyny trop. Cokolwiek nastąpi, razem stawimy temu czoło.

- Racja - powiedział G. - Naprzód, Wspaniali! Spojrzeliśmy na demona zdezorientowani.

- Co? Bardziej wam się podoba Drużyna A? Wargi mi drgnęły.

- Zdecydowanie.

- Dobra - rzekł Adam. - Teraz, skoro ważne rzeczy mamy już za sobą, co dalej?

Wzięłam głęboki wdech i poczułam, jak chłodne nocne powietrze rozwiewa resztki poczucia winy.

Wiatr przyniósł woń entropii, która spowijała Nowy Orlean jak zniszczona opończa. Ostry aromat brązowiejących liści magnolii, wilgotna soczystość gleby, piżmo popędliwego seksu. W chwili, gdy powietrze zaczęło na mnie działać, w nozdrza, jak podbródkowy cios, uderzył mnie odór brudnych drobniaków. Chwyciłam za ramię Adama, by go zatrzymać. Serce objęło mi się o żebra.

- Czujesz to? - zapytałam szeptem.

Pokręcił głową. Nic dziwnego, że nie czuł. Dobre powonienie zawdzięczam wampirzym genom.

- Cholera - odezwał się Giguhl.

Nie wiedziałam, czy zaalarmował go jego koci zmysł węchu, czy wrodzone instynkty demona, ale byłam zbyt zajęta na te rozważania, starając się zlokalizować źródło zapachu.

- Nie potrafię powiedzieć, ilu ich jest, ale sądząc po intensywności woni, w pobliżu znajduje się kilka wampirów.

Adam znieruchomiał i przeszukał wzrokiem ciemność.

- Wiesz jak są blisko? Pokręciłam głową.

- Nie, ale miej oczy otwarte.

Skinął głową; ruszyliśmy przed siebie, wypatrując możliwego ataku. Przeszliśmy przez ulicę i skierowaliśmy się ku gremlinowi, przycupniętemu pod pokrytym porostami murem cmentarza.

Światło latarni ulicznej padało oskarżycielsko w dół, ujawniając ten anachronizm.

Droga do samochodu stała otworem. Raptem fala zakłóceń, stanowiąca jedyne ostrzeżenie, po czym wokół nas zmaterializowało się osiem wampirów. Rozejrzałam się szybko. Poza tymi ośmioma cztery

kolejne kulily się pod ścianą cmentarną. W sumie osiem samców i cztery samice. Starych, sądząc po rozmaitych odcieniach rudości; nie było wśród nich widać truskawkowej czerwieni. Żadne nie trzymało broni w rękach, ale kilkoro miało w zanadrzu noże.

Krew gwałtownie pompowała adrenalinę w moich żyłach. Pistolet pojawił się w dłoni, jakbym go wyczarowała, zamiast normalnie polegać na instynkcie. Na szczęście, zanim wyszliśmy z domu, załadowałam go piętnastoma kulami z cydrem.

- Czego chcecie, do diabła? - zapytałam.

Adam upuścił Giguhla na ziemię i znieruchomiał wyczekująco.

Nie znałam żadnego z tych wampirów. Nic dziwnego, skoro nie przebywaliśmy na moim terytorium. Sądząc jednak z ich pewnych siebie postaw, nie mieliśmy do czynienia ze zwykłą bandą, uganiającą się za szybkim kęsem.

Błady wampir o włosach tak ciemnokasztanowatych, że były niemal czarne, wystąpił naprzód.

- Prosi się o grzeczność w postaci twego towarzystwa. Nie wiem, co bardziej mnie rozbawiło - niemodny styl

czy głupia peleryna, którą nosił niczym cholerny hrabia Dracula. Miał nawet potężne zakola, na litość boską! A laseczka, na której się wspierał, nie służyła niczemu więcej jak afektacji.

- A kto, jeśli wolno spytać, wysunął równie uprzejme zaproszenie? - zapytałam.

Hrabia przechylił głowę, jakbym zadała głupie pytanie.

- Lawinia Kane.

Serce zatrzepotało mi z oczekiwania. Nareszcie dochodziliśmy do czegoś. Podniosłam palec do ust.

- Hmm - mruknęłam. - Gdybym mogła coś zasugerować...

Jego usta wykrzywił dworny uśmiech, a jedna lśniąca brew powędrowała pytająco w górę.

- Co powiesz na to, żebyście poszli w cholere, i na tym koniec?

Stojąca za nim kobieta szarpnęła się w przód z warknięciem. Wyglądała jak postać zrodzona z mokrego snu fantasy przyszczatego nastolatka. Kasztanowate włosy po bokach jej głowy były zebrane razem i tworzyły z tyłu coś w rodzaju spiczastego końskiego półogona, podczas gdy reszta opadała prostymi pasmami na szyję. Zamiast peleryny nosiła czarne skórzane spodnie i skórzany stanik z kolczugą. Z miejsca, w którym stałam, widziałam jedynie rękojeść, ale miała także miecz przytroczony na ple-

cach. Nie był to żaden z tych wąskich japońskich erzaców. Mówimy tutaj o dwuręcznym, pełnym orężu.

Hrabia uniósł dłoń, powstrzymując wampirzycę. Czerwona Sonia usłuchała natychmiast, ale sztylety jej wzroku powiedziały mi, że miała wobec swego miecza plany, które mnie dotyczyły. Cudak w pelerynie z wyrzutem mlasnął językiem o podniebienie.

- Dominia przewidziała, że możesz szydzić z jej wezwania. - Skinął na towarzyszy, którzy ruszyli ku nam jak zaciskająca się pętla. Gdy kobieta wyciągnęła miecz, metalicznemu ocieraniu się ostrza o

skórę pochwy towarzyszył pogłos. Hrabia postąpił podobnie, wysuwając ostrze z laski. -I dlatego polecono nam zabić maga, by zapewnić sobie twoją pełną współpracę.

Pieprzyć to, krzyknęło mi coś w głowie. Moją odpowiedzią było naciśnięcie spustu.

Błada dłoń hrabiego wystrzeliła w górę z nadnaturalną szybkością. Pocisk zatrzymał się w powietrzu i spadł bez pożytku na spękany trotuar.

Ignorując szok, wywołany niespodziewanym wykorzystaniem magii, nacisnęłam spust trzy razy, szybko po sobie. Ponowne machnięcie ręki. I kolejne trzy kule uderzyły o asfalt.

Miny otaczających nas wampirów się nie zmieniły. Żadnego grymasu, śmiechu ani triumfu. Stali jak przerażające posągi, obserwując nas rekinimi oczami.

Zastanawiałam się właśnie, czy nie rzucić w faceta pistoletem, żeby sprawdzić co się stanie, kiedy w dłoń rąbnęło mnie uderzenie energii. Wydarło mi z ręki broń, która poleciała ku hrabiemu. Z gadzim uśmiechem zmiażdżył pistolet niczym aluminiową puszkę. Coś było zdecydowanie nie tak z tymi facetami. A jeśli to była zapowiedź tego, co Lawinia chowała w rękawie, to tkwiliśmy w gównie głębiej, niż mi się zdawało.

Dobra, pomyślałam. Chciał się bawić.

- Kto ma większą różdżkę magiczną? - Dobra. - Hej, Adam?

- Pracuję nad tym.

Igły przeszły powietrze, kiedy wykrzyknął zaklęcie. Czarne oczy naszych przeciwników błysnęły, ale żaden z nich nie uczynił ruchu, nie odwrócił się do ucieczki ani się nie osłonił. Na skutek nagłego wzrostu mocy magicznej pstryknęło mi w uszach, a brak jakiegokolwiek reakcji ze strony tamtych sprawił, że klatka piersiowa mi stężała. Zanim jednak zaklęcie zdążyło wybuchnąć z Adama jak dźwiękowa fala uderzeniowa, wampiry jednocześnie podniosły ręce. Z ulicy wzniósł się krąg magii, po czym utworzył nad naszymi głowami stożek niewidzialnego więzienia.

- Adam? - odezwałam się głosem dużo bardziej spanikowanym, niż miałam na to ochotę.

- Co jest, do cholery? - zapytał.

Nie należało się spodziewać po wampirach, że będą rzucać magiczne kręgi. W ogóle nie powinny znać czarów. Jedyny wyjątek zachodził wtedy, gdy żerowały na magach, tak jak Lawinia na Maisie.

A ci

tutaj pracowali dla Lawinii. Było ich jednak zbyt wielu, by się posilać na jednym nekromancie. Poza tym moja babka nie była znana z altruizmu. Z pewnością nie pozwoliłaby przeciętnej rangi wampirom żerować na tak potężnym źródle pożywienia jak moja siostra o mieszanej krwi. Zachowałyby wszelkie korzyści dla siebie. A ponieważ Rada Hekate zażądała, by wszyscy nekromanci stawili się na dworze królowej, ci tutaj nie posilali się na miejscowych użytkownikach magii. O co tu chodzi...?

Stanęliśmy z magiem plecami do siebie, krążąc wewnątrz błyszczącej kopuły magii.

- Hej, Giguhl? - odezwałam się.

- Taaa? - zapytał kot.

- Zmień się, proszę.

Mojemu żądaniu powinno towarzyszyć pstryknięcie i obłok dymu. Ale nic się nie stało.

- Uhm, Sabina? - syknął demon.

- Czego? - Wzrok miałam wlepiony w Czerwoną Sonię. Uśmiechnęła się złośliwie, głaszcząc gardę miecza.

- Nic się nie dzieje.

Zerknęłam przez ramię. Jasne jak słońce, Giguhl pozostał kotem.

- Cholera.

- Krąg blokuje czary - wyjaśnił nekromanta. - To oznacza, że ja też jestem bezużyteczny.

- Dobra - warknęłam. - Zachowajcie spokój. Coś wymyślimy.

W trakcie naszej wymiany zdań wampiry obserwowały nas i czekały. W końcu odezwał się hrabia.

- Jeśli skończyliście, to zabijemy teraz maga. Szarpnęłam się w jego stronę.

- Po moim trupie. Hrabia uniósł brew.

- To się da załatwić. - Skinął na Czerwoną Sonię. Z mieczem w dłoni przeszła przez kurtynę magii.

Mrugnęłam. Kopuła powinna pęknąć, kiedy jej dotknęła. Trwała jednak na miejscu. Kim oni, do diabła, są?

Sonia kołysała mieczem jak wahadłem, odliczając sekundy życia Adama. Nekromanta i ja ponownie

przyjęliśmy pozy obronne. Być może mag nie mógł posłużyć się czarami, ale bił się wręcz jak

wszyscy diabli. Nawet Giguhl przysiadł, gotów skoczyć na tę dziwkę. Sytuacja nie wyglądała dobrze dla Drużyny A, ale przynajmniej padniemy w walce.

- Spraw, żeby cały czas musiała być w ruchu - szepnął Adam. - Lawinia chce cię żywcem.

Wykorzystaj to.

Szarpnęłam głową, nie spuszczać wzroku z ostrza. Barki Czerwonej Soni napięły się na sekundę przed pierwszym zamachem. Czas zwolnił bieg. Pchnęłam Adama

biodrem w bok i zrobiłam przewrót w przód. W chwili, gdy miecz spadał łukiem, z rozmachem podciąłam jej nogi. Sonia gruchnęła o ziemię jak worek ziemniaków.

W tym samym momencie usłyszałam, że hrabia coś krzyczy. W uszach mi strzeliło, gdy stożek magii eksplodował, a wampiry skoczyły na nas ze wszystkich stron. Odwróciłam się, by stawić czoło kolejnym napastnikom, i zauważyłam, że wampiry na zewnątrz kręgu też walczą. Rąbnęłam jakiegoś faceta i zerknęłam obok jego zakrwawionej twarzy, starając się zyskać lepszy punkt widzenia.

-Jasny gwint! - wrzasnęłam, zadawszy kolejny cios.

Erron Zorn zakradł się za wampirzycę w wiktoriańskiej sukni. Uniósł dłonie i wypuścił ognistą kulę magii. Tiur-niura buchnęła płomieniem, a on się odwrócił, by zaklęciem załatwić kolejnego wampira.

Tymczasem Sonia się podniosła i ponownie ruszyła z mieczem na Adama.

- Uważaj, Adam!

Walnął kobietę łokciem w nos, co wywołało głośny chrzęst, po czym odskoczył w samą porę, by umknąć przed ostrzem jej miecza. Chwyciłam maga i pchnęłam w kierunku Errona i tego koleśka rockabilly, który, pomimo ostrego ćpania i chlania, jakich byliśmy świadkami, bił się jak dobrze wyszkolony oddział do zadań specjalnych.

Niestety, wampiry także były dobrze wyćwiczone. Erron zobaczył nas i zawołał:

- Schowajcie się za nas!

Chwyciłam Giguhla i skoczyłam za linię magów. Nagle wzrosła moc. Przeniknął mnie dreszcz, gęsia

skórka pokryła gołe ciało demona. Potem, gdy hrabia i jego banda zawrócili, by na nas ruszyć, zerwał

się gwałtowny wiatr. Zebrane razem moce nekromantów złączyły się w tajfun magii, który rozegnał wampiry po ulicy jak zeschnięte liście.

- Wszyscy za mur! - krzyknął Erron.

ROZDZIAŁ 14

Przez większą część życia byłam drapieżniczką. Kiedy jednak skakałam przez cmentarny mur, nigdy bardziej nie czułam się ofiarą. I nie podobało mi się to odwrócenie ról!

Ściana ośmiostopowej wysokości ciągnęła się na całej długości ulicy. Okazałe skrzydła czarnych wrót, zwieńczone metalowym łukiem, identyfikowały to miejsce jako „Cmentarz św. Ludwika nr 1”.

Oczywiście, brama była zamknięta na noc łańcuchem. Przypuszczalnie bardziej po to, by trzymać żywych na zewnątrz niż zmarłych w środku. Nigdy jednak nic nie wiadomo.

Siedząc okrakiem na murze, wyciągnęłam rękę, by pomóc Adamowi. Rzucił mi spojrzenie pełne niedowierzania i zranionej dumy. Normalnie nie odrzuciłby mojej pomocy, sądzę jednak, iż obecność męskiej publiczności napompuwała mu ego. Podał mi Giguhla.

- Jak sobie życzysz.

Przerzuciłam nogę nad murem i wylądowałam w przykłęku po drugiej stronie. Dwie sekundy później obok nas znaleźli się Adam, Erron i kolejny członek Necrospank 5000 - ten widziany wcześniej koleś rockabilly, który - wnosząc z pałeczek sterczących mu z tylnej kieszeni spodni - był perkusistą.

Niebawem Adam będzie musiał mnie nauczyć teleportować się w ten sposób z miejsca na miejsce.

Kiedy biegliśmy przez cmentarz, Giguhl szepnął:

- Kim byli tamci faceci?

Ani Adam, ani ja nie odpowiedzieliśmy. Głównie dlatego, że byliśmy zbyt skupieni na próbie odgadnięcia tego samego. Jednak Erron Zorn miał mnóstwo do powiedzenia.

- To były wampy Kasty z Nod. Zła wiadomość. Członkowie kasty dzielą się swoją mocą albo przez upuszczanie krwi, albo wyszukane rytuały seksualne.

Wymieniłam z Adamem spojrzenia. Skąd, do diabła, lider zespołu muzycznego wie tyle o tajemniczej kabale? A jak już o to chodzi, to dlaczego nam pomaga?

- Skąd to wiesz? - Zaczęłam od początku.

Erron wskazał w lewo i wszyscy zanurkowaliśmy między dwie krypty, po czym odpowiedział:

-Dwadzieścia lat temu, zanim moja pierwsza płyta osiągnęła status platynowej, kasta zaproponowała mi, bym do nich wstąpił. Nie chciałem jednak mieć nic wspólnego z ich pogiętymi rytuałami.

Zmarszczyłam brwi. I to powiedział facet, który dopiero co oglądał karlicę, ujeżdżając masochistycznego niewolnika?! Zauważyłam także, że Zorn nie zawracał sobie głowy tym, by się przedstawić. Jakby uważał, że wszyscy go znają.

-I tak po prostu pogodzili się z odmową? - zapytał Adam.

Erron uśmiechnął się chłodno.

-Nie bardzo. Nie. - Czułam, że za tym uśmiechem kryje się długa historia, ale w tej chwili nie mieliśmy czasu na opowieści wokalisty Necrospank 5000.

Biegliśmy boczną alejką oddzielającą dwa rzędy grobowców. Podskakiwaliśmy i kluczyliśmy, po czym zanurkowaliśmy między dwie krypty i zagłębiliśmy się bardziej w Miasto Umarłych. W końcu przycupnęliśmy za kruszącą się konstrukcją, zwieńczoną kamiennym krzyżem, i nasłuchiwalismy. Erron wysłał perkusistę na zwiad, a sam przypadł obok nas do ziemi.

Cisza, pomijając gwałtowne dudnienie pulsu w uszach, była tutaj przytłaczająca. Tamci wiedzieli, że nie mogą pozwolić, by zdradziło ich przypadkowe trzaśnięcie gałązki lub dyszenie. A zważywszy na to, że już raz wysnuli się z rzadkiego powietrza, bogowie tylko raczyli wiedzieć, gdzie i kiedy pojawią się znowu.

- Przerazające miejsce - powiedział Giguhl, rozpraszając napięcie.

Nie po raz pierwszy zastanawiałam się, dlaczego los nie dał mi za sługę demona zemsty. Giguhl był wspaniałym wojownikiem, nie ma co do tego wątpliwości, i czułam wdzięczność, że osłania mi plecy, czasami jednak potrafiłabym się obejść bez jego barwnych komentarzy. Jak teraz, kiedy psychopatyczne czarodziejskie wampiry polowały na nasze tyłki na cmentarzu. Z drugiej strony,

każdy demon jest dobry, kiedy przychodzi do walki z bandą zabójczych wampów o paskudnych magicznych umiejętnościach.

- Zmień kształt, Giguhl.

Na szczęście będący wynikiem metamorfozy obłok dymu rozproszył się szybko na wietrze, co oznaczało, że nie zdradzi naszego położenia. Na nieszczęście nie miałam żadnego ubrania dla Giguhla. Jednak biorąc pod uwagę sytuację, trudno mi się było skarżyć. W końcu, kiedy przychodzi do bitki, nagi demon jest lepszy niż żaden.

- Super - powiedział Erron znudzonym tonem, wpatrując się w rozwidlone wyposażenie Giguhla.

A skoro o Zornie mowa, to potrzebowaliśmy pewnych wyjaśnień.

- Nie chcę być nieuprzejma - zwróciłam się do niego -ale dlaczego nam pomagacie?

- Uruchomiliście wcześniej alarm. Zignorowałam system, gdyż sądziłem, że jesteście tylko nieszkodliwymi fanami. Kiedy jednak zaczęła się walka, poczuliśmy magię.

Wysłałem Ziggy'ego - ruchem głowy wskazał w kierunku, w którym przed chwilą odbiegł perkusista - żeby to sprawdził, a on mi powiedział, że przy cmentarzu toczy się wielka bijatyka. - Erron wzruszył ramionami. - Pozostali faceci z zespołu to ludzie, ale Ziggy i ja postanowiliśmy się włączyć.

Spojrzałam na niego wilkiem.

- Ale dlaczego w ogóle nam pomogłeś? Wyglądałeś na całkiem zadowolonego, ciesząc się swoim... - odchrząknęłam - ..niewolnikiem.

Skinął głową.

-Zgadza się. Kiedy jednak Ziggy powiedział mi, że wampiry, z którymi walczyacie, posługują się magią, wiedziałem od razu, że są z kasty. Decyzja była więc łatwa.

- Co robisz w Nowym Orleanie? - zapytał Adam.

- Jesteśmy gwiazdami Voodoo Fest podczas Halloween. Sześć miesięcy temu agent kupił mi ten dom w formie ucieczki od podatków. Występ dał nam okazję, żeby tutaj przyjechać i go ochrzcić.

- Cóż, dziękujemy za pomoc - odezwałam się. - Przy okazji, jestem Sabina. Ten głos to Giguhl. -

Wskazałam głową. - A to Adam.

Adam i mag-odstępca przyglądali się sobie przez chwilę. W końcu Erron zapytał:

- Jesteś Wyznawcą? Adam stęzał.

- Gorzej. Należę do Straży Pytyjskiej.

- To ci dopiero! - roześmiał się Zorn. - Pozdrów ode mnie Orfeusza.

- Będziemy mieli problem? - zapytał Adam. Przyglądałam się obu mężczyznom w poszukiwaniu oznak budzącej się przemocy, gotowa w razie potrzeby wesprzeć towarzysza, ale Erron przybrał rzeczową minę.

- Nie. Jeśli jest coś, czego nienawidzę bardziej od liży-iłupów Rady Hekate, to członków kasty.

Adam nieznacznie się rozluźnił i skinął głową. Obaj mężczyźni podjęli baczność obserwację najbliższego otoczenia. Giguhl i ja wymieniliśmy rozważne spojrzenia. Kwestia renegactwa miała najwyraźniej większe znaczenie, niż z początku sądziłam.

Coś związanego z tym cmentarzem niepokoiło mnie bardziej niż panujące napięcie. Położyłam dłoń na barku Adama.

- Czujesz?

- Co? - Mag strzelił ku mnie zaniepokojonym spojrzeniem.

- Ziemia wibruje. - Ale to nie było dokładnie to. Chodziło o coś niemal tak subtelnego jak biały szum, tyle tylko że było to namacalne.

- Ktoś czuje jakiś ruch? - szepnął Adam.

- Nie ja - odparł Giguhl.

Pokręciłam głową. Zapach miedzi był tutaj słabszy i przecucie mówiło mi, że teren jest w tej chwili czysty. Wiedziałam jednak, że nie mogę się rozluźnić.

- Jaka jest twoja historia, Rudzielcu? - zapytał Erron. -Dlaczego walczysz z wampirami, będąc jedną z nich?

- Naprawdę mam mieszaną krew. Wampiry kasty współpracują z moją babką, która chce zetrzeć z

po-

wierzchni ziemi nekromancką połowę mojej rodziny.

Erron z łatwością to przełknął.

- Super.

- Jakaś szansa, że któryś z was mógłby nam dostarczyć nową broń?

-Ja mogę - wtrącił się Adam, zanim Zorn zdołał cokolwiek zaoferować. Zrobił swoją sztukę i wręczył mi pierwszorzędny, błyszczący nowością pistolet. Rękojeść rozgrzała się szybko w mojej dłoni.

-I zanim zapytasz, tak. Tym razem pamiętałem o załadowaniu jabłecznikowych pocisków.

Uśmiechnęłam się do niego. Na liście cech, jakie najbar-

dziej w nim lubiłam, była umiejętność wyczarowywania broni na równi z jego cudownymi dołeczkami. Erron szturchnął mnie w ramię.

- Wraca Zig.

Podniosłam wzrok i ujrzałam idącego ku nam Rockabilly'ego. Zamiast mówić, z błyskawiczną szybkością poruszał rękami. Język migowy? Od kiedy to magowie są głusi? Albo perkusiści, jak o to chodzi? Wymieniłam spojrzenia z Adamem, on jednak wyglądał na mniej zdziwionego.

- Ziggy mówi, że droga do muru po drugiej stronie jest wolna. Moglibyśmy się teleportować, ale jeśli tak zrobimy, tamci wrócą. Zawsze tak robią. Proponuję, żebyśmy ruszyli w stronę muru, by ich wciągnąć. Stawmy im czoło i zakończmy to teraz.

Erron i Ziggy spojrzeli na Adama. Doskwierało mi, iż uważali, że to mag rządzi, ale jako Strażnik Pytyjski miał tyle samo - jeśli nie więcej - taktycznego doświadczenia i treningu co ja. Niemniej moja duma trochę ucierpiała.

- Sabina? - zapytał Adam. - Zgadzasz się na ten plan? Uśmiechnęłam się szeroko do nekromanty i zsalutowałam.

- Tak jest, sir! Wargi mu drgnęły.

- Do dzieła.

Pochyleni obiegliśmy kryptę, za którą się ukrywaliśmy. Zważywszy na sztuczkę zastosowaną wcześniej przez hrabiego, uważałam, że lepiej jest mieć coś więcej niż tylko pistolet. Sięgnęłam więc do buta po nóż, trzymany tam na specjalne okazje. Nie sądziłam, żebym zrobiła nim dużo /lego tamtym facetom, ale skorzystam z każdej możliwości zyskania przewagi, jaka mi wpadnie w ręce. Posuwaliśmy się krętą ścieżką przez labirynt grobowców i kolumbariów. Cmentarz nie był bardzo rozległy, ale wysokość budowli i ich stłoczenie zapewniało wrogom mnóstwo kryjówek. W końcu dostrzegłam przed nami przeciwny mur. Przebiegliśmy obok wielkiego mauzoleum, poświęconego jakiemuś bractwu.

I wpakowaliśmy się wprost na bandę hrabiego.

Znieruchomieliśmy. Przywódca tajemniczych wampirów zadarł brodę i wyciągnął elegancką dłoń.

- Mogę cię prosić?

W dłoni trzymał laskę - o ostrzu schowanym z powrotem w jej wnętrzu - jakby rzeczywiście się spodziewał, że wzruszę po prostu ramionami i go posłucham.

Adam i Erron odpowiedzieli za mnie, posyłając parę zajebistych gromów, ale tym razem wampiry spodziewały się tego. Rozpierzchły się i przegrupowały, unikając uderzenia. Zaklęcie trafiło dwa wampy w plecy i zrykoszetowało w stróżówkę, która zadrżała i wypluła na ziemię kilka cegieł jak wybite zęby.

Skoro miałam okazję, wpakowałam dwie kule w powalone postaci. Ich popioły odpłynęły z wiatrem.

Pozostała ósemka się rozbiegła. Dwoje - hrabia i kobieta - zachodzili nas z boku, a pozostali wspięli się na dachy grobowców.

- W górę, G! - zawołałam, biegnąc w kierunku hrabiego. Kątem oka widziałam, że Adam rusza na wampirzycę.

Erron i Ziggy wbiegli w głąb cmentarza za innymi, w tym za Czerwoną Sonią.

Hrabia uśmiechnął się ochoczo i przywołał mnie, zginając dłoń. Wsunęłam broń za pasek spodni i skoczyłam ku wampirowi. Posłużę się pistoletem tylko wtedy, gdy będę wiedziała, że nie zdoła użyć magii, by mnie rozbroić.

Frunął na moje spotkanie. A kiedy mówię „frunął”, to znaczy, że jego stopy rzeczywiście nie dotykały gruntu. Wpadliśmy na siebie. Ważył więcej ode mnie, kiedy więc rąbnęliśmy o ziemię, znalazłam się w niekorzystnej sytuacji. Potoczyłam się szybko w bok, by uniknąć obezwładniającego chwytu.

Robiąc to, kopnęłam hrabiego obcasem w pierś.

Wylądowałam w przykłęku, mając równomiernie rozłożony ciężar ciała na wypadek, gdyby przeciwnik dążył do zwarcia. Ale on skoczył w górę, mrugnął do mnie i zniknął. Błyskawicznie obróciłam się w miejscu, lecz nigdzie nie mogłam go znaleźć.

Cały czas spodziewając się jego powrotu, chwyciłam ponownie broń i rozejrzałam się, by sprawdzić, co z Adamem. Ciało kobiety walnęło plecami o mur. Nie wiadomo skąd mag wyjął kołek jabłoniowy.

Zanim wampirzyca otrząsnęła się po upadku, nekromanta już na niej siedział. Szybkie dziabnięcie w dół i było po niej. W powietrzu zaskwierczała magia i hrabia zmaterializował się za plecami Adama.

-Nie!

Zanurkowałam i skoczyłam na niego od tyłu. Splątani ze sobą, potoczyliśmy się na ścieżkę.

Słyszałam, że Adam coś krzyczy, po czym rozległo się dudnienie butów na ubitej ziemi. Hrabia

znalazł się na mnie, ale nagle przytłaczający mnie ciężar zelżał, gdy Adam poderwał go w górę. Nogi wampira zaplątały się w pelerynę; hrabia zatoczył się i opadł na kolana. Mag złapał go za włosy.

- Nóż! - wrzasnęłam.

Rzuciłam, a on złapał go w powietrzu. Wykonał płynny zamach, zanim jednak udało mu się zadać śmiertelny cios, przeklęty wampir ponownie zniknął.

- Tam! - zawołałam, wskazując kryptę na drugim końcu alejki.

Hrabia zajął wyższą pozycję.

Zerwałam się do biegu, ale Adam zatrzymał mnie.

-On jest mój.

Powiedziawszy to, nekromanta zniknął. Gdy się temu przyglądałam, zmaterializował się tuż za hrabią i poklepał go po ramieniu. Wampir obrócił się w samą porę, by zarobić pięścią w twarz.

Zadowolona, że Adam panuje nad sytuacją, zerknęłam w górę i ujrzałam Giguhla podnoszącego

mężczyznę,

z którym się bił. Dźwignął wijącego się wampira ponad głowę jak worek ziemniaków, a potem cisnął

facetem, który z tąpnięciem wylądował u moich stóp. Uśmiechnęłam się do leżącego.

- Czyż grawitacja to nie jest czyste skurwysyństwo? Kula strzaskała mu twarz, zanim zapłonęło ciało.

- Idź pomóc Adamowi, G. Ja poszukam amazonki.

Podczas gdy demon skakał z dachu na dach, by dołączyć do nekromanty, pobiegłam w przeciwnym kierunku, chcąc znaleźć kobietę.

Smuga cienia między dwoma budowlami. Przebiegłam środkiem i wyjrzałam zza rogu, po czym ruszyłam dalej. Coś rąbnęło mnie w plecy. Uderzenie rzuciło mnie do przodu, ziemia wznosiła się szybko na moje spotkanie. Pistolet poleciał w bok na skutek impetu upadku. Brutalne dłonie chwyciły mnie za ramiona, starając się je wykręcić. Moje paznokcie znalazły chwyt na dostępnym fragmencie skóry i zagłębiły się w nią.

Kobieta chrząknęła i cofnęła się, pozostawiając mi dość miejsca, bym się obróciła. Robiąc to, podrzuciłam biodrami i strąciłam ją z siebie. Podniosłam się do przykłąku i zwróciłam ku niej.

Czekałam, że wyciągnie miecz. Że zada cios w korpus, być może, zanim zetnie mi głowę. Zaskoczyła mnie jednak, przyjmując pozycję do walki wręcz. Potem przypomniałam sobie, co powiedział hrabia o konieczności zabicia Adama w celu zapewnienia sobie mojej współpracy. Najwyraźniej plan wampirzycy polegał na obezwładnieniu mnie, a nie uśmierceniu.

To był jej pierwszy błąd.

Okrażałyśmy się wolno w przejściu utworzonym przez dwa rzędy grobów. Z drugiej strony tych budowli dobiegały chrząknięcia i dudnienie pięści zderzających się z kośćmi. Od czasu do czasu walkę przerywały wybuchy magicznej energii.

Błysnęły kły tej dziwki.

- Zastanawiam się, czy nadzieję twojego kochanka na miecz, czy też rozedrę mu gardło. Jeśli będziesz grzeczna, pozwolę ci się przyglądać.

To był jej drugi błąd.

Czerwona mgielka przesłoniła mi wzrok. Ręce zaświerzbiły z chęci zmasakrowania jej ust już za samo to, iż śmiała wypowiedzieć podobne słowa. Pięści szukały drogi, podążając za jej twarzą, tułowiem - za czymkolwiek, byle ją tylko ukarać. Kopnęła mnie w żebra, zadając bolesny cios w nerki. Po tym nastąpiło uderzenie kantem dłoni w krtań, co pozbawiło mnie tchu. Jeśli chodzi o jej kłopoty, to zarobiła z backhandu. Wypluła na ziemię czerwono zabarwioną ślinę.

Najwyraźniej smak własnej krwi przerzucił pod jej kolczugą jakiś przełącznik, gdyż w następnej chwili ruszyła na mnie, stanowiąc rozmazany obraz ciosów rękami i nogami. Byłam zbyt zaabsorbowana odparowywaniem ataku, by w odpowiedzi dokonać jakichś zniszczeń. Nie jestem drobną kobietką, ale Czerwona Sonia musiała górować nade mną o pół głowy i dziesięć kilogramów mięśni. Jej napór spychał mnie, aż znalazłyśmy się na głównej alei cmentarza.

Niedaleko od miejsca naszej potyczki doszło do kolejnego rozbłysku magii. Był potężniejszy od poprzednich. Ciguhl krzyknął coś do Adama, po czym wysoki męski głos krzyknął:

- Porcja!

Wybuchy momentalnie ustały. Wampirzyca nie zwracała uwagi na magiczne eksplozje, ale na krzyk hrabiego zareagowała. Interesujące. Śmignęła obok mnie, by pośpieszyć na pomoc towarzyszowi.

Zaskoczona nagłym brakiem bólu dopiero po sekundzie rzuciłam się w pogoń. Kiedy dopadłam kobietę, wspinała się już po ścianie, starając się dotrzeć do hrabiego.

Złapałam Porcję za kolczugę i szarpnęłam w bok. Nad naszymi głowami hrabia wymieniał magiczne ciosy z Adamem, starając się osłonić przed atakami poważnie wkurzonego demona. Na grobach po drugiej stronie alei Erron i Ziggy odpierali szturm trzech innych wampów.

Łokiec Porcji zmiażdżył mi nos. Kość trzasnęła, po czym trysnęła ciepła krew. Wysilałam się, by chwycić dziwkę, ale mgła bólu i rwanie w oczach rozmazały mi wzrok. Kiedy doszłam do siebie, tamta stała już na dachu. Jak na taką dużą dziewczynę była cholernie zwinna.

Tym razem nie wahała się wyjąć miecza. Adam był zwrócony do niej plecami, wznosząc kołek nad

piersią hrabiego. Giguhl trzymał wampira za wykręcone do tyłu ręce. Żaden z nich nie zauważył jej zjawienia się.

- Adam! - wrzasnęłam.

Szarpnął się i obrócił w samą porę, by zauważyć wzniesioną klingę. Uskoczył w bok. Porcja w ostatniej chwili skręciła dłoń w nadgarstku i przejechała ostrzem po żebrach maga. Adam upadł ciężko, z bolesnym chrząknięciem. Jego płaszcz się rozchylił, ukazując rozprzestrzeniającą się gwałtownie plamę czerwieni.

Krew mi zlodowaciała. Zanim Porcja zdołała zadać śmiertelny cios, jednym skokiem znalazłam się na dachu. Miecz wznosił się nad jej głową, gotowy do opadnięcia. Zacisnęłam dłonie wokół rąk amazonki w chwili, gdy napięła mięśnie, by opuścić ostrze.

- Giguhl! - warknęłam, zmagając się z naprężonymi muskularni wampirzycy. - Pomóż Adamowi!

Czubkami butów kopałam od tyłu nogi Porcji, rozpaczliwie próbując rozluźnić jej chwyt na rękojeści miecza. Dostrzeżona kątem oka plama zieleni powiedziała mi, że demon pognał, by zająć się magiem.

Ramiona drżały mi z wysiłku opierania się imponującej sile Porcji. Zamiast czekać na to, która z nas osłabnie pierwsza, postanowiłam zastosować starą szkołę.

Uderzyłam jak wąż, celując w jej aortę. Ruch zmusił innie do osłabienia uchwytu na mieczu, ale na szczęście Giguhl usuwał już Adama z zagrożonego miejsca.

W chwili gdy kły przebiły skórę, ciało Porcji szarpnęło się, a ona sama krzyknęła z wściekłości.

Wgryzłam się mocniej, pochłaniając tyleż ciała, co i krwi. Metal zadzwieczał na kamieniu.

Chwyciłam dłońmi jej łokcie, trzymając ją blisko siebie, po czym szarpnęłam głową i wyrwałam kawałek szyi.

Opadła na kolana. Ręce bezradnie pofrunęły ku ranie. Tylko czas i krew mogą uleczyć równie poważne okaleczenie. Pechowo dla niej, nie dysponowała ani jednym, ani drugim.

Wyplułam z ust jej smak i chwyciłam szeroki miecz. Ściskając w dłoni skórzaną rękojeść, uniosłam broń. Nadal miałam pistolet wciśnięty za pasek spodni, ale pewne szczególne momenty wymagają satysfakcjonującego ciosu ostrzem.

Mimo masywności oręża udało mi się go z łatwością unieść. Żadne wahania ani wątpliwości nie

unieruchomiły mi ręki. Opuściłam klingę z całą mocą. Głowa Porcji stoczyła się z barków. Zanim spadła na dach, zarówno czerep, jak i ciało zapłonęły. Upuściłam miecz i obróciłam się szybko, wyciągając przy tym pistolet. Erron i Ziggy walczyli z hrabią. Ich sytuacja była pewna, ale ja miałam korzystny widok z lotu ptaka.

- Schyl się, Erron!

Odszczepieniec nie zawahał się ani o nic nie pytał. Padł po prostu plackiem na ziemię. Hrabia spojrzał

w górę ułamek sekundy po tym, jak huk broni palnej rozerwał noc. Białka jego oczu powiększyły się, stanowiąc wyraźny kontrast na tle purpurowych plam zmaltretowanej twarzy.

Tę kulę zarobił dokładnie między oczy. Kiedy nieuchronne iskry rozbłysły w miejscu, w którym wcześniej siał, wytarłam drżącą dłonią czoło.

- Sabina, musisz tutaj zejść! - zawołał Giguhl. Drgnąwszy, wprawiłam się w ruch. Zeskakiwałam z budowli z dudniącym sercem.

Adam spoczywał na betonowej, wpuszczonej w grunt płycie. Demon klęczał obok niego, wpatrując się intensywnie w pierś maga. Zwolniłam; na widok bladości nekro-manty i kropli potu zraszających jego czoło ścisnęło mnie w żołądku. Podbiegłam i zatrzymałam się z poślizgiem, na kolanach, obok leżącego. Czułam, że Erron i Ziggy stoją za mną.

- Mów do mnie.

- To tylko skaleczenie.

- Gówno prawda - odparłam; niepokój kazał mi zaniechać eleganckiego wysławiania się. Kłapsem odepchnęłam łapy Giguhla, chcąc sama się przyjrzeć obrażeniom.

Tyle krwi. Delikatnie uniosłam połę koszuli maga, by mieć lepszy widok na samą ranę. Rozognione czerwone cięcie, może piętnasto- czy osiemnastocentymetrowej długości, ciągnęło się po dolnych żebrach ku umięśnionym krawędziom jamy brzusznej. Nie tak źle, jak się spodziewałam, ale na tyle paskudnie, że miałam ochotę zabić tę dziwkę jeszcze raz.

- Potrafisz się sam wyleczyć? - zapytał Giguhl. Szpony miał uwalane krwią Adama. Na ten widok ścisnęło mnie w żołądku.

Nekromanta przełknął i pokręcił głową.

- Jestem zbyt osłabiony przez zaklęcia. Odwróciłam się do Errona.

- Ty to musisz uczynić. Muzyk zrobił wielkie oczy. -Ja?

Skoczyłam na równe nogi, by spojrzeć mu w twarz.

- Pomagałeś nam walczyć, ale nie pomożesz go uzdrowić? Oblicze Errona było spokojne, bez śladu napięcia czy

poczucia winy.

- Nie potrafię.

- Ty zatem - zwróciłam się do Ziggy'ego.

Milczący mag pokręcił głową i podniósł dłonie, cofając się.

- Sabina - sapnął Adam za moimi plecami. Obejrzałam się przez ramię. - Oni nie mogą pomóc.

- Dlaczego nie, kurwa? - zapytał Giguhl.

- Kiedy ktoś zostaje odstępcą, Rada odziera go z uzdrowieńczej mocy - wyjaśnił Adam cichym głosem, jakby się dzielił wstydlwym sekretem. - To kara za postawienie się poza prawem.

Szczęka mi opadła. Zakładałam, że schizmatycy różnią się tylko opiniami z Radą, a nie, iż zostali wykluczeni i wyzuci z pewnych mocy. Pomijając jednak moje zdanie na temat niesprawiedliwości tej sytuacji, najważniejsze teraz było uleczenie Adama.

- Poza tym wyjdzie z tego. To tylko zadrapanie - odezwał się Erron.

-Wiesz co? Skoro nic nie zrobisz, to możesz sobie iść - warknęłam.

- Sabina - powiedział Adam. - Dopiero co nam pomogli.

- Racja, a teraz chcą po prostu wrócić do swojej orgii czy co tam. Nie martwcie się o nas.

Oczy Errona pociemniały.

- Tak, naprawdę nienawidzimy opuszczać orgie. Przepraszamy, że przeszkodziliśmy wam w waszej ulicznej zabawie.

Poczułam uszczyplnięcie winy, ale nie miałam czasu na przeprosiny. Adam wciąż krwawił.

- Żegnajcie więc. - Wyrzuciwszy odszczepieńców z myśl i, odwróciłam się do demona. - Sprowadź auto, Giguhl -warknęłam.

W powietrzu rozległ się trzask, gdy Erron i Ziggy zniknęli. Adam przyglądał mi się uważnie.

- Wyluzuj, Rudzielcu.

- Powiedz mi, co robić. - Upokarzało mnie, że nie wiem, w jaki sposób mu pomóc. Ponieważ jednak wywodziłam się z rasy, która sama wylizuje się z ran, boleśnie brakowało mi wiedzy na temat zasad udzielania pierwszej pomocy.

- Zdejmij bluzkę. Zawahałam się.

- Po co? - Podejrzliwość spowołniła wykonanie polecenia.

Przewrócił oczami.

- Musisz zastosować ucisk, by zatamować krwawienie.

Bez dalszego gadania zdarłam z siebie kurtkę i koszulkę na ramiączkach. Błysk, jaki zapalił się w oczach nekro-manty na mój widok, jedynie w staniku, powiedział mi, że magowi daleko było do wrót śmierci.

- Co teraz?

- Przyciśnij do rany. Mocno.

- Nie będzie cię bolało?

Rzucił mi niecierpliwe spojrzenie. Przyłożyłam zwiniętą koszulkę do rany i przycisnęłam, jak mi kazano. Tkanina niemal natychmiast nasiąkła krwią i zmieniła barwę z białej na czerwoną. Mag syknął przez zaciśnięte zęby.

- Mocniej.

Ignorując głos w mojej głowie, który krzyczał, że sprawianie mu większego bólu jest ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, wykonałam polecenie. Bogowie, kochajcie go, usiłował ukryć ból. Przełknął mocno.

- Mów do mnie.

- O czym?

Wzruszył ramionami, a jego mina wskazywała, że momentalnie pożałował tego ruchu.

- Dobra, hmm, wspominałam już, że jeśli jeszcze raz przerazisz mnie tak jak dzisiaj, to cię zabiję?

- Naprawdę musimy popracować nad twoim postępo-

waniem wobec pacjenta. - Urwał. - Ale to samo odnosi się do ciebie.

Cofnęłam się.

- Do mnie? To nie ja krwawię.

- Odkąd się znamy, już dwa razy byłaś dźgnięta kołkiem...

- Za pierwszym razem to była twoja wina - przerwałam mu. - Chyba że już dla wygody zapomniałeś o

przysłaniu do mojego mieszkania Giguhla, żeby postrzelił mnie z kuszy?

Skrzywił się, tym razem z powodu poczucia winy, a nie

bólu.

- Ale także widziałem, jak cierpisz. Podniosłam rękę.

- Dobra, niech ci będzie. Ty jednak nie musisz się o mnie martwić. Moje ciało to samouzdrawiająca się maszyna.

- Nie mówiłem wyłącznie o ranach fizycznych, Sabino. - Jego ręka powędrowała w górę i pogłaskała mnie po policzku. - Twoje nadprzyrodzone cechy nie leczą mniej widocznych obrażeń.

Nagle rozmowa, zamierzona jako odwrócenie jego uwagi od bólu, przerodziła się w pogawędkę o moich psychicznych urazach. Pora zmienić temat.

- Co powiesz na to, żebyśmy wrócili do tej rozmowy po tym, gdy zagoi się twoja doskonale widoczna rana na piersi?

Zadarł brodę, więc zmuszona byłam spojrzeć mu w oczy.

- Wspominałem już, że jestem wielkim fanem tego stanika?

Drgnął mi kącik ust.

- Czy to takie dziwne?

Zgrzyt zderzającego się metalu z metalem wyrwał dziurę w ciszy. Przyciskając nadal jedną rękę do tułowia Adama, drugą chwyciłam broń i obróciłam się na pięcie.

W naszą stronę gnały dwa reflektory. Mrużąc oczy, dostrzegłam za przednią szybą zarys rogów Giguhla.

- Wygląda na to, że przybywa kawaleria - powiedziałam.

- Powiedz, proszę, że to ty będziesz prowadziła z powrotem do sklepu Zen. Nie chcę przeżyć ciosu mieczem tylko po to, by zginąć w ognistym wypadku samochodowym.

Giguhl nadepnął na hamulec. Gremlinem zarzuciło, ziemia i żwir poleciały na nas. Pochyliłam się nad nekro-mantą, by osłonić go przed tym gradem. Kiedy podniosłam wzrok, Giguhl wyskoczył z auta i

obiegł zmiażdżony zderzak gremlina, zmierzając w naszą stronę.

- Doceniam, G, że sprowadziłeś samochód, ale czy naprawdę musiałeś wywalić nim bramę?

Demon zatrzymał się przede mną z poślizgiem i wziął się łapami pod boki.

- No cóż, niech mi panienka wybaczy, Miss Perfect. Dla twojej informacji, nigdy dotąd nie prowadziłem samochodu.

Szczęka mi opadła. Kiedy poleciłam mu sprowadzić auto, nie miał innego wyboru, jak usłuchać. W stresie, pielęgnując Adama, zapomniałam kompletnie, że demon nigdy wcześniej nie kierował żadnym pojazdem.

- W takim razie jestem pod wrażeniem, że uderzyłeś tylko w cmentarną bramę.

Wzrok Giguhla uciekł w lewo.

- Prawdę mówiąc, to powinniśmy się stąd zmywać.

- Dlaczego?

- Lepiej żebyś nie wiedziała na wypadek, gdyby się zjawiała policja.

Uznając, że zdecydowanie nie chcę nic wiedzieć, zaczęłam wydawać polecenia, by wszyscy usadowili

się wygodnie w ciasnym wnętrzu auta. Kiedy już Adam i Giguhl zajęli miejsca - demon z tyłu, ponownie w postaci kota,

a nekromanta na siedzeniu obok kierowcy - obiegałam auto, by zasiąść za kierownicą.

Zanim zanurkowałam do środka, aleją powiał ciepły wiatr. Moją uwagę zwrócił jakiś błysk w oddali.

Niemal jak świetlik. Zawahałam się, chcąc się przyjrzeć temu dokładniej, jednak na cmentarzu panował znowu spokój i cisza jak w... No, wiecie. Ciche buczenie, które dotarło do mnie, kiedy się tutaj zjawiliśmy, nadal brzęczało mi w głowie, ale poza tym nie słyszałam nic innego.

- Sabina? - Adam miał napięty z bólu głos. Otrząsnęłam się z dziwnego wrażenia i opadłam na siedzenie.

- Przepraszam... zdawało mi się, że coś widzę. Ale to musiały być tylko igraszki wyobraźni.

- Och - odezwał się Giguhl. - Może to był duch?

- Nie bądź głupi! - Roześmiałam się. - Duchów nie ma. Ale zanim zatrzęsnęłam drzwiczki, mogłabym przysiąc, że posłyszałam niesiony wiatrem śmiech.

ROZDZIAŁ 165

W korytarzu rozbrzmiał męski krzyk, po czym usłyszałam obcesowy kobiecy głos:

- Nie bądź dzieckiem!

Pośpieszyłam do drzwi, by sprawdzić, co wuduistka wyprawia z Adamem.

Mag leżał na warsztatowym stole Zen jak zwierzę ofiarne. Szybko odnalazłam wzrokiem przyczynę jego gniewu: spryskiwacz, za pomocą którego przemywała mu ranę.

- Mam się trudzić pytaniem, jak leci? - zapytałam, podchodząc do stołu.

Szczęki Adama się zacisnęły, gdy Zen polała go znowu wodą. Nie odpowiedziała mi, tylko zawołała:

- Brooks! Wciąż czekam na ten krwawnik!

Cicha odpowiedź dobiegła zza zamkniętych drzwi szafy, którą Zen zamieniła w miniaptekę. Wróż wyłonił się chwilę później, zonglując kilkoma szklanymi słoiczkami i fiolkami.

- Prawie się skończył. - Wyciągnął brązową butelkę do Zen, która wyjęła korek i zajrzała do wnętrza.

- Powinno wystarczyć. - Przechyliła naczynie i na ranę posypał się żółtawozielony proszek.

- Czemu to służy? - zapytałam.

Zwróciła na mnie niecierpliwe spojrzenie. Potrząsnęła brązową fiolką.

- Mielony krwawnik pospolity. Działa jako środek ściągający, wspomagający krzepnięcie krwi.

Wybrała i podniosła kolejną buteleczkę.

- Sproszkowane goździki w celu zmniejszenia bólu i zapobieżenia infekcji. - Pstryknięciem zdjęła kapturek i rozsypała brązowy proszek na warstwie krwawnika.

Adam syknął, starając się odsunąć.

- Prawie gotowe - stwierdziła Zen. Brooks wręczył jej stosik płatków gazy. Zenobia zwróciła się do mnie: - Przydad się na coś i oderwij dwa kawałki plastra.

Zadowolona, że mam czym zająć ręce, zrobiłam, co mi polecono. Podałam Zen pierwszy pasek mniej więcej w tej samej chwili, gdy wolnym krokiem wszedł Giguhl. Na szczęście włożył czerwone dresowe spodnie i T-shirt reklamujący sklep Zenobii.

- Jak się ma pacjent?

- Kłopotliwy jak wszyscy diabli - odparła Zen, wygładzając ostatni kawałek plastra - ale wyjdzie z tego.

- Skończyliśmy już? - zapytał Adam. Chciał usiąść, ale kobieta powstrzymała go pewną ręką.

- O nie, nie rób tego. Muszę cię jeszcze pozszywać. Adam skrzywił się.

- Czy to naprawdę konieczne?

Zenobia skinęła na Brooksa, który przyniósł szpulkę nici i długą igłę. Pod wpływem współczucia dla Adama mój żołądek wykonał salto.

- Albo pozwolisz mi założyć szwy, albo spędzisz w łóżku co najmniej tydzień - ostrzegła.

Mina Adama mówiła wiele o jego opinii na temat tej drugiej propozycji.

- Niech ci będzie.

- Tak myślałam. - Uśmiechnęła się. - Połóż się na plecach. To nie będzie wcale bolało.

- Bzdura - kaszlnął w dłoń Giguhl. Zen poderwała głowę.

- Nie zmuszaj mnie, żebym stąd wykopała twoje zielone dupsko!

Demon spuścił łeb.

- Przepraszam.

Żeby nawlec igłę, Zenobia założyła dwuogniskowe okulary.

- Kiedy będę szyła, możecie mi opowiedzieć, co się stało.

Zerknęłam na Adama. Jeśli rozmowa mu przeszkadzała, wyjaśnienia mogły poczekać. Wzrok nekromanty zbłądził na moment na igłę; mag skinął w końcu głową. Najwyraźniej podobał mu się ten sposób odwrócenia uwagi.

- Wpadliśmy w zasadzkę - zaczęłam. - W jednej chwili ulica była pusta, a następane, co ujrzeliśmy...

Zrelacjonowałam jej całą historię, począwszy od orgii z karlicami, przez groźby hrabiego pod adresem Adama, aż po pośpieszne zniknięcie Errona. Gdy mówiłam, mag syknięciami komentował ukłucia

igłą. Jego męska duma nie zniósłaby współczujących spojrzeń czy pauz w relacji, więc nie

przerywałam. Historia skończyła się mniej więcej w tym samym czasie, gdy Zen uporwała się ze swoim zadaniem.

- Dlaczego wzięli na cel Adama? - zapytała, odcinając koniec nitki.

Liczyłam na to, że Zenobia skupi się na kwestii dla mnie najbardziej niezręcznej.

- Lawinia uważa, że Adam i ja jesteśmy w miłosnym związku...

- Bo jesteście - przerwała mi nasza gospodyni. Giguhl zachichotał z drugiego końca pokoju. Brooks zasłonił sobie usta dłonią. Unikając intensywnego nagle wzroku nekromanty, spojrzałam z góry na kapłankę wudu.

- Możemy się skupić? - Zen zagryzła wargę, by ukryć

uśmiech. Mówiłam dalej: - To moja wina. W Kalifornii miałyśmy wielką kłótnię, podczas której powiedziałam, że jestem w ciąży z Adamem. Próbowałam ją wkurzyć, żeby zrobiła jakiś błąd, ale chyba to ja go popełniłam.

- Czekał no - odezwał się Giguhl. - Nigdy mi tego nie mówiłaś.

Przecięłam dłonią powietrze.

- Teraz już wie, że to było kłamstwo, ale wie także, że Adam i ja jesteśmy nadal... partnerami.

Brooks odchrząknął. Zenobia rzuciła demonowi rozbawione spojrzenie. Giguhl powiedział bezgłośnie: „Mówiłem ci”. Ignorując ich wszystkich, zerknęłam na Adama. Mrugnął do mnie, co sprawiło, że poczułam się bardziej nieswojo niż na skutek reakcji pozostałych.

- Tak czy inaczej, to dlatego kazała go zabić. Wymyśliła sobie, że dobierze się do skóry komuś, na kim mi zależy, żeby mnie zmusić do współpracy. - W połowie wypowiedzania tego zdania twarz zaczęła mi

płonać.

- To mnie niepokoi - odezwał się nekromanta. Spojrzałam na niego. - Przez cały czas zakładaliśmy, że Lawinia i kasta chcą twojej śmierci. Po co te gierki?

Wzruszyłam ramionami.

-Chce prawdopodobnie poddać mnie wyszukany torturom, zanim mnie zetnie. Zenobia pokręciła głową.

- Przykro mi to mówić, dziewczyno, ale twoja rodzinka jest popieprzona.

- Co ty nie powiesz? Adam nie skończył jeszcze.

- Nie wiem. Nie jestem przekonany, czy nie kryje się za tym coś więcej.

Westchnęłam.

- Niezależnie od tego najlepiej spożytkujemy nasz czas, starając się odszukać Maisie, zanim Lawinii uda się mnie schwytać.

- Amen - podsumował Giguhl.

- Wygląda na to, że warto by było także pogadać z tym Zornem - dodała Zen.

Chociaż tak bardzo nie chciałam tego przyznać, miała przypuszczalnie rację.

- Taaa, możliwe. Brooks odchrząknął.

-Jeśli mi wybaczycie, to muszę się przygotować na jutro.

- Co będzie jutro? - Spojrzałam na niego. Uśmiechnął się.

- Nasza przedhalloweenowa impreza w „Lagniappe”. Urządzamy ją dzień wcześniej, bo w sobotę chcemy wziąć udział w paradzie. Wszyscy trans przebieramy się za ulubione historyczne królowe.

- A ty kim będziesz? - zapytał Giguhl.

- Królową Nilu. - Brooks uśmiechnął się szeroko.

- Kleopatrze? - dociekał Adam.

- Taaa, jasne. - Wróż strzelił palcami dla podkreślenia tego faktu. - Mam perukę z afrykańskimi warkoczykami, złotą koronę i wszystko.

- Och - zachwycił się Giguhl. - Będziesz wyglądał zajebiście.

Brooks roześmiał się.

- Wyśpiewaj to, Gigi.

Ruszył dumnym krokiem ku drzwiom, zatrzymawszy się jedynie po to, by żartobliwie klepnąć Giguhla w tyłek. Mój ponaddwumetrowego wzrostu demon intrygi, który do niedawna spędzał wolny czas na rozczłonkowywaniu innych demonów w podziemnym klubie walki, zarumienił się i zachichotał. Kiedy wróż znalazł się już poza zasięgiem głosu, podeszłam do mojego faworyta.

- Co jest grane?

Demon obrzucił mnie skonfundowanym spojrzeniem.

-Co?

- Flirtujesz z nim na potęgę.

- No i co? - prychnął Giguhl.

- A to, że kiedy zmieniłeś drużynę? Demon spojrzał wilkiem.

- Co to ma znaczyć?

Pochyliłam się bliżej i szepnęłam znacząco:

- Myślałam, że jesteś hetero.

Giguhlowi opadła szczęka. Potem zaczął się śmiać. Rechotał głośno i rubasznie. Skrzyżowałam ramiona i spojrzałam na niego.

- Z czego rżysz?

- Jesteś idiotką.

- Wielkie dzięki.

Demon wziął się w garść; wydał kilka zdławionych prychnięć, usiłując zapanować nad rysami twarzy.

- Nie jestem gejem, Sabino.

- Zatem biseksem? - dociekałam. Kolejne prychnięcie.

- Nie, jestem demonem, głupia.

Zerknęłam na niego zezem, starając się nadążyć za jego logiką. -I?

-I dla demonów orientacja seksualna to płynny koncept - wtrącił się Adam.

Najwyraźniej moje usiłowania prowadzenia tej rozmowy na stronie żałośnie zawiodły.

Giguhl wskazał maga i powiedział:

- Ding-ding-ding. Daj ciasteczko nekromancie. Podniosłam rękę.

- Czekał. Naprawdę?

- Och, jasne - potwierdził Giguhl, wzruszając ramionami. - Pieprzymy prawie wszystko.

- Myślę, że to wskazówka dla mnie, żebym wyszła -oświadczyła Zen. - Jeśli dojdziecie jeszcze do czegoś

w związku z tymi wampirami, które na was napadły, dajcie mi znać.

Spezony Giguhl wymamrotał przeprosiny pod adresem Zenobii, kiedy go mijala. Poklepała go po ramieniu. Po jej wyjściu demon zwrócił się do mnie:

- Niezłe zagranie, Sabino. Szczęka mi opadła.

- Moje? To nie ja mówiłam o posuwaniu wszystkiego, co się rusza.

-Prawdę mówiąc, to nie musi nawet być żywe... ale to nie ma nic do rzeczy. Ważne, że Brooks i ja jesteśmy po prostu przyjaciółmi.

Wyrzuciłam w górę rękę.

- To dlaczego sprawiasz wrażenie, jakbyś się chciał dostać do jego spodni?

- Robiłem sobie z ciebie jaja. - Uniósł szpon. - Demon intrygi, pamiętasz? - Urwał. - Ale nie kłamałem. Poważnie, Sabina, absolutnie wszystko.

Adam westchnął ze znużeniem, kiedy ja wydawałam zduszone dźwięki.

- Słuchajcie, kochani! Możemy wrócić do zastanawiania się nad przyczynami zasadzki?

- Dobra. - Na czym stanęliśmy? Zbyłam Giguhla, kręcąc głową.

Prawdę mówiąc, z ulgą przyjąłam zmianę tematu rozmowy. To, gdzie Giguhl wtykał swój interes, nie było w istocie moją sprawą. Z całą pewnością musiałam stawić czoło potencjalnie bardziej zgubnym kwestiom.

- Na tym, że musimy znowu pogadać z Erronen - zagał G, patrząc na mnie z wyższością.

Przewróciłam oczami.

- Wiesz, co mnie interesuje? - zapytał Adam. - Skąd wampiry kasty wiedziały, gdzie jesteśmy?

Wetknęłam ręce do kieszeni i oparłam się o stół obok biodra Adama. Coś mi zachręściło pod dłonią.

- Czekał no. - Wyjęłam skrawek papieru z zapisanym na nim adresem narkotykowej meliny

Necrospanku. -Niech mnie szlag!

Odwróciłam się, by Adam mógł na własne oczy ujrzeć dowód winy. Kiedy to do niego dotarło, twarz stężała mu z gniewu.

- Coś mi umyka? - zapytał Giguhl. Przypomniałam sobie wtedy, że demon był w sklepie z wróżem, kiedy dostarczono nam notatkę.

- Wydała nas przyjaciółka Mac.

- Co? Niemożliwe - sprzeciwił się demon. - Brooks nie skontaktowałby nas z trefnym informatorem.

-Nie jestem pewna, czy Mac jest tego świadoma. -Westchnęłam. - Ale jej źródło musi wiedzieć.

Między rogami demona uformowała się zmarszczka.

-Jeśli zabijesz przyjaciółkę Mac, to prosisz o kłopoty z tutejszymi wilkołakami. To może wywołać problemy z Brooksem i Zen.

Odepchnęłam się od stołu.

- Czego ty ode mnie chcesz, Giguhl? Mam zignorować to, że Adam został dziś posiekany?

- Nie mówię, że ktoś nie zasłużył sobie, żeby zapłacić za zdradę. - Spojrzał mi prosto w oczy. - Lepiej jednak, żebyś była stuprocentowo pewna, że dorwałaś właściwego dupka, zanim wdasz się w walkę.

Adam poruszył się na stole.

- On ma rację, Rudzielcu. Potrzebny nam plan. Spojrzałam na niego.

-Chodzi tylko o rozmowę, chłopaki. I co rozumiesz przez „my”? Nigdzie nie idziesz.

- Oczywiście, że tak. Nie zrobisz tego sama.

- Nie chcę tego mówić, ale przed niecałą godziną niemal wypruto ci flaki - prychnęłam. - Poza tym wezmę ze sobą Gigiego.

Adam zacisnął wargi.

-Przede wszystkim zważywszy, jak bardzo Mac nie chciała ujawnić tożsamości swojej informatorki, to przypuszczalnie nie będzie zwykła rozmowa. - Podniósł się, podpierając na łokciach. - Po drugie, daleko mi było do gubienia kiszek. - Skrzywił się i spuścił nogi ze stołu. -A po trzecie, może jestem zbyt słaby, by się uleczyć, ale nadal potrafię utrzymać broń.

Wzięłam się pod boki.

- Nie pozwól, żeby twoja duma wywołała więcej problemów, niż ich potrzebujemy.

Cofnął się dotknięty.

-I vice versa, Rudzielcu. - Głos miał cichy, zjadliwy.

Zacisnęłam szczęki. Dobrą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Łeb Giguhla obracał się z jednej strony na drugą w oczekiwaniu, aż jedno z nas przerwie patową sytuację.

- Pozwól mu iść, Sabina. Będę miał na niego oko. Zwieraliśmy się z Adamem spojrzeniem. -Nie.

Gdy mag zsunął się ze stołu i oparł ciężar ciała na nogach, biceps mu nabrzmał. Dłoń powędrowała ku bandażowi, ale zdołał się odsunąć od oparcia.

- Nie bądź idiotą, Adam, zaszkodzisz sobie.

Słyszając własny jędzowaty ton spod znaku: „Wiem, co dla ciebie najlepsze”, zamilkłam. Adam nie był moim podkomendnym. Do diabła, nawet Giguhl ledwo już podpadał pod tę kategorię.

-Dobra - powiedziałam w końcu. Nekromanta był przecież dorosły.

- Co? - Adam spojrzał na mnie sponad wkładanej koszuli.

Wzięłam głęboki wdech.

- Będę wdzięczna za twoją pomoc.

Giguhl wystąpił naprzód, kopyta stukały o deski podłogi.

- To podstęp, magu! Strzeliłam ku niemu spojrzeniem.

-Nie, naprawdę spoko. Tylko uważaj na siebie, dobrze?

Adam przyglądał mi się przez chwilę, jakby się spodziewał, iż zacznę się śmiać lub spuentuję wypowiedź. Kiedy zwyczajnie odpowiedziałam mu spojrzeniem, przybierając bardziej otwarty wyraz

twarzy, obciągnął do końca koszulę.

- To chodźmy pogadać sobie z wilczycą.

Kiedy zjawiliśmy się na miejscu, zarówno „Lagniappe”, jak i budynek mieszczący klub były ciemne.

Na ulicy też było pusto, gdy zanurkowaliśmy do wejścia. Wspięliśmy się szybko na pierwsze piętro i podeszliśmy do spłowia-łych niebieskich drzwi. Pomimo późnej - lub wczesnej, zależnie od rasy - godziny nie zapukałam delikatnie, tylko zabębniłam pięścią w drewno tak mocno, że zapiekły mnie kłykcie.

Po pięciu minutach nieprzerwanego stukania drzwi się w końcu otworzyły. Za progiem stała Mac w cienkim białym T-shircie i wkurzających bokserkach. Jedynymi dodatkowymi akcesoriami były wielka zmierzwiona od snu fryzura i strzelba. Na widok naszej trójki wilkołaczycy opuściła lufę, marszcząc brwi.

- Sabina?

- Cześć, Mac. Masz chwilkę?

Ziewnęła i przeciągnęła dłonią przez wronie gniazdo na głowie.

- Masz pojęcie, która godzina?

- Tuż po czwartej rano. Możemy wejść? To ważne. Kiwnięciem głowy wskazała ponad moje ramię.

- Co to za demon?

Zerknęłam na nią skonfundowana.

- To Giguhl.

Pokręciła głową.

- Sądziłam, że Giguhl to kot.

Dopiero wtedy przypomniałam sobie, iż pierwszy i ostatni raz widziała go drzemiącego na ladzie w sklepie Zen.

- Jedno i drugie - wyjaśniłam. - To długa historia. Możemy wejść?

Wyglądała na bardziej zmieszana niż kiedykolwiek wcześniej, ale w końcu aluzja w postaci napięcia w moim głosie zdawała się do niej docierać.

- Wszystko w porządku?

- Właściwie to nie. Wszystko jest od tego jak najdalsze. Zmarszczyła brwi i otworzyła szerzej drzwi.

- No to włąćcie.

Uśmiechnęłam się uprzejmie, ale w środku gotowałam się ze złości. Im więcej myślałam o tym, jak bliski utraty życia był Adam, tym mocniej swędziały mnie ręce, żeby udusić przyjaciółkę Mac.

Po drodze postanowiliśmy, że Giguhl i Adam będą się trzymali z tyłu, robiąc wrażenie na wypadek, gdyby Mac odmówiła ujawnienia tożsamości swojej informatorki. Ja miałam gadać, póki by - lub gdyby - nie nadeszła pora na brutalniejszą akcję. Nie wyjdę z mieszkania bez nazwiska - czy się to Mac podoba, czy nie.

Kiedy już się znaleźliśmy wszyscy w środku, wilkołaczycza oparła strzelbę o brzeg sofy i wróciła do nas.

- Mogę was czymś poczęstować? Wszystko, co mam, to piwo i woda.

Machnęłam ręką.

- Dobra. To siadajcie i powiedzcie, o co chodzi. - Zmęczenie zabarwiło jej słowa lekką chrypką.

Przysiadłszy na krawędzi kozetki, wyjęłam broń zza paska i położyłam ją w zasięgu ręki na stoliku do

kawy. Jeśli Mac zauważyła pistolet, to nie dała tego po sobie poznać. Zmarszczyła brwi jednak, kiedy moje chłopaki nie usiadły. Przeciwnie, stanęli bliżej drzwi, blokując wyj-

ście. Ruchy oczu Mac zdradzały, że wilczyca myśli gorączkowo.

- Czy Brooksowi i Zen nic nie jest? - zapytała.

- Mają się dobrze - odparłam normalnym tonem. - Ale Adam miał tej nocy pewne kłopoty. Prawdę mówiąc, wszyscy je mieliśmy.

Zmrużyła oczy.

- Co się stało?

- Wpadliśmy w zasadzkę.

- O, bogowie! Nic wam nie jest? - Spojrzała z niepokojem na maga. - Adam?

- W porządku. - Skinął głową. - Zenobia jest zręczną uzdrawiaczką.

- Mac - powiedziałam, zwracając na siebie jej uwagę. - Muszę poznać nazwisko twojej wampirzej informatorki. Zmarszczyła brwi.

- Po co?

Przesunęłam się na krawędź sofy.

- Podała ci tamten adres, zgadza się? Domu przy Pry-tania Street? Zasadzkę zastawiono o przecnicę dalej. - Miała więc rację co do obecności wampirów w tamtej posiadłości.

Pokręciłam głową.

- Jedyne, co tam znaleźliśmy, to grupkę nafaszerowa-nych prochami muzyków o niepokojących apetytach seksualnych.

- Przykro mi. To kto na was napadł?

- Doprawdy? Mam ci to przeliterować? - Zawahałam się, gdyż jej zakłopotana mina zmieniła się w twardszy wyraz. - Twoja przyjaciółka nas sprzedała!

Mrugnęła, gdy wniosek sam się narzucił.

- Jesteś szalona! Nie miała z tym nic wspólnego!

- Bądź poważna, Mac - zadrwiłam. - Twoja informatorka jest wampirzycą, a nas napadły wampiry.

Skrzyżowała ręce na piersi i przeszła mnie spojrzeniem.

- Być może jest za to odpowiedzialna wampirzyca, ale nie moja.

Obrzeża umysłu spowiła mi mgielka zwątpienia. Mac wydawała się całkowicie przekonana, że winnym może nie być jej źródło informacji. Spojrzałam na Adama.

- Podaj nam nazwisko, żebyśmy się mogli upewnić. Mac uderzyła dłońmi w podłokietniki fotela i wstała. - Dałam wam ten adres, bo chciałam pomóc, a teraz

oskarżacie moją przyjaciółkę o próbę zabicia was? Niewiarygodne!

Podniosłam broń.

- Nie chcę cię obrażać, ale jestem pewna, iż zrozumiesz, że nie możemy ci wierzyć na słowo.

Spojrzała na pistolet.

- Jesteś nienormalna. Mam cię gdzieś. Spiorunowałam ją wzrokiem.

- Może byś do niej zadzwoniła? Zapytała, czy zgodzi się z nami spotkać?

- Wynoście się w cholerę z mojego mieszkania! - powiedziała Mac, wskazując w kierunku wyjścia.

Właśnie wtedy drzwi w korytarzu za jej plecami się uchyliły. Rozległ się zaspany głos.

- Kochanie?

Mac zamarła. Chwyciłam broń i wstałam. Wilkołaczycyca wyrzuciła w górę dłonie, by mnie powstrzymać.

- Wszystko w porządku. Wracaj do...

W moje nozdrza uderzył zapach miedzi. No, no.

- Wyjdź z rękami w górze! - zawołałam, zagłuszając Mac.

- Nie! Zostań tam! - krzyknęła wilkołaczycyca.

Minęły dwie pełne napięcia sekundy, po czym z ciemnego holu wychynęła tycjanowska głowa. To

była wampetka, która kilka dni wcześniej zjawiała się w klubie Mac. Jej tajemnicza informatorka. I kochanka.

Wampirzyca podniosła ręce dopiero wtedy, gdy zoba-

czyła wycelowany w Mac pistolet. Na jej decyzję mógł także wpłynąć widok olbrzymiego demona i muskularnego maga. Jej blade dłonie powędrowały pod sufit. Ruch ramion uniósł rąbek T-shirtu, odsłaniając białe bawełniane figi.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - Odsłoniła kły.

- Powiedz jej, Mac - poleciłam, celując w pierś wilczycy. Mac sprawiała takie wrażenie, jakby przy najbliższej

okazji chciała mi urwać łeb.

- To Sabina Kane, o której ci mówiłam.

Twarz jej dziewczyny się ściągnęła, jakby na skutek zmieszania.

- Czekał no, sądziłam, że jej pomagałyśmy.

- Owszem. - Mac zgrzytnęła zębami.

- To dlaczego celuje w ciebie z pistoletu, Mackenzie?

- Najwyraźniej ma pewne problemy z zaufaniem.

- Gdzie byłaś o drugiej nad ranem? - zapytałam. Zmarszczyła brwi.

- W klubie Mac.

To niczego nie dowodziło. Z łatwością mogła zorganizować zasadzkę przez telefon przy barze.

- Od jak dawna pracujesz dla kasty? - dociekałam. Bez wahania czy spojrzenia na swoją kochankę odpowiedziała pytaniem: - Dla kogo?

Mac spojrzała na mnie z wyższością.

- Jak masz na imię? - Spróbowałam innego podejścia. Skrzywiła się.

- Georgia.

-No cóż, Georgio, wygląda na to, że mamy impas. Ponieważ dałaś Mac pewien adres. I w tamtym miejscu napadła na nas grupa wampirów. Rozumiesz, dlaczego jesteśmy podejrzliwi?

- Zatem były tam zamiejscowe wampiry? - odpowiedziała pytaniem, powtarzając wcześniejsze

stwierdzenie Mac. - Nic wam nie jest?

Albo były diabolicznymi intrygantkami, które przygotowały się na taką ewentualność i opracowały swoje historyjki, albo Mac mówiła prawdę, a ja byłam kolosalną idiotką.

Westchnęłam. Adam zaklął pod nosem. Kątem oka zauważyłam, że wymienił z Giguhlem spojrzenie, mówiące: „O, cholera!”. Przełknęłam i nieznacznie opuściłam lufę broni.

- Załóżmy teoretycznie, że mówicie prawdę...

- Nie ma w tym nic hipotetycznego! - warknęła Mac. Zignorowałam ją i parłam naprzód.

- Dlaczego dałaś Mac ten adres?

- Nie musisz jej niczego wyjaśniać. - Wilkołaczycyca zrobiła krok w stronę swojej dziewczyny.

Podniosłam pistolet; wyraźny znak, by została na miejscu.

- Wygląda na to, że ktoś musi oczyścić atmosferę - odezwała się Georgia. Odwróciwszy się do mnie, wyjaśniła: -Mac powiedziała, że potrzebujesz pomocy, więc dałam jej jedyną informację, jaką

wówczas dysponowałam... pogłoszę, że jakieś wampiry sprowadzają się do domu przy Prytania

Street. - Wzruszyła ramionami. - Teraz jednak ja mam do ciebie pytanie.

Przechyliłam głowę.

- Jakie?

- Czy facet, który was zaatakował dzisiejszej nocy, nosił pelerynę?

Tętno nieznacznie mi przyśpieszyło. Palce zacisnęły się mocniej na kolbie pistoletu na wypadek, gdyby Georgia nie była taka niewinna, jak twierdziła.

- Dlaczego pytasz?

Uśmiechem zareagowała na napięcie w moim głosie.

- Wcześniej tego wieczoru byłam w „Marigny”, polując na turystów, kiedy podszedł do mnie ten wampir w pelerynie.

- Z łaską? - zapytał Adam.

- To on. - Przewróciła oczami. - Kompletny dupek. Szczęka mi opadła, odchyliłam lekko broń.

- Niech mnie szlag!

Teraz, kiedy mój pistolet nie był w nią wycelowany, Georgia opuściła dłonie i przysunęła się bliżej Mac, zanim podjęła wąż.

- Stwierdził, że nazywa się Rupert i reprezentuje grupę, która werbuje wampiry. Facet był dziwny, nie? Więc mu powiedziałam, że nie jestem zainteresowana, i chciałam odejść. Chwycił mnie za ramię, a cała jego postawa się zmieniła. Powiedział, że w mieście jest nowa siła, która rekrutuje żołnierzy czy co tam.

- Podał ci jakieś nazwiska? - zapytałam. Pokręciła głową.

- Nie, ale dał do zrozumienia, że chodzi o potężną kobietę. Musi to być ta, o której Mac powiedziała, że jej szukacie, prawda? Ta, której mamy unikać?

Skuliłam się w duchu. Mac dotrzymała obietnicy, że ostrzeże przyjaciół przed Lawinią. Opuściłam broń.

- Chyba tak.

- W każdym razie facet twierdził, że każdy wampir, który nie podda się jej władzy, nie żyje długo.

Udałam zainteresowaną i obiecałam, że rozpuszczę o tym wici dla niego. - Pokręciła głową, jakby wciąż zdziwiona, że się na to nabrał. - Wydawał się zadowolony z takiego obrotu sprawy, zanim jednak podjął gadkę, zadzwoniła jego komórka. Nic nie mówił, tylko słuchał. Po chwili się rozliczył.

Nagle zaczęło mu się śpieszyć jak wszyscy diabli. Odbiegając, krzyknął jeszcze przez ramię, że zjawi się niebawem, by sprawdzić, jakie robię postępy. Wyglądało na to, że grunt pali mu się pod nogami.

Adam siedział już obok mnie na podłokietniku sofy, a Giguhl opierał się o ścianę, słuchając z uwagą.

Coraz mocniej ścisnęło mnie w żołądku. Nie tylko z tego powo-

du, że najwyraźniej oskarżyliśmy niewłaściwą osobę, ale także dlatego, że znaleźliśmy się jeszcze dalej od wykrycia, kto zatelefonował do Ruperta, podając mu miejsce naszego pobytu.

Zdając sobie sprawę, że właściwie mogę się przyznać do porażki, zwiesiłam dłoń z pistoletem między udami.

- Jasne, że się śpieszył. Był w drodze, żeby na nas napaść.

- W każdym razie po tym spotkaniu zatelefonowałam do wszystkich znanych mi wampirów w okolicy, by zwołać spotkanie. Ale nie po to, żeby ich werbować.

- Namawiałaś ich do opuszczenia miasta? - zapytał Adam, zerkając na mnie.

Skinęła głową.

- Dużo to dało! Tylko garstka zdecydowała się uciec. Oparłam się o poduszki kanapy.

- A reszta? Zamierzają współpracować z Lawinią?

- Nie. Zostają, by walczyć o nasze miasto. Roześmiałam się niewesoło.

- To znaczy, że wszyscy jesteście głupcami.

- Dobra - odezwała się Mac. - Dostyc tego. Usłyszeliście swoje wyjaśnienie, a teraz wynoście się stąd do diabła.

- Nie, czekaj - zaprotestowała Georgia. Kiedy Mac wydała obrzydliwy dźwięk, podniosła dłoń,

prosząc o cierpliwość. - Uważasz, że jesteśmy głupcami, tylko dlatego że nie pozwalamy tyranowi się rozpychać?

Westchnęłam z głębi piersi w sposób, jaki poprzedza podzielenie się z kimś ufnym złymi wiadomościami.

- Cóż, Georgio, odpowiedź na twoje pytanie brzmi tak: Lawinia Kane nie jest zwykłym tyranem, tylko cholerną Dominią alfa. To, że mieszkasz w Nowym Orleanie, a nie Los Angeles, nie usprawiedliwia

twojego niezrozumienia sytuacji.

- No więc, jest potężna. - Georgia wzruszyła ramionami.

Prychnęłam.

- Nie zwyczajnie potężna, Georgio. Wiekowa. Widziała powstawanie i upadek imperiów. Zabiła

więcej wampirów, niż ich w życiu spotkałaś. Zamieniała ulice w rzeki krwi w Starym i Nowym

Świecie. A kiedy czegoś chce, nie ustanie, póki tego nie zdobędzie. Zatem tak, uważam, że ty i twoi przyjaciele jesteście głupcami, skoro w ogóle rozważacie możliwość pokonania jej.

Georgia przechyliła głowę.

- Czyż Mac nie mówiła mi, że chcesz zabić Lawinię Kane?

Oblizalam wargi. -Tak.

Usta Georgii powoli rozciągnęły się w uśmiechu.

- To znaczy, że chyba obie jesteśmy głupie. Co, skarbie? Podobała mi się ta dziewczyna. Miała ikrę i cechowała

ją odświeżająca bezpośredniość.

- Nie masz pojęcia jak bardzo.

- Oszczędź sobie śliny - odezwała się Mac. - Ona wyjeżdża dziś w nocy.

Uśmiech wampirzycy zniknął.

- Ani mi się śni. Zostaję, bez dwóch zdań.

Mac zerknęła na mnie, po czym odciągnęła Georgię na stronę. Chcąc im zapewnić trochę prywatności, odwróciłam się do Adama i skinęłam na Giguhla, by się zbliżył. Mag westchnął przeciągle.

- Trzymasz się, nekromanto?

- Nic mi nie będzie. To znaczy, jeśli Mac nie wyceluje w nas tej strzelby.

- Och, daj spokój. Jest po prostu wściekła, że odkryliśmy, iż sypia z wampirzycą. Obiecuję nie zdradzić nikomu tej tajemnicy, i to wystarczy.

To stwierdzenie ściągnęło na mnie dwa pełne niedowierzania spojrzenia. Rozmowa po drugiej stronie pokoju przerodziła się w krzykliwe kłótnię.

- ..nie pozwól, by ci nakładła do głowy jakieś pomysły. To wariatka! - Mac nawet nie próbowała udawać, że nie chodzi jej o mnie. Prawdę mówiąc, wyciągnęła palec w moją stronę, gdy krzyknęła: - Ona doprowadzi do twojej śmierci!

- Sądzę, że musimy sobie coś wyjaśnić - stwierdziła lodowatym głosem Georgia. - Tylko w łóżku lubię, by nade mną górowano. Kiedy ponownie mam ubranie na grzbiecie, nie masz prawa mną rządzić!

- Po namyśle dochodzę do wniosku - odezwałam się - że chyba potrzebują trochę prywatności.

Wstałam i skierowałam się do drzwi. Giguhl i Adam się ociągali, zbyt zainteresowani przedstawieniem, by wyjść.

- Zdaje mi się, że zaraz się zaczną całować! - syknął Giguhl.

Przewróciłam oczami i chwyciłam Adama za ucho.

- Chodźmy.

Mag krzyknął i momentalnie wstał. Puściłam go i pchnęłam w stronę drzwi, uważając, by nie szturchnąć go w zranione miejsce.

Giguhl został potraktowany z mniejszą troskliwością i musiał zostać siłą wyciągnięty z pomieszczenia. Jeśli będziemy mieli szczęście, między kobietami dojdzie do gwałtownego seksu na zgodę. Być może wówczas Mac nie pogoni za mną ze strzelbą za to, że z powodu nieporozumienia trzymałam na muszce pistoletu jej dziewczynę.

Z mieszkania dobiegł huk.

Może powinnam była zabrać tę strzelbę.

ROZDZIAŁ 16

We śnie ręce miałam przytroczone za pomocą mosiężnych kajdanków do krokwi nad głową. Wilkołak

w całej krasie, charakterystycznej dla pełni księżyca, celował ze śrutówki prosto w moją twarz. W cieniu, tuż poza zasięgiem światła samotnej gołej żarówki, przechadzał się mężczyzna. Od czasu do czasu słaby blask odbijał się od szopy jego rudych włosów.

- Kim jesteś? - zapytałam, szarpiąc boleśnie nadgarstkami.

Zatrzymał się. Odwrócił. Wciąż nie widziałam jego twarzy.

- Znamy się od samego początku.

Wszedł w stożek światła. Zatchnęło mnie. Był piękny. Bardzo piękny. Długie szkarłatne włosy, oliwkowa cera, oczy w barwie szmaragdów. Wysoki, cudowna muskulatura. Nie mięśniak z siłowni, ale o wdzięku greckiego posągu. Dawid, a nie Goliat. Wszystko zbyt doskonałe, by nie było złem wcielonym.

- Nie znam cię.

Położył dłoń na sercu i zamknął oczy. Jakby moje słowa go zraniły.

- Moja ukochana *Lamashtu*. Wkrótce ponownie się złączymy. Na zawsze.

Krew spływała mi z nadgarstków, po ramionach, i rozlewała się na betonowej podłodze.

- Jesteś szalony.

Podniósł wzrok, źrenice miał teraz ciemniejsze. Bardziej szalone.

- Przypomnij jej, gdzie ma serce. Kim jest jej pan. Wilkołak się zbliżył. Wbił mi zimny metal w mostek.

- Nie znam cię! - wrzasnęłam.

Złowrogie, podwójne szczęknięcie przeładowywanej strzelby. Jego obrzydliwy uśmiezek zniknął.

- Gdzie jest moja pieprzona sowa? - szepnął. *Bum!*

Obudziłam się ze wzdrygnięciem. Oddech miałam wysilony, a tułów oblewał mi zimny pot.

Pomasowałam klatkę piersiową, czując ulgę, że znajduję nieuszkodzoną skórę. Przed oczami pojawiła się zielona łapa. Zapach kawy z trzymanego przez nią kubka mnie uspokoił. Sięgnęłam po naczynie,

ale szpony zabrały je poza zasięg mojej ręki.

- Najpierw będziesz musiała wstać - powiedział Gi-guhl z rozbawieniem w głosie.

Jasne, jak by miało do tego dojść!

- Odejdź! - jęknęłam, obracając się, by ponownie zagrzebać się w pościeli.

Mój dręczyciel szarpnięciem pozbawił mnie poduszki. W twarz uderzyły mnie niesamowite światło i mroźne powietrze.

- Nie każ mi cię skrzywdzić, G!

- Chciałbym zobaczyć, jak to robisz, krwiopijco! - W następnej kolejności zniknęło okrycie. - A teraz wstawaj i pośpiesz się.

Obróciłam się, by spiorunować mego sługę wzrokiem, na co w pełni zasłużył.

- Która godzina?

Stał tuż poza zasięgiem kopnięcia nogą, kołysząc w powietrzu kubkiem jak przynętą.

- Czwarta.

Nic dziwnego, że Adam posłał Giguhla, żeby ten mnie obudził. Czwarta po południu jest dla mnie tym samym, czym czwarta nad ranem dla ludzi. Chociaż w pokoju wisiały grube zasłony, zerknęłam w

stronę światła, wlewającego się przez drzwi, które demon zostawił otwarte na oścież.

- Dlaczego? - warknęłam.

Giguhl westchnął i przeszedł przez pokój, by wziąć z nocnego stolika okulary przeciwsłoneczne.

- O bogowie, ale z ciebie primadonna - poskarżył się, wręczając mi je.

- Wal się, demonie. - Z wysiłkiem przerzuciłam nogi poza brzeg pościeli i usiadłam z jękiem.

Wypchnęłam z głowy resztki paniki, która opadła mnie we śnie jak złe wspomnienie. Nic dziwnego,

że mam stresujące sny, jeśli wziąć pod uwagę wszystko, co się działo. - Gdzie nekromanta?

- Poszedł kupić dla ciebie krew. Powiedział, że kiedy wróci, odbędziemy naradę, po czym pójdziemy z Zen odprawić rytuał.

Kompletnie zapomniałam o propozycji Zenobii, byśmy tej nocy spróbowali się skontaktować ze

światem duchów. Przesunęłam dłonią po twarzy i ziewnęłam.

- Na jaki temat to spotkanie? - Giguhl strzelił ku mnie wzrokiem. Przypomniała mi się nieszczęsna rozmowa z Mac, wraz z rewelacjami ujawnionymi przez Georgię. - Ach, racja.

Wyciągnęłam rękę po kawę. Demon skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na mnie wilkiem.

Uderzyłam stopami o deski podłogi i oderwałam tyłek od łóżka. Podeszłam do Giguhla z groźbą w oku.

- Zadowolony?

Okulary słoneczne zniszczyły przypuszczalnie cały efekt, ale demon chyba wyczuwał, iż nieposłuszeństwo zaowocuje bólem. Wręczył mi kubek.

- Jezu, ale z ciebie dzisiaj jędz! - prychnął.

Upiłam kilka wzmacniających łyków, choć kawa zrobiła się letnia.

- Nie spałam dobrze - poskarżyłam się między kolejnymi haustami.

- Nie mów, siostrzyczko. Nekromanta ma paznokcie u stóp jak pieprzony leniwiec. Podrapał mi łydki, jakby nigdy nic. Nie wspominając o tym, że dwie godziny temu ta piekielna sowa zaczęła skrzeczeć

niczym erynia.

Przełknęłam pośpiesznie łyk kawy.

-O, cholera! - Wobec wszystkich innych wydarzeń sowa w lodówce całkowicie wyparowała mi z pamięci.

- Nie martw się. Najwyraźniej Zen i Brooks nie zapomnieli o ptaku. Zenobia powiedziała, że wczoraj, kiedy nas nie było, nakarmiła go szczurami.

Odetchnęłam głośno.

- Nie mogę uwierzyć, że zapomnieliśmy o Stryx.

- Wiesz, czego ci potrzeba? - zapytał Giguhl. Uniosłam brew, przygotowując się na puentę. - Listy spraw do załatwienia. Pomogłaby ci pamiętać o wszystkich istotach pragnących twojej śmierci, i o szatańskim ptaszysku, które porwałaś.

Ułożyłam spis w głowie:

1. Odprawić rytuał wudu nad złą sową.
2. Odkryć, kto nas wydał anachronicznej kaście wampirów.
3. Naprawić stosunki z wilkołaczą lesbijką.
4. Uratować siostrę bliźniaczkę.
5. Zamordować babcię.

Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać.

- Taaa, zaraz się do tego zabieram. Giguhl wychwycił sarkazm.

-Jak sobie chcesz, ale nie przychodź do mnie, kiedy zapomnisz, kiedy kogo masz zabić.

Przewróciłam oczami i zebrałam ubranie z toaletki.

- Muszę wziąć tusz.

To była dla niego wskazówka, by wyjść, ale Giguhl ociągał się, nagle tracąc rezon. Zacisnął szpony.

- Hmm, muszę ci coś powiedzieć.

Ścisnęło mnie w żołądku. Tego rodzaju gadka ze strony demona intrygi nigdy nie wróżyła niczego

dobrego.

- Co znowu?

Wbił w podłogę wzrok koźlich oczu.

-Ja, cóż... i to w ogóle nie jest moja wina, bo spałem - powiedział. - Ale w pewien sposób przystawiałem się zeszłej nocy do Adama.

Udławiłam się kawą.

- Próbowalesz przez sen przelecieć Adama?

- Nie chciałem go przelecieć, tylko, hmm, ocierałem się trochę o jego nogę.

Rechot wyrwał mi się z ust, zanim zdołałam się powstrzymać. Głowa demona opadła.

- Sądzę, że podświadomość uważała, że on jest... no-wiesz-kim.

Pomimo rozbawienia starałam się nie zapominać, że Giguhl wciąż lizał rany po tym, jak został porzucony. Wydawał się niezmienny, ale domyślałam się, że jego dusza ma większą głębię, niż mu przyznawałam. Przełknęłam resztę chichotów i przywołałam na twarz współczującą minę. Wolną dłonią poklepałam go niezdarnie po ramieniu.

- Przykro mi.

Podniósł wzrok, oczy zwęziła mu podejrzliwość.

- Co? Żadnych dowcipów?

Pokręciłam głową.

- Nie zrozum mnie źle. Zapłaciłabym kupę forsy, żeby zobaczyć wyraz twarzy Adama... - Giguhl się cofnął. Chwyciłam go za ramię. - Posłuchaj, jestem pewna, iż mag rozumie, że nie chciałeś naprawdę... - zagryzłam usta, by powstrzymać wyrywający się na wolność śmiech - ...stać się frywolny wobec niego.

Na szczęście demon nie zauważył moich wysiłków i opadł na łóżko.

- Tęsknię za nią czasami.

Rozumiałam, że ma na myśli Valwę. Położyłam ubrania na nocnym stoliku i usiadłam obok Giguhla.

Przykro było patrzeć, jak jest zdołowany. Czułam się kompletnie nieprzygotowana do udzielania sercowych porad. Klepiąc go niezręcznie po kolanie, powiedziałam:

- To chyba zrozumiałe.

Wtedy spojrzał na mnie z niepewną miną.

- Naprawdę? Wzruszyłam ramionami.

- Jasne. Zanim pokazała, jaka jest...

Rozbierając się w sali pełnej napalonych wampirów, czym doprowadziła do gwałtownych striptizowych zamieszek i spalenia do fundamentów baru mojego przyjaciela.

- ...wyglądało na to, że naprawdę macie się ku sobie. Skrzywił usta w demonicznym naśladownictwie kwaśnej miny.

- Po prostu nie kapuję tego.

- Ani ja. Jesteś dobrą partią i jeśli tego nie widziała, to jej strata.

- Tak uważasz? - Zerknął na mnie spod oka.

- Wiem to. Zasługujesz na sukuba, która rozumie, jakie spotkało ją szczęście, że cię ma.

- Tak sędzę.

Klepnęłam go przyjacielsko w bark.

- A na razie powinniśmy może rozdzielić jakoś w łóżku ciebie i nekromantę.

Demon wykrzywił wargi. Spojrzał z błyskiem w oku.

- A może mógłby spać z tobą? - Czarne brwi poruszyły się sugestywnie.

Teraz była moja kolej, by ciężko westchnąć.

- Nie jestem pewna, G.

-Och! - Nozdrza rozděły mu się, jakby wyczuł coś dramatycznego. Poruszył się i spojrzał mi w oczy.

-

Opowiedz o wszystkim Gigiemu!

Wzruszyłam ramionami.

- Nie ma o czym mówić. Zdecydowanie zbliżyliśmy się do siebie i w ogóle, ale ja się powstrzymuję.

- Och, Sabina. - Giguhl pokręcił smutno głową. - Co ty najlepszego robisz?

Odsunęłam się.

- O co ci chodzi?

Przechylił głowę i posłał mi spojrzenie pod tytułem: „bądź poważna”.

- Nie udawaj przede mną idiotki, krwiopijco. Oboje wiemy, że palisz się do nekromanty. - Otworzyłam usta, by zaprotestować, ale demon parł dalej. - Nawet się nie kłopotz zaprzeczaniem. Pytanie brzmi, dlaczego ciągle sabotujesz coś, co mogłoby być wspaniałe dla was obojga?

Przewróciłam oczami. To dopiero szczęście, żeby mieć faworyta, uważającego się za doktora Phila w świecie demonów!

- Niczego nie sabotuję. - Odwróciłam wzrok, niezdolna wytrzymać jego znaczącego spojrzenia.

- Jak chcesz. Uważam, że powinnaś znaleźć tego chłopaka i powiedzieć mu, co do niego czujesz. A potem po-ujeżdżać go jak na kolejce górskiej.

- Nie mogę.

- A to dlaczego?

- Chodzi ci o inne powody niż liczne zamachy na na-

sze życie, konieczność ocalenia siostry i zabicia babci? - Rzucił mi spojrzenie, które jasno

wskazywało, że to są kiepskie wymówki. - Dobra, co powiesz na to, że w istocie odtworzylibyśmy grecką tragedię, będącą udziałem moich rodziców?

Nie zmienił wyrazu twarzy, tylko zmarszczył czoło. Wzniosłam oczy pod sufit, wiedząc, że to, co

miałam zaraz zrobić, może się okazać strasznym błędem. Z drugiej strony, być może podzielenie się ciężarem tajemnicy zmniejszyłoby go? Wahałam się chwilę, a w końcu się przełamałam.

- Jest coś, o czym ci nie mówiłam.

- Jesteś oziębła? Wiedziałem! Uderzyłam go w ramię.

- Nie, nie jestem oziębła.

- Chora wenerycznie?

-Zamknij się i słuchaj, zanim stracę panowanie nad sobą.

Udał zamykanie ust na kluczyk. Westchnęłam chrapliwie.

- Dobra, pamiętasz, jak w Nowym Jorku Maisie pomogła mi w ucieczce, żebym się mogła ukryć u

Slade'a, póki nie opadnie kurz po tym wypadku z Banethsheshem? -Kiedy demon skinął głową,

ciągnęłam pośpiesznie: -No cóż, rzecz w tym, że tak jakbym miała stosunek ze Slade'em.

Oczy demona przybrały wielkość spodków.

- Coś ty sobie myślała, Sabina?

Uciszyłam go i się rozejrzałam, chcąc się upewnić, że nikt go nie słyszał. Potem przypomniałam sobie, że jesteśmy sami. Mogłam szukać wymówki, że uważałam, iż magowie się do mnie odwrócili

plecami, więc chciałam znaleźć pocieszenie w ramionach dawnego przyjaciela, ale w tej chwili to

naprawdę nie miało znaczenia.

Giguhl machnął łapą.

- Och, nie w tym rzecz. Chodzi mi o to, że co ty sobie myślałaś, nie mówiąc mi o tych wszystkich

brudach? Wiesz, że uwielbiam plotki. - Pochylił się z ożywieniem. - Było fajnie?

Mrugnęłam.

- Nie zamierzasz mnie opieprzyć za zdradzenie Adama? Demon wzruszył ramionami.

- Jeśli dobrze pamiętam, ty i mag nie byliście... i nadal nie jesteście, mógłbym dodać... oficjalną parą.

Zmarszczyłam brwi. Chociaż teoretycznie miał rację, wymówka niespecjalnie mi odpowiadała.

- Nie, ale kiedy wrócił z dworu królowej Maeve, zastanawialiśmy się nad zbadaniem tej możliwości.

Giguhl oparł szpon na moim biodrze.

- Ciiii. Musisz teraz posłuchać Gigiego. - Zezowałam na niego, póki nie zabrał pazura. Odwrócił się do mnie frontem i oparł mi łapy na barkach. - Słuchasz? Bo zamierzam ci przedstawić pewne ważne spostrzeżenia.

W pierwszym odruchu chciałam mu powiedzieć, że nie mam ochoty więcej o tym mówić, ale w

końcu

zwyciężyła ciekawość, więc skinęłam głową.

- Twoje poczucie winy stanowi jedynie wymówkę, bo lękasz się zmierzyć z intymnością.

Otworzyłam usta, by zaprotestować, ale porozumiewawcze spojrzenie, jakim mnie obrzucił,

powiedziało mi, że marnowałabym jedynie ślinę. Bo, doprawdy, kogo ja oszukiwałam?

- Założmy, że masz rację - powiedziałam wolno. - Co mam z tym począć?

- No cóż, przede wszystkim będziesz musiała zrobić pierwszy krok. Adam wie, że jesteś płochliwa, i nie chce cię odstraszyć.

- A kiedy, dokładnie, mam doprowadzić do uwiedzenia? - Pochyliłam się. - Dziś na cmentarzu,

podczas rytuału wudu, czy też tuż przed tym, nim zabiję własną babcię?

Giguhl przewrócił oczami.

- Poznasz odpowiedni moment. Zaufaj temu. Sztuka polega na niesabotowaniu tej chwili tylko

dlatego, że jesteś zbyt bojaźliwa, by pozwolić sobie na szczęście.

- Zgódźmy się zatem dla dobra dyskusji, że robię swój ruch i wszystko się udaje. - Żołądek wykonał

niewielkie salto na myśl o uwodzeniu Adama. - A co ze sprawą Slade'a?

Spojrzał mi prosto w oczy i rzekł:

- Nie powiesz mu. -Ale...

- Nie, nie możesz mu powiedzieć. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, i ta przygoda ze Slade'em nie ma znaczenia, to twierdzę, że o czym Adam nie wie, nie zrani go. Poza tym, skąd mamy pewność, czy

mag nie zaliczył jakiejś wróżej dupci, kiedy przebywał w Karolinie Północnej?

To mnie zastanowiło. Na samą myśl o Adamie baraszkującym z inną laską wzrok przesłoniła mi

czerwona mgielka.

- Nie zrobiłby tego.

- To facet, Sabino - stwierdził Giguhl. - Z pewnością by to zrobił. Tym bardziej, że tak szybko się wypierasz jakiegokolwiek zainteresowania jego osobą za każdym razem, kiedy do ciebie uderza.

W odpowiedzi zacisnęłam pięści. Demon musiał wyczuć wznoszący się we mnie ku powierzchni

strumień rywalizacji, gdyż dołał oliwy do ognia.

- Naprawdę zamierzasz pozwolić, by jakaś wróża wy-włoka skradła ci twojego mężczyznę?

Zmrużyłam oczy. -Nie!

Giguhl poklepał mnie po plecach.

- Zuch dziewczyna!

Moje postanowienie zabuksowało trochę.

- Co mam robić, zanim nadejdzie ta właściwa chwila?

Tym razem klepnął mnie w ramię.

- Zachowuj się normalnie. Bądź sobą.

No jasne! Najczęściej, kiedy patrzyłam w lustro, czułam się tak, jakbym oglądała kogoś obcego. W jaki sposób, do diabła, miałabym być sobą, kiedy sama myśl, że jestem tak emocjonalnie wrażliwa, kazała mi ograniczać straty i uciekać gdzie pieprz rośnie?

Właśnie wtedy drzwi salonu się otworzyły, anonsując przybycie Adama. Wstając z łóżka, Giguhl posłał mi znaczące spojrzenie. Chwilę później spoza framugi wychynęła głowa maga, ozdobiona piaskowej barwy włosami.

- Co słychać?

Zamarłam. Normalnie skorzystałabym z okazji, by za sprawą ich niespełnionego seksu przez sen wprawić obu facetów w zakłopotanie. Teraz jednak potrafiłam się jedynie gapić na nekromantę, kompletnie onieśmielona.

-Sabina? - powiedział, wchodząc do pokoju. Obok mnie demon wydał z siebie chrząknięcie, stanowiące niezbyt subtelne przypomnienie. - Wszystko w porządku? -dopytywał się Adam.

Gdy się zastanawiałam, co by mu odpowiedzieć, mój wzrok miotał się szaleńczo po pomieszczeniu. Spojrzenie spoczęło na pozostawionych na nocnym stoliku ubraniach; poderwałam się.

- Muszę wziąć tusz.

Chwyciłam ciuchy i przepchnęłam się obok skonfundowanego maga, po czym poszukałam schronienia w łazience. Przez drzwi usłyszałam wołanie nekromanty:

- Pośpiesz się! - Potem, cichszym tonem, Adam zwrócił się do Giguhla: - O co chodzi?

- Znasz Rudzielca. Nigdy nie jest naprawdę sobą. - I Jemon podniósł głos, żebym na pewno odebrała wiadomość. - Kiedy się obudzi.

Pół godziny później, po ostrej rozmowie z samą sobą, zesłam po schodach i zastałam wszystkich zebranych wokół kontuaru. Uderzyło mnie, że sklep Zen zdawał się być zawsze pusty, ale przypomniałam sobie, że przez mój nocny tryb życia rozmijałam się z jej normalnymi godzinami pracy.

Kiedy weszłam, Adam i Zenobia pochylali głowy nad książką. Mag zerknął na mnie.

- Hej, krew dla ciebie jest tam. - Skinął w stronę przeciwległego końca blatu.

- Dzięki.

Zdusiłam w sobie resztki wcześniejszej niepewności. Jak powiedział Giguhl, póki okazja sama się nie pojawi, muszę mieć jasną głowę. Pozwolić, by historia z Adamem rozpraszała mnie jak zakochaną

roztrzępaną nastolatkę, byłoby kolosalnym błędem. Otwierając pojemnik z krwią, zerkałam ponad ramieniem nekromanty na książkę.

- Co to takiego?

Adam podniósł wzrok i zmarszczył nos na widok garnka z krwią, znajdującego się dziesięć centymetrów przed jego twarzą. Natychmiast odsunęłam naczynie i wymamrotałam przeprosiny.

Kiedy upiłam pierwszy łyk, odpowiedział:

- Powtarzamy rytuał, żeby mieć pewność, że niczego nie zapomnieliśmy.

Skinęłam głową i rozejrzałam się w poszukiwaniu Gi-guhla, ale nie było go tutaj.

- Gdzie Pimpuś Sadełko?

Adam wskazał kciukiem w stronę schodów.

- Pomaga Brookswi przy jego kostiumie na dzisiejszą noc.

Zen zamknęła książkę i naniosła ostatni wpis na sporządzanej liście.

- Adam powiedział, że zeszłej nocy mieliście jakieś kłopoty z Mac?

Przełknęłam szybko krew, której miałam pełne usta.

- Była mocno wkurzona.

Zenobia klasnęła językiem o podniebienie.

- Nie postawiłabym na to, że szybko wam wybaczy. Wilkołaki lubią długo chować urazę.

Spojrzałam na Adama.

-To niedobrze, ale mamy poważniejsze sprawy na głowie. Jak ta, że nie zbliżyliśmy się ani o krok do znalezienia Maisie, nie dowiedzieliśmy się, kim jest informator Lawinii ani co ona planuje. -

Frustracja sprawiła, że czułam kamień na wezbranej piersi. Postawiłam na ladzie pojemnik z krwią. -

Wygląda na to, że poruszamy się po omacku, reagując na wrogie ruchy Lawinii, zamiast przejąć inicjatywę.

- Rytuał powinien pomóc - stwierdziła Zenobia. - Duchy powiedzą nam, gdzie znaleźć twoją siostrę.

Chciałabym podzielać jej optymizm. Szczerze? Nie widziałam w wudu remedium na problemy. Jasne,

zaklęcia nekromantów były potężne i skuteczne w wielu wypadkach. Magów stworzyła bogini Hekate

- już z prawa urodzenia posiadali czarodziejskie umiejętności. Ale ludzie? Znałam mnóstwo

śmiertelników parających się sztukami tajemnymi, ale dla mnie były to bardziej przesady i rozbu-

dowane obrzędy niż prawdziwa magia. A poza tym byli oczywiście tacy, jak chiromanci z Jackson

Square, żerujący dla pieniędzy na ludzkich przesadach i naiwności. To, że Zen była częściowo

nekromantką, nie przekonywało mnie. Pokoleniowe rozrzedzenie materiału genetycznego musiało

zmniejszyć jej zdolność podłączania się do tego samego źródła mocy, z którego korzystali pełnej krwi magowie. Jednakże Adam przeczytał wszystko, co dotyczyło rytuału, i wierzył, że to pomoże, więc

byłam gotowa na to przystać. Poza tym jakie miałam inne możliwości w tym momencie?

- Co to może zaszkodzić? - zapytałam, wzruszając ramionami.

Zenobia zebrała książki i notatki.

- Wobec tak zdecydowanego poparcia zmywam się, by przygotować kilka ostatnich rekwizytów.

Bądźcie gotowi ruszać za godzinę.

Zniknęła na zapleczu. Adam powtarzał sobie zaklęcie, podczas gdy ja piłam krew. Pukanie do drzwi zmusiło mnie do odstawienia kubka i sięgnięcia po broń. Wymieniliśmy z Adamem pełne niepokoju, czujne spojrzenia. Osłaniał tyły, kiedy ruszyłam na front sklepu. Stałam z boku drzwi na wypadek, gdyby ktoś postanowił podstępnie strzelić przez zasłonięte okienko. Kiedy jednak odsunęłam roletę, ujrzałam uśmiechającą się i machającą Georgię.

Przestałam wstrzymywać oddech, odsunęłam zasuwę i otworzyłam szeroko drzwi. Georgia weszła od razu. Miała na sobie czarne obcisłe dżinsy, zieloną szyfonową koszulkę na ramiączkach, na niej czarny kardigan, a na nogach baletki. Jak na kobietę, która przypuszczalnie spędziła większą część nocy uwikłana w sprzeczkę z kochanką, zachowywała się nadzwyczaj radośnie.

- Witajcie wszyscy.

Zerknęłam za jej plecy, zdecydowanie spodziewając się widoku ponurej twarzy pewnej wilkołaczycy.

Georgia zauważyła moje spojrzenie i powiedziała:

- Nie martw się, jestem sama.

Zamknęłam drzwi na zasuwę. Adam podszedł do nas, kiwając wampirzycy głową na powitanie.

- Co słychać?

- Przyszłam, by zaoferować pomoc - oświadczyła, wznosząc ręce w wielkodusznym geście.

Zerknęłam na nią.

- W czym konkretnie?

- W pokonaniu twojej babki, oczywiście. -Zdawało mi się jednak, że Mac nie chciała, żebyś.. . - zaczął

Adam.

Georgia przecięła dłonią powietrze, przerywając mu.

-To sprawa pomiędzy Mac i mną. Powiem tylko, że wiele by dla mnie znaczyło, gdybyście zachowali wiedzę o naszym związku w tajemnicy. Ze względu na zakaz międzyrasowego parzenia się.

Zwłaszcza jeśli jedną z zaangażowanych jest siostrzenica nowojorskiego alfy.

-Wyobrażam sobie, że Michael Romulus nie byłby także zachwycony związkiem lesbijskim - dodał Adam. -Wolałby odpowiadającego Mac samca, żeby wzmocnić stado.

Georgia ponuro skinęła głową.

- Masz rację.

Westchnęłam i skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Posłuchaj, Georgio, jestem ostatnią osobą, która czułaby się zgorszona twoim związkiem. Sama mam mieszaną krew, pamiętasz?

- Właśnie to mi powiedziała Mac. - Wampirzyca westchnęła. -Ale potrafi być trochę... nierozsądna, gdy idzie o chronienie naszej prywatności.

Wzruszyłam ramionami.

-Jak powiedziałam, jeśli Michael Romulus się o was dowie, to nie ode mnie ani od Adama.

Nekromanta potwierdził skinieniem głowy.

- Czy naprawdę to cię tutaj sprowadza? Georgia pokręciła głową.

- Nie. Przyszłam zaoferować wam współpracę ośmiu sprawnych fizycznie wampirów.

- A jak to ma nam pomóc? - zapytał Adam. Georgia podeszła do półki z kolekcją świec. Podniosła czarną, z wymalowaną na szkle czaszką.

- Chcecie znaleźć babcię Sabiny, zgadza się? Skrzyżowałam ramiona na piersi i zadarłam brodę.

- Właściwie staramy się odszukać moją siostrę, ale obie będą w tym samym miejscu.

- Cóż, kto łatwiej znajdzie kogoś w Nowym Orleanie,

jak nie paczka lokalnych wampirów? Znamy wszystkie zaułki, kryjówki i tereny żerowania w mieście.

Wymieniłam spojrzenia z Adamem. Hmm.

Georgia pośpiesznie mówiła dalej:

- Utworzymy grupy poszukiwawcze i objedziemy różne okolice w poszukiwaniu twojej siostry, babki czy członków kasty.

Odstawiła świecę i wyjęła z tylnej kieszeni spodni kawałek papieru. Rozpostarłszy go na kontuarze, skinęła na Adama i na mnie, żebyśmy do niej podeszli. Zaciekawieni zbliżyliśmy się i przekonaliśmy, że kartką jest plan Nowego Orleanu.

- Proponuję, żebyśmy się podzielili na dwie grupy, odpowiedzialne za przeszukanie konkretnych stref.

Ponieważ do wszystkich starć doszło w Garden District i French Quarter, zaczniemy od tamtych okolic.

Adama opanował nastrój taktycznego planowania.

- Ile osób na zespół?

- Każdy oddział będzie liczył pięcioro członków. Wyobrażam sobie, że dzięki temu nikt nie zostanie złapany samotnie, jeśli natknie się na pacholków tej suki, twojej babki, albo na nią samą. Poza tym, dysponując tyloma ludźmi, będziemy w stanie przeszukać tej nocy obie strefy.

- Czekaj - wtrąciłam się. - Powiedziałaś, że masz tylko ośmioro wampirów. Kim są pozostali?

- To wy. Trzeba, by każde z was dołączyło do jednego zespołu, bo macie więcej doświadczenia w spotkaniach z Lawinią i jej zabijakami.

Pochylony nad mapą Adam zerknął na mnie. Wyprostowałam się z westchnieniem.

- Sądzę, że moglibyśmy przełożyć ten rytuał z Zen... - pomyślałam na głos.

- Niemożliwe. Zenobia powiedziała, że obrządek musi się odbyć dzisiejszej nocy, bo jutro jest Halloween. Nie możemy go odkładać ani chwili dłużej.

- Cholera! - zakląłam.

- Jest jednak inna możliwość - stwierdził Adam, prostując się. - Ty możesz iść z Zen, a Giguhl i ja na patrol.

Złapałam maga za rękaw.

- Wybacz nam na chwilę - powiedziałałam przez ramię do Georgii. W rogu zwróciłam się do Adama:

-

Nie ma mowy.

Spojrzał na mnie wilkiem, jakbym zachowywała się nierozsądnie.

- To ma sens, Rudzielcu. W postaci kota Giguhl może spenetrować miejsca, do których wampiry ani magowie nie mają dostępu.

- Nie, nie o to chodzi. Nie uziemisz mnie z tym rytuałem wudu, żeby samemu mieć frajdę. Poza tym jesteś ne-kromantą, to bardziej logiczne, żebyś to ty pomagał Zen z czarami.

- Zapomniałaś już, że także jesteś magiem? - Uniósł brew. - W dodatku chtonicznym. Twoje moce dużo lepiej nadają się do spirytualistycznych akcji.

Wzięłam się gwałtownie pod boki.

- Czy muszę ci przypominać, że mój chtoniczny trening został przerwany z powodu spopielenia kogoś? Nie mam bladego pojęcia o posługiwaniu się tymi mocami, dobrze wiesz.

Skrzyżował ramiona na piersi.

- Ja jednak umiem momentalnie przenieść mój zespół / zasadzki, jeśli wpadniemy w szambo. Poza tym chodzi tylko o asystowanie Zen. Przypuszczalnie nie będziesz musiała używać magii.

Na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiego uporu, który przywykłam kojarzyć z brakiem argumentów.

Ssałam wargi, rozważając sytuację. Jeśli miałam być szczerą, to chociaż plan Georgii miał zalety, szansa na znalezienie pr/ez nich i zabicie Lawinii była znikoma. Jasne, mogli I rai ić na jej trop, ale Dominia alfa była zdecydowanie zbyt

sprytna, by pozwolić się zapędzić w kozi róg. Mogli jednak znaleźć Maisie. A Adam powiedział już, że nie zrobiłby na tym froncie nic bez zgody Orfeusza. Co oznaczało, że uwalnianie siostry by mnie nie ominęło.

Z drugiej strony Zen i Adam wydawali się przekonani, iż duchy pomogą nam wydobyć ze Stryx informacje, które mogłyby doprowadzić nas do Maisie. Łącznie oba sposoby zwiększały szansę na zakończenie tego wszystkiego dużo szybciej, niż gdybyśmy przeprowadzili akcję oddzielnie.

Postukałam Adama w pierś.

- Uważaj na siebie.

Złapał mnie za palec. Rozpostarł moją dłoń i wycisnął na niej pocałunek. Poczułam go aż po koniuszki stóp.

- Ty też.

Zamieszanie na schodach sprawiło, że cała nasza trójka podniosła wzrok. Brooks, a raczej Kleopatra Pussy Willow wyglądała zjawiskowo w białym szyfonie i złotej lamie, spływających po stopniach.

Złote paciorki na końcach warkoczyków peruki stukały w rytm kroków wróża. Światło odbijało się od połacanej kobry, siedzącej dumnie na szczycie przycupniętej na głowie złotej korony. Gumowy wąż

owijał się wokół nadgarstka jak jadowita bransoletka. Za Kleopatram postępował Giguhl, niczym oddany lokaj, delikatnie trzymając czubkami szponów tren szaty.

Adam gwizdnął. Georgia i ja zaklaskałyśmy głośno. Nawet Zen wyszła z biura, by powitać królową.

Kiedy Brooks dotarł do podstawy schodów, pochylił władczo brodę i dygnął nieznacznie.

- Dziękuję wam, kochani.

Giguhl dołączył do grupy, podekscytowany i zdenerwowany jak matka za sceną.

- Co myślicie?

- Superlaska - pochwaliła Georgia.

- Absolutnie - zgodziłam się.

Adam skinął entuzjastycznie głową u mego boku.

- Masz tam niezłą zmię.

Kleopatra sugestywnie pomasowała gumowego węża. -1 vice versa.

- Żałuję, że nie będziemy świadkami twojego wielkiego występu - powiedziała Zen.

- Ja też, ale Mac obiecała, że wszystko nagra.

Na wzmiankę o wilkołaczycy twarz Georgii się zapadła. To nie była wina Brooksa, że wspomniał o

Mac. O ile wiedziałam, nie znał wydarzeń zeszłej nocy.

- Jaka piosenkę dzisiaj zaśpiewasz? - zapytałam szybko. Brooks zawirował, błyskając białymi połami sukni.

- *Dancing Queen!* Parsknęłam śmiechem.

- Oczywiście, jest idealna. Zen odchrząknęła.

- Sabina.

Spojrzałam na nią. Kapłanka wudu poklepała się po nadgarstku, dając do zrozumienia, że czas iść.

- Racja. - Ścisnęłam Brooksa za ramię, uważając, by nie pognieść mu stroju. - Zabijesz ich na śmierć!

Za moimi plecami Georgia i Adam rozmawiali ściszymi głosami. Mag odwołał Giguhla na stronę, by zaznajomić go z planem. Zenobia podeszła do nich; pozostawiłam nekromancie zapoznanie jej z poprawkami, które wprowadziliśmy. Brooks zauważył nagłą zmianę nastroju.

- Co się dzieje?

-Och, nic takiego. Omawiają tylko dzisiejszy plan. O której wychodzisz?

Wróż zerknął na zegar za kontuarem.

- Mac odbiera mnie za pół godziny. Nie pójdę do klubu na tych obcasach, złotko.

Zawahałam się.

- Chcesz, żebyśmy z tobą zaczekali? - Woleliśmy oczywiście, by Georgii już tu nie było, kiedy zjawi się wilkołaczycza i założy szlaban na nasze zamiary, ale Zen i ja mogłybyśmy prawdopodobnie zostać dłużej.

Pussy Willow nie chciała o tym słyszeć.

- Nie ma sprawy. Przynajmniej jeszcze raz przećwiczę układ.

- Dobra - rzekłam. - Ale pilnuj, żeby drzwi były zamknięte na klucz. I nie otwieraj, jeśli nie będziesz pewna, że to Mac.

Ruchem delikatnej dłoni zbyła mój niepokój.

- Nikt nie będzie zadzierał z Królową Nilu, skarbie.

ROZDZIAŁ 17

Godzinę później boleśnie się przekonałam, że kopanie grobów jest dużo lepsze niż ekshumacja zwłok.

Kiedy Zenobia wiozła mnie na cmentarz, spodziewałam się kolejnego słynnego nowoorleańskiego miasta zmarłych, ze wspaniałymi mauzoleami i sarkofagami. Tymczasem okazało się, iż Holt

Cemeterium to zbiorowisko grobów wykopanych w rozmokłej Luizjańskiej glebie. Zniszczone drewniane oraz ospowate marmurowe nagrobki wystawały z ziemi pod dziwnymi kątami jak zepsute zęby.

Nasze kroki chrzęściły na wysypanych muszlami i żwirem alejkach, porośniętych chwastami.

Truchtając obok Zen, przeklinałam w duchu Adama. Powiedzcie mi o wyciągnięciu krótszej słomki. On i Giguhl będą mieli całą zabawę, podczas gdy ja utknęłam w robocie hieny cmentarnej.

Potknęłam się na oznaczeniu grobu. Ruch wstrząsnął więzieniem Stryx, przyprawiając ptaka o kolejny atak wściekłości. Trzymałam klatkę jak najdalej od siebie, by uniknąć ciosów szponów i dzioba.

- O co chodzi z tym miejscem? - zawołałam, przekrzykując wrzawę czynioną przez sowę. Wraz z brzęczeniem w mojej głowie denerwująca obecność ptaszyska nie poprawiała mi nastroju.

Tak samo jak na cmentarzu, na którym razem z Ada-

mem ściagałam Stryx dwie noce temu, i tutaj dawał się słyszeć cichy pomruk. Poruszyłam szczęką, by zmniejszyć narastające napięcie w głowie. Chciałam zapytać Zen, czy też to odczuwa, ale nie objawiała żadnych oznak stresu. Szła zwyczajnie przed siebie, jak kobieta mająca do wypełnienia zadanie.

-Nie każdy mieszkaniec Nowego Orleanu może sobie pozwolić na eleganckie mauzoleum, jak te na cmentarzach St Louis czy Lafayette - odezwała się, podążając jakąś niewidoczną ścieżką. - Biedacy chowani są na takich bezimiennych kirkutach jak ten.

Szłam za nią w kierunku rzędu grobów widocznych w głębi. Więdzące dęby, przytłoczone hiszpańskim mchem, pochylały się nad pozostawionymi przez żałobników smutnymi pamiątkami. Te żalosne kopce zdobiło wszystko - od spłowiałych pluszowych misiów począwszy, przez paciorki z Mardi gras, a na butelkach whisky skończywszy.

- Rodzina dostaje kwaterę - ciągnęła Zenobia. - Muszą ustawiać jedną trumnę na drugiej. A kiedy poziom wody się podnosi, gnaty wyłazą na wierzch.

Kopnęła coś na ziemi. Mrugnęłam na widok kości udowej, która wytoczyła się spod przerośniętego

krzaka. Zenobia zatrzymała się w końcu przy nieoznaczonym kopcu pod zwieszającą się nisko gałęzią dębu. Wskazała miejsce pod drzewem. Postawiwszy klatkę w mroku, przyjrzałam się bacznie otoczeniu.

W przeciwieństwie do większości innych kwater, które minęłyśmy, ta nie była porośnięta chwastami ani zasłana pamiątkami. Widok gołej ziemi był nawet bardziej przygnębiający. Może dlatego, że świeżo obrócona gleba przywodziła na myśl niedawną śmierć, a może z powodu braku czegoś, co by świadczyło, że ktoś na tyle troszczy się o lokatora tego grobu, by zostawić kwiaty czy choćby kawałek deski, wskazującej na jego tożsamość.

Zenobia położyła na ziemi skórzany worek i wyjęła z niego składaną saperkę.

- Co, do diabła, zamierzasz z tym zrobić? - zapytałam.

Uśmiechnęła się.

- Ja nic.

Złapałam zręcznie szpadel, po czym momentalnie go upuściłam.

- Idź do diabła. Nie jestem hieną cmentarną. Westchnęła.

- Niczego nie kradniemy. Powiedziałam ci, że potrzebny nam tylko dostęp do ciała, by nawiązać całkowite połączenie z duchem.

Zmarszczyłam brwi.

- A nie może on przemówić przez ciebie, czy co tam? Spojrzała wilkiem.

- Nie jestem wrózką telewizyjną, Sabino. Zacisnęłam zęby i przypomniałam sobie, że Zen wcale nie musi mi pomagać. Przynajmniej Stryx zamknęła dziób na dobre. Jedyнным dobiegającym z klatki dźwiękiem było skrobanie pazurami o gazety, którymi wyścieliliśmy jej dno klatki.

- No, na co czekasz? Grób sam się nie rozkopie!

Z kieszeni płaszcza wyjęła cygaretkę i zacisnęła ją między oszalałymi białymi zębami. Kiedy już zapaliła, spojrzała w górę i zmarszczyła brwi. Jej twarz jarzyła się czerwoną poświatą, pochodzącą od koniuszka cygaretki, a ja przelotnie się zastanowiłam, czy kapłanka wudu ma też w sobie krew demonów.

- Jeśli ma ci to w czymś pomóc, to groby mają zaledwie cztery stopy głębokości. Odrobinę niżej podłoże staje się już zbyt rozmokłe.

Taaa, to sprawiło, że poczułam się znacznie lepiej. Zamiast dalej protestować, rozgarnęłam ziemię saperką i wyładowałam swoje oburzenie na glebie. Gdy kopałam, Zenobia wspaniałomyślnie udzielała mi rad, ale była oszczędna w kwestii zaoferowania pomocy.

Zaświtało mi w głowie, że jeśli jest tak dobra w magii, jak wszyscy uważają, to byłaby w stanie usunąć tę ziemię bez szpadla, ale wtedy, domyślałam się, pozbawiłoby ją to przyjemności rządzenia mną.

Nie zartowała, mówiąc, iż rodziny zmarłych zwalają jedną trumnę na drugą. Kopiając, natknęłam się na kilka kości szczękowych, garść paliczków i fragment kręgosłupa. W dodatku im bardziej się zagłębiałam, tym ziemia stawała się wilgotniejsza. Zanim saperka uderzyła w coś solidniejszego, byłam umazana błotem i bogowie wiedzą czym jeszcze. Wymacałam brzegi trumny i oczyściłam wieko, by je podnieść. Zen zajrzała do dziury w ziemi.

- Bądź ostrożna, podnosząc pokrywę. Musimy zachować ciało w jak najlepszym stanie.

Otarłam brudną dłonią czoło, bez wątpienia pozostawiając na nim błotnistą smugę.

- To jest to, czego nie kapuję. Czy balsamowanie nie utrudni reanimacji?

Uśmiechnęła się, okazując przesadną cierpliwość, co mnie wkurzyło.

- Dostarczamy duchowi tymczasową powłokę. Hydraulika nie musi działać.

- Skoro tak twierdzisz. - Zgarnęłam ziemię z trumny, oczyszczając miejsce wokół jej krawędzi. W końcu wsunęłam palce pod wieko i uniosłam je. Ze skrzyni podryfował w górę chorobliwie słodki opar. Zasłoniłam nos dłonią i zerknęłam do środka.

Cóż, nie jestem biegłą do spraw rozkładu, więc nie mam pojęcia jak długo ten facet leżał w grobie, ale sądząc po zapachu, jego termin przydatności minął bardzo dawno temu. Oczywiście, skoro mówimy

tutaj o zwłokach, ś w i e ż o ś ć jest określeniem względnym, jak sędzę.

Jasnoniebieski garnitur i marszczona koszula wskazy-

wały na pogrzeb z epoki disco, ale wiedziałam, że wybór ubrania mógł być motywowany brakiem

pieniędzy lub gustu. Jak chodzi o stan ciała, to cóż, nie był dobry. Jeśli dom pogrzebowy zatroszczył

się o pośmiertny makijaż zewłoku tego faceta, to po tym kicie już dawno nic nie zostało. Przeciwnie, zielonkawe żyły rozpajęczały się na nabrzmiałej szarej skórze, co dawało okropny marmurkowy efekt.

- Od jak dawna on nie żyje? - zapytałam. Zenobia wzruszyła ramionami.

- Według klepsydry, którą znalazłam w Internecie, Kevin Johnson został pochowany cztery dni temu.

To idealnie dla naszych celów, gdyż *nanm* rezyduje w glebie w pobliżu ciała przez dziewięć dni, zanim się wzniesie. - Widząc moje spojrzenie, dodała: - *Nanm* to ożywiony duch.

Skinieniem głowy wyraziłam zrozumienie.

- Cóż, mocno cuchnie jak na cztery dni w ziemi.

- Sabina - zaciągnęła. - Odrobinę szacunku. Zacisnąwszy zęby, zarzuciłam sobie sztywny zewłok na ramię. Coś chlupnęło złowieszczo.

- Przysięgam na bogów, że jeśli ten truposz narobi mi na kurtkę, to kupisz mi nową.

Przewróciła oczami i wyciągnęła rękę.

- Podaj mi go, żebyś mogła stamtąd wyleźć. Pokręciłam głową.

- W porządku, trzymam go.

Uniosła brew, jedyny znak, że uraziłam jej dumę. Cofnęła się jednak, zostawiając miejsce, bym mogła wsunąć ciało na brzeg grobu. Łatwizna, wzięwszy pod uwagę, że głowa i barki wystawały mi ponad

krawędź dołu. Kiedy się z niego wykaraskałam i pozbyłam z dzinsów najgorszego świństwa, Zen poleciała:

- Połóż go obok klatki ptaka.

Usłuchałam jej, kładąc trupa na plecach pod gałęzią ozdobioną koronką hiszpańskiego mchu. Zenobia chwyciła torbę i podeszła tam. Wyjęła szklaną fiolkę i wyciągnęła z niej korek. Wytrząsnęła kruche zioła do glinianej miseczki, podobnej do naczynia do palenia kadzidła, jakie hippisi kupowali w sklepach z fajkami wodnymi.

- Co robisz? - zapytałam.

- To - odparła rzeczowym tonem - jest kadzidło z szaławii, jałowca i rozmarynu.

Schyliła się, by zapalić zioła od drewnianej drzazgi odpalonej od zapalki. Po zapachu sądząc,

domyśliłam się cedru, ale nie byłam pewna. Po chwili od kupki ziół podryfowała w górę wąła smuga dymu.

Zen podeszła do ciała. Tym razem wyjęła większy słoik, w rodzaju tych, jakich kobiety z Południa używają do robienia kompotów z rabarbaru, i z pstryknięciem otworzyła wieczko. Płyn wewnątrz był przezroczysty, ale ostry zapach wzniosł się jak opar, przyprawiając mnie o łzawienie oczu.

- To wodny wyciąg z oczaru wirginijskiego. Pomaga zogniskować zaklęcie, żeby pojawił się duch, o jakiego nam chodzi, a nie jakiś inny.

Jak idiotka skinęłam głową, chociaż Zenobia nie patrzyła na mnie. Zbyt była zajęta spryskiwaniem cieczą miejsca w pobliżu zwłok. Poczułam przelotną litość w stosunku do zmarłego. Wyobrażam sobie, że niewielu ludzi się spodziewa, iż ich doczesne szczątki skończą na wpół nagie pod drzewem, podczas gdy wyznawczyni wudu będzie je opryskiwała cierpkim płynem. Mimo mojej ogólnej niechęci do ludzi cała ta sprawa wskazywała na brak szacunku. I zaczęłam się zastanawiać, czy nie ma lepszego sposobu uzyskania odpowiedzi na moje pytania.

- A to... - Zenobia wyjęła z kieszeni kolejne cygaro, tym razem grubsze, przypominające wielkiego brązowego fallusa - .. jest Macanudo.

Uniosła ku niemu kolejną zapaloną cedrową drzazgę. Zassała tak gwałtownie, że policzki się jej zapadły, a wo-

kół nas zawirowała chmura dymu tytoniowego. Pomachałam przed twarzą dłonią, by go rozproszyć.

Kiedy właśnie próbowałam się domyślić, w jaki sposób cygaro pasuje do całego obrządku, Zenobia uklękła przy ciele.

- Pomóż mi otworzyć mu usta - powiedziała przez ramię. _ Tylko ostrożnie, szczęka musi zostać nienaruszona.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytałam, patrząc podejrzliwie na cygaro.

Westchnęła i przez ramię spojrzała na mnie ostro.

- Dym jest przewodnikiem dla ducha. Musimy sprawić, że wniknie do jego ciała i dotrze do środka.

- Czekaj no! Nie zamierzasz chyba przyłożyć ust do zimnych, martwych warg tego faceta, co?

- Albo usta, albo odbył.

- No, to usta.

- Przetniemy nici, których użyto w zakładzie pogrzebowym do zaszywania warg. W torbie mam nożyczki. - Wskazała ruchem głowy. - Pośpiesz się.

Pogrzebałam w worku i znalazłam małe nożyczki do paznokci. Nie było natomiast gumowych rękawiczek. Super.

Kucnęłam obok Zen, kapłanka wudu wyciągnęła dłoń po narzędzie. Jasne, to znaczyło, że mnie przypadła przyjemna rola rozwarcia warg umarlaka. Uwypuklały się na jego twarzy jak dwie zamrożone larwy. Rozsunęłam je szybko, żeby Zenobia mogła przeciąć katgut. Po chwili dolna szczęka obwisła. Zdawało mi się, że powłoka śmierdzi straszliwie, ale to było nic w porównaniu z trującym grobowym oddechem, który się wydostał z ust. Szarpnęłam się wstecz, zakrywając dłonią nos i przeklinając mój czulszy, wampirzy zmysł powonienia.

- Dobrze - pochwaliła Zenobia, upuszczając nożyczki. - Kiedy wdmuchnę tam dym, chcę, żebyś przywołała pomocne duchy, by sprowadziły *nanm* z powrotem do jego ciała.

Przyglądałam się jej przez chwilę. Cała ta spirytualistyczna otoczka przerastała mnie.

- Jak niby mam tego dokonać?

Jej westchnienie mówiło: „Czyż wszystko tutaj muszę robić sama?”. Podniosła tykwę, ozdobioną plecionką z kolorowymi paciorkami.

- To proste. Wyjmij z mojej torby butelkę rumu. Spryskaj nim krąg wokół ciała. Robiąc to, mów tak:

„Wspaniałomyślnie Duchy Loa, wzywam i przywołuję was do pomocy w naszym poszukiwaniu informacji”. Kiedy skończysz, ukłuj się w palec i upuść kilka kropli krwi na ziemię.

Chwyciłam flaszkę rumu, opierając się pragnieniu wypicia paru łyków prosto z gwinta. Nie chciałam jednak wkurzyć Loa. Zrobiłam, co mi Zen poleciła, powtarzając regułkę podczas tworzenia

obszernego kręgu wokół zwłok. Na wszelki wypadek dodałam do inkantacji imiona Hekate i Lilith.

Nie chciałam, żeby bogini czy Wielka Matka uznały, iż zmieniałam drużynę albo coś takiego.

Gdy skończyłam, Zenobia pochyliła się nad twarzą sztywniaka i równomiernie wdmuchnęła w otwarte usta strugę dymu. W trakcie potrząsała nad jego klatką piersiową grzechotką z tykwy. Ja tymczasem ogniskowałam całą swoją energię na przywoływaniu duchów, tak jak poleciła. Po chwili poczułam w brzuchu łaskotanie, a przez cmentarz przepłynął ciepły powiew. Wyjąwszy nóż z torby Zenobii, skaleczyłam się w czubek palca i wycisnęłam na ziemię dwie krople krwi.

Gdy tylko dotknęły podłoża, ciało Kevina szarpnęło się raz. Potem drugi. W tym samym momencie Stryx zaskrzeczała jak strzyga.

Otworzyłam szeroko oczy i zrobiłam krok do przodu, uważając, by trzymać się poza obrębem wyznaczonego rumem kręgu. Jasne, powieki faceta drgały spazmatycznie, jakby usiłował je podnieść, ale nie mógł. Zenobia oparła delikatnie rękę na jego ramieniu.

- Niech twój duch zażywa spokoju, panie Johnson. Potrzebujemy informacji. Pomoże nam pan?

Z ust zmarłego wydobył się jęk, który przyprawił mnie o gęsią skórkę na ramionach. Gwałtowne trzepotanie skrzydeł Stryx powiedziało mi, że nie tylko ja się przestraszyłam. Zen podniosła z niepokojem wzrok, po czym zwróciła się do ducha Kevina Johnsona:

- Panie Johnson? Chcemy się porozumieć z sową imieniem Stryx. Pomoże nam pan?

Wtedy powieki trupa się podniosły. Dwie kulki w kolorze ciała przebiły źrenice i zsunęły się na ziemię. Mdło mi się zrobiło na widok jego zapadniętych oczu z zamglonymi na białą tęczówkami.

Zenobia odskoczyła i padła tyłkiem na ziemię.

- To nie powinno się zdarzyć! Znieruchomiałam.

- O co ci chodzi? Sądziłam, że miałyśmy go ożywić? Pokręciła głową.

- Tylko jego usta powinny się poruszać.

Stryx ponownie zaczęła skrzeczeć. Tym razem odezwał się także zombi.

- Muszę lecieć! - wycharczał Kevin. - Uciec mieszkańcowi! Znaleźć mistrza.

Zawahałam się, kiedy znaczenie jego słów zapadało we mnie.

-Hej, to działa. Kevin, możesz zapytać Stryx, gdzie przetrzymują Maisie?

Sowa zaskrzeczała. Chwilę później kadawer krzyknął:

- Na pomoc!

- Nie, Kevin, musimy wiedzieć, gdzie jest Maisie. Maisie! - powiedziałam dobitnie, podchodząc do samego kręgu.

-Wielka skrzynia! Kot w pace. Mistrzu przybądź! Kane! NA POMOC! Zmarszczyłam brwi. -Co?

Szaleńcze miotanie się sowy sprawiło, że klatka się przewróciła. Trzask wyrwał Kevina ze stanu nieruchomości. Szare dłonie ryły ziemię, aż nabrał tyle impetu, że podniósł się do pozycji siedzącej. Zatoczyłam się w tył, zastanawiając się, czy to normalne. Uzyskałam odpowiedź, kiedy Zen z krzykiem uciekł z kręgu. Chwyciłam ją, gdy przemykała obok.

- Hola! Czekaj no. Dokąd ci tak śpieszno? W jej wzroku czaiło się szaleństwo.

- Zakłęcie poszło nie tak. Nie powiniem się ruszać. Spojrzałam na nią ponuro, serce mi dudniło. -Co?

- Przypadkowo go ożywiłyśmy. Jest upiorem! Bolało zmarszczone czoło. Słyszałam już wcześniej to określenie, ale nie potrafiłam podać dokładnej definicji. Zanim jednak zdążyłam zapytać Zenobię, moją uwagę przykuł straszliwy jęk. Johnson wstał. Koordynację ruchową miał kiepską, więc nie tyle szedł, ile się włókł.

-Czekaj. Chcesz mi powiedzieć, że... - Wyciągnęłam oskarżycielskim gestem palec w kierunku Kevina - ...to jest pieprzony zombi?

Zanim Zen zdołała odpowiedzieć, Stryx zaczęła głośniejsz skrzeczeć i mocniej napierać na pręty więzienia. Szaleńcze miotanie się ptaka trzęsło klatką tak mocno, że ta zaczęła się toczyć. Na szczęście rumor odwrócił uwagę sztywniaka, który przerwał swój marsz pijanego niemowlaka w naszą stronę. Kevin nadal był nastrojony na umysł sowy, więc przekazał bieżący komentarz:

- Lecieć! Muszę lecieć! Potrzebuję mistrza!

Niestety zaczął się także ociężale wlec w kierunku klatki Stryx.

- Cholera - szepnęłam. - Nie sądzę, żebyś miała w swojej torbie jakieś środki do wysyłania zombi w cholere?

Gwałtownie oddalający się głos Zenobii dotarł do mnie ze środka cmentarza.

- Pieprzyć sowę! Każdy za siebie!

- Niezła z ciebie kapłanka wudu! - zawołałam za nią.

Chciałam ją przywlec z powrotem i zmusić do uporania się z problemem, ale nie miałam na to czasu, gdyż Kevin Zombi chwycił klatkę Stryx. Wrzaski przerażenia sowy jedynie podjudzały upiora.

Jednocześnie wykrzykiwał nadal myśli ptaka:

- Niebezpieczeństwo! Lecieć! Mistrzu, pomocy! Pośród tych nawoływań Kevin mlaskał jak grubas

przy

szwedzkim stole. Rozpoczęłam przemowę motywacyjną pod swoim adresem.

- Dobra, Sabina! Weź się w garść. To tylko ożywione ludzkie zwłoki. - A głośniejszym krzyknęłam: - Hej, Zombi Boy!

- Grgh? - jęknął żywy truposz; sztywny kark się obrócił, żeby jego właściciel mógł spojrzeć na mnie martwymi, bardzo martwymi oczami.

Pomasowałam się po głowie, bo wydawało mi się, iż zombi uzna to za zaostrażające apetyt.

- Chodź i weź sobie!

Machnął w moim kierunku ramieniem sztywnym jak gałąź, po czym zaczął obmacywać klatkę dręt看ymi palcami. Nie powinnam się czuć obrażona, że wzgardził okazją do wyzarcia mi mózgu, ale musiałam przyznać, że to zabolalo.

Tymczasem skrzeczenie Stryx najwyraźniej niczego nie oznaczało, gdyż Kevin przestał tłumaczyć, a zaczął jęczeć.

-Dobra. Niech ci będzie. - Wyciągnęłam broń zza paska.

Z daleka dobiegł mnie głos Zenobii. - To nie zadziała.

Spojrzałam przez ramię. Kucąła za krzakiem w pobliżu wejścia na cmentarz. Odwróciłam się i wystrzeliłam pięć pocisków jeden za drugim. Zombie Boy wzdrygał się po każdym uderzeniu, ale nie padł, nawet nie upuścił klatki.

- Mówiłam ci! - Dobiegł mnie słaby głos kobiety.

Jęęęęęęęęęęęęęęęę. Kevinowi udało się w końcu otworzyć drzwiczki klatki; gmerał w niej, chcąc złowić szalejącą sowę.

- Musisz mu odciąć głowę! - zawołała Zen.

Jasne, że tak. Kiedy pobiegłam, by poszukać w chaszczach czegoś pomocnego, zombi wydał przerażający okrzyk zwycięstwa. Chwilę później moja dłoń zacisnęła się na rękojeści szpadla. Może nie była to idealna rzecz, ale lepsza od składanej saperki, którą rozkopywałam grób.

Odwrociłam się w samą porę, by ujrzeć szeroko otwartą paszczę truposza. Pomimo sztywności kończyn siłę miał imponującą, gdyż był w stanie okiełznać miotającą się sowę i podnieść ją ku rozwartym ustom.

-Nie! - Wzięłam zamach szpadlem i ruszyłam biegiem.

Wszystko potoczyło się w zwolnionym tempie. Moje śmigające nogi. Ostrze szpadla lecące łukiem w powietrzu. Szczęki Kevina gruchoczące głowę Stryx. Odbicie ciosu w moim ramieniu.

Zombi poleciał w bok, wypluwając pióra. Spóźniłam się jednak. Okaleczone ciało sowy spadło na ziemię u moich stóp. Truposz potoczył się i jęknął. Zanim zdołał nabrać dość impetu, by wstać, wbiłam mu obcas w klatkę piersiową. Wydostało się z niej chrząknięcie. Jego palce zacisnęły się na mojej goleni.

Spojrzałam na niego z góry jak anioł zemsty i podniosłam szpadel, skierowany metalowym blatem w dół. Zombi pode mną znieruchomiał. Na groteskowej twarzy uformowała się żalosna maska strachu.

- Mama?

Opuściłam narzędzie z całą siłą, na jaką było mnie stać. Szpadel wyhamował w pół drogi. Oparłam stopę na kra-

wędzi metalowej końcówki i parłam, aż ostrze z chrzęstem przeszło na wylot i wbiło się w grunt pod okaleczonym karkiem trupa.

Dyszząc, otarłam czoło grzbietem drżącej dłoni. Za moimi plecami trzasnęła gałązka. Kiedy się obracałam, serce weszło mi w nadbieg.

- Cholera! - wrzasnęłam na widok Zen. - Nie powinnaś się tak skradać za plecami. - Puls się

uspokoił, ale gniew wciąż się palił. Spojrzałam na nią wilkiem. - Przy okazji, wielkie dzięki za pomoc!

Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Wybacz, ale niektórzy nie są nieśmiertelni.

- Nieważne. - Westchnęłam i spojrzałam na pozbawione życia szczątki Stryx. - Co mam teraz zrobić?

- Chyba brak ci szerszej perspektywy. -Co?

Wskazała bezgłowego zombi.

- Och, musiałaś coś spaprać. Strzeliła ku mnie spojrzeniem.

- Zrobiłam wszystko, jak należy. Jediną różnicę stanowiłaś ty. - Oczy się jej zwęziły. - Jesteś na poły magiem, zgadza się?

Skinęłam głową. Nagle ogarnęło mnie złe przeczucie.

- Ale nie wykorzystujesz swoich mocy? Wbiłam wzrok w ziemię.

- Nie bardzo.

- Co ci powiedział, zanim go zabiłaś? Spojrzałam na nią szybko.

- Słyszałaś? Uniosła brew. -Powiedział: „Mama”.

- Dlaczego zombi miałby cię wziąć za swoją matkę, Sabino?

Miałam nieprzyjemne przeczucie, iż znam odpowiedź i że wcale mi się ona nie podoba.

- Tak hipotetycznie: czy to ma znaczenie, czyja krew towarzyszy zaklęciu?

Zesznurowała usta.

- Czasami. Ale musiałybyś być potężną nekromantką, żeby to... wskazała Kevina - ...się zdarzyło.

Ton jej głosu wskazywał jasno, że Zenobia ma mnie za przeciętnego maga o skromnych umiejętnościach. Zgadzałam się w części dotyczącej zręczności, ale... Przełknęłam.

- Jak chtoniczny mag? Oczy jej rozblęły.

- Jesteś chtoniczką? - krzyknęła. - Dlaczego, do diabła, nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiedziałam, że to ma znaczenie!

- Oczywiście, że ma! Chtoniczna magia dziesięciokrotnie wzmacnia nekromanckie zaklęcia!

Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi krew! - Patrząc na mnie, pokręciła głową. - Niewiarygodne! Wyczułam w tobie mrok, kiedy się poznałyśmy, ale myślałam, że to tylko wampiryzm.

- Cóż, przepraszam - powiedziałam. - Nie myśl sobie, że robiłam już kiedyś coś podobnego. Rea powinna cię ostrzec.

Zenobia wyrzuciła ręce w górę.

- Bogowie Loa, jesteś niemożliwa! To nie jest wina Rei! Przynajmniej Adam powinien o tym wspomnieć.

- Hej, przynajmniej to załatwiłam! Nie da się tego powiedzieć o pewnej osobie, która uciekła i się schowała w krzakach.

Zaczęła coś burczeć pod nosem. Dosłyszałam tylko fragment przemowy, ale przestałam słuchać, gdy dotarły do mnie słowa: „Nieślubna córka Szatana”.

- Dobra, myślę, że obie możemy to zapisać jako nauczkę - stwierdziłam. - Możemy już iść?

Przestała chodzić i spiorunowała mnie tak ognistym spojrzeniem, że zapiekły mnie policzki.

- Nie tak szybko! Masz ciało do pochowania. Szczęka mi opadła.

- Chyba żartujesz!?! Spojrzała wymownie na szpadel. - I nie zapomnij o sowie!

ROZDZIAŁ 18

Godzinę później wyskoczyłam z samochodu Zen. Priorytetem był prysznic. Z błotem i resztkami

Kevina na ubraniu czułam się jak chodząca ofiara wojny biologiczno-chemicznej.

Zenobia szła za mną nieco wolniej. Mądrze z jej strony. Już wcześniej mnie irytowała, ale po

konfrontacji na cmentarzu, gdy tak niesprawiedliwie oceniła moją niezawinioną pomyłkę, nie mogłam znieść tej baby. Cała sprawa kazała mi poważnie żałować obietnicy, że będę się zachowywała

uprzejmiej i delikatniej wobec śmiertelnie upośledzonych.

Oczywiście mój podły humor brał się częściowo z tego, że po raz kolejny uderzyłam głową w ścianę.

Wchodząc po schodach na tyłach sklepu, modliłam się, by rekonesans Adama i Giguhla okazał się

bardziej owocny od mojej kompletnie spieprzonej nocy.

Gotowa wejść do środka, otworzyłam z rozmachem drzwi, ale coś mnie powstrzymało. Jak na piątkową noc, miejsce było nienormalnie ciche. Wyciągnęłam rękę w stronę Zen.

- Zaczekaj tutaj.

Zmarszczyła brwi, ale miała tyle rozumu, by się nie sprzeczać. Wyjęłam broń i weszłam do biura na tyłach budynku. Zatrzymałam się, by posłuchać, ale wewnątrz

panowała cisza, jeśli nie liczyć odgłosów zgiełku, dochodzących z Bourbon Street. Podeszłam do oddzielającej zaplecze od sklepu grubej kotary.

Odetchnęłam i cicho odsunęłam zasłonę. Sklep wyglądał jak po wybuchu bomby. Zakląłam. Szybki

ogląd ujawnił poprzewracane stoły, rozbite szkło i barwne śmieci zaścielające podłogę. Przy schodach dostrzegłam coś błyszczącego, czego obraz zmroził mi krew w żyłach - była to złota kobra na czubku peruki. Na szczęście afrykańskie warkoczyki nie ozdabiały nadal głowy, ale ponieważ Kleopatra

powinna była opuścić to miejsce wiele godzin temu, widok wprowadził mnie w stan pełnej gotowości kryzysowej.

Dawniej zaszarżowałabym z ziejącą ogniem bronią, ale się powstrzymałam. Intruzi wciąż mogli tu

być. Wziąwszy pod uwagę niedawną napaść bandy szalonych, władających magią wampirów, nie

było roztropnie pchać się do środka bez wsparcia. Zmusiłam się do cofnięcia za kurtynę i wyjścia na zewnątrz.

Twarz Zenobii była napięta z niepokoju.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Nie wiem jeszcze. - Nie wspomniałam o peruce. Nie ma sensu martwić Zen, póki nie będę mogła

wejść do sklepu i oszacować prawdziwego rozmiaru zniszczeń. Wyjęłam z kieszeni komórkę i

stuknęłam w klawisz szybkiego wybierania. Adam odebrał po drugim dzwonku.

- Co się stało?

- Potrzebuję cię. Jak daleko...

Włoski na ramionach załaskotały mnie na ułamek sekundy przed tym, nim nekromanta

zmaterializował się nie dalej jak metr od nas. Wyłączyłam telefon. Mag przyjrzał się szybko nam obu i wbiegając po schodach, zapytał:

- Jaka jest sytuacja?

Zerknęłam na Zenobię, nie chcąc jej przerazić, ale musiałam powiedzieć prawdę.

- Ktoś się włamał do sklepu.

Zen westchnęła.

- Złodzieje? Pokręciłam głową.

- Chyba nie. Ale niezaprzeczalnie narobili szkód. Nie potrafię powiedzieć, czy coś... - albo ktoś, dodałam w myślach- ...zginęło.

Adam, gotów do działania, odwrócił się do Zenobii.

- Masz w środku broń, którą mogli znaleźć? - zapytał.

- Na górze, w mieszkaniu. Strzelbę.

- Cholera - zaklęłam. - Dobra, słuchajcie...

- Co z Brooksem? - zaniepokoiła się Zen. -Prawdopodobnie jest w „Lagniappe” - odrzekłam

uspokajająco. - Poza tym Mac przypuszczalnie by zadzwoniła, gdyby przyjechała tutaj po niego i go nie zastała.

- Zen, zostań tutaj i zatelefonuj do Georgii - zakomenderował Adam. - Jest z Giguhlem. Powiedz im, żeby jak najszybciej tutaj wrócili. Nie wchodź do środka, póki nie damy ci znać, że droga wolna.

Kapujesz?

Wargi Zen drżały, oczy miała trochę dzikie. Złapałam ją za ramiona.

- Adam i ja musimy sprawdzić, co się dzieje. Możesz tu zostać kilka minut?

Przełknęła, odzyskując panowanie nad sobą.

- Uważajcie na siebie. Spojrzałam na nekromantę.

- Idziemy.

Zostawiwszy śmiertelniczkę na podwórku, weszliśmy przez biuro. Kiedy mag ujrzał miejsce katastrofy, stężała mu szczęka. Za zasuniętymi zasłonami okien wystawowych paradowały, z

przerwami, sylwetki przechodniów kompletnie nieświadomych dramatu rozgrywającego się trzy kroki od nich. Czując napływ adrenaliny, stwierdziłam, iż zazdroszczę im tej ignorancji.

Kiwnęłam w kierunku schodów i porzuconej peruki. Adam dostrzegł ją i gwałtownie zwarł się ze mną

wzro-

kiem, w którym zapalił się przelotnie błysk gniewu, zanim mag przybrał minę „gotowy do akcji”.

Pokazał w górę, sugerując, że powinnam iść pierwsza.

Jak najciszej wspierałam się po schodach, uważając, by nie naciskać zbyt mocno na stopnie. Na szczycie wskazałam w głąb korytarza. Kiedy Adam ruszył, by sprawdzić to piętro, ja poszłam na drugie.

Tętno dudniło mi w uszach. Do mojego nosa dotarła stęchła woń starego budynku i ziół, wzburzonych demolką na dole, zabarwiona zapachem świeżej krwi i lawendy. Modliłam się, by nie pochodził on od Brooksa. Żeby Mac odebrała go przed tym zajściem. Żeby istniało logiczne wyjaśnienie, dlaczego

zostawił perukę. Coś jednak mi mówiło, że moje modły są próżne. Bo jeśli wykluczyć, że jeden z

włamywaczy był wróżem, to nie było innego wytłumaczenia dla wyraźnego aromatu lawendy. Nie w

stężeniu, jakie wyczuwałam. Gdy to sobie uzmysłowiłam, zaczęłam się modlić, żeby śmierć Brooksa

była szybka.

Dotarłam do szczytu schodów, kiedy za moimi plecami coś skrzypnęło. Odwróciłam się z wyciągniętą

bronią. Na podeście poniżej Adam podniósł ręce. Rozluźniłam się nieznacznie. Pokonując resztę

drogi, kręcił poważnie głową. Skwitowałam to skinieniem i się odwróciłam, by podejść do

zamkniętych drzwi mieszkania na strychu. Zderzenie podeszwy buta z drewnem odpowiedziało od-

biciem w nodze. Drzwi wpadły do środka, a ja za nimi, z pistoletem w pogotowiu.

Salon był pusty, pomijając kolejne dowody wtargnięcia - rozbity telewizor, porozdzierane poduszki kanapy, przewrócony stolik do kawy.

- Czysto - szepnęłam.

Adam wszedł i ruszył pośpiesznie, by sprawdzić kuchnię. Osłaniałam go, przepatrując pomieszczenie w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby się w nim ukrywać. Dwie minuty później mag wrócił z kuchni,

kręcąc głową. Mój

wzrok powędrował ku drzwiom numer dwa. Coś mi mówiło, że nie chcę zobaczyć, co jest po drugiej stronie. Tutaj woń krwi była mocniejsza. Zerknęłam na Adama. Minę miał zdeterminowaną, ale czujną. Opuścił brodę i spojrzał z ukosa na drzwi.

Wypuściłam wolno powietrze, kiedy mag chwycił gałkę i przekręcił. Uniosłam broń. Skrzypienie zawiasów. Płaszczyzna się cofnęła, odsłaniając ciemność.

Lepiej widziałam po ciemku, weszłam więc pierwsza. Powietrze było przesycone zapachem krwi.

Najpierw zlustrowałam kąty pomieszczenia, ale zauważyłam jedynie rozrzucone ubrania i przybory toaletowe. Nikt się na mnie nie rzucił, mój wzrok więc powędrował na łóżko.

Przykrycie się wybrzuszało wielkim garbem w kształcie ciała.

- Ani się, kurwa, rusz! - poleciłam cichym, złowieszczym głosem. Adrenalina śmigła mi w żyłach.

Przesunęłam się ku łóżku z bronią wycelowaną w toból. - Włącz światło! - rzuciłam do Adama.

Po sekundzie lampy rozbłyły. Moje wrażliwe oczy zapiekły od nagłego blasku, ale zacisnęłam zęby i trzymałam pistolet nieruchomo. Pierwsze, co zauważyłam, to plamę na kapuścianych różach

krzykliwej adamaszkowej narzuty. Czerwony kleks rozkwitał jak pęk pośród roślinnej tragedii.

Ręka zaczęła mi drżeć. Nie chciałam odsunąć przykrycia. Przez cały ten czas wybrzuszenie na łóżku się nie poruszyło. W żołądku rozlało mi się przerażenie. Adam podszedł z drugiej strony pośłania.

Nasze spojrzenia spotkały się na krwawej plamie. Rysy nekromanty ściągnęła rezygnacja. Chwycił

brzeg kapy i szarpnął ją. Świat zachwiał się na swojej osi. Przeniknął mnie chłód, jakby ktoś przeszedł

po moim grobie.

- Chroń nas, bogini.

Zmaltretowana twarz była nierozpoznawalna. Spuch-

nięte powieki barwił fiolet. Nabrzmiące, rozcięte policzki krwawiły. Nos przekrzywiony i

zmiażdżony. Pokryty smugami czerwieni knebel rozciągał spuchnięte wargi w groteskowe faksymile

uśmiechu. Chciałam udawać, że sponiewierane ciało przede mną należy do kogoś obcego, ale

nieuchronna prawda szydziła z tej nadziei. Adam pochylił się szybko i przyłożył do szyi Brooksa dwa palce.

- Jest puls.

Zbyttno skupiałam się na opanowywaniu wściekłości, by poczuć ulgę. Ręce mi się trzęsły, gdy gmerałam przy węzłach knebla. Adam rozwiązywał sznury, krepujące ręce i nogi wróża.

Starałam się nie zwracać uwagi na krew rozlewającą się po białym prześcieradle. Jej metaliczno-lawendowy zapach i utrzymujący się w powietrzu odór przemocy podnosił mi żółć do gardła.

Kiedy wyciągnęłam w końcu knebel, z ust zmalretowanego wydobyło się cichutkie skomlenie.

Uchwyciłam się tego niepokojącego odgłosu jako kolejnego dowodu, że wróż żyje, ale jeśli sądzić po rozległości jego obrażeń, to ledwo-ledwo.

-Brooks? - Potrząsnęłam nim delikatnie, uważając, by nie dotknąć ran na jego ramionach. Nabrzmiały paniką głos brzmiał nienormalnie głośno w moich własnych uszach. - Słyszysz mnie?

Jego język wysunął się na zewnątrz i obmacał kącik ust w miejscu, gdzie otarł je knebel.

- ...bina?

Położyłam mu dłoń na czole. Krzyknął, starając się odsunąć. Serce mi się ścisnęło. Nie mogłam sobie wyobrazić okropności, jakich rzezimieszki Lawinii dopuściły się wobec jego kruchego ciała.

- Ciii. Już w porządku. Jesteś bezpieczny. Opuchlizna powiek sprawiała, że oczy miał zamknięte, ale wyciągnął drżącą dłoń i chwycił mnie za ramię. Usiadłam ostrożnie na brzegu łóżka, trzymając wróża za rękę. Końce jego złotych paznokci były połamane i zakrwawione. Uścisk tak słaby, że próbowałam się z nim podzielić odrobiną siły przez nasze złączone palce.

Podniosłam wzrok na Adama. Oczy płonęły mu tłumioną wściekłością. Moje własne wnętrzości przypominały kocioł kwasu. Zanim jednak mogliśmy otworzyć zawór dla tego gniewu, musieliśmy sprawić, by wróż pozostał przy życiu.

- Brooks? - szepnął nekromanta, przysiadając na piętach. - To ja, Adam. Muszę obejrzeć twoje obrażenia, dobra?

Głowa leżącego poruszyła się niespokojnie na poduszce, kiedy wróż się wysilał, by odpowiedzieć.

Przestraszona, że może sobie bardziej zaszkodzić, ścisnęłam go szybko za rękę.

- Staraj się nie ruszać.

Powoli się uspokajał - nie wiedziałam, czy za sprawą wyboru, czy zwyczajnej słabości. Nie miało to znaczenia, jak sędzę. Ważne było, żeby Adam mógł go zbadać. Po kilku minutach mag odciągnął mnie na bok, obiecawszy Brookswi, że nie odejdziemy daleko.

- Stracił mnóstwo krwi - powiedział nekromanta. - Mogę ulżyć mu w bólu, ale jak na moje umiejętności uzdrawiające jego obrażenia są zbyt poważne.

Zagryzłam wargę i spojrzałam na łóżko. Cera wróża miała szarą bladość nadciągającej śmierci.

Zacisnęłam pięści, aż paznokcie odcisnęły półksiężycy na dłoniach.

- Musimy coś zrobić.

- Sprowadź Zen.

- Dobra - odparłam i pośpieszyłam do drzwi. Opanował mnie martwy spokój. Zdolność wyłączania się

stanowiła podstawowy życiowy mechanizm, który wielokrotnie dobrze mi się przysłużył. Wszystko to dopadnie mnie

później, a ja obrócę wściekłość na moją korzyść. - Coś jeszcze?

Spojrzenie nekromanty powędrowało z powrotem ku wróżowi. - Módl się.

ROZDZIAŁ 19

Godzinę później siedziałam na piknikowym stole w ogródku za sklepem, modląc się do każdego boga i bogini ze wszystkich panteonów, jakie znałam. Na krześle obok siedział Giguhl, z łapami zaciśniętymi między udami, towarzysząc mi podczas milczącego czuwania.

Zapał moich kosmicznych apeli podsycalo kwaśne poczucie winy. Tak byłam zaabsorbowana

zadaniem i własnym dramatem, że się nie zastanawiałam nad tym, na jakie ryzyko wystawiają się Zen i Brooks w związku z udzielaniem nam pomocy. Teraz jednak sklep Zenobii był zniszczony, a życie

wróża wisiało na włosku. Zacisnęłam pięści, wygrażając mrocznej zupie emocji, gotującej mi się w

wątpiach na wolnym ogniu.

Nieuchronnie moje myśli podryfowały ku innej wróżce, mojej dawnej współlokatorce Vince. Jej pogrzeb był pierwszym tego rodzaju wydarzeniem, w jakim kiedykolwiek wzięłam udział. Nie dlatego, że nikt z moich znajomych nie zmarł, ale z tej przyczyny, że wszyscy inni zginęli z mojej ręki. Vinca była także pierwszą przyjaciółką, jaką miałam. I za tę przyjaźń zapłaciła życiem.

Od czasu jej śmierci trzymałam poczucie winy w szachu. Moja racjonalna strona utrzymywała, że Vinca знаła zagrożenie, kiedy upierała się, by uczestniczyć w ataku na winnicę, w której doszło do mojego pierwszego starcia z Lawinią. Sumienie jednak przypominało mi nieustannie, że gdybym była tylko trochę mądrzejsza, szybsza i lepsza, zapobiegłabym śmierci wróżki.

Tak jak i wcześniej tej nocy mogłam zostać z Brooksem, zamiast, kierując się własnymi celami, zostawiać go samego i bezbronnego. W przeciwieństwie do Vinki nie był w pełni poinformowany o grożących nam wszystkim niebezpieczeństwach. Poza tym Vinca zginęła, uczestnicząc w bitwie, którą uznała za swoją, Brooks zaś wpadł w pułapkę i został ukarany tylko dlatego, że miała to być wiadomość dla mnie. Czyż Lawinia nie obiecała tego? Że otaczające mnie istoty będą cierpieć, póki się nie poddam?

Spojrzałam na Giguhla, który podpierał łapami głowę. Kiedy wpadł z impetem do ogródka krótko po tym, gdy zostawiłam Zen i Adama zajmujących się Brooksem, wszedł na orbitę niepokoju. Trzeba było nas obu, Georgii i mnie, by powstrzymać go przed pognaniem do wróża. Gdy wreszcie się uspokoił na tyle, że opadł tam, gdzie teraz siedział, Georgia poszła na poszukiwanie Mac.

Wilkołaczycyca nie odbierała komórki, co oczywiście stanowiło sygnał alarmowy. Georgia obiecała dać znać, jak tylko się czegoś dowie.

Po drugiej stronie domu Zenobii, na Bourbon Street, srożyła się impreza piątkowej nocy poprzedzającej Hallo ween. Blaszyne dźwięki instrumentów dętych mieszały się z dudniącymi basowymi rytmami. Od czasu do czasu muzykę zagłuszały śmiechy i krzyki.

Z jednej strony pragnęłam polować na ulicy jak drapieźnik, na którego zostałam wychowana. Zapach

ludzkiej krwi był silny nawet w miejscu, w którym siedziałam, wyłączona z akcji. Z drugiej jednak strony, której naprawdę nie poznawałam, chciałam tylko obserwować ludzi i starać się zrozumieć, jakim cudem potrafią zapomnieć o swojej śmiertelności tak, by tańczyć na ulicach?

Brooks także był śmiertelny, jak wszyscy wróże. To stanowiło trudność. Potrafili się uzdrawiać, a niektóre ich gatunki żyły dłużej od innych, jednak magia mogła uleczyć tylko do pewnych granic.

Skrzypnęły zardzewiałe zawiasy tylnych drzwi, anonsując przybycie Adama. Stoicka mina niczego nie zdradzała. Wstałam wolno, wytarłam wilgotne dłonie o dzinsy i czekałam, by podzielił się z nami wiadomościami. Podszedł Giguhl z twarzą ściągniętą niepokojem.

Oblicze nekromanty znaczyły postarzające go, wywołane troską zmarszczki. Biały T-shirt nosił ślady krwi, przypominając chorobliwe płótno Jacksona Pollocka.

- Dobra wiadomość jest taka, że wciąż żyje - zaczął. Odetchnęłam z ulgą.

- Dzięki bogom. Adam uniósł dłoń.

- Zła jest taka, że może nie przetrzymać nocy. Ma zapadnięte płuco i rozległe krwotoki wewnętrzne.

Krew odpłynęła mi gwałtownie z głowy. Przygryzłam kłami wargi, licząc, że fizyczny ból zagłuszy emocje wystarczająco, bym mogła pozostać skoncentrowana.

-Musimy go zawieźć do szpitala - odezwał się Giguhl.

Adam pokręcił smutno głową.

- Nie wchodzi w grę. Podczas badań mogą się ujawnić geny wróza. Nawet gdyby nie, to w szpitalu będą pytać, jak został pobity. Mogą wezwać gliny.

- Jak możesz tak mówić? - zapytał Giguhl. - On potrzebuje pomocy.

- Wiem. Ale jest inna opcja.

- Magia - stwierdziłam. Nekromanta skinął głową.

-Ale nie taka, jak myślisz. Moje umiejętności uzdrawiające są zbyt nikłe, jak na takie wyzwanie.

- Wudu? - poddał Giguhl.

-Nie. Metody wudu przypominają homeopatię. Do wielkiej, uzdrawiającej magii potrzeba nekromanty. Mrugnęłam.

- Ale powiedziałeś...

- Powiedziałem, że ja tego nie potrafię. Ale Rea owszem. - Kciukiem wskazał budynek. - Przed przyjściem tutaj powiadomiłem Orfeusza. Rea jest w Chicago, stara się przekonać tamtejszych nekromantów, by dołączyli do reszty magów na dworze królowej. Musiałem się nagadać, ale przekonałem go, by ją tutaj wysłał.

- Jak szybko?

Właśnie wtedy powietrze się poruszyło. Okno na pierwszym piętrze nagle rozbłysło. Bez słowa cała nasza trójka pognęła do środka.

Nie tracąc czasu, siwowłosa ciotka Adama zabrała się do dzieła. Żadnych ciepłych powitań, żadnych pytań ani wyjaśnień. Kiedy dotarliśmy do pokoju, panowała już nad sytuacją.

- Potrzebuję suszonej szalwii, świeżych gałązek lawendy, torebkę soli... morskiej, nie jodowanej... oraz parę niebieskich i fioletowych świec... gromnic, nie ogarków.

- Dobra. - Zen skinęła głową.

- Powiedz mi, Adamie, czego próbowałeś?

Podczas gdy mag wymieniał zioła i zaklęcia, jakich używali z Zenobią, stałam obok Giguhla, trzymając go za łapę. Od stołu dobiegł jęk, z jakim Brooks wrócił do przytomności.

Rea urwała w pół zdania i pochyliła się nad nim. Położyła mu dłoń na czole i szepnęła coś zbyt cicho, żebym to usłyszała. Wróż natychmiast się uspokoił.

Odwróciwszy się z powrotem do Adama, nekromantka powiedziała:

-Musimy się śpieszyć. Ty i Sabina będziecie mi pomagali.

Szczęka mi opadła.

- Co? Ja?

- Żadnych ale. Chodź tutaj i pomóż nam uzdrowić twojego przyjaciela.

Jedna rzecz o Rei - ma może matczyzny wygląd, ale kiedy przychodzi do wydawania rozkazów, to dałaby popalić generałowi Pattonowi. Puściłam szpony Giguhla i z bladym uśmiechem na twarzy

stałam obok Adama. Wróciła Zenobia z naręczem przedmiotów.

- Znalazłam wszystko, czego potrzebujesz. Odmierzonymi ruchami Rea umieściła szybko świece w czterech rogach stołu.

- Będę w korytarzu, gdybyście mnie potrzebowali - powiedziała cicho Zen.

Najwyraźniej nie chciała przeszkadzać. Rea się nie sprzeciwiała. Spryskując ciało Brooksa lawendą, rzuciła przyjaciółce roztargnione, ale pełne uznania spojrzenie.

- Zabierz ze sobą demona, jeśli łaska.

Giguhl słyszał ją, oczywiście, ale zamiast wyjść, z upartą miną spojrzał kosym wzrokiem.

- W porządku, Giguhl - powiedziałam. - Zawołamy cię, jak tylko skończymy.

Skrzyżował ramiona.

- Nie ma mowy.

- Dobra - odezwała się Rea. - Ale trzymaj się z daleka i ani mru-mru. I cokolwiek byś zrobił, nie wchodź do kręgu.

Pokazał szponami zamykanie ust, po czym starał się sprawiać wrażenie niewidzialnego. Oczywiście mu się to nie udało, zważywszy, że trudno nie zauważyć siedmiostopowej wysokości demona w dresie

i jaskraworóżowym T-shircie z napisem *Laissez les bons temps rouler*. Zanim poświęciłam całą uwagę Rei, rzuciłam memu podręcznemu pełne otuchy spojrzenie.

- Co teraz?

- Usyp krąg z soli. Na tyle obszerny, żebyśmy oboje mogli się poruszać wokół stołu. - Zwróciła się do Adama: - Gdy tylko krąg będzie gotowy, zapal świece. Najpierw niebieskie, a potem fioletowe.

Kiedy wykonywaliśmy polecenia, Rea wzięła pęczek wyschniętej szalwii i szepnęła coś. Szczyt wiązki rozbłysnął, po czym ku sufitowi podryfowały pasma dymu. Rea obesła stół najpierw zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a potem w przeciwną stronę.

- Szalwia usuwa złą energię, oczyszcza przestrzeń rytualną. - Ton głosu miała taki sam, jak podczas wykładów w Nowym Jorku.

Krąg był usypany, więc postawiłam torbę pod stołem, uważając, by nie rozmazać linii. Zapaliwszy

szybko świece, Adam zajął miejsce po drugiej stronie stołu, naprzeciwko mnie. Rea stanęła za głową Brooksa.

- Wywołamy stożek mocy. Jeślibyście kiedykolwiek byli sami, możecie to zrobić dla siebie, ale teraz połączymy nasze energie w celu uzyskania większego potencjału.

Adam zamknął oczy i głęboko wdychał nasycone wonią szaławii powietrze. Wzniósł ręce; jego lewa dłoń ujęła moją prawą. Rea złapała mnie za lewą rękę i połączyła swoją lewą z prawą Adama.

Wspólnie utworzyliśmy trójkąt wewnątrz kręgu, co - jak pamiętałam z lekcji - dodawało magicznej siły kręgowi.

- Pamiętasz, jak cię uczyłam przywoływać moce? - zapytała szeptem Rea.

Pamiętałam, oczywiście, ale miałam wątpliwości.

- Taaa, ale czy moje umiejętności nie są zaprzeczeniem tego, czego tutaj potrzebujemy?

Na jej czole pojawiły się zmarszczki.

- To znaczy?

- Chtoniczne moce mają głównie związek ze śmiercią i zniszczeniem.

Adam otworzył gwałtownie oczy. Czulałam na sobie jego

spojrzenie nawet wtedy, gdy wpatrywałam się w jego ciotkę, oczekując wyjaśnienia. Pokręciła współczująco głową.

- Przeciwnie, moja droga. Twoje chtoniczne talenty dają ci także olbrzymie możliwości uzdrawiania.

- Ale jak to osiągam? Wcześniej, żeby z nich skorzystać, musiałam się podłączyć do mojej otchłani wściekłości.

Uśmiechnęła się.

- By uzdrawiać, podłączasz się do głębokiej studni miłości, którą cały czas starasz się ukrywać.

Drgnęłam, czując się nagle nieswojo z powodu kierunku, jaki obrała rozmowa. Uścisk ręki Adama na mojej dłoni się wzmógł. Odchrząknęłam.

- Dobra.

- Gotowa? - zapytała Rea. - Nie.

Wiedzieli, że kłamię, więc zamknęli oczy. Zrobiłam to samo i próbowałam zlokalizować tę część siebie, którą ledwie znałam. Tyle lat zaprzeczałam, że mam w ogóle jakiegokolwiek pozytywne uczucia.

Pozwalałam, by napędzał mnie jedynie ognisty gniew i żądza zemsty. Teraz jednak przetrząsałam zakamarki swego jestestwa w poszukiwaniu wszystkiego, co - według mnie - choćby przypominało miłość.

Rea zaczęła mówić coś cicho po hekатыjsku - w starożytnym magicznym języku, używanym przez nekromantów w trakcie czarowania i rytuałów. Pomimo ograniczonej znajomości tej mowy rozumiałam znaczenie wypowiedzianych słów.

- Bogini Hekate, Matko Magii i Królowo Nocy, wnieś swą pochodnię, by jej światło rozświetliło ścieżkę ku ozdrowieniu. Bogini Diano, Księżycowa Panno i Matko wróżów, otwórz oczy i wejrzyj na twego pokornego sługę, i ochroń go, by mógł żyć i spełniać twoją wolę.

W duchu przeniknęłam pod unoszącą się w moich trzewiach czarną chmurę gniewu, utkaną z żądz, mściwości

i strachu. Głębiej poczułam istnienie głębokiego zbiornika. Drżącym ruchem musnęłam jego powierzchnię, wywołując na niej zmarszczki. Kiedy woda się uspokoiła, poznałam twarze tuż pod jej lustrem. Byli tam Adam i Rea, ale też Giguhl i Vinca. A także Brooks.

Coś się poruszyło i woda wzniosła się powyżej mnie jak przypływ. Zamiast wścieklej mocy, którą wzywałam ku zniszczeniu, ta fala spęczniała delikatnie. Była ciepła, a nie gorąca. Emocje były ciemnofioletowe, a nie wściekle czerwone. Tułów mi się wypełnił - przepona się wydęła, a żebra rozciągnęły. Napór na zewnątrz i w górę. Przez kończyny i palce. Wznosił się w gardle jak pierwotny krzyk.

Oczy otworzyły mi się gwałtownie i moc wypłynęła ze mnie. Skóra łaskotała mnie w miejscach, którymi dotykałam Adama i Reę. Ich oczy także były otwarte, żarzyły się ich własną energią. Nasze energie się spotkały i splotły, wzniosły się i zakreśliły jak barwny wir przestrzelony iskrami światła.

Głos Rei brzmiał z daleka, podszyty echem.

- My troje jednoczymy nasze moce, by wlać zdrowie w tę zmaltretowaną powłokę. My troje jednoczymy się, by przyjąć jego ból. My troje...

Adam podjął pierwszy, przyłączając się swoim głębokim tonem:

- ...by wlać zdrowie w tę zmaltretowaną powłokę. My troje...

Mój własny głos podjął intonację.

- ...jednoczymy się, by przyjąć jego ból.

Stożek mocy pośrodku tworzonego przez nas trójkąta zgęstniał i zaczął wnikać w ciało Brooksa. Barki wróża oderwały się od stołu, jego ciało się uniosło, by wchłonąć uzdrowicielską energię. Jednocześnie druga wstęga mocy - ciemniejsza, grubsza i zabarwiona na zielonkawonie-biesko - wypłynęła z niego i rozdzieliła się na trzy strumienie. Teraz w końcu zrozumiałam, dlaczego Rea potrzebowała do pomocy Adama i mnie.

Odebrałam jedynie jedną trzecią negatywnej energii, ale była tak intensywna, że zazgrzytałam zębami i oblał mnie zimny pot. Mdłości skręciły mi żołądek, gdy zapożyczony ból próbował zapuścić we mnie szpony. Oddychając ciężko przez nos, wysilałam się, by zrównoważyć dwa przeciwstawne prądy energii.

Źrenice Adama były teraz kompletnie czarne. Dłoń Rei zacisnęła się mocniej na mojej. Rozszerzyłam pole widzenia, aż okiem duszy mogłam objąć całą naszą trójkę. Trzy pary rąk złączone we wspólnym celu. Troje ust zawodzących tę samą mantrę. Ciemna i jasna energia przenikała przez nas, obok nas, między nami, póki w końcu czysty strumień mocy nie przepłynął przez Brooksa. Wtedy trzy prądy energii pobiegły pośpiesznie ku swoim źródłom i zostały wchłonięte. Ale tylko jedna nekromantka padła na ziemię.

ROZDZIAŁ 20

W głowie huczały mi ognie piekielne. Kończyny były ciężkie, jakby je wypełniał ołów. Podniosłam powieki i natychmiast tego pożałowałam. Pokój wirował jak pijany derwisz. Zamknęłam gwałtownie oczy i czekałam, by żołądek zaprzestał protestów. Oddychając przez nos, zaryzykowałam kolejne zerknięcie. W czasie, gdy nie patrzyłam, świat znieruchomiał. W pole widzenia nade mną wpłynęło oblicze Adama. Przystojną twarz postarzały zmarszczki niepokoju i cienie pod oczami.

- Witaj z powrotem.

- Cześć - wykrakałam.

Uśmiech ulgi wykwitł mu na ustach.

- Cześć.

Przełknęłam, czując suchość w gardle.

- Co się stało?

Teraz, gdy świat znieruchomiał, zauważyłam, że leżę na sofie w salonie. Moja głowa spoczywała na udach ne-kromanty, który głaskał mnie po włosach, pomagając mi odzyskać równowagę.

- Zemdlałaś. - Musnął palcem moje czoło, sprawiając, że się wzdrygnęłam. - Padając, zawadziłaś o stolik.

To z pewnością wyjaśniało ból głowy. Drgnęłam, przypomniawszy sobie rytuał uzdrawiający.

- Brooks?

Chciałam usiąść, ale Adam przytrzymał mnie pewną ręką.

-Spi. Musisz wyluzować. Twój organizm potrzebuje czasu, by się zregenerować.

-Dlaczego nic ci nie jest? Ty także uczestniczyłeś w tym obrzędzie.

- Prawdę mówiąc, to na ciebie z Reą przypadł główny wysiłek przekazania pozytywnej energii. Poza tym, ona i ja mamy większe doświadczenie w kontrolowaniu pływów mocy. Z czasem nauczysz się je okiełznywać, nie podkopując własnych sił.

To miało sens, ale nie chciałam leżeć tam jak niemowlę.

- Czuję się już dobrze.

Wzrok, jakim na mnie spojrzał, mógł zmiażdżyć słabszą kobietę.

- Poczujesz się dobrze, kiedy ja to powiem. Teraz masz czas leżakowania. Zalecenie lekarza.

Zmrużyłam oczy.

- Bawisz się ze mną w doktora, nekromanto? Kącik jego ust się uniósł.

- Jasne.

- Na jaja Baala - rozległ się gdzieś w pobliżu gderliwy głos. - Idźcie wreszcie do osobnego pokoju!

Podniosłam głowę i ujrzałam Giguhla, siedzącego w kwiecistym fotelu.

- Cześć, G.

- Cześć ci. Zapytałbym, jak się czujesz, ale wiem, że twoje uparte ego po prostu skłamię.

Wyszczrzyłam się do demona.

- Chyba masz rację.

- Ale jeśli jeszcze raz mnie tak przestraszysz, to skopię ci tyłek.

Roześmiałam się.

- Nawet nieprzytomna, i tak bym cię załatwiła, demonie.

Czarne wargi Giguhla rozciągnęły się w uśmiechu.

- Cieszę się, że nic ci nie jest, Rudzielcu.

- To jest już nas dwóch - dodał Adam.

Ciepło w moim brzuchu wypaliło utrzymującą się tam mgłę. Roześmiałam się zażenowana.

- Rany, chłopaki, zachowujecie się, jakbym stała na krawędzi życia i śmierci, a ja tylko zemdlałam.

Adam spojrzał na mnie ostro. Najwyraźniej moje beztroskie podejście do ich niepokoju nie spodobało się żadnemu z nich.

- Przepraszam, ale czuję się dobrze. - Moje oświadczenie spotkało się z dwoma wątpięcymi spojrzeniami. - Naprawdę.

- Tak, tak - odezwał się Giguhl. - Mimo to będziesz odpoczywać, nawet jeśli mielibyśmy cię przywiązać do tej kanapy.

Wstał i poszedł do sypialni, najwyraźniej by sprawdzić, co z Brooksem. Po wyjściu demona w pokoju zabrakło czegoś więcej niż tylko jego wielkiego ciała. Westchnęłam i spojrzałam na Adama. Głaskał

mnie kciukiem po policzku.

- Wiesz, że nie kłamał.

- To znaczy? - Zmarszczyłam brwi. Skłonił głowę w stronę drzwi.

- Mamy prawo się o ciebie troszczyć. Mój żołądek wykonał salto.

- Wiem - odparłam zakłopotana.

- Doprawy? Bo czy ci się to podoba, czy nie, utknęłaś z nami. - Kiedy powiedział „z nami”, poczułam wyraźnie, że miał na myśli „ze mną”. - Dasz sobie z tym radę?

Oblizawałam wargi, starając się stłumić niepokój. Nagle miałam znowu wyschnięte gardło, więc zamiast odpowiedzieć, skinęłam po prostu głową. Dłoń Adama powędrowała w dół i popieściła moje ramię.

- Prawdę mówiąc, kiedy teraz o tym myślę, to wyrażenie „troszczyć się” nie wydaje mi się odpowiednie.

- Nie? - szepnęłam.

Cholera, czy to jest ta chwila, której nadejście przepowiedział Giguhl? Kiedy nekromanta kręcił głową, w oczach błyszczała mu ciekawość. Ponieważ nie powiedział nic więcej, uniosłam dłoń i ujęłam go pod brodę. Pochyliłam jego twarz ku mojej. Przełknąwszy głośno, wyszeptał:

- Przeraziłaś mnie, Rudzielcu. Padłaś jak kamień, a ja nie byłem w stanie dotrzeć do ciebie na czas.

Nie myślałam o tym, co robię. Nie próbowałam tego racjonalizować. Nie namyślałam się, tylko uniosłam usta ku jego wargom i sprawiłam, by pocałunek powiedział, co czuję. A kiedy mag wziął mnie w ramiona i odpowiedział z gwałtownością, która powinna mnie być przestraszyć, nie odsunęłam się.

Całowaliśmy się już wcześniej. Namiętnie, co oboje nas pozostawiało z ochotą na coś więcej, teraz jednak nie było to pożądlive złączenie języków i warg, jak poprzednio; tym razem ujawniło to skrywane bardzo długo emocje. I pierwszy raz, będąc w ramionach Adama, nie doświadczyłam ataku strachu, który zwykle kazał mi uciekać gdzie pieprz rośnie. Straciłam poczucie czasu; w końcu mag odsunął się nieznacznie. Uśmiechnęłam się nieśmiało.

- Rany - powiedziałam, błyskotliwa jak zwykle. Zachichotał.

- Niedopowiedzenie tysiąclecia.

Uniosłam twarz w oczekiwaniu na kolejny pocałunek. Zawahał się.

- Co jest? - zapytałam.

- Nie w tym rzecz, żebym się skarżył, ale czy to nie jest ten moment, kiedy zwykle starasz się mnie przekonać, że to bardzo zły pomysł? I że nie możemy sobie pozwolić na szaleństwa?

Skuliłam się w duchu, wspomniawszy ostatni raz, kiedy wypłynęła ta kwestia.

- Powiedzmy po prostu, że mogłabym mieć w życiu trochę więcej rozrywki.

Wybuchnął śmiechem, po czym nagroził mnie kolejnym pocałunkiem.

- Czy byłoby zarozumiałością z mojej strony spodziewać się wielokrotnego dostarczenia ci rozrywki tak szybko, jak to tylko możliwe?

- Hmm, kochani? - Od progu dobiegł nas głos demona. - Przepraszam, że przeszkadzam w tym szczególnym momencie, ale musicie to zobaczyć.

Adam odsunął się z jękiem.

- Skoro mowa o odwróceniu uwagi - mruknął pod nosem. A do demona: - Lepiej, żeby to było ważne.

Też nie byłam zachwycona tym przerywnikiem, ale coś w tonie Giguhla przebiło się przez otulającą mnie mgiełkę przyjemności.

- Co się stało?

- Mocno wkurzona wilkołaczycyca woła was na dół.

Dziesięć minut później - z których pięć upłynęło na sprzeczce z magiem i demonem - zesłam do ogródka. Zanim moi zaślepieni miłością opiekunowie pozwolili mi wyjść z pokoju, kazali mi wypić dwie piny krwi. Bardzo ceniłam sobie ich wsparcie, ale też mnie ono denerwowało. W dniu, w którym nawet słaba nie mogłabym pokonać śmierdzącego wilkołaka, oddałabym swoje kły.

Mac chodziła po dziedzińcu jak zwierzę po klatce. Obok kroczyła Georgia, obgryzając paznokcie.

Kiedy się zjawiłam, wampirzyca pośpieszyła do mnie, zanim dotknęłam stopami kamieni podwórka.

- Przepraszam, Sabina. Próbowałam jej wytłumaczyć...

- Nie, Georgio! - warknęła Mac. - To sprawa między tą krwiopijczynią a mną!

Weszłam na dziedziniec i skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Jestem, suczko!

- Sabina! - Głos Adama niósł wyraźną reprimendę, ale zignorowałam ją. Mac była wilkołaczą. Jej

instynktowna potrzeba dominacji oznaczała, że od razu musiałam ustalić, kto tu rządzi, bo inaczej sprawy wymknęłyby się spod kontroli.

- Co jest grane, Mac? - zapytałam konwersacyjnym tonem.

Zmrużyła oczy.

- To wszystko twoja wina.

Nie zawracałam sobie głowy wyciąganiem z niej tego lub udawaniem, że nie wiem, o co chodzi.

Winiła mnie o to, co się stało z Brooksem, więc sarkazm dolałby jedynie oliwy do ognia gniewu.

- Wiem.

Zawahała się. Przekrzywiwszy głowę, rozdymała nozdrza, jakby próbując wyniuchać podstęp.

- Jednakże - ciągnęłam - nie jestem tutaj jedyną winną. Zadarła brodę.

- To znaczy?

- Gdzie byłaś zeszłej nocy? Oczy Mac uciekły w lewo.

- Coś mi wyskoczyło. Musiałam odwołać występ. Zadzwoiłam do Brooksa i powiedziałam mu o tym.

- Kiedy?

- Około ósmej trzydzieści.

Dziesięć minut po naszym wyjściu. To jednak nie dawało jej alibi na dłuższą metę.

- Dlaczego odwołałaś występ? Nadęła się.

- Nie twój zakichany interes.

- Mac - odezwała się Georgia cicho. - Powiedz jej. Wilkołaczą spiorunowała kochankę wzrokiem; minę

miała, jakby chciała ją udusić. Georgia zniosła to ze stoickim spokojem. W końcu Mac westchnęła ciężko.

- Minionej nocy jedną z moich pracownic znaleziono martwą.

- Kto i jak zginął?

- Wampirza transwestytka, Elwira Bathory. - Głos Mac się załamał. - Wczoraj miał się odbyć jej ostatni występ.

Georgia podeszła do partnerki i objęła ją.

- Elwira była jedną z miejscowych, którzy postanowili nie wtrącać się w kłopoty z kastą czy twoją babką. Chyba jednak kłopoty same ją dopadły.

- Czekaj no - odezwał się Adam. - Skąd wiesz, że została zabita? Wampiry spalają się na popiół, umierając.

Georgia masowała plecy Mac, gdy ta kręciła głową, jakby nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- Elwira zawsze nosiła naszyjnik.

Mac sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej prosty złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie *fleur-de-lis*

-
symbolem świętym zarówno dla nowoorleańczyków, jak i wampirów, ze względu na związek z boginią Lilith - oraz zmiętą kartkę.

- To było przybite sztyletem do drzwi Elwiry. Wyciągnęła papier do Adama, ale nie była skłonna oddać naszyjnika. Mag zaklął pod nosem. Podał mi kartkę.

- „Pierwsza z wielu, jeśli wampiry z Nowego Orleanu nie będą współpracować”.

-Dobrzy bogowie! - powiedział Giguhl, czytając mi przez ramię. - Lawinia z pewnością wie, jak osiągnąć cel, co?

Uciszyłam demona wzrokiem. Rozmazany ruch na obrzeżu pola widzenia i głuche warczenie stanowiły jedyne ostrzeżenie. Mac rąbnęła mnie w plecy.

- To wszystko twoja wina! - powtórzyła.

Zaryłam twarzą w kamienie bruku. Zanim zdołała mnie przyszpilić do podłoża, obróciłam się na plecy i podrzutem bioder zrzuciłam ją z siebie. Adam ruszył z odsieczą, jakby zamierzał ją obezwładnić, ale powstrzymałam go krzykiem:

-Nie!

Wstałam szybko i przyjąłam pozycję. Zwarłyśmy się z Mac wzrokiem. - No, dawaj!

Przykucnęła nisko, warcząc ze złością. Adam wycofał się wolno. Sądząc po jego minie, zainteresowałby, gdyby sprawy przybrały dla mnie zły obrót. Nagle byłam jednak zbyt zajęta odpieraniem kolejnego ataku, by przejmować się nekromantą.

Hakiem zaprawiła mnie w brodę, aż moje szczęki zwały się z bolesnym trzaskiem. Odwzajemniłam fawor dźgnięciem w żebra i poprawiłam lewym sierpowym na wątrobę. To naprawdę ją wkurzyło.

Palce zakrzywiła jak szpony - nie te prawdziwe, gdyż nie było jeszcze pełni - i ciachnęła mnie w policzek. Skóra rozeszła się, dając wrażenie chłodu, po czym po twarzy popłynęła ciepła krew.

To mnie rozjuszyło.

Kopnięcie z obrotu pozbawiło Mac równowagi. Gdy młóciła powietrze ramionami jak wiatrak, cofnęłam tułów i uniosłam zgiętą nogę, jednak zanim zdołałam wyprowadzić kopnięcie, które dałoby Mac nauczkę, tylne drzwi sklepu otworzyły się z trzaskiem.

-Przestańcie! - Głos Rei zagrzmiął w powietrzu jak wystrzał.

Zerknęłam na nią, wciąż z podniesioną nogą. To zawahanie Mac wykorzystała, by przechylić szalę zwycięstwa na swoją korzyść. Runęła naprzód, waląc mnie barkiem w brzuch. Rąbnęłam plecami o blat stołu ogrodowego, który na skutek siły uderzenia rozpadł się z trzaskiem.

Oszołomiona leżałam ze wzrokiem wlepionym we wczesnoporanne niebo. Słońce nie wychynęło jeszcze ponad horyzont, lecz czułam, że jego odradzające się promienie napierają mi za przeponę.

Brutalne dłonie chwyciły za klapy kurtki, zanim jednak Mac zdołała mnie poderwać, powietrze przeszył rozdzierający uszy dźwięk. Mac

i ja znieruchomiałymy i jednocześnie obróciłyśmy głowy w kierunku źródła przeraźliwego hałasu.

Zen patrzyła na nas wilkiem z dolnego stopnia, ściskając w dłoniach biały róg. Stojąca za nią Rea wokół oczu miała zmarszczki dezaprobaty.

- Nie dość było przemocy jak na jedną noc? Podniosłam się z ziemi; bolały mnie stawy, a tyłek piekł na skutek zderzenia ze stołem. Mac krążyła obok spięta, w oczekiwaniu na kolejną rundę. Ręka Zen

opadła na biodro.

- Spójrzcie na siebie! Obie pełne octu i szczyn. - Pokręciła głową, patrząc na nas. - Dobra, wiecie co?

Obie zwracacie swój gniew w niewłaściwym kierunku.

Nie patrzyłam na wilkołaczycę, ale byłam pewna, że jej mina jest odzwierciedleniem mojej. Może nie będziemy więcej próbowały się wzajemnie okaleczyć, ale pewne jak cholera, że nie schylimy głów jak zawstydzone dzieci. Widząc nasze wahanie, Zen zwróciła się do Rei.

- Młodzież - poskarżyła się. Ręce opadły mi do boków.

- Jestem starsza od ciebie.

- Ja też - dodała Mac.

Oczy śmiertelniczki rozszerzyła ironia.

- No, to udało się wam mnie oszukać! Zamknęłam usta. Zenobia odwróciła się do Mac.

-1 ty! Zachowujesz się tak, gdy jedna twoja przyjaciółka nie żyje, a przyjaciel ledwo zipie! To zawstydzający brak szacunku. Powinnaś to wiedzieć.

Mac wierciła czubkiem martensa w kamieniach bruku.

- Przepraszam, Zen.

- Nie przepraszaj mnie, tylko Brooksa. Wilkołaczyca poderwała głowę.

- Jest przytomny?

- Nie - odparła Rea - ale tylko dlatego, że napoiłam go miksturą na sen, żeby jego ciało mogło odzyskać siły.

Mac spojrzała na nią wilkiem.

- A kim ty, do cholery, jesteś?

Adam, który aż do tej pory trzymał się z Giguhlem na uboczu, wybuchnął.

- Hej, okaż trochę szacunku!

Rea podniosła dłoń i pokręciła głową, patrząc na siostrzeńca.

- Nazywam się Rea Lazarus. Poza tym, że jestem jego ciotką... - skinęła w stronę Adama - .. .jestem

też Arcykapłanką Starszego Księżyca i duchową doradczynią Rady Hekate. No i minionej nocy pomogłam Sabinie i Adamowi uratować życie twojego przyjaciela. A kim ty, do diabła, jesteś?

Mac nie spodobała się ta drobna próbka jej własnego zachowania.

- Nazywam się Mac Romulus.

- To siostrzenica Michaela - dodał Adam.

Oczy Rei rozszerzyły się, gdy pojęła, kto jest naszym sprzymierzeńcem.

- Teraz, skoro ustaliliśmy, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie - rzekła - pozwolę ci iść zobaczyć przyjaciela, ale musisz zrozumieć, że bez wahania cię załatwię, jeśli przyprawisz wróża o niepotrzebny stres.

Mac nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Ruszyła biegiem, przeciskając się między nekromantką a kapłanką wudu. Georgia poszła za nią spokojniejszym krokiem, przepraszając pod nosem za nieuprzejmość kochanki.

Odejście wilkołaczy rozproszyło wiszący nad naszą grupą ciężki opar napięcia. Adam i Giguhl podeszli do kobiet wcześniej niż ja, ale w końcu wszyscy utworzyliśmy luźny krąg. Rea spojrzała na mnie.

- Mam uważać, że nie potrzebujesz żadnego leczenia? Dotknęłam skaleczeń na policzku grzbietem dłoni.

Kiedy ją odsunęłam, zaledwie kilka małych kropli krwi

brudziło skórę. Na szczęście krew, którą wypiałam przed zejściem z góry, przyczyniła się do szybkiego zagojenia mniejszych obrażeń, jakie odniosłam w trakcie bijatyki.

- Taaa, nic mi nie jest.

- To dobrze - powiedziała Zen, podejmując rozmowę -bo musimy ci coś pokazać.

Patrząc na kobiety, zmarszczyłam brwi. Powiedzieć, że nie podobał mi się ton Zenobii, byłoby niedomówieniem. Raczej brzmiało mi to w głowie jak dzwonki alarmowe.

- O co chodzi?

Adam stał tuż obok mnie, palce jego dłoni splotły się z moimi w uprzedzającym geście pocieszenia.

- Lepiej usiądź - poradziła Rea.

Żołądek mi się zapadł jak kowadło w stawie.

- Dzięki, postoję.

Zen i Rea wymieniły zaniepokojone spojrzenia, po czym wuduistka skrzywiła się, patrząc na mnie.

Sięgnęła do kieszeni roboczego fartucha. To, co wyjęła, wyglądało z początku na zmięty kawałek papieru.

- Znalazłam to przy ołtarzyku w moim salonie. Włożyła mi do ręki kartonik, który okazał się zmiętym zdjęciem polaroidowym. Serce mi zabuksowało, z ust wydarło się westchnienie. Na automatycznym pilocie, drżącą dłonią, podniosłam fotografię do oczu. Adam pochylił się ku mnie, by samemu mieć lepszy widok. Zaklął pod nosem, a jego dłoń zacisnęła się na mojej.

Smugi krwi - Maisie? - brudziły zdjęcie. Potarłam plamę kciukiem, lecz udało mi się jedynie

rozprowadzić ją na twarzy siostry jak czerwony werniks. Sprawilo to, że jej cera i knebel zasłaniający usta stały się różowe. Oczy miała zwężone, jakby chciała przeszyć fotografującego promieniami

lasera. Przed sobą, zbielełymi palcami, trzymała gazetę z czwartkową datą. Pod zdjęciem, czarnym markerem, Lawinia napisała: „Zegar tyka”.

Adam wziął ode mnie fotografię i pokazał ją Giguhlo-

wi, który choć raz nie miał dowcipnego komentarza czy żartu. Mądrze z jego strony.

Dwa uczucia walczyły we mnie o lepsze. Pierwszym była ulga. Mieliśmy w końcu potwierdzenie, że

Maisie żyje. Stanowiło to jednak słabą pociechę, jeśli wziąć pod uwagę, że nie byliśmy ani trochę bliżej poznania miejsca jej pobytu niż w Los Angeles.

Drugie uczucie było bardziej toksyczne. Mieszanka złości i poczucia winy, która przyprawiła mnie o skurcze żołądka i postawiła czerwoną chmurę przed oczami. Trzęsły mi się ręce. Zacisnęłam mocno powieki, by nie dopuścić do siebie prawdy.

- Sabina? - odezwał się cicho Adam.

Gdy otworzyłam oczy, zapiekły mnie spojówki.

- Ta kurwa bawi się ze mną. Potwierdził skinieniem głowy.

- Stara się zmusić cię do gry na jej warunkach. Nie daj jej tej satysfakcji. Skup się na tym, że Maisie żyje.

- Nazwij mnie szaloną, ale w tej chwili trudno mi się skoncentrować na pozytywach. - Wyrwałam fotografię ze szponów Giguhla i podsunęłam ją Adamowi przed twarz. - Spójrz na nią! Jest zakneblowana i skuta mosiężnymi kajdankami!

Wziął ode mnie zdjęcie i przytrzymał mi je przed oczami.

- Nie, to ty popatrz! Czy wygląda, jakby cierpiała lub była przerażona?

Przestałam piorunować go wzrokiem i spojrzałam na podobiznę siostry.

- Nie - przyznałam. - Wygląda na wściekłą. - Właśnie. Ta złość pomoże jej przetrwać. - Chwycił

mnie za ramiona i odwrócił do siebie. - Ale jeśli ty pozwolisz opanować się swojej, to nie pomoże nikomu. Rea oparła dłoń na moim barku.

- Adam ma rację. Wszystkich nas to martwi, ale nie mo-

żemy pozwolić, by psychologiczna wojna Lawinii zdezorientowała nas.

Wzięłam głęboki wdech, spychając w głąb siebie gniew i wzmacniając mentalne mechanizmy

obronne. Rea miała rację - nie byłam tu jedyną, która martwiła się o Maisie. Adam i Rea znali ją dłużej niż ja, a jednak to oni pocieszali mnie. Zawstydziłam się z powodu mojego egoizmu.

Giguhl uniósł szpon.

- Nie chcę dolewać oliwy do ognia, ale mamy pilniejsze sprawy na głowie. Lawinia wie, gdzie mieszkamy.

Zen zdecydowanie skinęła głową i wystąpiła naprzód.

- To jeszcze nie jest najgorsze. - Spojrzeliśmy na nią, przygotowując się na to, co może powiedzieć. -

Póki się nie dowiemy, kto nas szpieguje, znalezienie bezpieczniejszej kryjówki nie będzie możliwe.

Adam skrzyżował ramiona na piersi i podrapał się po brodzie.

- Musimy wystawić warty. Sabina i ja będziemy czuwać na zmianę. Oczywiście ona weźmie nocne wachty.

- Adam, to szaleństwo! Jak mamy cokolwiek zrobić, jeśli cały czas będziemy na zmianę wyczekiwać

ataku?

- Coś w tym jest, Adamie - przyznała Rea. - Możemy na wszelki wypadek zabezpieczyć wejścia i wyjścia.

- Nadal uważam, że musimy mieć wartownika, przynajmniej w nocy, kiedy napaść jest bardziej prawdopodobna.

Giguhl uniósł łapę.

- A co ze mną?

Rzuciłam demonowi pełne wdzięczności spojrzenie. Był idealnym kandydatem do tego zadania. Nie dotyczyły go moje cholerne problemy związane z nocnym trybem życia, i chociaż rzadko to przyznawałam, był najpotężniejszą istotą w naszym trio. Powszechnie wiadomo, że demona trudno zabić, a Giguhl w dodatku był nader chętny do bitki.

- To byłaby wielka pomoc, G. Dzięki.

W jego poziomych źrenicach zamigotało zaskoczenie.

- Naprawdę? Zmarszczyłam brwi.

- Taaa. To jakiś problem? Przechylił głowę.

- Nie, tylko zwykle oponujesz, kiedy się zgłaszam na ochotnika.

Poczułam wyrzuty sumienia. Miał całkowitą rację.

- Cóż, twoja niedawna przemowa pomogła mi zrozumieć, że muszę zacząć cię traktować jak członka naszego zespołu. Zatem tak, chciałabym, żebyś zajął pozycję na rubieży. Proszę - dodałam w formie nawiązki.

Giguhl wstał z uśmiechem satysfakcji na czarnych wargach.

- Nie pożałujesz, Rudzielcu. Perymetr będzie zamknięty szczelniej niż cipa zakonniccy.

Posłużwszy się tą czarującą metaforą, wybiegł, by zacząć zabezpieczać budynek. Nasza czwórka śledziła go przez chwilę wzrokiem, po czym Adam odchrząknął.

- Skoro to już załatwione, co zrobimy w sprawie tego szpicla?

Rea się rozejrzała.

- Naprawdę uważacie, że Lawinia ma kogoś, kto was szpieguje?

Zenobia, Adam i ja pokiwaliśmy głowami.

- Kogoś wystarczająco bliskiego, by znał nasze plany. Inaczej skąd by wiedzieli, by zaatakować zeszłej nocy, kiedy nikogo z nas tutaj nie było?

-1 te dwa incydenty w Garden District - dodał Adam, nawiązując do świętej pamięci Stryx oraz bandy wampirów hrabiego.

- Skoro o tym mowa - wtrąciła Zen - to jaki jest wynik nocnego patrolowania?

Adam się skrzywił.

- Zero. We French District ani śladu Lawinii. Zadzwo niłaś, co prawda, zanim zdołaliśmy obejść do końca naszą trasę, i nie miałem okazji zapytać Giguhla...

- Kiedy byliście w środku, sprawdzając dom - przerwała mu Zen - demon powiedział mi, że także niczego nie znaleźli.

- Jakies wieści ze świata duchów? - Adam spojrzał na mnie i Zenobię.

Wymieniłyśmy spojrzenia.

- Nie, nie bardzo - przyznałam w końcu. Rea zmrużyła podejrzliwie oczy.

- O co chodzi?

Poinformowałam ją krótko o zaplanowanym przez nas rytuale i urwałam zaraz po przekazaniu jego nieoczekiwanego rezultatu.

- Co się więc stało? - zapytał Adam. Wyraz jego twarzy odpowiadał minie ciotki. Czuli, że coś ukrywamy.

- Czeka j no - odezwała się Rea. - Ostrzegłaś wcześniej Zen, że dysponujesz chthonicznymi mocami, co?

Wzrok uciekł mi w lewo.

- Hmm.

Zen skrzyżowała ramiona na piersi i postukała stopą o podłogę, obrzucając oskarżycielskimi spojrzeniami na przemian Adama i mnie.

- Nie - odparła za mnie. - Ani ty tego nie zrobiłaś, stara przyjaciółko.

- Czego nie wiem? - dociekał nekromanta.

Nadal unikałam czyjegokolwiek wzroku, więc pałeczkę przejęła Zenobia.

- Tego, że obecna tutaj Panna z Mokłą Głową przywołała zmartwychwstańca.

- Zm... Chodzi ci o zombi? - wykrzyknął Adam. Rea opadła szczęką.

- Dobrzy Bogowie! Co ty sobie myślałaś, Sabino? Ich dezaprobata rozsierdziła mnie.

- Dobra, popełniłam błąd. Ale posprzątałam po sobie! Zenobia niechętnie skinęła głową.

- To prawda. Udało jej się go zabić. W końcu. Rzuciłam magom spojrzenie pod tytułem „a nie mówiłam?”. Zenobia jednak nie skończyła jeszcze.

- Szkoda tylko, że sowa zdechła, zanim Sabina zdołała uzyskać od niej potrzebne odpowiedzi.

- Sowa? - powtórzyła Rea. - Masz na myśli Stryx?

- To długa historia - odparłam. - Ale rytuał nie był kompletnym fiaskiem. Kevin... to ten zombi - wyjaśniłam, widząc ich puste spojrzenia - przez kilka minut tłumaczył skrzeczenie ptaka. W większości były to nawoływania mistrza, sowa jednak powiedziała kilka dziwnych rzeczy.

Wszyscy patrzyli na mnie wyczekująco. Westchnęłam, wiedząc, że to, co zaraz powiem, każe im zakwestionować moje zdrowie psychiczne.

- Powiedziała: „wielka skrzynia” i „kot w pace”. Adam zmrużył oczy i przechylił głowę.

- Co to znaczy?

- Nie mam pojęcia. Ale ptak wyskrzeczwał to w chwili, gdy zapytałam, gdzie jest Maisie. Po kwestii skrzyni i kota dodał: „Mistrzu, przybądź” i „Kane”. Może to są wskazówki?

-Zasadniczo więc, poza tym, że potrafisz przywoływać zombi, co jest super, nawiasem mówiąc -

odezwał się Adam, rzucając mi pełne podziwu spojrzenie - możemy się kierować jedynie zdjęciem

Maisie i mglistymi odniesieniami do skrzynek i kociej uryny?

Rea westchnęła ciężko.

- Nie jest dobrze - stwierdziła. - Zastanawiam się, czy nie powinniśmy się poradzić Orfeusza.

- Co? - zapytał Adam. - Nie. A jeśli ci powie, że mamy opuścić miasto, by przegrupować siły? Nie możemy zostawić tutaj Maisie.

- Orfeusz by tego nie zrobił. Bardziej prawdopodobne, że przysłałby nam posiłki.

Zmarszczyłam brwi.

- Zdawało mi się jednak, że nie dysponujemy zbyt wieloma ludźmi?

- Moje wysiłki rekrutacyjne dały wyniki. Tuż przed przybyciem tutaj udało mi się zwerbować kilkunastu magów z okolic Chicago. Może udałoby się nam przekonać Orfeusza, by uderzyć na Lawinię, zanim zrealizuje swoje plany związane z kastą?

- Nie - sprzeciwiłam się. - Jesteśmy blisko. Czuję to. Chociaż to straszne, co spotkało Brooksa, Adam ma rację. Lawinia stara się wytrącić nas z równowagi. To mi mówi, że obawia się, iż odkryjemy jej knowania. Poza tym nie jesteśmy kompletnie bez szans. Nadal musimy porozmawiać z wróżem.

Rea otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale naszą uwagę zwróciło głośnie skrzypienie. Georgia wychyliła się z otwartego gwałtownie okna na piętrze.

- Brooks się ocknął!

ROZDZIAŁ 21

Pierwsze weszły Rea i Zen, my z Adamem zostaliśmy na progu zatłoczonego pokoju. Najwyraźniej Giguhl także słyszał wołanie Georgii, gdyż siedział już u boku wróża.

- Witajcie! - zawołał z łóżka Brooks zdumiewająco radosnym głosem.

Biorąc pod uwagę wygląd wróża, trudno było powiedzieć, na ile ta reakcja jest prawdziwa.

Mac i Georgia odczekały kilka minut, zanim nas zawołały. Zniknęła podarta i zakrwawiona suknia,

którą Brooks miał wcześniej na sobie. Różowy peniuar uzupełniała nowa peruka - prosty czarny kok

-
oraz wielkie okulary przeciwsłoneczne w stylu Jackie Onassis. Spoza szkieł widać było jedynie dolną część twarzy. Nieskazitelną cerę podkreślał lśniący na wargach różowy błyszczyk.

Rea i Zenobia pochyliły się nad łóżkiem, porozumiewając się z wrożem. Giguhl wstał, by zapewnić im chwilę prywatności, i zbliżył się do nas.

- Dziwię się, że ponownie ubrały go jak transwestytę -szepnęłam do demona i maga.

Giguhl odpowiedział równie cicho.

- Z powodu łomotu, jaki dostał, przypuszczalnie bezpieczniej się czuje w przebraniu. Łatwiej mu się oderwać od rzeczywistości.

Nawet nie próbowałam udawać zaskoczonej podobną przenikliwością ze strony demona. Przede

wszystkim dlatego, iż podejrzewałam, że ma rację. Z pewnością nieobce mi było chowanie się za

fasadą w celu radzenia sobie z różnymi problemami. Niemniej jednak ironiczne, iż reakcją Brooksa na zagrożenie było zapadnięcie się głębiej w postać, którą wielu kojarzy ze słabością. Moją zaś - zaprzeczanie, bym była wrażliwa na cokolwiek. Bez względu na różnicę metod moje serce skłaniało się ku niemu. Jeszcze jeden powód, by się dowiedzieć, co zaszło, żebym mogła zmusić Lawinię i jej goryli do zapłaty za to.

Przeprosiłam Adama i Giguhla i podeszłam pogadać z Brooksem.

- Cześć - powiedziałam, podchodząc do łóżka. Przechylił ku mnie głowę, ale oczy za ciemnymi okularami były dla mnie niewidoczne. - Jak się czujesz?

- Nigdy nie czułam się lepiej, kochanie. - Błysnął perłową białością, ale uśmiech ocieniało napięcie.

Wtrąciła się Mac. Mówiąc do pozostałych, odwróciła się do mnie plecami.

- Miał nam właśnie powiedzieć, co zaszło.

- Miała - sprostował transwestyta.

Ostre jak nóż napięcie sprawiło, że jego głos brzmiał wyżej niż zwykle. Wymieniliśmy skonfundowane spojrzenia. Zen opamiętała się pierwsza i poklepała Brooksa po ramieniu.

- Na pewno jesteś gotowa? To może poczekać.

- Prawdę mówiąc, czuję się wspaniale. Gdyby ktoś... -szarpnięciem głowy wskazał Mac - ...nie zagroził mi, już wstałabym z łóżka.

- Będziesz siedziała spokojnie i koniec - powiedziała wilkołaczyca, krzyżując ramiona na piersi.

Brooks rozejrzał się w poszukiwaniu sprzymierzeńca, ale nie znalazł takiego. Zamiast dalej protestować, z gniewnym westchnieniem oparł się na poduszkach.

- Dobra - stwierdził. - Prawda jest taka, że nie pamiętam wiele.

Giguhl poklepał go po ramieniu.

-Po prostu opowiedz nam, co pamiętasz. Zaczynj od tego, co się stało zaraz po naszym wyjściu.

-Jakieś dziesięć minut później zatelefonowała Mac i powiedziała, że odwołuje występ. Zaniepokoiłam się, bo nie podała żadnych powodów, ale głos miała bardzo napięty i gniewny. - Spojrzał na nią. - Co się stało?

Oddaję to Mac - ma przekonującą pokerową twarz.

- Teraz to nieważne. Mów dalej. Brooks zrobił buzię w ciup.

-Zgoda. Niech tak będzie. - Najwyraźniej sądził, że Mac skrywa jakieś pikantne plotki. - W każdym razie przyznaję ze wstydem, że po tym telefonie odegrałam atak operowej divy. Oto tu byłam,

odpicowana od stóp do głów, i nie miałam dokąd iść. Postanowiłam więc przygotować sobie martini i zadzwonić do kilku dziewczyn, żeby zapytać, czy nie chcą wyjść do miasta. - Aż do tego momentu

marudził swobodnie - niczym Pussy Willow -kiedy jednak podjął relację, sarkazm przepadł. - Byłam

na piętrze, kiedy usłyszałam łomot do drzwi. - Przełknął głośno. - Najpierw myślałam, że to wy, ale potem zobaczyłam kaptury.

Wysunęłam się naprzód.

-Co?

-Jak ci popaprańcy z Ku-Klux-Klanu. - Udał, że naciąga kaptur na twarz. - Tylko że te były czerwone, z wyjątkiem jednego gościa, który nosił czarny. Zanim się zorientowałam, co się święci, otoczyło

mnie kilkunastu dupków. Próbowałam zwać, lecz kostium Kleopatry nie jest zaprojektowany do

ucieczki przed zamaskowanymi szaleńcami, tylko do próżniaczenia się na sofie. No więc, potknęłam

się. Straciłam perukę. - Głos się mu załamał. Wyobrażałam sobie, że gdyby zdjął okulary, źrenice rozszerzałyby mu wspomnienie strachu. - Kilku oddzieliło się i zaczęło demolować sklep, podczas gdy

reszta zawlokła mnie na drugie piętro. Walczyłam z nimi jak mogłam, ale... - Urwał.

- Była z nimi wampirzyca? Lawinia? - zapytałam. Brooks pokręcił głową.

- Nie, sami faceci. Przynajmniej sędzę, że to byli mężczyźni. Trudno powiedzieć, skoro mieli kaptury i nic nie mówili.

- Milczeli? - Zmarszczyłam brwi.

-Taaa. Od chwili, gdy weszli, do momentu, kiedy przestali mnie tłuc, żaden z tych drani nie odezwał się ani słowem. Ten gość w czarnej szacie, on wyglądał na przywódcę. Ale tylko stał z boku, zawodząc coś i nie odzywając się do pozostałych. Ci, którzy mnie... bili, także na niego nie patrzyli.

Działali bardzo metodycznie. Jakby byli zaprogramowani czy co...? - Brooks się wzdrygnął.

-Przerażające.

- Przykro mi, ale muszę o to zapytać - odezwałam się, starając się mówić swobodnym tonem. - Czy któryś z nich cię ukąsił?

Kolejne wzdrygnięcie.

- Nie sędzę, żeby to były wampiry. Ale i nie nekro-manci.

- Powiedziałaś, że jeden z nich coś intonował. Odprawiali jakiś rytuał? - zapytał Adam.

Wróż zawahał się, przełykając głośno. Był bledszy, niż kiedy weszliśmy do sypialni. Nie wiedziałam, czy to emocjonalny stres, wywołany przedstawianiem na nowo przebiegu wypadków, czy dopadły go

wszystkie fizyczne doznania razem wzięte, ale byłam pewna, że niebawem Rea i Zenobia wykopią nas

stąd. Zanim miało do tego dojść, musiałam wiedzieć, komu mam zrobić z tyłka jesień średniowiecza.

Chwyciłam zimną, wilgotną dłoń wróża i obdarzyłam go zachęcającym uśmiechem.

- Wiem, że to trudne, ale bardzo ważne. Co ci konkretnie zrobili?

Mac rzuciła się naprzód ze złowróżbną miną, ale Rea chwyciła ją za ramię i pokręciła głową.

Brookswi to umknęło, gdyż wpatrywał się we mnie. A przynajmniej tak mi się zdawało. Trudno było

powiedzieć, skoro miał na nosie ciemne okulary.

- Po tym, kiedy mnie tłukli przez jakiś czas - zaczął i urwał, by wziąć się w garść - przywiązali mnie do łóżka. Nie widziałam wiele, bo miałam opaskę na oczach. -Przełknął głośno, a spod okularów

potoczyły się pierwsze łzy. - Pocięli mnie. Rozmyślnie płytkie skaleczenia. To był ten na czarno zakapturzony facet. Poznałam po głosie. Przy każdym nacięciu powtarzał: „Mistrz Mahan przyjmuje tę ofiarę”.

Łzy płynęły teraz swobodnie. Położyłam dłoń na jego ręce, chcąc mu dodać otuchy.

- Kim jest mistrz Mahan? - zapytała Georgia.

- Przywódcą Kasty z Nod - odparł Adam. - Powiedzieli coś jeszcze?

Brooks poruszył się i udało mu się opanować. - Tuż po tym, jak mnie przywiązali, wszedł któryś z pozostałych i powiedział, że nie mogą znaleźć sowy. Mrugnęłam.

- Szukali Stryx? Wróż skinął głową.

- Czarny kaptur wyglądał na wkurzonego, że ptaka tutaj nie ma. Tłukł mnie jeszcze trochę, póki nie powiedziałam, że wzięliście sowę ze sobą. Wtedy wydawał się niemal przerażony, jakby czekały go grube nieprzyjemności.

Ścisnęło mnie w żołądku. Jeśli zamaskowani napastnicy byli tak zaniepokojeni utraceniem sowy, to nie wyobrażałam sobie, by mistrz Mahan przyjął z zachwytem wiadomość, że jego ulubienicę zeżarł zombi. Niepokoiło mnie jednak coś jeszcze. Pomijając rytualne sznyty, nic w opowieści Brooksa nie wskazywało, by napastnikami byli członkowie którejkolwiek z mrocznych ras. Wampiry miałyby ochotę pobawić się dłużej krwią. Nekromanci posłużyliby się magią, by osiągnąć cel. Nie pasowały tutaj także wilkołaki i wróże. W głowie nabierało kształtu nowe podejrzenie.

- Wiem... mówiłaś, że ich nie widziałaś, ale czy to możliwe, żeby ci faceci byli ludźmi?

Wszyscy obecni w pokoju fizycznie zareagowali na to pytanie. Mac okazała się najgłośniejsza, wydając donośne prychnięcie. Brooks skrzyżował ramiona i odchylił się na posłaniu.

-Nie zastanawiałam się nad tym, ale chyba na coś wpadłaś. Trzeba było ich czterech, by mnie unieruchomić, co wtedy wydawało mi się dziwne. To znaczy, nie jestem szczególnie umięśniona, jak wiecie.

- Taaa, ale jako wróż i tak jesteś silniejsza od przeciętnego człowieka - zauważył Giguhl.

- Oto, czego nie kapuję - odezwała się Georgia. - Lawi-nia ma dysponujące magią wampiry. Po co zawracałaby sobie głowę ludźmi?

Zen chrząknęła. Wampirzyca się wzdrygnęła.

- Bez obrazy.

Królowa wudu skinęła głową i ponownie zwróciła uwagę na naszą rozmowę.

- Może to śmiertelnicy służący kaście - myślała głośno Mac. - Wziąwszy pod uwagę szaty i intonacje, wyglądają mi na tajemne stowarzyszenie.

- Czekaście no. - Oczy Adama się rozszerzyły. - Nosili jakieś symbole?

- O, tak - odparł Brooks. - Rysunek oka na kapturach... o, tutaj. - Wskazał środek czoła. - Nad piramidą, jak na jednodolarówce, wiecie? - Skinęliśmy wszyscy głowami. -A na prawej piersi jakiś emblemat. Nie zdołałam się jednak dobrze przyjrzeć, zanim zawiązali mi oczy.

- Pamiętasz jakieś detale? - zapytała Rea.

- Chyba było *tam fleur-de-lis*. I może księżyc.

Coś mi świtało w głowie, jakieś niejasne wspomnienie.

- Był tam klucz?

Barki mu opadły, pokręcił głową.

- Powinnam była zwrócić baczniejszą uwagę, ale... Uśmiechnęłam się współczująco do wróża.

- To nie twoja wina.

Poważne spojrzenie Adama spotkało się z moim. Wiem, że przypomniał sobie to samo co ja, ale nie byłam jeszcze gotowa ubrać moich podejrzeń w słowa, póki nie będę miała więcej dowodów.

Chwyciłam z biurka kawałek papieru i z pamięci nagryzmołam symbol. Widziałam go jedynie przelotnie, ale myślę, że uchwyciłam sedno.

- Coś takiego?

Wróż wziął kartkę i opuścił okulary przeciwsłoneczne tylko na tyle, by zerknąć ponad oprawką. Na

widok jego oczu ścisnęło mi się serce. Drobnie naczynia krwionośne znaczyły białka jak drobniutkie czerwone sieci. Opuścił okulary jeszcze niżej, by lepiej widzieć.

- To chyba to. Widziałaś już kiedyś coś podobnego? Zacisnęłam zęby tak mocno, że zaboląły mnie szczęki.

- Nieprawdopodobne.

Adam wziął rysunek od Zenobii.

- Jakim cudem to przeoczyliśmy? Giguhl wyrwał Zen kartkę.

- O, cholera!

- Powiedzcie nam - poleciała Rea.

- Wiemy, kto informuje Lawinię o miejscu naszego pobytu - odparł sztywno Adam.

Kręciłam głową, podczas gdy mózg wyszukiwał możliwe luki w mojej teorii.

- No więc? - Głos Mac ociekał zniecierpliwieniem. -Kto to?

Adam uniósł brwi, a ja skinęłam głową, z rozkoszą pozwalając mu przejąć inicjatywę. Może łatwiej uwierzą, gdy to wyjdzie od niego?

- Alodius nosi spinkę do krawata z tym symbolem. Zenobia westchnęła z frustracją i pochyliła się lekko. Jej

mina mówiła, że nie kupuje tego.

- Przeskakujesz od razu do wniosków. Nowy Orlean szczyci się długą tradycją bractw zakonnych i stowarzyszeń dobroczynnych. *Fleur de lis* i półksiężyc? Wymieńcie choć jeden budynek w tym mieście, pokażcie jeden T-shirt, na którym nie byłoby któregoś z tych symboli. Do diabła, nawet rysunki kluczy są wszechobecne.

- A co powiesz na to, że dwa poważne incydenty zdarzyły się zaraz po tym, gdy opuściliśmy jego jatkę? - Zaczęłam wyliczać wypadki na palcach. - Najpierw Stryx pokazała się po naszej pierwszej wyprawie, by kupić krew. Potem nastąpił atak wampira, gdy poszliśmy tam ja i Giguhl.

- A ja byłem w jego sklepie zeszłej nocy - wpadł mi w słowo Adam - po krew dla Sabiny.

Skinęłam głowę.

- Czy Alodius zachowywał się dziwnie, gdy u niego byłeś?

- Był dosyć ciekawy, co porabiasz. Zapytał wręcz, co robimy w nocy. Skłamałem i powiedziałem, że idziemy na występ do „Lagniappe”. Wtedy się w ogóle nad tym nie zastanawiałem, gdyż zawsze był cholernie gadatliwy. Co jednak, jeśli starał się dowiedzieć, czy będą mieli wolną drogę, żeby zaatakować?

Mac prychnęła.

-Jezu, jesteście niesamowici. Alodius to starszy, miły facet. Dlaczego miałby zrobić coś podobnego?

Jest ich przyjacielem - wskazała Brooksa i Zenobię.

Odwróciłam się do wilkołaczycy. Sumienie mi mówiło, że może mieć rację. Opieraliśmy się na przypuszczeniach, a nie na twardych dowodach zdrady. Nie mogłam jednak przejść do porządku dziennego nad tymi zbiegami okoliczności.

-Adam powiedział mu wczoraj, że wszyscy idziemy obejrzeć program. Nie spodziewali się, że on tutaj będzie.

-Ona - szepnął wróż tak cicho, że ledwie go usłyszałam.

Zerknęłam na niego, ale wtrąciła się Zen.

-Uważaj, Sabina! Zlekceważyłam twoje oskarżenia pod adresem Georgii, bo wiedziałam, że ona i Mac poradzą sobie z tobą. Jednak Alodius jest człowiekiem i póki nie będziesz miała niepodważalnego dowodu, nie pozwolę ci go skrzywdzić.

- Słuchaj, nie twierdzimy, że jest za to bezpośrednio odpowiedzialny - powiedział Adam. - Jednak dotychczasowe dowody wskazują, że powinniśmy przynajmniej z nim pogadać.

- Racja! - prychnęła Mac. - Zdarzyło mi się już z wami „gawędzić” i postawiłabym sporą gotówkę na to, że wasza rozmowa z Alodiusem bardzo szybko skończy się rękoczynami.

Przeszyłam ją spojrzeniem.

- Co chcesz, żebyśmy zrobili, Mac? Zignorowali to? Zlekceważyli zajście z Brooksem i Elwirą? Do

obu napaści doszło na rozkaz jednej i tej samej osoby... Lawinii Kane. Jak sądzisz, ile czasu minie, zanim naśle kogoś na Georgię? Albo na ciebie, jak o to chodzi?

- Co? - krzyknął Brooks. - Co się stało z Elwirą?

Mac posłała mi spojrzenie obiecujące powolną i bolesną śmierć.

- Ją także napadnięto, skarbie. - Ona... - Mac przełknęła mocno - ...nie przeżyła.

Kiedy tamy puściły, Brooks schował twarz w dłoniach. Broda wilkołaczycy powędrowała w górę, a jej wzrok stwardniał, gdy patrzyła na mnie.

- Sama opiekuję się moimi współpracownikami.

Poczułam ukłucie winy, że zdenerwowałam Brooksa, ale to nie była pora, by się mazgać.

Skrzyżowałam ramiona na piersi i skinęłam głową w stronę wróza.

- Nie możesz być wszędzie, Mac. Zostali napadnięci w tym samym czasie.

Spięła się przed rzuceniem się na mnie.

- Może powinnam zaoszczędzić kłopotu tej suce, twojej babce...

Zamarła w połowie skoku.

- Do diabła, nie! - Głos Giguhla był jak trzask bicia. Mac zwisała u jego szponu jak szczeniak w zębach matki. - Ktoś musi cię nauczyć manier, wadero!

- Giguhl! - warknęłam. - Puść ją natychmiast. Demon westchnął i rozluźnił chwyt. Z powrotem na własnych nogach wilkołaczycza przyglądała mi się przez chwilę.

- Pieprzę was wszystkich!

Ruszyła gwałtownie, chwyciła Georgię za ramię, po czym pognęła z nią do drzwi. Brooks zawołał za nimi, ale Mac wyszła bez słowa dumnym krokiem, a wampirzyca podążyła za nią.

- Wypuszczę je i sprawdzę rejony - powiedział Giguhl. Skinęłam głową i wyrzuciłam z niej Mac.

- Posłuchaj - zwróciłam się do Zenobii. - Nie skrzywdzę tego faceta, jeśli jest niewinny. Ale człowiek czy nie, nie możemy ryzykować, że będzie działał przeciwko nam.

Zen westchnęła ciężko; wyglądała na rozdartą. Rea położyła dłoń na jej ręce.

-Istnieje prosty sposób sprawdzenia, bez potrzeby spuszczenia mu łomotu, czy jest w to zamieszany, czy nie.

Ożywiłam się, licząc, iż rozwiązanie Rei może doprowadzić do kompromisu w tej patowej sytuacji.

Nekro-mantka skinęła w stronę Brooksa.

- Weźcie ją ze sobą. Jeśli Alodius maczał w tym palce, będzie zaskoczony, widząc Pussy na chodzie.

- Nie ma mowy! - Zen prawie krzyknęła. Transwestyta ożywił się na łóżku.

- Prawdę mówiąc, chciałabym zobaczyć jego minę, gdy ujrzy mnie ponownie w pełnej krasie. To

znaczy, jeśli jest winny - poprawił się.

- Jesteś pewna? Wiem, że fizycznie czujesz się lepiej, ale nie chcę ci przysparzać więcej stresu, niż to konieczne.

W odpowiedzi Brooks odrzucił okrycie.

- Daj mi tylko pięć minut na poprawienie makijażu i narzucenie na siebie czegoś odrobinę mniej domowego.

- Nie - powiedziała Zen, idąc w stronę zdeterminowanego wróża. - To zbyt ryzykowne.

Brooks wstał i ujął Zenobię za rękę.

- Doceniam twoją troskę, kochanie, ale nie zamierzam spędzić reszty życia na ukrywaniu się tylko dlatego, że jakieś dupki postanowiły przesłać wiadomość. Jeśli moja obecność ma pomóc Sabinie i Adamowi uzyskać odpowiedzi, to wchodzę w to.

- Nic nam nie będzie - dodałam.

Wzrok Zenobii przeskoczył z Brooksa na mnie, jakby się zastanawiała, z kim ma się nadal sprzeczać.

Wszyscy chyba podejrzewaliśmy, że dla Cajuna nie skończy się to dobrze, ale nie mogłam jej winić, że chce chronić wróża przed dalszymi przykrościami. W końcu Zen skinęła głową i zmusiła się do uśmiechu pod adresem przyjaciela.

- Co włożysz?

Brooks uśmiechnął się, wziął ją pod ramię i wyprowadził z pokoju, by omówić kwestie garderoby.

Odetchnęłam i zwróciłam się do Rei:

- Giguł stoi na warcie. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała albo jeżeli podczas naszej nieobecności stanie się coś niezwykłego, dopilnuj, żeby się o tym dowiedział.

Rea potwierdziła skinieniem głowy, ale najwyraźniej jej myśli zajmowało coś innego.

- Kiedy was nie będzie, zadzwonię do Orfeusza i poin-

formuję go o wszystkim. Sądzę, że dobrze by było, żebyście mieli tutaj w odwodzie paru Strażników Pytyjskich.

- Jeszcze nie - sprzeciwił się Adam. Kiedy jego ciotka otworzyła usta, by zaprotestować, uniósł dłoń.
-

Póki nie załatwimy tej sprawy ze śmiertelnikiem, nie potrzeba nam komplikacji. Poza tym, jeśli ten dom jest obserwowany, to ktoś zauważy ich przybycie.

- Zgadzam się - poparłam maga. - Obecna sytuacja jest zbyt niepewna, by ryzykować życie innych.

Rea westchnęła i po namyśle rzekła:

- W porządku, ale i tak zamierzam złożyć mu raport i powiedzieć, że na razie zostaję z wami.

Adam zawahał się.

- Tego też nie uważam za dobry pomysł.

- Dlaczego?

- Bo teraz każdy jest na celowniku - wtrąciłam swoje trzy grosze. - Adam i Brooks już zostali poszkodowani.

Nekromanta wystąpił naprzód.

- Gdyby coś ci się stało... - Głos mu się załamał. Przełknęłam i zdusiłam nieoczekiwane uczucie, które ścisnęło mi gardło.

Rea chwyciła Adama za ramię, a mnie obdarzyła czułym, ale pełnym determinacji uśmiechem.

- Znam dobrze ryzyko. I może jestem stara, ale i uparta. Nikt mnie nie weźmie bez walki.

Stojąc u mego boku, mag uśmiechnął się z dumą do swojej ciotki.

- To prawda. Wiele razy skopała mi tyłek.

Skoro Adam mógł przestać się martwić o bezpieczeństwo Rei, to i ja mogłam to zrobić. Poza tym lubiłam obecność tej starej wiedźmy.

- Dobra - zgodziłam się - ale od tej pory nikt nie porusza się w pojedynkę. Nie tutaj, i zdecydowanie nie na zewnątrz.

Adam i Rea skinęli głowami, ale zanim ktokolwiek zdo-

łał coś powiedzieć, na progu stanęła *femme fatale*. Najwyraźniej wczuwając się w ducha bliskiego przesłuchania, Brooks wybrał skórzane czarne spodnie, buty na wysokich koturnach i zajebiście różowy stanik pod skórzanym bolerkiem.

- Czas pokazać rzeźnikowi, że ten kociak ma pazurki! Adam cicho gwizdnął. Ja zaaprobowałam uśmiechem

wybór stroju.

- Wyglądasz odłotowo, Brooks. Gotowy?

- Brooks nie żyje, skarbie. Od tej chwili jestem Pussy Willow.

ROZDZIAŁ 22

Zamiast ponownie korzystać z wudumobilu Zenobii, Adam był za przeniesieniem nas w pobliże

sklepu Alodiusa. Pussy Willow - która nalegała, byśmy od tej pory posługiwali się tym imieniem, tak jak i zaimkiem „ona” - była tak podniecona naszą misją, że nie sprzeciwiała się niezwykłemu

sposobowi podróżowania. Co do mnie, teleportacja ograniczała moją ekspozycję na jaskrawe poranne

słońce, więc także było mi to na rękę.

Tak więc w dwie minuty po wyjściu ze sklepu Zen stanęliśmy na frontowym ganku „Cajun Sausage

Fest”. Na szczęście było tak wcześnie, że ani turyści, ani miejscowi nie widzieli naszego przybycia.

Niestety oznaczało to także, że sklep Alodiusa jest zamknięty.

W związku z Halloween - cholera, jakim cudem zrobiła się już sobota? - rzeźnik umieścił w ciemnych oknach wystawowych kartonowe dekoracje rechoczących wiedźm w skarpetkach w paski i wampiry o

wielkich, zębatych uśmiechach.

- Milusie - powiedziałam, pochylając się ku szybie, by zerknąć do środka. - Nie wiem, czy jest wewnątrz. Jakie są szanse, że przebywa na zapleczu?

Adam zerknął na piętro budynku.

- Zatelefonujmy do niego, to się przekonamy. Przesunął do przodu plecak i grzebał w nim, póki nie znalazł magnesu, który Alodius dał mi którejś nocy. Kompletnie zapomniałam, że przekazałam go wtedy nekro-mancie. Na szczęście zdawało się, że Adam nigdy niczego nie wyrzuca z niezawodnego przenośnego ekwipunku nekromanty.

- Dzięki.

Uśmiechnęłam się do niego i wzięłam oferowany telefon. Alodius odebrał po trzecim dzwonku.

- Taa-ak?

- Cześć, Alodius. Tu Sabina. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale... - Zrobiłam dramatyczną pauzę, licząc, że złapie przynętę.

Po chwili złapał.

- Wszystko w porządku, *cher*?

- Nie. Potrzebuję natychmiast trochę krwi. - Nadałam swemu głosowi drzenie. - Byłaby jakaś szansa, żebyśmy się spotkali w sklepie? Już tu jestem. Normalnie nie prosiłabym cię, ale to nagły wypadek.

- No, no, kochanie. Nie kłopotz swojej pięknej główki. Alodius mieszka nad sklepem. Będzie tam w mgnieniu oka.

- Naprawdę? Bardzo dziękuję! -Jednakże...

-Tak?

- Ponieważ nie jest to w godzinach otwarcia sklepu, będziemy musieli doliczyć coś ekstrzy.

Zacisnęłam usta. Sama chciałabym pokazać temu opor-tunistycznemu dupkowi „coś ekstrzy”.

- Nie ma sprawy. Pośpiesz się, proszę, Zamknęłam telefon i odwróciłam się do Adama i Pussy Willow.

- Stańcie za rogiem. Dołączcie do mnie po dwóch minutach.

Nekromanta skinął głową.

- Dobra. Uważaj na siebie.

Chwycił Pussy Willow pod ramię, po czym potruczta-li obok sąsiedniego sklepu, by poczekać poza zasięgiem wzroku Alodiusa.

Sięgnęłam za plecy i dotknęłam broni, bardziej dla dodania sobie otuchy niż z obawy, że zapomniałam zabrać pistolet. W sklepie zapaliły się światła, sygnalizując pojawienie się właściciela. Musiał zejść z mieszkania tylnymi schodami. Kiedy pomachał do mnie i podszedł otworzyć drzwi, starałam się

sprawić wrażenie przybitej.

- Sabina? Skarbie, wyglądasz jak odgrzewany truposz. Wejdz i opowiedz staremu Alodiusowi, co się stało?

Zawahałam się. Pomimo jego serdecznego uśmiechu i okazywanego zaniepokojenia, błędem byłoby nie doceniać rzeźnika. Bogowie jedynie wiedzieli, jakie nieprzyjemne niespodzianki mógł skrywać w sklepie. Rzuciwszy szybkie spojrzenie w prawo, nie zauważyłam już Adama ani Pussy Willow, ale czułam ich obecność i wiedziałam, że wrócą, jeśli ten szalony Cajun spróbuje jakiejś sztuczki. Poza tym być może był zdrajcą, ale jedynie człowiekiem, a dzień, w którym nie potrafiłabym sprostać śmiertelnikowi, byłby tym samym, w którym uznałabym kąpiele słoneczne za moje hobby.

Przełknęłam i schyliłam potulnie głowę, a przynajmniej zdawało mi się, że tak to wygląda. Nie miałam wielkiego doświadczenia w okazywaniu uległości.

- Och, Alodius, to było okropne!

Przepchnęłam się obok niego. Podeszłam do lady i oparłam się na niej, starając się sprawiać żalodne wrażenie. Wybrałam tę pozycję strategicznie, żeby on musiał stać tyłem do drzwi wejściowych.

Oznaczało to także, że moje plecy były kryte na wypadek, gdyby jego zakapturzeni kołesie chowali się w magazynie.

- Nawet nie wiem, od czego zacząć...

- Najlepiej od początku, *cher*. - Do jego głosu zakradł się teraz ton zniecierpliwienia.

-Mój przyjaciel Brooks... został zamordowany minionej nocy.

- Co?! - krzyknął Alodius. Zawahałam się.

- Znałeś go. Pracował dla madame Zenobii.

Twarz Alodiusa przybrała interesujący odcień czerwieni. Przez chwilę się jąkał. Nie wiedziałam,

czy zrozumiał, że czymś się zdradził, czy naprawdę był w szoku.

- Przyszedł tu raz czy dwa z polecenia madame Z. Jesteś pewna, że nie żyje?

Skinęłam smutno głową.

- To jeszcze nie wszystko. Ktokolwiek go zabił, zdemolował także sklep Zenobii.

Zdawało się, że to wstrząsnęło nim w mniejszym stopniu niż wiadomość o fikcyjnej śmierci Brooksa.

- Szkoda. - Zawahał się. - Wróćmy jednak do wróża. Jesteś całkiem pewna, że nie żyje?

- Obawiam się, że tak. - Kręciłam głową, nie spuszczać wzroku z Cajuna. - Kto mógł zrobić coś tak okropnego, Alodius?

Rzeźnik uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- To skurwysyny! Przysunęłam się bliżej.

- Jakie skurwysyny?

Zająknął się, przestępując z nogi na nogę.

- Co? Miałem na myśli, że ci, którzy to zrobili, powinni za to zapłacić.

Odwrocił spojrzenie szalonych oczu. Chwyciłam go za klapy i spojrzałam mu w twarz. -Kto?

Usta mu się poruszały jak głodnemu karpioniowi.

-Ja... Mieli was wszystkich tylko trochę nastraszyć...

Zacisnęłam dłonie wokół jego szyi i dźwignęłam go. Ciastowate ciało opierało się odwróceniu grawitacji. Odsłoniwszy kły, syknęłam:

- Nazwiska!

Dzwonek nad drzwiami zaanonsował przybycie Adama i Pussy Willow.

- Lepiej, żeby się przyznał, Rudzielcu - powiedział ne-kromanta zamiast powitania. - Ponieważ zgodziliśmy się, że wobec braku dowodów nie dojdzie do rozlewu krwi.

Upuściłam Alodiusa. Z trzaskiem rąbnął tyłkiem o linoleum. Sądząc z jęków, złamał sobie kość ogonową.

- Dochodzimy do tego. Miał mi właśnie powiedzieć, co wie. - Szturchnęłam rzeźnika butem. -

Prawda?

Alodius skulił się i spojrzał na górującą nad nim sześciostopowego wzrostu divę na obcasach.

-Brooks! - Głos mu się załamał. - Żyjesz! - Potem urwał i skierował wzrok na mnie. - Czekaście. Co tu się, do diabła, dzieje? Dlaczego powiedziałaś, że on nie żyje?

Pussy Willow skrzyżowała ramiona na piersi i spojrzała z góry na rzeźnika.

-Brooks istotnie umarł, skarbie. Jestem jego lepszą, seksowniejszą połową.

Alodius się wzdrygnął, najwyraźniej zagubiony.

- Co się dzieje, do diabła?

Adam ukląkł i zajrzał śmiertelnikowi w oczy.

- Oto wskazówka. Następnym razem, gdy będziesz usiłował ukryć, że jesteś zaangażowany w próbę zamordowania kogoś, pamiętaj, by zdjąć tę tandetną spinkę do krawata, która łączy cię ze zbrodnią. -

Nekromanta pstryknął paznokciem we wzmiankowaną ozdobę.

Mężczyzna pobladł, ale zadarł brodę.

- Chwytasz się źdźbła. Spinka niczego nie dowodzi.

- Bzdura! - warknęłam. - Chcesz mi powiedzieć, że jeśli pójdę na górę, nie znajdę w szafie czerwonego kaptura?

Przełknął tak mocno, że grdyka skoczyła mu szaleńczo w tłustym wolu.

- Alodiusa tam nie było! Jatka była otwarta! Możecie spytać, kogo chcecie!

- Dobra. Może cię tam nie było - przyznałam - ale jesteś w to zamieszany. I powiesz nam wszystko, co wiesz.

Pokręcił głową i zacisnął grube wargi.

Być może profesjonalny śledczy starałby się skłonić faceta do przyznania się. Ja? Ja preferuję bardziej bezpośrednie podejście. Poderwałam Cajuna z podłogi, trzymając go pod pachy.

- Adam, daj rzeźnicki nóż. Wytnę z niego prawdę! Oczy Alodiusa zrobiły się wielkie ze strachu. - Nie!

Krople śliny wyleciały spomiędzy jego tłustych warg i wylądowały mi na twarzy. Nie miałam tak

naprawdę zamiaru pociąć tego smutnego małego człowieczka, ale jeśli nadal będzie mnie opluwał, to mogę zmienić zdanie!

- To zacznij mówić. - Powlokłam go do krzesła i zwaliłam na nie.

Jęknął i pomasował sobie zadek.

- Auć! Nie ma potrzeby stosować przemocy. Spojrzałam mu w oczy.

- Przeciwnie. Są wszelkie powody, bym była gwałtowna. To nie jest zabawa, Alodius. -

Wyszarpnęłam z kieszeni zdjęcie Maisie. - To, co tu widać, skłania mnie do zadania komuś sporych cierpień. Jeżeli nie zaczniesz nam podawać informacji pomocnych w znalezieniu mojej siostry, to tym kimś będziesz ty!

Dzielącą nas przestrzeń wypełnił intensywny zapach uryny. Spojrzałam na powiększającą się gwałtownie plamę na przodzie Alodiusowych spodni. Drżenie przebiegło ciało śmiertelnika, kiedy próbował wziąć się w garść. W oczach wezbrały mu łzy, a twarz poczerwieniała. Puściłam go, by umknąć przed płynnymi wydzielinami jego ciała. Osunął się na podłogę i otwarcie rozbeczał.

- Dopiero dam ci powód do płaczu, ty żalosna kupo gówna!

- Sabina - odezwał się cicho Adam.

W nosie rzeźnika bulgotały smarki.

- Nigdy mnie teraz nie przyjmą! - zaskomlał.

Z westchnieniem cofnęłam się o krok i skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Kto to są ci „oni”?

- Dobroczynne Braterstwo Wschodniej Tajemnicy. Marszcząc brwi, spojrzałam na Adama, który wzruszył

ramionami i pokręcił głową. Pussy Willow wyglądała na równie zdezorientowaną.

- Kim oni są, do diabła? Alodius prychnął i otarł łzy.

- Najpotężniejszym tajemnym stowarzyszeniem w historii ludzkości.

Zacisnęłam wargi.

- Skoro są tak potężni, to dlaczego o nich nie słyszeliśmy?

Rzeźnik spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym powiedziała coś zabawnego.

- Nie słyszałaś o nich, *cher*? Nie bez powodu są tajnym stowarzyszeniem!

Adam skrzyżował ramiona na piersi. -Daj spokój. Większość ludzi słyszała nazwy tajemnych związków - różokrzyżowców, iluminatów... Śmiertelnik wydał z siebie nieprzyzwoity dźwięk.

- Tamci faceci to ciniasy. Braterstwo ma prawdziwą moc.

- Taką jak...? - zachęciłam go.

Zacisnął usta i wykręcał sobie palce. Potem skrzyżował ramiona na piersi i usiadł prosto.

- No cóż, zobaczcie tylko, kto nagle odzyskał jaja! Oparłam piętę na krawędzi krzesła i pchnęłam.

Mebel

przewrócił się w tył i uderzył o podłogę, czemu towarzyszył trzask i wiązka przekleństw rozciągniętego na ziemi Cajuna.

-Ty pieprzona pijawko! Zobaczmy, czy braterstwo nie da ci popalić?!

- Wystawiasz moją cierpliwość na próbę. - Stałam nad nim, wciskając mu obcas w brzuch. -

Dlaczego bractwo napadło na sklep Zenobii?

Ostry czubek szpilki zagłębił się w jego tułów.

- Jezu, mogłabyś uważać na trzustkę? - jęknął. - Będę mówił.

Nagle przejście do pierwszej osoby powiedziało mi, że wygrałam. Z uśmiechem dźgnęłam go jeszcze raz obcasem, po czym kiwnęłam głową w stronę Adama. Mag przewrócił oczami, postawił krzesło i pomógł facetowi na nim usiąść.

- A teraz - odezwałam się, nasączając głos większą dozą groźby - zacznij od początku.

Alodius przesunął dłoń po spoconym czole, zczesując pasmo włosów na łysinę.

- Wszystko zaczęło się tydzień temu. Podczas comiesięcznego spotkania Wielcy Bracia poinformowali nas, nowicjuszy, że mamy mieć oczy otwarte w poszukiwaniu magopierzycy i...

Podniosłam rękę.

- Czekał... magopierzycy?

Adam przesunął się za mnie chyłkiem. Strzeliłam ku niemu wzrokiem, po czym spojrzałam ponownie na śmiertelnika.

- Taaa, tym właśnie jesteś, prawda? Pół na pół? Zacisnęłam wargi i machnęłam dłonią, by mówić dalej.

- W każdym razie powiedzieli, że możesz mieć przy

sobie demona i nekromantę. Gdybyśmy was zauważyli, mieliśmy natychmiast zatelefonować.

Wyobraź sobie zachwyt Alodiusa, kiedy kilka dni później weszliście wprost do jego sklepu.

- Dlaczego chcieli znać nasze ruchy? - zapytał Adam. Rzeźnik wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Nie zapytaliście? - powiedziałam z niedowierzaniem.

- Żartujesz? Nowicjusze nie zadają pytań. Wykonujemy rozkazy.

- Dzwoniłeś więc do nich za każdym razem, kiedy wyszliśmy z twojej jatki - stwierdził Adam. - To jednak nie wyjaśnia, w jaki sposób informacje trafiały do Lawinii.

- Do kogo?

Przewróciłam oczami. Ten facet był większym idiotą, niż mi się zdawało.

- Lawinia Kane. Przywódczyni rasy wampirów. Ta, która nasyła na nas zabijaków, kierując się informacjami, jakie przekazywałaś swojemu głupiemu stowarzyszeniu.

- Hola, hola! Dobroczynne Braterstwo Wschodniej Tajemnicy nie jest głupie! Podczas dorocznych festiwali gotowanych raków zdobywamy mnóstwo forsy na naukę czytania i pisanie.

Wyrzuciłam w górę rękę i odwróciłam się do Adama.

- Zajmij się nim, zanim go zabiję.

Nekromanta przejął pałeczkę, przysuwając sobie krzesło i siadając przed frustrująco głupim rzeźnikiem.

- Alodius, chcę, żebyś się skupił, dobra? Rozumiemy, że wykonywałeś jedynie rozkazy.

Prychnęłam i przewróciłam oczami. Robiąc to, zerknęłam na Pussy Willow. Każdy mięsień ciała miała napięty, palce jej się zaciskały i prostowały, jakby prosząc o zajęcie. Kiedy Alodius wciskał Adamowi poetycki kit na temat honoru, obowiązku patriotycznego i innych bzdur, przysunęłam się do wróża.

- Hej - szepnęłam. - Dobrze się czujesz? Poruszył mięśniami szczęk.

- Mhmm.

- Nie martw się. Adam dokopie się do sedna sprawy. Świetnie odgrywa rolę dobrego gliny.

Pussy Willow skinęła wolno głową, przyjmując do wiadomości moje stwierdzenie, ale miałam wrażenie, że nie była w pełni obecna duchem. Nie mogłam jej winić, że

odczuwa gniew na Alodiusa z powodu jego zaangażowania w napaść. Teraz nie była jednak pora na zwierzenia, więc poklepałam ją po napiętym ramieniu i skoncentrowałam się na postępach czynionych przez Adama. Lub na ich braku.

- Nie, nie wiedziałem, że Nostradamus był członkiem bractwa, ale naprawdę chcę, żebyś się skupił.

Zauważyłeś coś niezwykłego, kiedy ostatni raz byłeś w świątyni?

- Co niby?

Adam zazgrzytał zębami.

- Na przykład wampiry? Alodius machną ręką.

- Ach, oni. Taaa. Jeden taki gość uczestniczył w naszym ostatnim spotkaniu. Wielki Brat Devereaux przedstawił go jako Ruperta. Wyglądał trochę ciotowato z tą laseczką, peleryną i w ogóle.

Adam podniósł na mnie wzrok.

- Hrabia? Skinęłam głową.

- Rozmawiałeś z nim? Rzeźnik pokręcił głową.

- Nie. Po prostu siedział z tyłu i się przysłuchiwał. Wydawało się to dziwne, gdyż w komnacie

ceremonialnej wolno przebywać tylko członkom braterstwa. Ale... -Wzruszył ramionami. - Wielki

Brat Devereaux wyjaśnił, że wampir należy do grupy, która wsparła finansowo wiele naszych działań.

- Wymienił nazwę „Kasta z Nod”? - zapytał Adam. Alodius zacisnął usta.

- Nie wydaje mi się, ale w związku z nieprzerwanym beczeniem kozy trudno mi było usłyszeć cokolwiek, gdyż siedziałem z tyłu sali.

Na wzmiankę o kozie Adam wykrzywił twarz, po czym wyprostował się na krześle.

- Dlaczego bractwo wzięło się za Brooksa?

Rysy Alodiusa stwardniały.

- Powiedzieliście mi o występie transwestyty, pamiętasz? Spodziewali się, że w sklepie nikogo nie będzie. Kiedy go tam zastali, musieli improwizować.

- Ją - szepnęła wściekle Pussy Willow.

-Czy braterstwo dopuściło cię do pierwotnego planu? - zapytał mag.

Rzeźnik trochę się wyprostował na krześle.

- Tak jest. Po pierwszych dwóch telefonach Wielcy Bracia wezwali starego Alodiusa do wysokiej izby. Powiedzieli, że na Dzień Wszystkich Świętych zamierzają coś wielkiego i że potrzebują was

tam. - Spojrzał na mnie i dodał: -Tylko w związku z tym musieli być bardzo ostrożni, bo nie mogłaś wiedzieć, że jesteś wrabiana. Powiedzieli, że kiedy się pokażesz następnym razem, musimy cię wypytać o twoje plany. Musieli wiedzieć, kiedy was nie będzie, żeby mogli wprawić w ruch całe przedsięwzięcie.

- A na czym właściwie miało ono polegać? - dociekał Adam.

- Zamierzali zdemolować sklep i zostawić pewne ślady, które by cię zaprowadziły tam, gdzie chcieli.

- A gdzie chcieli, żebym trafiła?

- Nie powiedzieli mi. Podzielili się ze mną jedynie informacją, że tuż po północy we Wszystkich Świętych wezwą mistrza Mahana.

- Wezwą go? - Zmarszczyłam brwi. - Kim jest mistrz Mahan?

- Wszechmocną siłą, stojącą za bractwem. Wyciągnęłam szyję, czekając na coś więcej. Ale nic ta-

kiego nie było.

- To wszystko? Uniósł dłonie.

- Nie dzielę się sekretami z kandydatami. Przypuszczalnie wszystkie tajemnice ujawniane są w trakcie inicjacji. - Zawahał się. - A przez was nigdy do niej nie dojdzie.

- Możesz o to winić wyłącznie siebie, debilu. Mówili cokolwiek o nekromantce? O Maisie Graecus?

Pokręcił głową.

- Nie. Chociaż... - Urwał. - Teraz, kiedy o tym wspomniałaś, raz powiedzieli coś o tym, że gdybyś się w końcu tam znalazła, mogliby zabić „tę drugą”.

Serce zaczęło mi bić szybciej.

-1 to cię nie zaniepokoiło? Że zamierzają kogoś zamordować?

Spuścił wzrok i wzruszył ramionami. Podeszłam do niego, mając zamiar wbić w niego trochę sumienia.

- Dobra. - Adam wkroczył w to, chwyciwszy mnie za ramię. Rzucił mi znaczące spojrzenie, które jasno polecało, bym wyluzowała. Opanowałam się wysiłkiem woli i skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Zreasumujmy: Alodius gównu wie, co się dzieje, z wyjątkiem tego, że celem bractwa było podrzucenie w sklepie śladów, które miały sprawić, iż pojawisz się w trakcie obrzędów wezwania przywódcy kasty.

-Skoro jest zwierzchnikiem, to dlaczego trzeba go wzywać? - zapytałam.

-1 po co jesteś im tam potrzebna? - Zawtórował mi mag. - Przecież w Nowym Jorku nie mogli się doczekać, by cię zabić, ponieważ uważali, że przeszkodzisz wojnie i zapobiegiesz powtórnemu przyjściu Lilith. Teraz, w jakimś celu, potrzebują cię żywą.

Rozbolała mnie głowa, gdy usiłowałam porównać serpentynę faktów z proroctwem. Zasadniczo kasta wierzyła, iż wojna między mrocznymi rasami ponownie sprowadzi Lilith na świat z podziemnego królestwa. Uważali, że rola pomocników zapewni im szczególną pozycję u jej boku. Ponadto - wraz z kilkorgiem innych - sądzili, że jestem przepowiedzianą Wybranką, która powstrzyma wojnę i

zapoczątkuje okres międzyrasowego pokoju. To był powód, dla którego kasta chciała mnie zabić w

Nowym Jor-

ku, ale, tak jak i Adam, nie potrafiłam sobie wyobrazić, dlaczego nagle uznali, że będę użyteczna.

- Nie mam zielonego pojęcia, co się dzieje - stwierdziłam. - Ale wiem jedno: odkryjemy, gdzie się ma odbyć ten rytuał, i ich zaskoczymy.

- Nie, żeby nie zgadzał się z tym planem - odezwał się Adam - ale naprawdę nie podoba mi się myśl, że mamy tam wkroczyć, niewiele wiedząc na temat tego obrzędu przywoływania. I jak się mamy

dowiedzieć, gdzie to będzie?

- Nie słuchałeś? - zapytał Alodius. - Zostawili wskazówki w sklepie.

Obróciłam głowę w jego stronę.

- Zamknij się - wycedziłam przez zęby. - Widziałam już, co w twoim braterstwie uchodzi za wiadomość, i to jest kicha.

- Próbuję tylko pomóc.

Na sekundę odebrało mi mowę; Adam przemówił za mnie.

-Dlaczego miałbyś nam pomagać? To ty im powiedziałaś, kiedy napaść na sklep! Rzeźnik wzruszył ramionami.

- Myślę sobie, że pomoc mogłaby was przekonać, żebyście nie zabijali starego Alodiusa.

- Niewiarygodne. - Westchnęłam.

- Nie zabijemy cię - obiecał Adam. Walnęłam go w ramię. - Co? Nie zrobił nic więcej, tylko przekazał

im informację.

Kiedy zawirowało mi od tego w głowie, nekromanta zwrócił się ponownie do Alodiusa:

-Mam jednak pytanie. Jak mogłeś pomagać braterstwu, skoro wiedziałeś, że zamierzają zdemolować sklep twojej przyjaciółki?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

-Żaden kłopot. Obiecali tatuśkowi, że w nagrodę

przejdzie w końcu inicjację. Poza tym Zen to nie jest dokładnie rodzina, a jej czary-mary stoją w sprzeczności ze wszystkimi boskimi przykazaniami.

Adam zmarszczył brwi, patrząc na rzeźnika.

- To interesujące, usłyszeć coś podobnego z ust członka tajnego stowarzyszenia, które w całości ignoruje „Nie zabijaj”.

- Już wam mówiłem, że wróż nie miał ucierpieć! Powiedzieli, że tylko poprzewracają graty. Poza tym ten chłopak nie wygląda, jakby miał chociaż jedno zadrapanie.

Pussy Willow rzuciła się naprzód.

- Dziewczyna, ona i miała!

Obróciłam się i spojrzałam na nią zaskoczona.

- Spokojnie.

Pussy Willow wymierzyła w rzeźnika długi czerwony paznokieć.

- Nie wcześniej, aż to powie!

Alodius przybrał nieprzejednany wyraz twarzy.

- Masz niezłą figurę, skarbie, ale idę o zakład, że nosisz kielbasę między nogami. - Odchylił się na siedzeniu i skrzyżował ramiona na piersi. - A to znaczy, że jesteś facetem.

Wtedy sprawy potoczyły się szybko. Zanim do mnie dotarło, co się dzieje, Pussy Willow wyjęła, przeładowała i wycelowała pistolet.

- Nie! - krzyknął Adam, rzucając się przed siebie. Ale było za późno. Broń wystrzeliła. Odrzut sprawił, że Pussy zatoczyła się wstecz, obcasy zapiszczały na śliskim linoleum. Kula trafiła Alodiusa w czoło.

Ze szerniałego otworu wyciekła struga krwi. Cajun westchnął tuż przed tym, gdy jego ciało zwiotczało i osunęło się na podłogę.

W jacie zapadła cisza, chociaż tętno dudniło mi w uszach. Adam wyrwał z dłoni Pussy pistolet. Ręce jej drżały, a wściekłość przydała oczom nienawistnego blasku, gdy patrzyła z góry na leżące zwłoki.

-Co ci, do diabła, przyszło do głowy?! - krzyknął Adam.

- Znieważył mnie.

Powiedziała to tak, jakby po prostu stwierdzała fakt.

- Brooks... - zaczęłam.

- Pussy Willow! - zawołała.

Tamy puściły. Gorące łzy gniewu popłynęły po jej twarzy, rozmazując makijaż. Wytarła oczy, co pozostawiło na policzkach czarne smugi maskary. Pussy sprawiała wrażenie tak kruchej, że natychmiast przełknęłam kazanie, jakie zamierzałam jej palnąć.

- Hej - powiedziałam, podchodząc do niej powoli. -Przepraszam. Rzecz w tym, cóż, myślałam, że go nie zabijemy.

- Mag tak postanowił. Mnie nikt nie pytał o zdanie. Objęłam ją ramieniem. Trzęsła się teraz nieopanowanie.

- Nigdy d-d-dotąd nikogo nie z-z-zabiłam. Wydawało się, iż złość Adama wyparowała w chwili, w której popłynęły łzy. Przesząpił niespokojnie z nogi na nogę i odchrząknął. Mężczyźni wymiękają wobec kobiecych łez. Mag nie był chyba wyjątkiem.

- Adamie - odezwałam się cicho. - Musisz się zająć ciałem. Weź jakiś wybielacz, jest pewnie na zapleczu, i umyj wszystko. Nie możemy pozwolić, by kasta lub braterstwo się dowiedziały, że dotarliśmy do niego pierwsi.

Nekromancie ulżyło tak wyraźnie, iż ruszył śpiesznie, nie oponując. Gdy prowadziłam Pussy do frontowych drzwi sklepu, Adam zawinął szybko zwłoki w brezent. Pilnując, by Willow była zwrócona tyłem do miejsca zbrodni, masowałam jej plecy.

- Słuchaj, nikt cię nie wini o to, co się stało. Zabijałam ludzi z powodu błahszych zniewag.

Pociągnęła nosem.

Naprawdę? Skinęłam głową.

- Byłam cynglem u Dominii. Nie jestem w stanie nawet zliczyć, ilu ludzi załatwiłam. - Kłamałam.

Znałam dokładną liczbę, ale to nie było to, co Pussy powinna usłyszeć.

Zrobiła wielkie oczy.

- Czy to staje się łatwiejsze?

- Tak. - Tym razem wyznałam prawdę. - Ale pewnym kosztem. Żeby dawać sobie z tym radę, musisz zamknąć tę część siebie, która czyni cię zdolną do empatii i związków z innymi ludźmi. Mam nadzieję, że to nigdy nie stanie się twoim udziałem.

Przechyliła głowę.

- Nie kupuję tego. Zmarszczyłam brwi.

- O co ci chodzi?

- Dopiero co zastrzeliłam kogoś, kto był ci potrzebny w celu uzyskania informacji, Sabino, a ty, zamiast na mnie wrzeszczeć, postępujesz niepodobnie do siebie, bym się poczuła lepiej.

Prawda tych słów wycisnęła rumieniec na moich policzkach. Odpowiedzi oszczędził mi brzęk, z jakim wiadro spadło na podłogę, po czym dało się słyszeć przekleństwo.

- Muszę pomóc nekromancie, zanim wybieli sobie ciuchy. Nic ci nie będzie?

Wzięła głęboki, urywany oddech.

- Spoko.

Poklepałam ją po ramieniu i poszłam pomóc Adamowi tropić plamy krwi. Zapach wybielacza atakował mi nozdrza. Chwyciwszy gąbkę od maga, zaczęłam zmywać fragmenty Alodiusa. Pracując, uznałam, iż ocena Pussy Willow nie była właściwa. Przede wszystkim, gdyby tak łatwo było mi nawiązać kontakty z innymi, to dlaczego jej bliskość wprowadziła mnie w takie zakłopotanie, że wolałam sprzątać miejsce zbrodni?

ROZDZIAŁ 23

Po umieszczeniu zwłok Alodiusa w głębi jego zamrażarki przenieśliśmy się migiem do ogródka Zenobii. Wspięliśmy się z mozołem po schodach, każde z nas zatopione we własnych myślach. Na górze Pussy Willow wymówiła się cichym głosem, twierdząc, że musi sobie poprawić makijaż. Podejrzewałam, że chce po prostu być przez chwilę sama, by się ze wszystkim uporać. Nie mogła też

prawdopodobnie znieść myśli o przyznaniu się Zen i innym do tego, co zrobiła. Kiedy drzwi zamknęły się za nią ze szcęknięciem, Adam odwrócił się do mnie.

- Co powinniśmy im powiedzieć? Zastanawiałam się nad tym chwilę, ważąc opcje.

- Powiemy, że ja to zrobiłam. - Kiedy otworzył usta, by zaprotestować, pokręciłam głową. - Tak

będzie łatwiej. Nie będą zaskoczeni, jeśli wezmę na siebie odpowiedzialność, co zdejmie z PW odium dodatkowej tragedii.

- PW? - Uśmiechnął się z musem. Wzruszyłam ramionami.

-Nie mam nic przeciwko przejściu na rodzaj żeński i w ogóle, ale to imię to jest coś! Poza tym każdy potrzebuje ksywki. Zgadza się, nekromanto?

Odetchnął.

-Dobra, załatwmy to, żebyśmy mogli się skupić na wymyśleniu jakiegoś planu.

Skinęłam głową i ruszyłam w stronę dźwięków dobiegających z pracowni Zenobii. Kiedy się zbliżyliśmy zza drzwi posłyszeliśmy ożywiony głos Giguhla:

-...wtedy Inkub powiedział: „Rectum? Omal go nie zabiłem!”.

Zatrzymałam się tuż przed drzwiami i odwróciłam do Adama.

- A jeśli nie znajdziemy jej na czas? - Na myśl o przyznaniu się wszystkim, że skrewiliśmy, próbując poznać miejsce pobytu Maisie, skurczył mi się żołądek. Teraz przynajmniej wiedzieliśmy kiedy.

Musieliśmy się tylko dowiedzieć gdzie.

Adam chwycił moją dłoń.

- Słuchaj - powiedział cicho. Spojrzałam w jego znajome, serdeczne oczy. - Jesteśmy blisko. Nie trać panowania nad sobą.

Wyprostowałam się.

- Masz rację. Chodźmy.

Otwierając drzwi, przykleiłam uśmiech na twarz.

- Cześć wszystkim.

Zen, Rea i Giguhl podnieśli wzrok. Sądząc po wyglądzie miejsca, byli zajęci sprzątaniami. Zenobia odwróciła wzrok od świecy, zapalanej na odbudowanym ołtarzyku, w którym znajdowało się kilka

nowych przedmiotów, w tym siedemdziesięciopięcioprocentowy rum, żelazne gwoździe i maczeta.

- Jak wam poszło? - Zen zdmuchnęła zapałkę.

- Nie najlepiej, prawdę mówiąc. - Westchnęłam. Giguhl zmrużył oczy.

- Co się stało?

Przesunęłam dłonią po twarzy.

- Niestety, mieliśmy rację, Alodius był zamieszany w ten atak. Nie uczestniczył w nim, ale to on przekazywał napastnikom informacje.

- Gdzie on jest? - zapytała Zenobia, ale jej wzrok powiedział mi, że znała już prawdę.

- Nie żyje.

Wuduistka przeżegnała się i zamknęła oczy. Wtrąciła się Rea.

- Czy wcześniej wydobyłaś z niego jakieś wiadomości?

Adam zrelacjonował im wszystko, czego się dowiedzieliśmy. Kiedy skończył, wstrząśnięta Zen opadła na krzesło.

- Nadal nie potrafię uwierzyć, że był z tym wszystkim związany, z braterstwem. Znałam go od lat, zawsze wydawał mi się taki przyjacielski.

Trochę zazdrościłam jej tej możliwości wiary w ludzi. Z drugiej strony nie byłam w stanie pojąć,

dlatego nie przeklina imienia rzeźnika. Z powodu Alodiusa sklep Zen został zniszczony, a w wyniku brutalnego pobicia jej przyjaciel przeżywał poważną traumę emocjonalną.

- Mimo to zdobyliśmy pewne informacje, dzięki którym możemy działać dalej. Nie jest tego wiele, ale więcej, niż wiedzieliśmy trzy godziny temu - stwierdziła Rea.

- Powinniśmy złożyć wizytę Erronowi Zornowi - powiedział Adam. - Teraz, gdy wiemy, że braterstwo

zamierza przywołać mistrza Mahana, każda informacja na temat kasty, jakiej Zorn może nam udzielić, jest na wagę złota.

Westchnęłam głęboko. Kolejny raz czas pracował przeciwko nam.

Zen podniosła wzrok.

- Przy sprzątaniu nie natknęliśmy się na żadne dodatkowe wskazówki. To musi oznaczać, że kluczem do znalezienia właściwego miejsca jest zdjęcie Maisie.

Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam fotografię. Zenobia wzięła ją ode mnie i wszyscy się skupiliśmy wokół kapłanki wudu.

- Dobra, oto plan - powiedziała. - Ty i Adam złożycie wizytę odszczepieńcowi i spróbujecie się dowiedzieć czegoś więcej o kaście. Rea i ja zeskanujemy zdjęcie i podamy je analizie na komputerze, poszukując możliwych śladów.

Poczułam się rozdarta, pragnąc być w obu miejscach jednocześnie.

- Zadzwońcie natychmiast, jak coś odkryjecie? Zenobia i Rea skinęły głowami.

- Oczywiście.

- A co z Pussy Willow? - zapytałam. - Po tym wszystkim jest mocno wstrząśnięta.

Giguhl wysunął się naprzód.

- Sprawdź, co z nią, zanim obejdę rewiry. Uśmiechnęłam się do demona.

- Dzięki, G. - Odwróciłam się do Adama. - Chodźmy.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy Errona, piekielne słońce stało wysoko na niebie. Opóźnienie w dotarciu do muzyka było wynikiem krótkiego wypadu do jego domu. Gburowata mała osobka, która - jak się

okazało - nie była dziwką, tylko fryzjerką Zorna, powitała nas w drzwiach wejściowych i

poinformowała - po pięciominutowej sprzeczce - że gospodarza znajdziemy w City Park, gdzie

sprawdza sprzęt nagłaśniający. Kompletnie zapomniałam, że Erron występuje podczas Voodoo Fest.

Gdy w końcu znaleźliśmy go w ogromnym parku, Zorn stał z przodu wielkiej sceny, wychodzącej na pustą łąkę. Rzędy dębów obramowywały zielony teren, który, z zapadnięciem nocy, miały wypełnić

tysiące fanów kapeli Necrospank 5000. Na razie słońce młóciło nas jak pijany ojczym. Na szczęście, w dodatku do pint krwi, którą wypiałam w sklepie Alodiusa, przewidująco wrzuciłam dwie dodatkowe

porcje do plecaka Adama, gdyż inaczej byłabym bezużyteczna przez resztę dnia.

W przeciwieństwie do idyllicznego parkowego otoczenia powietrze wypełniał metaliczny, grzmiący

rytm muzyki industrialnej. Erron stał na froncie sceny, tuląc do sie-

bie mikrofon niczym kocyk bezpieczeństwa i kiwając się jak w transie w przód i w tył. Nagle jego głos wzniosł się ponad brzmienie muzyki, co przypominało dźwięk towarzyszący przeciągnięciu

zardzewiałego gwoźdźca po szkolnej tablicy. Pomijając kilka „kurew”, równie dobrze mógł krzyczeć w obcych językach. Pochyliłam się ku Adamowi.

- Ktoś ma problemy z opanowaniem gniewu. Nekromanta uśmiechnął się kącikami ust, ale wzrok miał wbity w odstępce.

- Miejmy nadzieję, że pozbył się go na tyle, by mógł z nami pogawędzić.

Wspięliśmy się po schodkach na estradę. To zwróciło na nas uwagę członków ekip scenicznych w żółtych wiatrówkach, którzy dzierżyli radiotelefony niczym broń.

Zamieszanie z pracownikami było na tyle głośnie, że rozproszyło uwagę klawiszowca, który pominął parę nut. Poznałam to, gdyż takt później Erron Zorn, dotąd zatopiony w swojej pieśni, przestał krzyczeć i powiedział śmiertelnie spokojnym tonem:

- Nikodemus. - Nie odwrócił się, by spojrzeć na kumpla z zespołu. - Mamy jakiś problem?

- Erron! - zawołał Adam.

Głowa frontmana przechyliła się i obróciła wolno. Oczy spojrzały lodowato.

- Jestem w trakcie prób nagłośnienia - powiedział takim tonem, jakby się słusznie spodziewał, że go przeprosimy i wycofamy się na paluszkach.

- Potrzebujemy twojej pomocy - rzekł Adam. Erron uśmiechnął się niewesoło.

-Kiedy ostatnim razem wam pomogłem, ta tutaj... -wskazał mnie ruchem głowy - ...w podzięcie za wysiłki obrazila mnie. A teraz przerywacie mi próbę i spodziewacie się, że rzucę wszystko, bo macie problem? Nie ma mowy.

Skinął na zespół. Ułamek sekundy później na estradzie zabrzmiała rozdzierająca uszy muzyka. Erron odwrócił się do nas plecami i zaczął śpiewać, jakby nigdy nic.

Adam szturchnął mnie łokciem. Spojrzałam na niego. Uniósł brwi i wskazał odstępce. Zaciśnęłam zęby i w poszukiwaniu cierpliwości wzniosłam oczy do nieba, napotykając jedynie palący rogowki słoneczny blask. Mruganiem przepędziłam łzy bólu i westchnęłam. Pora się było ukorzyć. Znowu.

- Erron! - wrzasnęłam.

Mój głos wyparował na ścianie dźwięku. Bogowie, nie miałam czasu na te bzdury. Wyciągnęłam zza paska pistolet, wycelowałam w słońce i pięciokrotnie nacisnęłam spust. Muzyka ucichła natychmiast, gdy instrumentalisci rozplaszczyli się na scenie. Tylko Ziggy, głuchy mag-perkusista, pozostał na posterunku za bębnami. Pokręcił głową i przewrócił oczami, dając wyraz swojej opinii. Adam rzucił unieruchamiające zaklęcie na ochroniarzy, którzy szykowali się do obezwładnienia mnie od tyłu.

Krzyk Errona się urwał, a on sam odwrócił się powoli. Spodziewałam się ujrzeć kolejne gniewne spojrzenie, ale strzelanina najwyraźniej rozbawiła nekromantę, bo uśmiechnął się drwiąco.

- Mogłaś mnie zwyczajnie poklepać po ramieniu. Zignorowałam jego sarkazm i pośpieszyłam z przeprosinami, żeby posunąć sprawy naprzód.

- Słuchaj, wybacz, jeśli cię obraziłam tamtej nocy. Nie byłam świadoma twoich... ograniczeń. Ktoś mi bliski został skrzywdzony, a ty odmówiłeś mu pomocy. Być może jednak, wyrażając swoją opinię, mogłam się zachować odrobinę bardziej... dyplomatycznie. - Zrobiłam przerwę, by wziąć oddech. - A teraz, skoro twój zespół jest już w rozsypce, mógłbyś może zrobić sobie łaskawie przerwę i pogadać z nami przez chwilę?

Erron przyglądał mi się, jakby się zastanawiał, czy po-

wiedzenie „nie” zaowocuje kolejnymi strzałami. Uniosłam brew i poklepałam się pistoletem po udzie, dając mu znać, iż tak by się stało. W końcu skinął głową.

- Zróbcie sobie pięć minut przerwy - zwrócił się do zespołu. A do mnie: - Chodźmy do mojej garderoby.

Chwilę później Adam, Erron i ja siedzieliśmy na poplamionych kanapach w przebieralni odstępcy.

Półmiski na stoliku do kawy oferowały różnorodność delikatesowych wędlin, serów i trankwilizatorów.

Gdy oboje z Adamem podziękowaliśmy za drinki, Zorn otworzył gatunkową wódkę, wyjętą z kubelka z lodem.

- Co jest grane?

Erron oparł na stoliku nogi w wysokich butach. Jego kruczoczarne włosy były w artystycznym nieładzie; miał też swoje markowe okulary lotnicze.

- Chcemy, żebyś nam powiedział wszystko, co wiesz o Kaście Błądzących.

Erron przełknął wolno spory łyk alkoholu.

- Ile macie czasu?

- Niewiele - odparł Adam. - Co powiesz na skróconą wersję?

Odszczepieniec pochylił się, stawiając butelkę na stoliku.

- Myślę, że lepiej będzie, jeżeli najpierw wy mi powiecie, w coście się wpakowali.

- Nie mamy na to czasu - odparłam. - Wiemy z pewnego źródła, że członkowie kasty, tajemne stowarzyszenie śmiertelników oraz przywódczyni rasy wampirów spróbują jutro w nocy przywołać tutaj mistrza Mahana. Zatem wszystko, co jesteś w stanie nam powiedzieć, a co pomogłoby nam pokonać jego i ich, byłoby niezwykle pomocne.

Erron odrzucił w tył głowę i wybuchnął śmiechem. Potem, w kpiącym salucie, wyciągnął w naszą stronę butelkę wódki.

- Skoro o to chodzi, to sugeruję, żebyście mimo wszystko się napili.

Spojrzałam na niego wilkiem.

- Dlaczego?

- Bo równie dobrze możecie się upić, póki nie nadejdzie wasz czas na pożegnanie się z życiem.

- Wiesz, kto to jest? - zapytał Adam.

Erron upił kolejny łyk i skinął głową. Wspomniawszy na swój sen o pięknym mężczyźnie i wilkołaku ze strzelbą, powiedziałam:

- Jest wampirem, zgadza się?

- Nie - odparł odstępca. - Nie całkiem.

Adam skrzyżował ramiona na piersi. Najwyraźniej ne-kromanta miał tak samo dość tego krążenia wokół tematu jak ja.

- Zamierzasz nam to powiedzieć czy nie?

- Mistrz Mahan nie jest wampirem. - Zorn pochylił się jak człowiek mający ujawnić bombową wiadomość. - Ale jest ojcem wszystkich wampirów.

Szczeńka mi opadła. Obróciłam się wolno, by spojrzeć na Adama.

- Chcesz nam powiedzieć, że przywódca Kasty z Nod to Kain? Jak w *Znamieniu Kaina*, Kain i Abel, Kain, kochanek Lilith, ten Kain?

Zaczęłam się śmiać, zanim zdołałam się powstrzymać. Jak bardzo łatwowierni byliśmy, zdaniem tego faceta? Zorn skinął głową z poważną miną.

- Tak. I mógłbym wam opowiedzieć mnóstwo historii o nim, ale jedyna rzecz, jaką musicie teraz wiedzieć, to że nie jesteście w stanie go pokonać i nie będziecie mogli tego dokonać w przyszłości.

Musicie więc wymyślić jakiś sposób, żeby kasta nie wezwała go do Nowego Orleanu, albo wypieprzajcie z miasta.

- A ty trzymaj się lepiej pisania piosenek, magu, bo fantastyka nie jest twoją najmocniejszą stroną - zriposto-

wałam. - Ze wszystkich historycznych postaci mrocznych ras, co do której wierzyłabym, iż jest przywódcą Kasty z Nod, Kain byłby ostatnią osobą.

- Dlaczego tak mówisz?

- Gdyż Lilith rzuciła go, by poślubić Asmodeusza i zostać królową Irkalli. Dlaczego Kain miałby zakładać tajemną sektę, czczącą Lilith tak gorąco, że chcą doprowadzić do jej powtórnego przyjścia na świat?

Erron rąbnął butelką o stół.

- Przyjmujesz, że plotki, jakie słyszałaś na temat prorocत्व, są prawdziwe. Zakładasz także, iż Kain podał swoim wyznawcom prawdziwe powody, dla których chce powrotu Lilith. Kain był pierwszym mordercą, Sabino. Naprawdę uważasz, że jest godny zaufania?

- Jeśli to on jest zwierzchnikiem kasty, to dlaczego ufa mu tak wielu członków mrocznych ras? - zapytał Adam. - Z pewnością ktoś by już podniósł wcześniej te same kwestie.

Erron wzruszył ramionami.

- Cała historia uczy nas, że charyzmatyczni przywódcy kultów przekonali inteligentne skądinąd istoty do wszelkiego rodzaju zachowań irracjonalnych.

Adam przeczesał dłonią włosy.

-Dobra. Sądzę, że musimy się cofnąć. Po pierwsze: skąd to wszystko wiesz? Zorn odchylił się w fotelu.

-Nie mówiłem wcześniej, że kasta starała się mnie zwerbować? - Skinęliśmy głowami. - Słowo „rekrutacja” może nie być adekwatne. Raczej mnie prześladowali. Nękanie trwało jakiś czas, a ja się im opierałem. Nasilili działania, tłukąc Ziggy'ego niemal na śmierć. Wyzdrowiał w końcu, ale słuch mu nie wrócił. A kiedy i to mnie nie przekonało, kasta zabiła pozostałych członków mojego zespołu.

- O, bogowie! - Adama zatchnęło. - Katastrofa lotnicza! To tak do niej doszło? - Twarz Errona pozostała obojętna,

ale nie oponował. Patrzyłam na nich wilkiem, póki Adam nie wyjaśnił: - Kiedy zdarzył się wypadek, to był wielki news. Na skutek burzy samolot spadł do Atlantyku.

-Moi muzycy mieli się spotkać ze mną w Europie i zacząć trasę koncertową. Ziggy przebywał wciąż w szpitalu, a ja polecałem pierwszy, żeby spędzić trochę czasu z pewną paryską modelką. Wiadomości nie mówiły o tym, że wówczas cały zespół składał się z nekromantów. Nie ma mowy, żeby samolot

spadł, gdyż ich magiczne umiejętności pozwoliłyby się im uratować. Zdarzyło się coś innego.

- Wierzysz, że to była sprawka kasty?

- Musicie zrozumieć, że potem nieźle mi się popierdo-liło w głowie - powiedział, zapalając papierosa.

- Chociaż Ziggy i ja zostaliśmy odszczepieńcami za młodu, próbowałem poprosić o pomoc Radę Hekate. Oczywiście wyparli się mnie. Nic dziwnego. Już byłem na wpół szalony. Gazety twierdziły, że to wyczerpanie, ale przeżywałem kompletne załamanie nerwowe. W każdym razie, by skrócić opowieść, odzyskałem zmysły, a za swoją misję uznałem doprowadzenie do tego, by kasta zapłaciła za ten postępek. Wykorzystałem wszelkie dostępne środki. - Wypuścił długi strumień szarego dymu. - W końcu znalazłem w Europie grupę, która dokumentowała rzekome działania kasty. Korzystając z ich pomocy, poświęciłem lata, by się dowiedzieć, kim jest przywódca Błądzących. Wreszcie

znalazłem go... Kaina. Wtedy jego centrum operacyjnym był penthouse w tokijskiej dzielnicy Roppongi. Gdy stałem nad jego łóżkiem, przyciskając mu lufę pistoletu do skroni, powiedział spokojnie, że jest pod wrażeniem mojego poświęcenia. Przyznał, że zabicie członków zespołu było pożałowania godne, ale to moja wina, bo okazałem się tak uparty. To załatwiło sprawę. - Urwał, masując sobie czoło. - Przełamałem się. Przyłożyłem mu pistolet do głowy i pociągnąłem za spust. Kiedy przerwał, by się ponownie zaciągnąć, pojęłam, że nie oddychałam od początku opowieści. Zaczerpnęłam trochę powietrza.

- Co się stało?

- Nic. - Erron roześmiał się cierpko. Podniósł palec do czoła niczym broń. - Wypełniony cydrem pocisk w mózg, a ten sukinsyn tylko się ze mnie śmiał. Byłem tak przerażony, że błyskawicznie przeniosłem się stamtąd, zanim zdołał mi się zrewanżować, porwać mnie czy zrobić cokolwiek innego.

Upił kolejny łyk wódki, jakby alkohol mógł zmyć utrzymującą się gorycz wspomnień.

-Nie spałem później przez pół roku ze strachu, że mógłby się zjawić i mnie zabić. Pojąłem w końcu, że dał sobie ze mną spokój. Trwało to kolejnych parę lat, zanim się pozbierałem na tyle, by wrócić na estradę z nowym, w całości śmiertelnym zespołem... z wyjątkiem Ziggy'ego oczywiście.

- Zatem Kain jest nieśmiertelny - stwierdził Adam.

- Nie wierzę - powiedziałam. - Wampiry też są nieśmiertelne, ale można nas zabić. Może zakazany owoc go nie osłabił, ale nie zaszedłby daleko bez głowy!

- W tym właśnie sęk - rzekł Erron. - Czytałaś legendy o Kainie?

Prychnęłam szyderczo.

-Moja babka jest przywódczynią rasy wampirów. Oczywiście, że je czytałam.

- Nie wampirze legendy, Sabino. Ludzkie. Z Biblii. Roześmiałam się.

- Oczywiście, że nie.

- Kiedy Bóg ukarał Kaina, naznaczył go rudymi włosami, stanowiącymi symbol jego

nieśmiertelności. Potem jednak Wszechmocny poszedł o krok dalej i ogłosił, że każdy, kto zdoła zabić Kaina, będzie ukarany po siedmiokroć.

- Co to znaczy, do diabła? - zapytałam. - Nie można umrzeć siedem razy.

- Nie - przyznał Zorn. - Ale ty i sześcioro najbliższych ci ludzi możecie zginąć, a wasze dusze mogą zostać skazane na wieczne potępienie.

Skrzyżowałam ramiona na piersi.

- To brednie. Przyszliśmy do ciebie, by poznać fakty, a nie pieprzony folklor śmiertelników.

- Sabina - powiedział Erron. - Kain zabił wszystkich, którzy byli mi bliscy, bo odrzuciłem zaproszenie do jego klubu. Nie wiem, co zrobiłaś, żeby go sobą zainteresować, ale musisz to zagrożenie traktować poważnie. I na twoim miejscu poświęciłbym mniej czasu na powątpiewanie w jego moc, a więcej na

wymyślenie, jak powstrzymać jutro kastę przed przywołaniem go.

- W jakim celu Lawinia i kasta chcieliby go zawezwać? -zapytał Adam.

Najwyraźniej nekromanta kupił historyjkę Errona albo był dużo lepszy w zabawianiu psychopatów niż ja. Zorn wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. - Wrzucił niedopałek papierosa do na wpół opróżnionej butelki piwa i wstał. - Pięć minut minęło.

W tym momencie zadzwoniła komórka Adama. Mag złapał gwałtownie telefon i odszedł kilka kroków, by wysłuchać wiadomości. Rzuciłam się, by przechwycić Errona.

- Zaczekaj jeszcze chwilę. Adam zamknął telefon.

- Zen powiedziała, że musimy wracać.

- Odkryli, gdzie jest Maisie? Pokręcił głową.

- Nie rozwodziła się, ale wydawała się podekscytowana. Musimy spadać. Już.

Czując wywołany nadzieją przyływ adrenaliny, odwróciłam się do Errona, by spróbować go przekonać do udzielenia nam pomocy.

- Słuchaj, potrzebujemy twojej pom...

- Nie. - Przerwał mi. - Nie marnuj śliny na przekonywanie mnie, bym się przyłączył do waszej sprawy.

Stawiłem czoło temu wrogowi i zostałem pobity. Zbyt dużo czasu zabrało mi odbudowanie życia, bym ponownie rzucił się w samobójczą misję.

- To nie powstrzymało cię tamtej nocy - przypomniał Adam cichym, gniewnym głosem.

Zorn spojrział na niego.

- Bójka na pięści z garstką wampirów kasty to dziecięca bijatyka w porównaniu z masakrą, jaka was czeka, jeśli nie przeszkodzicie przywołaniu Kaina. A teraz życzę wam powodzenia, ale mam na głowie próbę nagłośnienia.

Z tymi słowami Erron Zorn odszedł.

- Pieprzeni odszczepieńcy - mruknął Adam.

A potem przeniósł nas z garderoby muzyka do kantoru Zenobii.

ROZDZIAŁ 24

Zen nacisnęła kilka klawiszy i klikała myszką, aż zdjęcie Maisie ukazało się na monitorze. Wzięłam głęboki wdech i starałam się skupić na obrzeżach obrazu, a nie na zmaltretowanym ciele siostry. Rea wskazała odprysk kamienia w rogu zdjęcia.

- Z początku uznaliśmy, że to coś bez znaczenia, ale potem zrozumialiśmy, że to dolna część kamiennego skrzydła.

Oczy zaczęły mnie piec od patrzenia zezem, ale kształt był rzeczywiście lekko skrzydłowaty.

Cofnęłam się trochę, by zyskać nową perspektywę.

- A tam jest chyba stopa. Może to pomnik?

- Anioła - powiedziała Rea. Spojrzałam na Zen.

- Poznajesz to? Pokręciła głową.

- To katolickie miasto. Rzeźby aniołów są tutaj wszechobecne.

Jęknęłam rozczarowana, ale Rea powiedziała:

- Zaczekaj.

Zen zrobiła powiększenie. Adam chwycił mnie za ręce i ścisnął je. Spojrzałam na niego w chwili, gdy westchnął:

- O, bogowie!

Moje spojrzenie ponownie skoczyło ku monitorowi. U mego boku mag zaklął tak, że nawet Giguhl by się zarumienił. Napis głosił: *Requiescat in pace*.

- Kiedy to zauważyliśmy, pojęliśmy, że rozmowa Sabiny z zombi nie była całkowitą stratą czasu - odezwała się Zenobia.

Patrząc na nią, zmarszczyłam brwi.

- Co masz na myśli?

-Mówiłaś, że Kevin powiedział „kot w pace”. - Rea wskazała płytę. *Requiescat in pace*. - I dalsza część, o wielkiej skrzyni... może Stryx chodziło o grobowiec.

Adam walnął mnie w ramię.

- O rany Sabino! Co jeszcze powiedział Kevin?

Byłam zbyt rozproszona, by odpowiedzieć. Moją siostrę trzymali, kurwa, w grobie. W jakiś chory sposób miało to sens, że Lawinia ukrywała Maisie na jednej z nowoorleańskich nekropolii. Bez wątplenia moja babka uważała za zabawne i nieuchronne, by nasza ostateczna walka odbyła się w otoczeniu tak wielu świadectw śmiertelności.

- Sabina? - Poganiał mnie Adam.

Otrząsnęłam się z chorobliwych rojeń, by mu odpowiedzieć.

- Coś w rodzaju „mistrzu, przybądź”, a potem... - Urwałam, patrząc na niego porozumiewawczo. -

...O, cholera! Cały czas sądziłam, że wypowiedział moje nazwisko, ale w istocie przekazał nam prawdziwe imię mistrza Mariana!

Rea i Zen wymieniły nierozumiejące spojrzenia.

- Chyba lepiej, żebyście nam to wyjaśnili - powiedziała nekromantka. - Co konkretnie powiedział wam zmartwychwstaniec?

Byłam tak zajęta przeklinaniem się w duchu, że to Adam przekazał im rewelacje Errona na temat przywódcy Kasty z Nod.

- No, no - odezwała się Rea, gdy mag skończył. - Orfeusz padnie na wylew, gdy to usłyszysz.

-Zanim jednak wymyślimy, jak powstrzymać rytuał przywołania - odezwała się Zenobia - musimy odkryć, w której nekropolii trzymają Maisie.

- Cóż - zaczął Adam z namysłem. - Przynajmniej wiemy, że jest na jakimś cmentarzu, zgadza się? To zawęźa krąg poszukiwań.

Chociaż doceniałam jego wysiłki zmierzające do przedstawienia spraw w pozytywnym świetle, nie mogłam się zdobyć nawet na wymuszony uśmiech. Zenobia kliknęła myszą i obraz ponownie się powiększył.

- Chciałabym podzielać twój optymizm - stwierdziła. - Masz najslabsze choćby pojęcie, ile cmentarzy znajduje się w obrębie aglomeracji Nowego Orleanu?

- Tuzin? - Adam wzruszył ramionami. Zen pokręciła głową.

- Raczej czterdzieści. - Kiedy informacja zapadła w nas ciężarem ołowiu, mówiła dalej. - Niektóre możemy od razu wykluczyć, na przykład Holt Cemetery, na którym byłam tamtej nocy z Sabiną, ale to będzie zaledwie garść mniej. Nie ma mowy, żebyśmy byli w stanie przeszukać pozostałe trzydzieści kilka przed jutrzejszą nocą. A nawet gdyby nam się udało, to się nie dowiemy, w której jest krypcie.

Usłyszawszy, jakie mamy szanse, poczułam, że duch we mnie upada.

-Musi być jakiś sposób. Lawinia chce, żeby Sabina znalazła to miejsce. - Rea postukała w monitor. - Pozbawiłoby to ją całej radochy, gdyby Sabinie się nie udało. Coś przeoczyliśmy.

Zen się odchyliła na krześle.

- Skłonna jestem się z tobą zgodzić, ale nie widzę na tym zdjęciu nic, co mogłoby nas zaprowadzić we właściwe miejsce.

Spojrzała na Adama w poszukiwaniu potwierdzenia z jego strony. Zawahał się, a potem pokręcił głową.

- Ja też nic nie widzę.

Moja pięść rąbnęła w blat biurka, sprawiając, że monitor podskoczył.

- Nie zgadzam się!

Trzy pary poważnych oczu spojrzały na mnie niemal z litością. Rea dotknęła mojego ramienia.

- Sabina... Strząsnęłam jej rękę.

- Nie, nie mów mi, żebym się uspokoiła. Jesteśmy zbyt blisko znalezienia jej, żeby się teraz poddać.

- Nikt nie mówi, że mamy zrezygnować - powiedziała Rea, zawsze głos rozsądku. - Musimy tylko inaczej do tego podejść.

- Racja. Może Rea i Zen pominęły coś w trakcie porządkowania sklepu - poddał Adam. - Możemy się rozdzielić i przetrząsnąć cały budynek.

Przeczesałam palcami włosy.

- W poszukiwaniu czego, Adamie? To nie jest tak, że zostawili tutaj poniewierający się folder cementarny. Lawinia nie chciałaby, żeby to było takie łatwe.

- Sama jednak powiedziałaś, że chce, żebyś znalazła to miejsce. Musi istnieć dodatkowa wskazówka, bo możemy się teraz oprzeć jedynie na tym zdjęciu.

Wzięłam głęboki wdech.

- Masz rację. Przepraszam.

- Wiesz co? - odezwała się Rea. - Dostyc tych zgadywanek. Poszukajmy Maisie, posługując się narzędziami, jakimi dysponujemy. - Kiedy wraz z Adamem spojrzeliśmy na nią pustym wzrokiem, uśmiechnęła się. - Magią.

- Myślałem już o tym - przyznał Adam. Wskazał kajdanki, spinające na fotografii ręce Maisie. - Mosiądz sprawia, że jest niemożliwa do wytropienia, gdyż więzy blokują jej energię.

- Nie zakłęcie tropiące. - Rea pokręciła głową.

- Chcesz powiedzieć, że jest jakiś sposób wudu, który może zadziałać? - zapytałam, spoglądając na Zen.

- Nie. Wudu nie jest dobre w tego rodzaju sprawach. Sądzę, że Rea ma na myśli coś hekatyjskiego - odparła Zenobia.

-Niekoniecznie. - Siwowłosa nekromantka zerknęła na mnie, zagryzając wargi. - Raczej coś chtonicznego.

Kręciłam już głową, zanim do końca wypowiedziała to słowo.

- Nie ma mowy. Zen, widziałaś, co stało się z tamtym zombi. Powiedz jej, że jest szalona.

Zenobia wstała z krzesła i podeszła do biblioteczki pod ścianą.

- Zwłoki ożyły, gdyż nie wiedziałam, że muszę dostroić zaklęcie. Gdyby wcześniej ktoś mi

powiedział, że jesteś chtoniczką, to całej tej sprawy dałoby się uniknąć. - Urwała i rzuciła na nas znaczące spojrzenie, po czym wróciła do przeszukiwania półek.

- O co ci właściwie chodzi? - zapytał Adam.

Rea dołączyła do Zenobii przy biblioteczce. Razem przeglądały rzędy tomów. Parę sekund później

wydały jednocześnie ciche westchnienia: „Aha!”, i sięgnęły po tę samą książkę.

- Jest - powiedziała Zen, biorąc wolumen z rąk Rei. Dmuchnęła na skórzaną oprawę. Kurz wzniósł się jak dym. Zen zakaszłała i rozpędziła obłok machaniem dłoni. - Ta książka należała do mojego

dziadka. Był manipulatorem energii, jak Adam, ale miał obszerną bibliotekę tekstów magicznych.

Rea zaglądała jej przez ramię, kiedy Zenobia przewracała strony. W końcu kapłanka wudu przestała

kartkować tom i otworzyła go szerzej. Wskazała coś na stronie i oczy Rei rozbłysły.

- Hmm.

- Taaa? - zapytała Zen. Obie kobiety zdawały się zapominać, że Adam i ja jesteśmy w pokoju.

- Muszę sprowadzić do pomocy przyjaciół, ale sądzę, że to się uda.

- Będzie potrzebowała czegoś, na czym się skupi - powiedziała wolno Rea. - Czegoś, co zwiąże ją z tą płaszczyzną.

- Halo?! - odezwałam się. - Jestem tutaj!

- Może Adam? - zastanawiała się na głos Zenobia. - Jest dość potężny, by dać sobie radę z magiczną mocą, a ich związek jest silny.

Nekromanta odchrząknął i poruszył się niespokojnie u mego boku. Unikałam jego wzroku, ale zaczęłam stukać stopą. Nadal nas ignorowały.

- Byłoby dobrze, gdybyśmy posiadały także coś należącego do Maisie - stwierdziła Rea.

- Hej! - podniosłam głos. - Nie, żebyście zadały sobie trud zapytania mnie, ale mam coś siostry.

Obie podniosły wzrok, jakby nagle sobie przypomniały, że mają towarzystwo.

- Tak? - powiedziała Rea. Trzymałam amulet Maisie na łańcuszku.

- Czy teraz byłybyście łaskawe nam powiedzieć, co jest grane?

Później będzie mnóstwo czasu, by tego żałować, ale w tej chwili nie obchodziła mnie nieuchronność należytą pokuty. Zen i Rea powiedziały, że to się uda, a ja im zaufałam.

Adam pochylił się nisko, kładąc mi na brzuchu mnóstwo trzepoczących piór. Głowę otaczała mu aureola blasku świec. Przełknęłam, starając się skupić na uspokajającym dudnieniu bębnów na zewnątrz kręgu. Rytm przenikał małe pomieszczenie, otaczając nas własnym rodzajem magii.

Przyjaciele Zen przybyli pół godziny wcześniej. Cztery czarnoskóre kobiety w wieku od dwudziestu do ponad osiemdziesięciu lat; te ostatnie o oczach zasnutych bielmem. Przyprowadziły ze sobą dwóch młodych mężczyzn, którzy grali na bębnach w rogu pokoju. Zenobia i Adam wyłuszczyli im szybko

plan, podczas gdy Rea starała się uśmierzyć moje niepokoje, wyjaśniając, co dokładnie ma się zdarzyć. Byłam zaskoczona, że komukolwiek udało się dotrzeć do sklepu Zen, jeśli zważyć na morze hallo-weenowych hulaków, korkujących uliczki French Quarter. Ten rytuał musiał być dla nich wszystkich czymś szczególnym, skoro opuścili jedną z największych uroczystości, jakie miał do zaoferowania Nowy Orlean.

Jeśli o mnie chodzi, plan dotyczył rzutowania astralnego, z wykorzystaniem naszyjnika Maisie jako promienia naprowadzającego, w celu wyśledzenia miejsca jej pobytu, lub dokładniej - plamy krwi na skrzyni ze zdjęcia. Rea wyjaśniła, że nie różni się to od podróży międzyprzestrzennej, z tym

wyjątkiem, że moje ciało pozostanie nieruchome, a wędrówkę odbędzie dusza. Nie podobał mi się zbytnio ten pomysł, ale Rea obiecała, że zostaną podjęte wszelkie środki ostrożności, by duszy zapewnić bezpieczny powrót. Dlatego Adam siedział wraz ze mną wewnątrz kręgu. Miał działać jak kotwica, lina ratunkowa na wypadek, gdybym napotkała jakiegokolwiek problemy z ponownym znalezieniem własnego ciała.

- Spokojnie - szepnął.

Jego oddech połaskotał mnie w ucho, przyprawiając

o mrowienie wzdłuż kręgosłupa. Odetchnęłam, wolno

i długo wypuszczając powietrze, i zmusiłam się do rozluźnienia mięśni barków. Trudno to zrobić, gdy serce dudni ci w piersi staccato. Adam ujął moją śliską od potu rękę w swoją ciepłą dłoń. Jego wzrok napotkał mój, a na ustach zagrał mu słaby uśmiech.

- Ufasz mi?

Przełknęłam z nerwów, suche gardło zaskrzeczało.

- Taaa.

Zabrzmiało to tak cicho, że się zastanawiałam, czy usłyszał. Kiedy jego uśmiech się poszerzył, poznałam, że tak. Przysunął się bliżej, tak blisko, że czułam na twarzy promieniujące od niego ciepło.

Rozchyliłam wargi...

- Musimy się śpieszyć - powiedziała Zen. - Kiedy portal się otworzy, będziesz miała tylko kilka minut.

Jeśli nie uda się nam utrzymać go tak długo, żebyś zdążyła wrócić, Adam ściągnie cię z powrotem.

Mag mrugnął do mnie, po czym się odsunął. Przybrał taką samą pozycję jak moja - półłotosu - i położył ręce na moich dłoniach, odwróconych grzbietami w dół. Tuż nad jego ramieniem widziałam

Reę, obserwującą mnie w milczeniu i gotową udzielić pomocy, gdyby sytuacja wymagała interwencji.

Przez chwilę żałowałam, że Giguhl jest nieobecny. Czułam się jednak lepiej ze świadomością, że demon stoi na straży na wypadek, gdyby Lawinia albo braterstwo zechcieli wpaść z kolejną wizytą.

Nekromanta ścisnął mi dłoń, skupiając moją uwagę na terażniejszości.

- Dobrze - pochwaliła Rea. - Psychiczny kontakt między tobą i Adamem nie może osłabnąć, gdyż inaczej wiązanie się zerwie.

Przełknęłam i nie odwracając wzroku od Adama, powiedziałam do Zen:

- Czy moje ciało nie opadnie bezwładnie, gdy dusza je opuści?

- Nie - odparła. - Osiągnie stan transopodobny. Pozostaniesz w tej pozycji do powrotu duszy.

Skinęłam lekko głową, nie odrywając spojrzenia od sylwetki Adama. Intymność, polegająca na tak

długim patrzeniu mu w oczy, powinna mnie skłonić do wiercenia się. Zamiast tego czułam się zakotwiczona, bezpieczna.

- W porządku, zaczynajmy - odezwała się Zenobia.

Kobiety w kręgu poczęły się kołysać i zawodzić. Świece na obrzeżach pola widzenia zamigotały. Bębny przyspieszyły tempo, pulsujący rytm przenosił się przez podłogę i w górę mojego ciała, do klatki piersiowej.

- Zamknij oczy i oddychaj głęboko - poleciła Zen. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Adama, pozwoliłam, by powieki mi opadły. Wykonywałam długie, powolne oddechy. Powietrze nasączył ziołowy zapach. Wypełnił mi brzuch i zaokrąglił go, zanim wypuściłam dym po doliczeniu do pięciu. Włoski na karku zaszczypały mnie, sygnalizując narastanie mocy. W przeciwieństwie do magicznego kręgu, tworzonego w celu ochrony lub związania przebywających w jego wnętrzu, istnienie tego odczuwało się raczej jak obecność otwartych drzwi. Przez pokój przepłynął powiew, przynosząc woń żywej gleby, żeliwa i świeżej krwi - perfumy podziemnego świata.

- Oddychaj. Skup się. Wyobraź sobie twarz Maisie, zawołaj do niej. - Głos Zen wzniósł się ponad coraz bardziej frenetyczne zawodzenie jej towarzyszek.

Zablokowałam wszystkie doznania oprócz szumu wciąganego przez nos powietrza. Głęboki, wibrujący pęd wydechu. W moim umyśle pojawił się obraz Maisie. Miała na sobie odświętne szaty: tradycyjny grecki chiton, który nosiła podczas obrzędów i zebrań Rady Hekate. Rudoczarne włosy tworzyły elegancki kok. *Maisie? Słyszysz mnie?*

Kilka kolejnych oddechów. Postać w mojej głowie uśmiechnęła się i przywołała mnie gestem uniesionej ręki. Słabe doznanie połaskotało obrzeża mózgu. Tętno mi przyspieszyło, ale nadal oddychałam równomiernie.

Maisie, pokaż mi, gdzie jesteś. Pomóż mi cię znaleźć.

Moje ciało kołysało się i zataczało kręgi niczym igła kompasu usiłująca znaleźć północ. Obraz

Maisie w mojej głowie poruszył się, przemienił. Włosy sterczały jej teraz we wszystkie strony. Twarz i chiton pokrywały smugi ziemi i krwi. Po części wiedziałam, że widzę obecnie Maisie taką, jaka była w tę noc, kiedy Lawinia ją porwała. Zjawa w mojej wizji podniosła rękę, nakazując mi, bym podążyła za nią.

Przenikało mnie głębokie brzęczenie, delikatnie wstrząsające komórkami ciała. Obraz w głowie zafalował. Wiedziałam, że jeśli się poddam, stracę ją na dobre. Oddychałam teraz nadzwyczaj głęboko, a po następnym wydechu uwolniłam duszę. Cichy trzask, skurcz. A potem, jak mgiełka, opuściłam ciało.

Poprzez opalizujące lśnienie portalu ujrzałam, że moje ciało otacza ciemnoczerwona poświata. Adam nadal siedział naprzeciwko mnie, oczy miał otwarte i wpatrzone intensywnie w moją kompletnie nieruchomą sylwetkę. Jego aura jarzyła się głęboką niebieskością, poznaczoną złotymi włóknami.

Tam, gdzie nasze ręce się spotykały, energie się łączyły i wznosiły skrzącymi wstęgami głębokiego fioletu i złota.

Obecni wokół nas falowali w hipnotycznym ruchu, ich usta poruszały się synchronicznie podczas zawodzenia, a aury błyskały wszystkimi kolorami tęczy. Wśród pozostałych wyróżniał się błyszczący srebrzyście pierścień energii Zenobii. A w kącie halo złotego szafranu obejmowało ciało Rei.

Dźwięki były teraz inne. Śpiew i dudnienie bębnów docierały do moich uszu opóźnione, zniekształcone, jakby przefiltrowane przez wodę.

Sabina.

Słabe wołanie przykuło moją uwagę. Zadarłam głowę i podryfowałam w górę, aż sufit ustąpił rozgwieżdżonemu nocnemu niebu.

Kiedy byłam mała, marzyłam o lataniu. Chciałam się zerwać do lotu nad miastami i oceanami.

Modliłam się do Wielkiej Matki Lilith o pomoc w wyrośnięciu z życia,

do jakiego się urodziłam. Czas minął, a ja pogodziłam się z myślą, że nigdy nie doznam tego rodzaju wyzwolenia.

Ale właśnie wtedy, gdy mój duch wznosił się nad Bourbon Street, tęskniąc do cienkiego sierpa

księżycyca, doznałam uczucia prawdziwej wolności. Daleko w dole, wokół kolorowych platform, tańczyły i świętowały miniaturowe poprzebieranych ludzi. Malutkie pomarańczowe światełka pstrzyły miejski krajobraz - dynie, wystawione przez śmiertelników hołdujących zwyczajowi „cukierek albo psikus”. Poza zasięgiem świateł miasta ciemne wody Missisipi przyzywały mnie swoimi tajemnicami.

Coś w głębi duszy nie dawało mi spokoju. Coś absorbującego, czego nie potrafiłam przywołać w pamięci.

Zepchnąwszy na bok konieczność przypomnienia sobie tego, fruwałam. Tak szybko, że powierzchnia ziemi zamieniła się w barwne smugi. Wirowałam i przenikałam powietrze, odseparowana od doczesnych doznań przez cienką jak szept otoczkę lśniącej magii. W przeciwieństwie do tych zdarzeń, gdy podróżowałam w głąb własnego ciała, nie mroził mnie zimny wiatr. Nie niepokoił zawrót głowy.

Przeciwnie, powietrze było spokojne i ciepłe. Czulałam się skoncentrowana i spokojna. Nie mógł mnie tutaj dosięgnąć żaden ból.

Nie wiem, jak długo pobłażałam pragnieniu szybowania, ale niebawem moją uwagę przykuła głęboka,

nagła konieczność. Jak stłumione walenie do drzwi. Albo dudnienie pulsujących w piersi bębnów.

Na północnym wschodzie, w rytm muzyki, migotał świetlny piksel. Przyciągał jak magnes. Niemal jednocześnie z postanowieniem dotarcia do źródła światła pofrunęłam ku niemu, jakby samej myśli było dosyć, by wymusić kierunek ruchu. Kiedy ujrzałam łąkę zieleni, poznaczoną prostokątami szarości, gwałtownie przypomniał mi się cel mojej eskapady.

Maisie.

Rozejrzałam się, próbując zapamiętać charakterystyczne punkty orientacyjne lub drogowskazy, które mogłyby dostarczyć informacji o położeniu tego miejsca. Tuż za cmentarzem rozciągała się wielka zielona przestrzeń - park? Światła reflektorów miały się dziko w kanionie wyznaczonym przez wysokie dęby. Daleko w dole tysiące malutkich ludzików falowały do wtóru muzyki, której nie słyszałam. Gdybym jednak musiała zgadywać, brzmiała ostro jak zardzewiałe gwoździe. Ironiczne, że przed niewidoma godzinami byliśmy tak blisko tego cmentarza.

Wyrzuciwszy z myśli Errona Zorna i straconą okazję, skupiłam się na zapamiętaniu topografii. Na przeciwległym końcu nekropolii majaczył nakryty kopułą wielki kamienny budynek. Przed nim biegła główna droga, a podmiejskie alejki wyznaczały trzy pozostałe boki nekropolii.

Światelko w dole przyzywało mnie, przyciągając do ziemi. Astralnymi stopami dotknęłam trawy, ale magiczna otoczka nie pozwalała zarejestrować żadnych doznań. Teraz grobowce, które wcześniej obserwowałam z góry, wznosiły się nade mną. A na wprost, jakby ktoś trzymał źródło ultrafioletu przed plamą białej farby, na kamiennej płycie jasno lśniła krew mojej siostry.

Przypominająca bardziej sarkofag niż grób konstrukcja sięgała biodra - na tyle duża, by pomieścić jedną trumnę.

Aż do tej chwili powstrzymywałam nadzieję, że możemy się mylić. Że nawet Lawinia nie jest tak sadystyczna, by przetrzymywać Maisie w krypcie. Teraz jednak miałam dowód, że okrucieństwo mojej babki nie zna granic.

Nie biegłam, lecz sunęłam tuż nad ziemią, przemieszczając się szybko w kierunku źródła światła. W końcu stanęłam przed grobem i wyciągnęłam przezroczyste ręce. I ,ecz zamiast chwycić kamień, przeniknęły przezeń. Spróbowałam jeszcze raz, tym razem skupiając się. Wciąż beznadziejnie.

Krzyknęłam głośno.

- Maisie!

Schyliłam się nad grobowcem i słuchałam. Zawołałam ponownie. Żadnej odpowiedzi. Potem zrozumiałam, że skoro moje dłonie przeszły na wskroś solidnej struktury, to być może głos przeszył duchową rzeczywistość. Jak zjawą.

Gdybym była w cielesnej postaci, moją pierś ścisnąłby ból. Być tak blisko Maisie i nie móc jej uwolnić stanowiło torturę. Ponieważ nie mogłam wypłakać tego bólu, mój duch się skurczył, stając się cięższy.

- Maisie - powiedziałam z twarzą nad wiekiem. - Idziemy po ciebie. Bądź silna, proszę.

- Nie słyszy cię.

Poderwałam się i obróciłam. Instynktownie moja dłoń sięgnęła po pistolet, którego nie było. Kula unosiła się w powietrzu kilka stóp dalej, pulsując wściekle. Wszystko mi mówiło, by się odwrócić i spieprzać jak najszybciej. Napięłam mięśnie przed ucieczką, gdy kula przemówiła ponownie:

- Nigdy nie byłeś cykorem. Dlaczego masz zacząć tchórzyc teraz?

Serce mi zlodowaciało, a stopy zdawały się zatopione w betonie. Wolno, wiedząc ponad wszelką wątpliwość, że nie wyobraziłam sobie tego znajomego głosu, odwróciłam się. Na miejscu promieniującej kuli zmaterializowała się sylwetka mężczyzny.

Opierał się o ścianę sąsiedniego grobowca. Powiedziałam „opierał się”, ale daleko mu było do stanu solidności. Lśniące ciało prześwitywało, lecz to zmarszczenie brwi poznałabym na końcu świata.

- Dawid? - sapnęłam.

- Coś nie tak, Sabino? Nie cieszysz się z ponownego spotkania?

Widziałam w życiu mnóstwo porąbanych rzeczy. Trudno, żeby tak nie było, kiedy zarabiasz na chleb jako za-

bójca. Jasne, że skoro drzewo genealogiczne mojej rodziny obwieszane jest wampirami i magami, a za jednego z najlepszych przyjaciół mam demona, można sobie łatwo wyobrazić, że przypadkowe spotkanie ducha to nic nadzwyczajnego. Zważywszy jednak na to, że ta konkretna zjawia była duchem zamordowanego przeze mnie przyjaciela, miałam pewne trudności, żeby się nie posikać - mówiąc metaforycznie.

- Dawid? - powtórzyłam głupio. Rozpostarł szeroko ramiona.

- We własnej postaci, by tak powiedzieć.

Wysiłek umysłowy przypominał brodzenie w owsiance. Rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, co mogłabym zrobić lub powiedzieć, ale milczące groby nie dostarczały żadnych sugestii co do właściwej etykiety.

-Jak...? Dlaczego...?

Zjawia skrzyżowała ramiona.

- „Jak” nie ma znaczenia.

- A „dlaczego”? - Głos miałam ochryply.

Uśmiech uniósł kąciki jego ust; dziwny widok na niemal przezroczystej twarzy.

- Zanim ci powiem, dlaczego tutaj jestem, musimy wyprostować kilka spraw.

- Zamieniam się w słuch.

Przysunął się. Jego nogi jednak się nie poruszyły, ciało poszybowało po prostu nad trawą. Zaciśnęłam szczęki, ponownie poskramiając chęć ucieczki. Potem przypomniałam sobie, że jestem pozbawiona

ciała, a moja astralna forma musi przypominać jego postać. W końcu się zatrzymał

kilka stóp dalej.

- Po pierwsze, musisz wiedzieć, że nie jestem tutaj dlatego, że tego chcę. Gdybym miał wybór, byłabyś ostatnią osobą, której bym pomógł.

Żadna niespodzianka, w istocie. Przełknęłam ściskający mi gardło strach i skinęłam głową.

- I nie pytaj, kto mnie przysłał. I tak byś nie uwierzyła. Mogłam być zmieszana i wstrząśnięta, ale nie jestem idiotką.

- Mimo to powiedz. Tak, dla jaj. Drgnął mu kącik ust.

- Powiedziała, że będziesz nalegać. - Wzruszył ramionami na zasadzie „niech ci będzie”. - Lilith przesyła pozdrowienia.

Szczęka mi opadła, ale Dawid mówił dalej, jakby nie zrzucił mi dopiero co bomby na łeb:

- Po drugie, to się dzieje naprawdę. Twoja siostra jest w tym sarkofagu.

- Czekał no chwilę - przerwałam mu. - Lilith cię przysłała?

Potwierdził niecierpliwym skinieniem głowy, jakby mówił: „Już to załatwiliśmy”.

- Dlaczego? Przewrócił oczami.

- Jest królową Irkali, Sabino. Nie dociekamy jej pobudek, nie narażając się na poważne reperkusje.

- Nie... chodzi mi o to, dlaczego wysłała ciebie? Skrzyżował ramiona.

- Zamiast Vinki? O to ci chodzi?

To mnie zastanowiło. Dawid zginął, zanim poznałam Vinkę. Jeśli spotkali się w Irkali, to mocno

wątpiałam, by stało się to wyłącznie za sprawą przypadku.

- Lilith uważała, że zbyt długo byś się mazgała, kajając się przed nią, że przez ciebie zginęła, żebyś jej wysłuchała.

Starałam się uporządkować mnogość pytań walczących o to, by pierwsze wyrwać się na wolność, ale zanim zdołałam któreś zadać, Dawid mi przerwał.

- Słuchaj, naprawdę nie mamy teraz czasu na zabawę w dwadzieścia pytań. Niebawem ten twój mag spanikuje i ściągnie cię z powrotem.

- Jestem w tej chwili strasznie skonfundowana. Strzelił ku mnie spojrzeniem.

- Musisz tylko słuchać. Dasz radę? - Zaczekał, póki nie skinęłam głową. Wtedy uśmiechnął się do mnie, jakby podzielenie się tą informacją bawiło go. - Lawinia naprawdę zamierza przywołać jutro Kaina.

Zerknęłam na niego.

- To twoja wiadomość? Skrzywił się.

- Daj mi skończyć. Jutro w nocy będziesz musiała podjąć trudne decyzje. Wybierz głupio, wszystko weźmie w łeb.

Żołądek mi się ścisnął.

- A jakie są właściwe decyzje? Wzruszył ramionami.

- To niewłaściwe pytanie. Zniechęcona zacisnęłam pięści.

- A jak brzmi właściwe?

-Odpowiednie pytanie brzmi: „Czy możesz złapać dwie sroki za ogon?”.

- Niech cię szlag, Dawid! Dość tych tajemniczych bzdur!

- Jest coś jeszcze - ciągnął, ignorując moje narastające podniecenie. - Ten śmiertelnik powiedział ci, że obrzęd odbędzie się jutro o północy?

Nie próbowałam nawet dociekać, skąd wiedział, co mówił Alodius.

- Taaa.

- Mylił się. To jest to, co kazali mu powiedzieć tobie. Lawinia wie, że jesteś dosyć sprytna, by odkryć jego udział. Jeśli zjawisz się jutro o północy, Kain już tam będzie i będzie po herbacie.

Westchnęłam tak głęboko, że pozbycie się całego powietrza z płuc zajęło mi dobre pięć sekund.

- Jakie są zamiary Kaina wobec mnie?

- Przykro mi, skarbie, ale tego nie mogę wyjawić. Są pewne reguły dotyczące podobnych spraw. Mogę ci jednak powiedzieć, że skutki twoich jutrzejszych decyzji rozciągną się na lata. I zanim się to skończy, odbędzie się wiele bitew. To znaczy, oczywiście, jeśli przeżyjesz, co, spójrzmy prawdzie w oczy,

graniczyłoby w tej sytuacji z cudem.

Straciwszy cierpliwość, rąbnęłam go pięścią w nos, ale zamiast nawiązać kontakt, moja ręka przeniknęła przez twarz Dawida z przyprawiającym o mdłości lodowatym doznaniem. Drwiący śmiech stanowił o jedną zniewagę za dużo.

- Palant z ciebie!

- Niezłe. Zabiłaś mnie, ale to ja jestem dupkiem?! Westchnęłam.

- Słuchaj, Dawidzie. Jeśli musisz wiedzieć, to gdybym musiała to zrobić jeszcze raz...

Jego usta rozciągnął uśmiech.

- To postąpiłabyś tak samo.

Zmarszczyłam brwi i otworzyłam usta, by zaprzeczyć, lecz Dawid uniósł dłoń.

- Nie oszukujmy się, Sabino. Działają teraz potężne moce. Rzeczy większe od nas obojga. Czybyś mnie zabiła, czy nie, nadal tkwiłabyś w centrum tego wszystkiego.

Pokręciłam głową.

- Nie wiesz tego.

Przechylił głowę, przyglądając mi się z mieszaniną litości i żalu.

- Prawdę mówiąc, wiem to na pewno. Czy ci się to podoba, czy nie, jesteśmy tylko pionkami w rękach losu. -Patrzył przez chwilę w niebo. Przez polanę powiał wiatr, zbyt chłodny nawet jak na październik.

Nad nami utworzył się magiczny, lśniący tunel. - Pora iść.

- Czekaj, mam jeszcze pytania. Pokręcił głową.

- Skończyły mi się odpowiedzi. Żegnaj, Sabino. Otworzyłam usta do krzyku, ale wiatr zmienił nagle kierunek o sto osiemdziesiąt stopni, tworząc próżnię. Ta siła zassała moją duszę w górę i do tunelu.

Wołałam, wysilając się, by zostać. By się domagać od Dawida dalszych odpowiedzi. Ale ciągnąca mnie siła była zbyt potężna.

Wokół mnie wirowały i tańczyły przewijane wstecz barwy. Zniekształcone dźwięki raniły uszy.

Zanim się zorientowałam, dusza rąbnęła w moje ciało jak kometa. Uderzenie wyparło mi powietrze z płuc. Oczy gwałtownie się otworzyły. Z piersi wydarł się krzyk:

- Dawid!

ROZDZIAŁ 25

Chłodny płyn opłukał mi struny głosowe, uśmierzając żar pozostały po roli aktorki horroru klasy B. Z każdym oddechem ziołowo-chłodnofioletowa woń olejku lawendowego, wmasowywanego przez Reę

w moje skronie, zwalniała mi puls. Jednak mimo że tak bardzo ceniłam sobie tę aromaterapię i wodę, tak naprawdę chciałam zostać sama. Żeby mieć trochę czasu na zebranie myśli i rozważenie opcji. By się wziąć w garść, zanim będę zmuszona mówić. Sądząc jednak po napierających na mnie ożywionych spojrzeniach i gęstniejącym w powietrzu napięciu, chwila prywatności stanowiła luksus, na

który nie było mnie stać.

Kiedy ostatnia kropla wody spłynęła mi na język, Rea zabrała szklanekę. Zanim skąpy łyk dotarł do gardła, posypały się pytania. Usiłowałam mówić zrównoważonym tonem i z chłodną obojętnością przekazać wszystko, co usłyszałam. Nie było to jednak łatwe i niebawem dopadły mnie połączone

skutki braku snu, wczorajszej ekspozycji na słońce, projekcji astralnej, huśtawki emocji oraz dobrego staromodnego stresu. Kiedy skończyłam, byłam schrypnięta, a gardło dławili powstrzymywane łzy.

Adam ujął moją dłoń i ścisnął.

- Maisie nic nie będzie, Sabino. Odzyskamy ją.

Giguhl poklepał mnie po plecach. Przyszedł po tym,

gdy Zen poprosiła swoich kumpli wudu, by dali nam trochę czasu na osobności.

- Dobrze się spisałaś, Rudzielcu.

Weszła Pussy Willow z planem, o którego przyniesienie poprosiła ją Zenobia. Z drobnym uśmiechem wręczyła mi mapę. Cienie pod oczami świadczyły o zmęczeniu, ale byłam zadowolona, widząc, że Pussy opuściła swoje pokoje.

Rozłożyłam plan niezdarnymi, drżącymi rękami. W końcu udało mi się go rozpostrzeć na podłodze między mną i Adamem.

- Cmentarz leży tuż obok Parku Miejskiego. - Przesuwałam palec po mapie, starając się odtworzyć moją wędrówkę na płaszczyźnie. Zakreśliłam teren. - Gdzieś tutaj.

Zen podniosła plan, by mu się dokładniej przyjrzeć.

- W odległości mili od parku leży sześć nekropolii. - Wskazała miejsce na mapie. - Możemy wykluczyć Métairie Cemetery, bo jest po drugiej stronie autostrady międzystanowej. A ten tutaj... - Przesunęła palec - ...to Holt Cemetery.

Przypomniawszy sobie nazwę nekropolii za sprawą naszej wizyty na niej, pokręciłam głową.

- To na pewno nie to miejsce. Wszystkie groby wznosiły się ponad poziom gruntu. - Potem przypomniałam sobie pewien szczegół, o którym wcześniej nie powiedziałam. - Na końcu stoi wielki gmach... sprawia wrażenie, jakby należał do cmentarza. Wygląda na budynek rządowy.

PW zmarszczyła brwi.

- Miał kopułę? - Tak.

- Niech mnie szlag - westchnęła Zen.

- Co to takiego? - zapytała Rea.

Wszyscy się pochyłili gorliwie, chcąc usłyszeć odpowiedź. Zenobia triumfalnie pomachała mapą.

- Trzymają ją na Guild Society Cemetery.

Giguhl i PW przybili piątkę, Zen przeżegnała się, a Adam i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Nie chcę zrzędzić, ale jesteś tego pewna? - zapytał mag.

Zenobia energicznie pokiwała głową. - Tak. Na zapleczu Guild Temple of Philosophy and Art znajduje się cmentarz dla członków i ich rodzin.

- Dlaczego braterstwo miałoby wykorzystywać nekropolię należącą do innego tajnego

stowarzyszenia, by ukrywać tam więźnia? - dociekał nekromanta. - Ze słów Alodiusa wynikało, że nie darzą wielkim szacunkiem innych bractw.

- Chyba że - odezwał się Giguhl - DBWT i ta Gildia to jedno i to samo?

W pomieszczeniu zapadła cisza, gdy zastanawialiśmy się nad tą możliwością.

- Znam jednak kilkoro członków tej loży - powiedziała w końcu Zen. - Zajmują się dobroczynnością.

Po uderzeniu Katriny zdobyli mnóstwo pieniędzy dla ludzi pozbawionych dachu nad głową.

-Taaa, a Alodius sprawiał wrażenie miłego faceta -stwierdziłam. - Spójrz prawdzie w oczy, Zen.

Ludzie chowają mnóstwo tajemnic. Zwłaszcza, wyobrażam sobie, należący do tajnych stowarzyszeń.

- Słuchajcie - rzekła Zenobia - może to i prawda, ale jakie to ma naprawdę znaczenie? Wiemy już, gdzie jest Maisie.

- To ma wielkie znaczenie, jeśli oddziały Guild Society na całym świecie współpracują z kastą - odparł

Adam.

- Mówisz jak jeden z tych psycholi, wyznawców teorii spiskowych - zauważyła kapłanka wudu.

- Zen, tajemnicze bractwo splądrowało ci dom i niemal zabiło przyjaciółkę. Naprawdę zaprzeczasz, że mamy do czynienia z poważną konspiracją?

Zacisnęła usta.

- Coś w tym jest.

- Dobra. Uważam, że czas odłożyć teorie na bok i skupić się na następnych posunięciach - odezwała się Rea. -Musimy przekazać wszystkie te informacje Orfeuszowi i królowej.

Wiedziałam, że ta chwila kiedyś nadejdzie, co nie sprawiło, że było to choć trochę łatwiejsze do przełknięcia.

- Nie ma czasu. Musimy wkroczyć dziś w nocy. Spojrzenie Adama skoczyło ku mnie.

- Dlaczego dzisiaj?

-Dawid powiedział, że Lawinia chce, byśmy się zjawili po przywołaniu przez nią Kaina. Jeśli

będziemy się ociągać, on już tam będzie.

Rea pokręciła głową.

-Niemożliwe. Trzeba wcześniej załatwić mnóstwo spraw logistycznych. I chociaż wiem, jak bardzo nie lubisz prosić o pozwolenie, Orfeusz i królowa zasługują na to, by mieć coś do powiedzenia w tej sprawie.

- Poza tym - wtrącił się Giguhl - bez obrazy, Rudzielcu, ale wyglądasz jak z krzyża zdjęta.

Przeszyłam wzrokiem mojego faworyta.

- Wielkie dzięki, G.

- Tylko mówię. - Wzruszył ramionami.

Zacięty wyraz twarzy Zenobii oznaczał, że dalsze sprzecznianie się sprawi jedynie, że bardziej się zaprze. Zmieniłam zatem taktykę.

-Jest jakiś sposób, by pogadać z nimi bez potrzeby wracania na dwór? Jakiś magiczny rodzaj telekonferencji, która mogłaby wszystko przyspieszyć?

- Albo - przemówiła PW - moglibyśmy, wiecie, posłużyć się komputerami, jak to zamierzył dobry Bóg.

Adam wstał i pomógł mi się podnieść. -Rea, zadzwoń do Orfeusza i powiedz mu, żeby on i królowa jak najszybciej usadowili się przed monitorami.

Pół godziny później Rea skończyła zapoznawanie Orfeusza i królowej z sytuacją. Adam siedział obok ciotki i od czasu do czasu uściślał wątki bądź odpowiadał na pytania. Stałam za nekromantą jak widz.

Zważywszy na niechęć królowej do mnie, zgodziliśmy się, że lepiej będzie, żeby to magowie wiedli prym w tej dyskusji.

-Sądząc po dowodach, jakie zaprezentowaliście... -zaczął Orfeusz.

Stał obok królowej, która siedziała na tronie u szczytu stołu konferencyjnego z sękatego drewna.

Najwyraźniej nadrzewny dwór posiadał najnowocześniejsze komputerowe systemy konferencyjne, gdyż obraz obojga pojawił się natychmiast na monitorze Zenobii.

- .. .najlepiej by dla was było siedzieć cicho dziś w nocy. Wyślemy oddział Strażników Pytyjskich i Baśniowych Rycerzy, by jutro o północy wsparli was w ataku.

Stężałam, ale trzymałam gębę na kłódkę. Adam poruszył się niespokojnie.

- Z całym szacunkiem, sir, ale uważam, że jakakolwiek zwłoka z naszej strony byłaby nierozsądna.

Lawinia spodziewa się nas o północy. Dlaczego nie zaatakować jutro po południu albo przynajmniej o zachodzie słońca?

- Akcja w czasie dnia także się nie sprawdzi - odezwała się stojąca obok mnie Zen. - Jutro jest pierwszy listopada. Cmentarze będą pełne ludzi składających kwiaty na grobach krewnych. Na niektórych nekropoliach odbywają się msze, parady orkiestr dętych, zespołów jazzowych i pikniki. Jeśli spróbujecie zaatakować przed zamknięciem cmentarzy, o zmierzchu, to ryzykujecie ofiary w ludziach i narażacie się na interwencję policji.

-Co oznacza, że plan Orfeusza jest nadal najlepszą opcją - przemówiła królowa Maeve. - Sporządźcie listę niezbędnego ekwipunku, a my przyślemy wszystko jutro wraz z oddziałami.

Niemal tak szybko, jak skończyła mówić, Adam był gotów do riposty.

- Chociaż sądzę, że zaczekanie do zapadnięcia ciemności jest najlepszym pomysłem, to naprawdę myślę, że my...

- Kto cię prosił, żebyś myślał? - warknęła królowa. -Podjęliśmy decyzję.

Ścisnęło mnie w dołku z powodu Adama. Jak ta suka śmie poniżać go w ten sposób?

- To błędna decyzja - wtrąciłam się, mówiąc głośno i wyraźnie.

Oczy królowej się rozszerzyły.

- Masz czelność!

- Sabina! - odezwał się Adam.

- Nie, to bzdura. Powiedzieliśmy wam, co mówił Dawid...

- Dawid? Masz na myśli tego ducha, którego rzekomo widziałaś, a który twierdził, iż został przysłany przez boginię Lilith? - Królowa prychnęła. - Z pewnością nie spodziewasz się po nas, że będziemy układać plan bitwy na podstawie halucynacji?

Szczęka mi opadła.

- Wolisz zatem układać plany, opierając się na kłamstwach śmiertelnika, który spiskował przeciwko nam?

- Sabina - powiedział Orfeusz. - Milcz.

- Nie, ja...

- Sabina! - Adam zgrzytnął zębami. Napięcie w jego głosie powiedziało mi, że tylko pogarszam sytuację. Twarz królowej na ekranie przypominała wieczną zmarzlinę. Ze sztywną szczęką mag mówił szybko dalej: - Ona nie chciała cię obrazić, Wasza Królewska Mość. Wszyscy jesteśmy trochę zdenerwowani.

-No cóż, bardzo mnie kusi zażądać, by za okazaną bezczelność całkowicie wyłączyć ją z tej misji - stwierdziła królowa.

Zebrałam się w sobie, by się ponownie odezwać, ale Zen chwyciła mnie ostrzegawczo za rękę.

Spojrzałam na nią, a ona zdecydowanie pokręciła głową.

- Zaufaj Adamowi - szepnęła tak cicho, że ledwie ją usłyszałam.

- Przywołam ją do porządku - obiecał nekromanta. Jego słowa sprawiły, że poczułam skurcz w żołądku.

Potem jednak dotarło do mnie brzmienie jego głosu. Zdawało mi się, czy też usłyszałam znajomy ton ironii Laza-rusa?

- Dobrze - przystała Maeve. - Wysyłam kapitana mojej gwardii, liana. Poprowadzi atak.

- Co? - warknął Adam. Oczy królowej zwęziły się. - Wasza Królewska Mość - ciągnął mag, odzyskawszy gładko panowanie nad sobą. - Han to dumny i zręczny wojownik, ale niepokoi mnie jego

brak zaangażowania w tę misję, co zdecydowanie nie czyni z niego najlepszego kandydata na dowódcę.

- Uważasz, chyba, że to ty powinieneś mieć ten zaszczyt? - zapytała królowa. - Wątpię, byś był w stanie podołać jednocześnie i temu, i trzymaniu w ryzach tego mieszańca. Wydaje się, że ona sama to

dość!

Przemówił Orfeusz.

-Adam jest jednym z moich najbardziej zaufanych Strażników Pytyjskich. Ze względu na orientację w złożoności sytuacji jest oczywistym kandydatem.

Królowa machnęła lekceważąco ręką, co wyrażało jej zgodę.

- Niech tam. Teraz, skoro to załatwione, mamy pewne wieści. - Podekscytowana Maeve poruszyła się

na tronie. - Odkąd tylko przekonaliśmy się, że Tanith mówi prawdę o miejscu pobytu Maisie,

prowadziłyśmy rozmowy. Prawdę mówiąc, jesteśmy całkiem bliskie sfinalizowania traktatu

pokoju. Jediną przeszkodę stanowi to, że Lawinia wciąż żyje. Dopóki tak pozostanie, nadal

jest de facto przywódczynią rasy wampirów. - Królowa pozwoliła, by kwestia zawisała na kilka sekund w powietrzu. - W związku z tym musicie sprawić, by Lawinia Kane umarła jutrzejszej nocy.

Wypuściłam oddech, choć nie wiedziałam, że go wstrzymuję. Spodziewałam się, iż powie, że jednak nie możemy zabić Lawinii.

- Żaden problem. - Adam skinął głową. - Jest na naszej liście spraw do załatwienia.

- Nie rozumiałaś - powiedziała Maeve. - Zabicie Lawinii będzie waszym priorytetem.

Adam poderwał głowę.

- Nie nadążam. - Ton jego głosu sugerował, że doskonale rozumie, ale odrzuca płynące z tego

implikacje. Nie mogłam go winić, gdyż czułam, że Maeve nas załatwiła.

Znudzonym tonem królowa dodała:

- Pozwól, że ci to przetłumaczę: jeżeli trzeba będzie wybierać, poświęcisz Maisie Graecus na rzecz zabicia Lawinii Kane.

- Co? - Orfeusza zatchnęło. - Nie omawialiśmy tego!

Zacisnęłam pięści tak mocno, że pękła mi skóra na dłoniach. Ramiona siedzącego przy biurku Adama stężały jak kamień, a mięśnie na karku nabrzmiały.

Odpowiedź udzielona przez Maeve Orfeuszowi ociekała lodem.

-Nie potrzebuję twojego pozwolenia, by wydawać rozkazy!

-Potrzebujesz, kiedy skazują na śmierć moich ludzi. Żądam wycofania polecenia.

Królowa przeszła Wysokiego Radnego lodowatym spojrzeniem.

- Zapominasz się, magu. Nie jesteś w tej chwili niczym więcej niż żebrakiem na moim progu. Toleruję twoje opinie, dopóki mam na to ochotę. - Wstała. - Lawinia umiera. To jedyny sposób, by wojna,

której sami nie potrafiliście

zapobiec, nie doszła do skutku. Mam nadzieję, że dziewczyna przeżyje, ale nie tak wielką, jak bardzo chcę skończyć z zagrożeniem, jakie dla wszystkich mrocznych ras stanowi Lawinia.

Orfeusz był czerwony na twarzy i dyszał. Kiedy starał się znaleźć adekwatną odpowiedź, po jego obliczu przemaszerowała parada silnych emocji. Obserwując dramat na ekranie, czułam się jak podglądaczka, będąca świadkiem jego wstydu.

Powietrze w gabinecie było tak gęste od napięcia, że ledwo dało się oddychać. Zrobiłam krok do przodu i położyłam dłoń na barku Adama. Uniósł rękę, by złapać moją; uścisk miał tak mocny, że się skrzywiłam. Być może dotyczyło to wszystkich nas, ale to Adam na własne oczy widział, jak jego przełożony i mentor został publicznie wykastrowany. A kolejne posunięcie Orfeusza mogło zderminować los nas wszystkich.

- Co powiesz, nekromanto? - zapytała w końcu królowa. - Pozostaniemy sprzymierzeńcami, czy też sumienie pozbawi cię zarówno rozumu, jak i schronienia?

W końcu Orfeusz odchrząknął. Tylko zamiast wybuchnąć gniewem człowieka gotowego powiedzieć komuś, by spieprzał, mag poddańczo skulił barki.

- Pozostaniemy sojusznikami - szepnął w końcu.

- Mądra decyzja - pochwaliła królowa. - Lazarus, masz swoje roz...

To stało się szybko. Adam zerwał się z rykiem ze swojego miejsca. Zanim go odciągnęłam, pięść maga była krwawą miazgą, a rozbity monitor leżał, dymiąc, na podłodze. Wraz z iluzjami.

ROZDZIAŁ 26

Halloweenowa zabawa na Bourbon Street trwała do późnej nocy. Stałam przy oknie na strychu i obserwowałam zataczających się w dole ludzi, przebranych za wampiry, demony, czarnoksiężników, wróży i wilkołaki. Dla nich Halloween był czasem udawania. Czasem zabawy w „cukierek albo psikus”. Czasem świątecznych dekoracji i przebierania się w kostiumy.

Nie mieli pojęcia, że istoty, które udają, nie są postaciami z mitów, folkloru i fikcji. I że rzeczywistość naszego świata była bardzo daleka od śmiesznej maskarady i ulicznych festynów.

Ten konkretny Halloween wyznaczał w istocie granicę między światem naszego zbawienia a wigilią zagłady.

Prychnęłam z powodu tych cikliwych myśli i odwróciłam się od okna. Gapienie się nie było sposobem

na podejmowanie życiowych decyzji. Poszłam więc czyścić broń.

Po wybuchu Adama pozwoliłam Rei wziąć go na rozmowę na osobności. Po części chciałam z nią

walczyć o tę rolę, ale biorąc pod uwagę kruchy stan mojego umysłu, w obecnej chwili nie nadawałam się do tego, by pomóc magowi się uspokoić.

Potałam twarz dłonią i wyjęłam przyrządy do czyszczenia broni. Wyłożyłam wszystko na stole:

robiony na zamówienie pistolet z pociskami z cydrem na wampiry,

dwa zwykłe glocki, dwa sztylety z rękojeściami z drewna jabłoni. Absolutnie nie wystarczy jak na

bitwę, którą mieliśmy stoczyć następnego dnia. Ale ta sama suka, która lekką ręką poświęciła życie mojej siostry, przysyłała również tyle broni i ludzi, żebyśmy mieli szansę ocalić Maisie w walce.

Jakim cudem sprawy się tak skomplikowały? Z jednej strony czułam w głębi duszy, że powinniśmy

zignorować mój sprzeciw wobec priorytetów przywódców i posłużyć się ich zasobami do osiągnięcia

własnych celów. Musiałabym po prostu wykorzystać wszelkie środki, będące w mojej dyspozycji, do

ocalenia Maisie i zabicia Lawinii Kane, zanim babka zdołałaby wezwać Kaina. Niełatwy plan, ale był

na głowę samotne stawienie czoła babce, gdy byłabym uzbrojona jedynie we wrogie nastawienie i

kilka pistoletów.

Z drugiej strony byłabym głupia, nie przyjmując do wiadomości faktów. Nawet przy wsparciu

Baśniowych Rycerzy i Strażników Pytyjskich ustępowaliśmy siłom Lawinii. Nie było co do tego

wątpliwości. Inną zatem możliwością było pójść tej nocy i ocalić siostrę. Lawinia spodziewała się nas dopiero jutro, a z tego, co widziałam w postaci projekcji astralnej, grobowiec nie był strzeżony.

Gdybym wyszła teraz, dotarłabym na miejsce i wróciła przed upływem godziny. Jutro moglibyśmy się

tam zjawić z bronią plującą pociskami, bez obawy, że Maisie dostanie się w krzyżowy ogień - prawdziwy lub polityczny.

Gdyby jednak istniała trzecia strona medalu, przypomniałabym sobie, że tego rodzaju rozumowanie cechuje starą Sabinę. Tę gniewną, która działała samotnie. Zbuntowaną, która ignorowała możliwe konsekwencje, by robić to, co odpowiadało jej własnym celom. Samotną, która nikomu nie ufała.

Czyż nie przekonałam się już, że najlepsza byłam wtedy, gdy polegałam na tych, którzy okazali się godni zaufania?

Adam i Giguhl nieraz ocalili mi tyłek. Wspierali mnie w trudnych chwilach i przybijali ze mną piątki po zwycięstwach. Byli kimś więcej niż tylko przyjaciółmi. Stali się rodziną w takim samym stopniu jak Maisie, a pod pewnymi względami byli mi może nawet bliżsi.

Uśmiechałam się, gdy wspomnienia naszych wyczynów przewijały mi się w głowie jak szpula filmu.

Kiedy pracowałam, nozdrza ściągnął mi intensywny zapach płynu czyszczącego. Metodycznymi pociągnięciami wytarłam wszystkie części. Sądzę, że Giguhl i Adam byli teraz w dużej mierze jak moja broń. Nie wdałabym się w walkę, nie dysponując odpowiednią siłą ognia. I nie mogłam sobie teraz wyobrazić, że wymknęłabym się, nie wtajemniczając ich w plan.

Drzwi się otworzyły i nekromanta wszedł, jakbym go przywołała myślami. Na mój widok zatrzymał się gwałtownie, jakby się nie spodziewał mnie ujrzeć. Zaczerwieniona twarz świadczyła o zakłopotaniu. W końcu, kiedy go widziałam ostatni raz, mordował komputer.

_ Hej - odezwałam się cicho. Schowałam broń do torby. W chwili, gdy mag wszedł, ścisnęło mnie w dołku. Widok wywołanych niepokojem zmarszczek na jego twarzy sprawił, że moje instynkty opiekuńcze weszły w nadbieg. - Jak się czujesz?

-Dobrze. - Podszedł i podniósł plecak z fotela. Przetraszając bagaż, zdawał się mnie kompletnie ignorować.

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie bardzo. - Nie podniósł wzroku. Westchnęłam.

- Adam, porozmawiaj ze mną, proszę.

Kiedy na mnie popatrzył, gniew w jego oczach był tak intensywny, że musiałam odwrócić spojrzenie.

Widziałam go wcześniej w złości, ale nie byłam świadkiem wściekłości, przetaczającej się po nim gorącymi falami.

- Po co? Żebyś mi mogła powiedzieć, że miałaś rację?

Zmarszczyłam brwi.

- Rację w czym?

- Kiedy zaczęliśmy tę misję, kwestionowałaś motywy kierujące przywódcami. Ale ja, posłuszny

Strażnik Pytyjski, głosiłem oficjalną linię partyjną, jakby to było nasze pieprzone zbawienie. -

Zaśmiał się gorzko. - To ja byłem śmieszny.

Podeszłam do krzesła i kucnęłam obok niego.

-Posłuchaj - powiedziałam, zmuszając maga, by na mnie spojrział. - Nie chodzi o to, kto ma rację. To już coś więcej. Prawda jest taka, iż Orfeusz zrobił to, co musiał uczynić jako przywódca rasy magów.

Adam zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że klapnęłam na tyłek. Górując nade mną, krzyknął:

-Jak możesz go bronić?! Ty, ze wszystkich ludzi? -Dźgnął palcem powietrze. - Maisie jest twoją siostrą.

Zacisnęłam zęby i wstałam.

- Wiem, że nie jestem zawsze najbardziej zrównoważoną osobą w okolicy. Zdecydowanie dużo

krzyczałam i zrędziłam na temat niesprawiedliwości tej sytuacji. Ale wiesz co? Te bzdury nie ocalał Maisie. - Postukałam go palcem w pierś. - Chujowo, że Orfeusz nie postawił się tej dziwce. Jaki miał

jednak wybór? Zerwać z nią przymierze dla wątpliej możliwości, że moglibyśmy musieć dokonać

wyboru między Lawinią a Maisie? Wyrzuciłaby wszystkich magów na ulicę, gdyby tak postąpił.

- Jak chcesz - powiedział Adam. - Nie będę pionkiem w rękach Maeve, jak Orfeusz. Może Erron miał rację, gdy zostawał odstępcą?

Skrzyżowałam ramiona na piersi.

- Co zatem uczynisz, nekromanto? Odejdiesz, by udowodnić swoją rację? Zostawisz Maisie na pastwę Lawinii, której pozwolisz wygrać tylko dlatego, że Orfeusz podjął gównianą decyzję?

Uciekł wzrokiem w poczuciu winy. Parłam naprzód.

- To ty mi zawsze mówiłaś, żebym posługiwała się głową. Kiedy zatem zaczniesz używać swojej?

Oczy mu się zwęziły.

- Więc co? Mam sterczeć tutaj i słuchać rozkazów pierdolonego kapitana królowej? Bo nie oszukujmy się. W chwili, gdy Orfeusz ugiął się dzisiaj przed Maeve, Han zyskał prawo rządzenia jutro.

Poszłam za ciosem.

- Nie, dupku. Spodziewam się, że będziesz pamiętał, że nie jesteś w tym sam. Tworzymy zespół, do cholery. Pamiętasz?

Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem. Potem wargi mu drgnęły.

- Naprawdę musisz popracować nad umiejętnościami perswazji, Rudzielcu.

- Taaa, dobra. A ty nie możesz zapominać o swojej pozycji. Gdzie się podział spokojny, zrównoważony Adam, na którym przywykłam polegać? To ja powinnam być tą gburowatą nihilistką, pamiętasz?

Zanim się zorientowałam, otoczył mnie ramionami. Przez chwilę odpowiadałam tym samym, rozkoszując się jego dotykiem. Oferując pocieszenie, którego potrzebował, ale o które nie poprosiłby wprost. W końcu szepnął:

- Nie wiem, jak mamy to wygrać, Rudzielcu.

Mój umysł wybrał ten właśnie moment, by podsunąć mi obraz maga na cmentarzu, nieruchomego i bladego, wykrwawiającego się po ataku wampirów kasty. Za gardło ścisnęła mnie lodowata dłoń

paniki. Przełknęłam mocno.

- Ja też nie.

Jedną rzeczą jest gadać o logice i męstwie, i tryskać wyświechtanymi sloganami motywacyjnymi, a inną czuć ilotyka Adama i wiedzieć, że może to nasza ostatnia chwila sam na sam. Na zawsze. Omówić plany można było jutro, a teraz miałam do przedyskutowania z magiem coś ważniejszego.

- Adamie - zaczęłam ochryłym głosem. - Musisz mi coś obiecać.

Patrzył mi w oczy głaszcząc mnie kciukiem po karku.

- Wszystko, co chcesz.

- Bez względu na to, co się jutro stanie, nie stracimy Maisie. Nawet jeżeli to oznacza... - Przełknęłam mocno. - Nawet jeśli to oznacza, że będziesz musiał mnie zostawić, żeby to zrobić.

Stężał i odsunął się, by spojrzeć na mnie.

- Sabina...

Oparłam dłoń na jego piersi w bezgłośnym proteście.

- Muszę to powiedzieć. Jeśli coś mi się stanie, musisz mi obiecać, że dopilnujesz, by ona wyszła z tego cało. Spieprzyłam w życiu mnóstwo rzeczy. Podjęłam wiele głupich, egoistycznych decyzji. To

jednak musi się odbyć właściwie. Potrafisz teleportować się z pola bitwy, co oznacza, że masz

największą szansę uratować Maisie. Jeśli więc sprawy wezmą zły obrót, to chcę, żebyś zostawił mnie, a uratował ją.

Wpijając się wzrokiem w moje oczy, podniósł rękę, by ująć moją twarz w stuloną dłoń. Pochylił się i złożył mi na wargach delikatny pocałunek. Potem odsunął się nieznacznie i szepnął:

- Jeśli sądzisz, że jestem facetem, który ucieka, kiedy kochana przez niego kobieta znajduje się w tarapatach, to nie znasz mnie zbyt dobrze.

Ziemia otworzyła mi się pod nogami. Wyznanie miłości zachwiało moją równowagę. Już zanim to powiedział, ledwo byłam w stanie panować nad sobą, ale teraz zabolęło mnie gardło, a w oczach zapiekły łzy.

- Niech cię szlag, nekromanto - odezwałam się zdławionym głosem.

Spojrzenie miał śmiertelnie poważne.

- Stwierdzam tylko fakty. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zapewnić Maisie bezpieczeństwo, ale nie zostawię cię. Nigdy.

Łza kapnęła mi na policzek. Starłam ją drżącą dłonią. Chciałam krzyknąć na niego, że nic nie rozumie.

Nie chodziło tylko o uratowanie Maisie. Chciałam mieć pewność, że także on będzie bezpieczny. Nie wiedziałam, czy będę w stanie stawić czoło największej walce w moim życiu, zarazem ocalając siostrę i martwiąc się o niego. Jeśli padnę, jeśli Lawinia uzyska przewagę, jeśli uda się jej wezwać Kaina, to musiałam wiedzieć, że Adam nie będzie zgrywał bohatera.

Jego zielone oczy były wpatrzone w moje, ciepła dłoń stanowiła przyjemny ciężar na moim barku, usta były tak blisko. Męski, sandałowcowo ciepły zapach mieszał się z podnoszącą na duchu wonią oleju do czyszczenia broni.

Wtedy do mnie dotarło. Nie potrafiłam zapanować nad tym, co miało się zdarzyć następnego dnia, ale mogłam zdecydować o wydarzeniach dzisiejszej nocy. A w tej chwili nie byłam w stanie wymyślić nic ważniejszego, niż pokazać Adamowi, jak bardzo mi na nim zależy.

Zależy? To nie jest właściwe słowo, prawda? Problem polegał na tym, że nigdy dotąd nikogo nie kochałam. Tak naprawdę. Miałam jednak świadomość, że to, co czuję do nekromanty, jest silniejsze i głębsze od wszystkiego, czego kiedykolwiek doznawałam. Jeśli to miłość, niech tak będzie. Sądzę, że trzeba było zajrzeć śmierci w oczy, bym w końcu zrezygnowała z wymówek, powstrzymujących mnie od życia pełną piersią. Od przyznania się do namiętności wobec mężczyzny, który spoglądał teraz na mnie, mając w oczach własne uczucia, wyraźne jak na dłoni.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, jakbyśmy czekali, by przerwała nam jakaś kolejna katastrofa.

Kiedy wpatrywałam się w jego zielone oczy - emocje nadawały im barwę liści po burzy - przypomniałam sobie, co Giguhl powiedział o objawieniu się właściwego momentu. I wiedziałam bez najmniejszych wątpliwości, że to była ta chwila.

Odsunęłam się od Adama i podeszłam do drzwi. Na widok mojego odwrotu oczy mu się rozszerzyły, a twarz zapadła. Zamiast jednak wyjść, zamknęłam drzwi i przekreśliłam klucz z nieodwołalnym szczęknięciem.

Kiedy odwróciłam się ponownie ku nekromancie, oparta plecami o drzwi, drżałam - nie wiem, czy z

nerwów, czy z oczekiwania, czy obu tych przyczyn naraz. Na widok jego podszytego wahaniem, rozszerzającego się uśmiechu serce zabiło mi mocniej w piersi. Adam zrobił krok w moją stronę, ale pokręciłam głową.

- Zostań tam.

Uśmiech mu zwiądł. Najwyraźniej spodziewając się kolejnych gier z mojej strony, skrzyżował ramiona na piersi i obserwował mnie z nieufną miną. Spokojnie wytrzymywałam jego spojrzenie, zsuwając z ramion kurtkę i pozwalając, by opadła na podłogę.

Powoli, odmierzonymi ruchami zdjęłam bluzkę i odrzuciłam ją w bok. Pod pełnym podziwu spojrzeniem nekromanty pozbyłam się wysokich butów i džinsów, aż -w końcu - stanęłam przed nim jedynie w czarnym koronkowym staniku i majteczkach.

Jego wzrok odbył leniwą wędrówkę w dół mego ciała, po czym zmienił zwrot na przeciwny.

Spojrzawszy mi ponownie w oczy, mag uniósł z aprobatą brew.

Po tygodniach gry wstępnej częściowo pragnęłam zedrzeć z niego ubranie i dotrzeć go bez żadnych wstępów. Zamiast tego jednak zbliżyłam się wolno. Nie śpiesząc się i rozkoszując przeciąganiem chwili.

Gdy w końcu się zatrzymałam, Adam wyciągnął po mnie ręce; ciepłe dłonie przesunęły się po moich biodrach. Kiedy jednak chciał mnie całować, pokręciłam głową. Chwyciłam skraj jego koszuli. Ruch sprawił, że Adam musiał mnie puścić, żeby unieść ramiona.

Utknęłam wzrokiem na umięśnionej rozciągłości klatki piersiowej, spojrzenie spłynęło ku zarysowi dolnych żeber i wyzierającego spod paska spodni Koła Hekate. Koniusz-

kiem palca przejechałam po zawiłym wzorze. Na skutek dotyku mięśnie Adama zadrżały.

Zagryzłam wargę i patrzyłam na maga spod rzęs, rozpinając dwoma palcami guzik nad zamkiem błyskawicznym. Oddech nekromanty przyśpieszył, zrównując tempo z moim. Nasze spojrzenia się spotkały, a powietrze się poruszyło, przecięte szponami żądy.

Gra była skończona. Nie trzeba było więcej uwodzicielskich sztuczek. Nasze usta, wilgotne i gorące,

złączyły się. Pośpieszne dłonie rozpięły mi stanik. Wszystkie zmysły wypełnił Adam - jego sandałowcowa woń, dotyk gorącej skóry, smak języka. Ta mieszanka znokautowała mnie i sprawiła, że miałam ochotę na więcej.

Padliśmy, splątani, na łóżko. Oderwałam usta od warg Adama i podniosłam się, by go dosiąść. Jego dłoń spoczęła na moich piersiach i pieściła je z oddaniem neofity. Usiadł i ustami zastąpił ręce. Język miał miękki i pobudzający. Zęby ostre i twarde, gdy przesunął doznanie przyjemności poza granicę bólu. Zagłębiłam palce w jego włosy, ponagłając go.

Rozkoszne tarcie narastało w dole, gdzie zaledwie dwa strzępki materiału były wszystkim, co nas od siebie oddzielało. Kiedy jednak miałam już przesunąć w bok koronki i bawełnę, Adam przewrócił mnie. Pochylił się nade mną, mięśnie ramion i klatki piersiowej nabrzmiały. Całował moje piersi, brzuch i uda. Skórę połaskotało mi mrowienie magii. Mrugnęłam, orientując się z zaskoczeniem, że jestem kompletnie naga. Spojrzałam w dół i przekonałam się, że nie tylko ja.

Nekromanta posłał mi swawolny uśmiech. Zapomniałam, co chciałam powiedzieć, gdyż gorący oddech podrażnił mi wrażliwą skórę uda. Bez żadnego ostrzeżenia Adam zanurkował i zafundował mi

długie, powolne lizanie, które sprawiło, że oczy uciekły mi w głąb czaszki.

Niebawem zagłębiłam paznokcie w skórę jego głowy,

a moje biodra zaczęły podrygiwać. Kłami drapałam dolną wargę, gdy czekałam na oferowany przez niego orgazm.

Nie musiałam długo czekać.

W następnej chwili wszystkie mięśnie mego ciała się napięły. Adam przesunął się po mnie i przyjął krzyk w swoje usta. Splotłam język z jego językiem, próbując na nim smaku samej siebie. Zanim minął ostatni spazm, przewróciłam maga na plecy, wciąż złączona z nim wargami.

Niezdolna czekać ani chwili dłużej, nadziałam się na niego. Przyjął to z podrzutem bioder.

Znieruchomiałam na moment, z dłońmi na jego barkach. Bez słów zdawał się rozumieć moją potrzebę dominowania. Ujeżdżałam go mocno, wbijając kolana w materac.

Wplótł palce w moje włosy. Cieszył mnie ten ból i nagrodziłam maga pocałunkiem języka i kłóć. Nakłułam jego wargę i wciągnęłam słodką krew. Adam jęknął aprobująco. Odsunął moją głowę i usiłował spojrzeć mi w oczy. Zamknęłam je z powodu narastających mi w gardle emocji.

- Spójrz na mnie. - Pieścił dłońmi moją twarz. - Otwórz oczy, Sabino.

Podniosłam zaciśnięte powieki. Źrenice miał rozszerzone i zdawało mi się, że tuż za nimi widzę unoszącą się duszę. Nasze zdyszane oddechy mieszały się między ustami. Ręce ślizgały się po spoconej skórze. Ciała dążyły do wspólnej rozkoszy.

Kontakt wzrokowy, kontakt fizyczny i smak krwi na języku stopiły się w potężną tęsknotę za jego krwią i czymś jeszcze - za czymś bardziej pierwotnym. Pragnienie przenikało mnie i, sądząc z blasku w oczach Adama, także jego. Wokół nas, jak oszalałe świetliki, wzniosły się iskierki światła.

- Czujesz to? - szepnął.

Przełknęłam i skinęłam głową, zaintrygowana i ani trochę nie przestraszona siłą, którą powołaliśmy do życia.

Magią, którą wyczarowaliśmy dosłownie i przenośnie. Wspólnie.

Cofnęłam się, zanim mogłabym się poddać bardziej podstawowym instynktom. Jednak dłonie Adama objęły moją szyję i pociągnęły w dół. Dostrzegłam w jego oczach przyzwolenie, którego szukałam, ale nie byłam pewna, czy jest gotów to zaakceptować.

- Zrób to - szepnął.

Przechylił głowę, odsłaniając węzlastą kolumnę przełyku i aortę, drżącą uwodzicielsko pod złotą skórą.

Chciałabym móc powiedzieć, że się oparłam pokusie i odmówiłam. Że byłam wystarczająco silna, by nie pofolgować temu szczególnemu pragnieniu. Łatwo w świetle dnia powiedzieć, że czegoś nigdy by się nie uczyniło. Kiedy jednak wschodzi księżyc, a namiętności buzują, cóż, to inna para kaloszy.

Zawahałam się, dając mu okazję do zmiany decyzji. Ponaglił mnie jednak ruchem rąk. Jako interludium zlizalam sól z jego skóry. Ssałam, aż zaczął jęczeć, a podrzuty bioder nabrały większego tempa. Wtedy, gdy byłam pewna, że jego uwaga jest odwrócona, wgryzłam się.

Westchnął i znieruchomiał. Natychmiast się cofnęłam przestraszona, że go skrzywdziłam lub że może mnie odepchnąć. Jednak przycisnął ponownie rękami moją twarz do swojej szyi. Krew płynęła mi swobodnie do ust. Z początku chłeptałam jedynie.

Dopiero kiedy zaczął mnie znowu posuwać, dałam sobie całkiem na luz. Nie wiem, czy chodziło o geny magów, czy też było to coś konkretnie związanego z Adamem, ale jego krew była jednocześnie słodka i korzenna, jak cynamon, cukier, kardamon i wszystkie inne przyprawy świata, jakich kiedykolwiek próbowałam. Ta mieszanka sprawiła, że krew tańczyła mi w żyłach jak po zastrzyku adrenaliny.

Wtedy właśnie, z krwią Adama w ustach, a penisem głęboko we mnie, doświadczyłam drugiej chwili prawdzi-

wej wolności. Spazmy uniosły mnie na wyższy poziom, przenosząc maga wraz ze mną. Nasze ciała nie lewitowały w istocie, ale z pewnością doznawaliśmy wrażenia lotu. Francuzi mogą to nazywać „małą śmiercią”, ale ja nigdy nie czułam się bardziej żywa.

Opadłam na pierś Adama, pozwalając, by podtrzymawał mój ciężar. Ciało miałam zarazem wydrażone i całkowicie wypełnione. Zamknęłam oczy i poddałam się wtórnym wstrząsom. Czerwone błyski pod powiekami powiedziały mi, że ogniki nadal tańczą wokół nas. Pierś Adama unosiła się pode mną, bił mnie dłońmi po plecach.

Kiedy się wyslizgnął ze mnie, dotkliwie odczułam tę stratę. Otworzyłam oczy na czas, by ujrzeć, że otaczające nas drobinki światła gasną.

Mój oddech zwolnił, Adam poruszył się pode mną. Oderwałam policzek od jego torsu, spodziewając się, że zakłopotanie zniszczy tę chwilę. Kiedy jednak spojrzałam w zielone oczy Adama, poczułam się... pewnie. Nie, to było coś więcej. Czułam się potężna. Cała. Pełna tajemniczej i świętej kobiecej wiedzy, przekazywanej przez pokolenia od Wielkiej Matki. Usta maga się poruszyły.

- O czym myślisz? Uśmiechasz się jak Mona Lisa. Pocałowałam go raz, dwa razy, trzy.

- O niczym.

Przyglądał mi się podejrzliwie spod wpółprzymkniętych powiek.

- Pewnego dnia wyznasz mi wszystkie swoje sekrety. Opuściłam głowę, by ukryć cień uśmiechu na ustach

i kłamstwo w oczach.

- Nie mam żadnych tajemnic.

Sumienie podniosło łeb. Po tym wszystkim, co nas właśnie połączyło, wiedziałam, że jutro będę musiała dokonać wyboru. Mówiłam sobie, że to dla jego dobra. Jasne, może mnie potem znienawidzić. Lepiej jednak, by był zły i żywy niż świadomy i przeklęty.

Dotknął dłonią mojego policzka. Zapanowałam nad rysami twarzy, ale nie byłam w stanie spojrzeć mu otwarcie w oczy.

- Hej - szepnął. - Nie zapuszczaj się w ponure rozmyślenia. Ciesz się po prostu, że w końcu jesteśmy tutaj.

Zmusiłam się do niepewnego uśmiechu i pocałowałam go delikatnie. Oczy mnie piekły, więc zacisnęłam mocno powieki, starając się przekazać mu wszystko, co czułam, bez słów, co do których wiedziałam, że pragnął je usłyszeć. Wypowiedzenie ich teraz wydawało mi się jakoś nie na miejscu. Jakby wyartykułowanie ich zaostrzało zdradę. W końcu odsunęłam się i spojrzałam mu w oczy.

- Masz zupełną rację. Jutro o tej porze wszystko będzie wreszcie tak, jak powinno być.

ROZDZIAŁ 27

Obudziło mnie nieustanne bębnienie deszczu o dach. Oczywiście „obudziło” to eufemizm, jeśli wziąć pod uwagę, jak kiepsko spałam. Za każdym razem, gdy zamknęłam oczy, umysł wypełniały mi obrazy wszystkiego, co mogło się nie udać.

Ciało Adama było przyciśnięte do moich pleców. Muskularne ramię otaczało mnie w pasie, dłoń obejmowała pierś. Zamknęłam oczy i rozkoszowałam się obecnością maga. Ryzykowne folgowanie sobie, ale takie, które usprawiedliwiałam, gdyż mogło być ostatnim momentem sam na sam z Adamem.

Bardzo szybko napięcie w brzuchu, wywołane zachodem słońca, zmusiło mnie do poruszenia się.

Sądząc po sile naporu, było koło czwartej. Pozostała zaledwie mniej więcej godzina, zanim nad Nowym Orleanem zaczęły się rozpościerać nocne cienie.

Po dniu spędzonym na seksie Adam spał zdrowo. Jego powieki ani drgnęły, gdy ostrożnie odsunęłam jego dłoń i wyslizgnęłam się z łóżka. Ubrałam się szybko, sprawdzając cały czas, czy go to nie budzi.

W końcu chwyciłam ze stolika nocnego pistolet i wsunęłam go za pasek. W chwili, gdy broń znalazła się na miejscu, Adam wymruczał moje imię i przewrócił się na drugi bok. Zamarłam, spodziewając się, iż zerwie się na równe nogi i zażąda wyjaśnień. Uspo-

koił się jednak i niebawem jedynymi dźwiękami w pokoju były równe, powolne oddechy maga.

Obserwując go, doszłam do wniosku, że Dawid miał rację, iż będę musiała podjąć trudną decyzję.

Usłyszawszy rozkaz królowej, uważałam, że okaże się nią kwestia dokonania wyboru między Lawinią

a Maisie, ale teraz wiedziałam, że będzie dotyczyła tych, których kocham, oraz dążenia do moich

własnych celów. Zbyt wiele ludzkich losów zostało już zakłóconych. Zbyt wiele ciał poranionych. I o poranku, w objęciach Adama, zadałam sobie pytanie, które pieczętowało mój los: Czy będę w stanie żyć ze sobą, jeśli ktoś zginie? Nie tylko Maisie, ale Adam, Giguhl, Rea, Zen, Georgia lub - do diabła -

nawet Mac?

Przechodziłam już przez to wcześniej. W związku z Vincą. Wspomnienie jej śmierci nadal

wywoływało w sercu piekącą bolesność. Ta strata nie zabiła mnie, ale wciąż prześladowała. Jednak

Vinca zginęła, kiedy byłam starą Sabiną. Tą, która nie znała poczucia winy. Tą, która nie myślała o konsekwencjach swoich działań.

Teraz to byłam nowa ja. Ja, która miała więcej przyjaciół, niż kiedykolwiek o tym marzyła. Która była władna ich chronić. Rozumiałam, że utracenie któregokolwiek z nich zniszczyłoby mnie. W rzeczywistości więc poświęcenie, którego miałam dokonać, było całkowicie egoistyczne. W końcu, być może, nie zmieniłam się tak bardzo.

Otrząsnęłam się w duchu. Wiedziałam jedno: sama myśl o umierającym Adamie sprawiała, że

chciałam krzyknąć. Poza tym jedno małe poświęcenie z mojej strony oznaczało, że mag nie będzie

musiał wybierać między obowiązkiem wobec rady a własnym sumieniem. Być może nie potrafiłam obdarzyć go ładnymi słówkami, ale mogłam mu zaofiarować chociaż tyle.

W dodatku, im więcej o tym myślałam, tym wyraźniej rozumiałam, że zrobienie tego samodzielnie nosiło znamiona nieuchronnej, poetycznej sprawiedliwości. Cały ten dramat rozpoczął skazany na niepowodzenie romans moich rodziców. I teraz skończy się to na ich córce. Zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, by uratować siostrę, a potem uczyniłabym wszystko co trzeba, by zabić własną babkę, zanim zdołałaby przywołać mistrza.

Pieprzyć fatalizm Dawida oraz los. Zamierzałam uczynić z przeznaczenia mego sługę.

Rzuciwszy ostatnie tęskne spojrzenie na gładkie, umięśnione plecy Adama, chwyciłam buty i na palcach wymknęłam się z pokoju. Jak nocny złodziej przekradłam się korytarzem. Gdy dotarłam do drzwi pracowni, usłyszałam stłumione głosy Zenobii i Rei, omawiających plan działania.

Wstrzymawszy oddech, przeszłam obok, nie powodując nawet skrzypnięcia podłogi, które mogłoby mnie zdradzić. Dalej, w głębi holu, drzwi pokoju wróża także były zamknięte, ale zamiast ściszonych głosów posłyszałam stamtąd wiele mówiące chrapanie demona. Najwyraźniej Giguhl uwalnił się do snu w pokoju PW. Zatrzymałam się i przyłożyłam ucho do drzwi.

Niemożliwość pożegnania się z demonem stanowiła część przedsięwzięcia, która mi najbardziej doskwierała. Kiedy umrę, Giguhl natychmiast wróci do Irkali. Demony są zawsze związane z magami, którzy ich wezwali. Jeśli nekromanta ginie, demon wraca do podziemnego świata. Adam jednak będzie w stanie go przywoływać i modliłam się, by chociaż pozostali w kontakcie. A gdyby to było niemożliwe, modliłam się, by mój przyjaciel mi wybaczył.

Przechodząc szybko przez pusty sklep, wzięłam z zaplecza kluczyki Zen. Wzulałam buty i otworzyłam tylne drzwi. Z ręką na gałce obejrzałam się przez ramię. Za mną ciemne wnętrza pomieszczenia, z jego stęchłymi, tajemniczymi zapachami, milcząco ferowało wyrok. Przedemną ogródek, w którym deszcz pozostawił ciężką woń mokrych kamieni i ostry aromat roślin. Kilka różowych promieni późnopołudniowego słońca przedarło się przez zasłonę chmur.

Dziwne, ale nie bałam się śmierci. Jeśli miało do niej dojść na moich warunkach. I jeśli oznaczała, że wszyscy przebywający we wznoszącym się nade mną domu pozostaną bezpieczni.

Zawahałam się na wspomnienie wczorajszych słów Pussy Willow. Sądzę, że miała rację. Byłam zdolna do związku. Może nawet do miłości.

Taaa, zdecydowałam, to miłość.

Bo chociaż nie miałam zbytniego doświadczenia z tym uczuciem, co innego wyjaśniałoby tę nagłą, nieznaną, ale dziką potrzebę chronienia innych?

Zakrawało na ironię, że doszłam do tego tuż przed opuszczeniem ich na dobre. Czy Adam mi wybaczy? A Giguhl? W końcu to zrobią, uznałam. Kiedy przejdzie im złość.

W budynku za moimi plecami doszło do potężnego rozbłysku magicznej energii. Na skutek ciśnienia skurczyło mi się serce; zasłony w gabinecie zatrzepotały. Przybyli Strażnicy Pytyjscy i rycerze królowej. Stanowiło to dla mnie wskazówkę do odejścia. Przy odrobinie szczęścia Adam będzie nimi

tak zajęty, że nie zwróci uwagi na moją nieobecność do chwili, aż będzie już za późno.

Kiedy sklep wypełniły męskie głosy i dudnienie butów, wzięłam głęboki wdech i wyszłam na światło.

Potem, nie obejrzawszy się ani razu, ruszyłam biegiem w stronę ulicy. Nie mogłam się jednak oprzeć wrażeniu, że zostawiam za sobą coś ważnego.

Gnając przez French Quarter, spojrzałam na zegarek. Szesnasta dwadzieścia. Ponieważ Lawinia nie była w stanie znieść dziennego światła, musiała poczekać z odprawieniem rytuału wezwania Kaina do czasu, aż zapadnie prawdziwa ciemność. Miałam więc jakieś czterdzieści minut, żeby dostać się na cmentarz, ocalić Maisie przed niebezpieczeństwem i zabić Lawinię.

W ostatniej chwili ponad gremlina Zenobii przedłożyłam czarny motocykl kawasaki, który znalazłam zaparkowany na Bourbon Street. Przegazowałam silnik i pognałam przed siebie, ciesząc się znajomą mocą stu osiemdziesięciu koni między udami. Mój motocykl - wiśniowo-czerwony ducati - za sprawą zamachowców Lawinii spotkał kilka tygodni temu przedwczesny kres na autostradzie obok Boisie.

Nie przestałam go opłakiwać, teraz jednak poddałam się pędowi, ciesząc się powiewem wiatru na twarzy, wrażeniem spadania w żołądku, chwilą wolności.

Dziesięć minut po opuszczeniu sklepu Zen zatrzymałam się z piskiem hamulców przed Cajun Sausage

Fest. Złościła mnie ta strata czasu, ale wiedziałam, że nie mogę dążyć do konfrontacji z Lawinią na pusty żołądek. Chociaż niedawno żerowałam na Adamie i wciąż czułam mrowienie jego krwi w żyłach, nie chciałam ryzykować w żaden sposób.

Kartka, którą powiesiliśmy na drzwiach, głosiła: „Zamknięte z powodu uroczystości religijnych”.

Niewielu ludzi w przeważnie katolickim Nowym Orleanie zakwestionowałoby zamknięcie sklepu na czas Wszystkich Świętych. To oznaczało, że nie musiałam się przejmować, iż ktoś będzie węszył w poszukiwaniu Alodiusa, kiedy będę w środku. Wyjęłam z kieszeni jego klucze i weszłam do jatki.

We wnętrzu mój zmysł powonienia zaatakowała woń wybielacza. Odwracałam wzrok od miejsca, gdzie dzień wcześniej wylądowało ciało Caj una. I tak, po dokładnym zatarciu śladów, nie pozostało tam nic do oglądania.

Ruszyłam prosto do lady po krew. Dopiero po odsunięciu drzwiczek lodówki przekonałam się, że nie ma w niej nic prócz kilku steków i kawałka pieczeni. Zakławszy pobiegłam na zaplecze, zostawiając za sobą plastikową zasłonę. Wewnątrz wielkiej chłodni półce mięsa wisiały na ha-kach jak ponure dekoracje karnawałowe. Przepchnęłam się między nimi na tyły pomieszczenia, gdzie na wysokich półkach znajdowały się szynki, pęta kielbas i kilka pojemników z krwią. Podniósłszy najbliższy, zdjęłam plastikowe wieczko i odrzuciłam je.

Zimna krew oblała mi język, pozostawiając na nim wstrętny smak. Znając Alodiusa, pochodziła od skunksa, oposa lub innego przejechanego na drodze zwierzęcia. Ze wzdrygnięciem zmusiłam się do przełknięcia. Krew to krew, a żebraka nie stać na luksus wybrzydzenia.

Odwracałam także wzrok od piętrzącego się w rogu stosu mięsa, które zakrywało zwłoki Cajuna.

Kiedy się zabija wampira, jego ciało eksploduje. Najwyższy stopień samooczyszczenia. Ale ludzie?

Zawsze jatka. Na szczęście nikt nie znajdzie trupa Alodiusa, zanim zniknę, a nic nie wiązało Pussy Willow z tą zbrodnią.

Na wszelki wypadek chwyciłam z innej półki dodatkowy pojemnik z krwią. Jeśli Lawinia naprawdę żerowała na Maisie, to siostra będzie potrzebowała sporego zastrzyku energii. Na tę myśl skurczył mi się żołądek. Przyspieszyłam ruchy, żeby szybciej do niej dotrzeć.

Kiedy się odwróciłam do wyjścia, wypatrzyłam opartą w rogu strzelbę. Na pobliskiej półce leżało

pudełko nabojów. Przed opuszczeniem chłodni wzięłam jedno i drugie. Normalne pociski nie są w stanie zabić wampira, ale dobrze wycelowany strzał z dubeltówki jak nic zdejmie każdemu głowę z karku, pozostawiając go bardzo, bardzo martwym. Ponieważ miałam ze sobą jedynie trzy pistolety i dwa sztylety, do mojego żalosnego arsenału dołączyłam strzelbę.

Przebiegłam z powrotem, odsuwając plastikową zasłonę i zonglując zapasami podczas upijania kolejnego łyku ze słoika.

- Niech zgadnę. - Męski głos był zwodniczo spokojny i tak chłodny, że przeszły mnie ciarki. -

Poczułaś nagłą chętkę na krwawą kiszkę?

Serce zatrzepotało mi w piersi. Parsknęłam nieprze-łkniętą krwią. Ręce mi zadrżały. Krew i gilzy do strzelby upstrzyły podłogę między nami, upodabiając lokal do miejsca zbrodni.

Adam, ze skrzyżowanymi ramionami, opierał się o szklaną gablotę z mięsem. U jego stóp wybrzuszał się czarny worek marynarski. Mina niczego nie zdradzała, ale napięte barki wskazywały, że ledwo poskramia gniew.

Otworzyłam usta, nie mając pojęcia, co powiedzieć. Na szczęście - albo wręcz przeciwnie, zależnie od punktu widzenia - Adam oszczędził mi konieczności wyartykułowania odpowiedzi. Podniósł dłoń.

- Daj spokój. - Odetchnął głęboko i zamknął oczy. - Nic nie mów, jeśli masz zamiar kłamać.

Ścisnęło mnie w żołądku. Przenikliwy ból spał klatkę piersiową.

- Jak mnie znalazłeś?

- Czy to ważne? - Otworzył oczy i przeszył mnie spojrzeniem. -1 oszczędź sobie śliny. Dobrze wiem, co się tutaj dzieje. Mam jednak dla ciebie wiadomość, Rudzielcu. To, że się poświęcisz, nie uczyni cię bohaterką. Zrobi z ciebie cholerną idiotkę.

Szczęka mi opadła, gdy oburzenie wzięło górę nad poczuciem winy.

- Słucham? Jakim cudem próba ochrony cię oznacza, że jestem kretynką?

- To nie chęć chronienia mnie sprawia, że jesteś głupia, tylko szczere przekonanie, że jest to twoim zadaniem. Pomyślałaś, co się stanie, jeśli Lawinia dorwie cię, zanim uratujesz Maisie?

- To nie...

Parł naprzód, jakbym się nie odezwała.

- Obie będziecie martwe, po czym Lawinia, braterstwo i kasta wybiją nas, pozostałych. Nie tylko mnie, Sabino. Także Giguhla. PW, Zen, Reę i Orfeusza. A kiedy już bę-

dziemy martwi, nic nie powstrzyma wojny. Wówczas... jeśli to, co wiemy o prorocत्वach dotyczących

kasty, jest prawdą... kiedy magowie zostaną ostatecznie zmieceni z powierzchni ziemi, wróci Lilith i zabije wszystkie mroczne rasy. Wybacz mi więc, jeżeli twój akt męczeństwa nie napawa mnie

podziwem, bo skoro oznacza możliwość unicestwienia wszystkich, których znam i kocham, to naprawdę trudno mi wykrzesać z siebie jakikolwiek podziw dla twojego idiotycznego planu.

Słowa maga odczułam niczym cios w dołek. Już dość było tego, że patrzył na mnie, jakbym go zdradziła. Ale prawda jego słów zraniła mnie głęboko. Gdybym skrewiła, to wszystko - a nawet gorsze rzeczy - mogło się wydarzyć. Jednak Adam jeszcze nie skończył.

- Zeszłej nocy przypomniawsz mi, że stanowimy zespół. Co się zmieniło, Sabino?

- Nie rozumiesz? Robię to dla zespołu! - Uniosłam lufę strzelby i oparłam ją o ramię. - Poza tym nie zamierzam walczyć z całą kastą. Wyeliminuję jedynie Lawinię. Tak czy inaczej.

Znieruchomiał, przyswajając implikacje tego stwierdzenia. Potem, jakby ktoś przerzucił w nim przełącznik, jego pięść zdruzgotała szklaną gablotę. Kiedy się w końcu odezwał, głos tłumiała mu wściekłość.

- Nie mogę cię powstrzymać. Wiesz o tym. Uniosłam brodę, czując w oczach pieczenie łez.

- Dlaczego nie spróbujesz? - Częściowo pragnęłam tego. Chciałam z nim walczyć. Ale nie magią przeciwko magii. Na pięści. Wtedy, może, mogłabym skierować gniew na zewnątrz, zamiast żeby ten narastający ból rozdzierał mnie od środka. - Dlaczego mnie nie rąbniesz?

- Jeśli nie znasz odpowiedzi na to pytanie, to wszystko, co nas połączyło minionej nocy, było kłamstwem. -Roześmiał się gorzko. - Ale może cały czas miałaś taki cel?

Na widok jego chłodnego wzroku poczułam skurcze w żołądku.

- Co to ma znaczyć, do diabła? Prychnął i pokręcił głową.

- Nie mogę uwierzyć, że nie wpadłem na to wcześniej. Chcesz upiec dwie pieczenie przy jednym

ogniu, co? Przeżyć ostatni orgazm, zanim kopniesz w kalendarz, i odwrócić moją uwagę, żebym nie widział, co się dzieje. Żebym nie mógł cię powstrzymać przed spełnieniem twojego popieprzonego życzenia śmierci.

- Ty sukinsynu! Wiesz, że nie o to chodziło! Zgryźliwe rozbawienie zniknęło z jego twarzy.

- Wiesz co? Chcesz się zabić? Dobra. Ale nie pozwolę, żebyś pociągnęła za sobą Maisie. Sama mówiłaś, że z nas dwojga tylko ja potrafię ją stamtąd teleportować.

Podejmując decyzję, wiedziałam, że Adam będzie zły. Miałam jedynie nadzieję, że nie odkryje tego, zanim zginę. Tę część planu trafił po prostu szlag, ale rezultat miał być w końcu taki sam. Wchłonęłam więc ból i wepchnęłam w ciemny zakątek duszy. Dołączyłam go do rezerw, z których zaczerpnęłabym

później, gdybym musiała się odwołać do chtonicznej magii, by załatwić Lawinię.

- Chcesz mi pomóc? W porządku. - Zmusiłam kąciki ust, by ułożyły się w kształt szyderczego uśmiechu. - Ale w tej samej chwili, gdy Maisie będzie wolna, znikniesz mi z oczu.

- Żeby nie było nieporozumień. Nie pomagam ci. Możesz się cały czas oszukiwać, ale twoim celem jest... i zawsze było... załatwienie Lawinii Kane. Zabierając Maisie w bezpieczne miejsce, skreślałam niewygodny punkt z twojej listy spraw do załatwienia. Bądź jednak pewna, że zniknę, gdy tylko będę miał Maisie. Nie zostanę, by się przyglądać tobie i twojej babce, jak odgrywacie waszą pierdoloną grecką tragedię.

Zagryzłam zęby. Po części chciałam się z nim sprze-

zczać. Powiedzieć mu, by poszedł do diabła, skoro sugerował, że ocalenie Maisie nie jest moim priorytetem. W końcu jednak odpuściłam to sobie. Skupienie się Adama na ocaleniu mojej siostry pozwalało mi się skoncentrować na doprowadzeniu do tego, by Lawinia nie stanowiła już w przyszłości zagrożenia dla żadnego z nich. A gdyby Dominia się zjawiała, zanim bylibyśmy gotowi, Adam mógł po prostu teleportować stamtąd je obie. Dlaczego więc nic z tego nie poprawiło mi samopoczucia?

- Jak sobie życzysz. Ale tylko ty. Inni mają się trzymać od tego z daleka.

- Powiedziałem Giguhlowi, że jeśli się nie odezwę, ma wszystkich wycofać. To dobre, w istocie.

Gdyby wiedzieli, co zamierzasz, mogliby się wtrącić. A oboje wiemy, jak bardzo nie lubisz szaleństw.

- Schylił się, by podnieść worek i mi go rzucić. - Przybyły wyekwipowane na wojnę posiłki. Mogłabyś skorzystać z prezentów. To znaczy, jeśli nie jesteś gotowa oddać swego życia.

Słowa uderzyły mnie jak szrapnel. Zamiast odpowiedzieć na zaczepkę, z trzaskiem wypadłam przez drzwi na ulicę. Im prędzej dotrę do świątyni, tym szybciej Adam się mnie pozbędzie. I tym szybciej się uwolnię od bolesnej świadomości, iż zraniłam go tak mocno, że teraz nie może się doczekać tej chwili.

ROZDZIAŁ 28

Po jeździe w napięciu, podczas której Adam nie dotykał mnie, chociaż siedział na tylnym siodełku motocykla, zaparkowałam za świątynią, tuż przed bramą cmentarną. Budynek stał ciemny i wyglądał na opuszczony, wiedziałam jednak, że bardzo szybko możemy mieć towarzystwo. Znając Lawinię, można się było spodziewać, że obserwuje to miejsce albo wystawiła wokół więzienia Maisie magiczne czujki. To oznaczało, choć tak bardzo nie chciałam tego przyznać, że obecność Adama u mego boku może się okazać błogosławieństwem.

Oczywiście, jeśli wnosić po marsie na jego twarzy, lub z tego, że zsiadając z motocykla, nie rzucił mi nawet przelotnego spojrzenia, nie musiał się koniecznie zgadzać z moją oceną. Jednak

rozpamiętywanie tego niczego by mi nie dało. Odsunęłam więc wszystko na bok - ból, żal i strach. Nie czas na uczucia. Każde z nich z osobna mogło doprowadzić do mojej śmierci, zanim byłabym na nią

gotowa. Razem zdecydowanie ją gwarantowały.

Zmusiłam się do zachowania odwagi i zdecydowania. Adam nie czekał, bym cokolwiek powiedziała, tylko ruszył w stronę wrót długimi, stanowczymi krokami. Wyjąwszy pistolet zza paska, osłaniałam mu plecy.

Brama otworzyła się bez jednego zgrzytu. Adam wyciągnął rękę, pokazując, że bym prowadziła w stronę gro-

bowca Maisie. Bez słowa ruszyłam naprzód, kuląc się od czasu do czasu w trakcie przebiegania wyznaczoną przez groby alejką. Jedynym świadectwem, że Adam za mną podąża, było okazjonalne

skrzywienie żwiru pod jego butami. Szeroko otwartymi oczami wypatrywałam cieni, które mogłyby stanowić ostrzeżenie przed bliską zasadzką.

W wydłużonych smugach głębokiego zmierzchu nie poruszało się nic, wyjąwszy przypadkowy powiew wiatru. Deszcz przestał padać i od wilgotnej ziemi wznosiły się wilgotne obłoki, przypominające mgliste duchy. Tak jak i w innych nekropoliach, które odwiedziłam od przybycia do Nowego Orleanu, w uszach brzmiało mi ciche brzęczenie. Teraz wiedziałam, że był to wynik reakcji moich chtonicznych mocy z energią śmierci, w związku z czym byłam w stanie wypchnąć to z myśli i skupić się na zadaniu.

Kiedy Zen powiedziała, że w dniu Wszystkich Świętych ludzie zostawiają na cmentarzu kwiaty, spodziewałam się kilku smętnych goździków. Tymczasem o pomniki stały oparte bogate wieńce i bukiety. Niektórzy zostawili nawet ofiary w postaci napojów i jedzenia. Ziemię zaścielały odpadki i ogarki świeczek, jakbyśmy się właśnie spóźnili na wielkie przyjęcie.

Niebawem dotarliśmy do sarkofagu, który widziałam w swojej astralnej projekcji. Przypadliśmy nisko w pobliżu innego, mniejszego mauzoleum. Nawet kiedy się rozglądałam, wypatrując zasadzek i strażników, mój wzrok wypatrywał między marmurowymi płytami ducha Dawida. Wciąż nie odkryłam, dlaczego się zjawił ani kto go przysłał, ale sądziłam, że nie domyślę się tego i teraz. Chyba że się znowu pokaże albo spotkam go w Irkalli. Ale wtedy będzie za późno.

- Osłaniaj mnie - polecił Adam, którego sylwetka stężała przed pokonaniem otwartej przestrzeni, oddzielającej nas od grobowca.

Chwyciłam maga za ramię.

- Uważaj, może być otoczony pułapkami.

Skinął lakonicznie głową. Zawahał się. Jego wzrok spotkał się z moim. Wstrzymałam oddech, zastanawiając się, czy zmiękł na tyle, by się ostatecznie pożegnać, ale właśnie kiedy się spodziewałam, że coś powie, wyprysnął do przodu jak sprinter.

Gula urosła mi w gardle na skutek tak łatwego odrzucenia z jego strony. Z powodu braku uczucia w spojrzeniu. Braku kontaktu. Braku Adama. Kropka. Zacisnąwszy zęby, rozejrzałam się uważnie po

okolicy w poszukiwaniu wrogów.

Usłyszałam za sobą chrząknięcie Adama, po czym rozległ się ponury odgłos przesuwania kamienia po

kamieniu. Odwróciłam się w samą porę, by ujrzeć, że wieko sarkofagu spada na ziemię i rozbija się na kilka kawałków.

Adam zaczął zawodzić szeptem. Powiew wiatru przyniósł wstęgi magii. Włoski na ramionach stanęły mi na baczność, ale szybko opadły, gdy czary gwałtownie spaliły na panewce. Nekromanta zaklął pod nosem. Znowu nic.

Uniosłam broń i ponownie przeczesalam spojrzeniem teren, ale cmentarz trwał w ciszy, pomijając stękania Adama, zmagającego się z jakimś ciężarem. Mięśnie mu się napięły, gdy usiłował wyjąć coś ze skrzyni.

- Sabina - szepnął.

- Co? - zawołałam cicho przez ramię, przeszukując wzrokiem perimetr.

- Chodź i pomóż mi przy tym wieku.

Cofając się ku niemu, rozejrzałam się ostatni raz. Obcasy wysokich butów zapadały mi się w błotnisty grunt. Kiedy dotarłam do Adama, ujrzałam krople potu perlące się na jego czole. Szarpnięciem głowy wskazał w kierunku stóp metalowej skrzyni w grobowcu.

- Złap za tamten koniec.

Zerknęłam w głąb i wewnątrz marmurowej skrzyni ujrzałam metalowy sarkofag. Nic dziwnego, że magia Adama zawiodła. Cały pojemnik w kształcie ciała pokrywały skomplikowane mosiężne woluty. Nie rozumiałam, dlaczego mag nie zdołał unieść wieka, póki nie wsunęłam palców pod jego krawędź i nie pociągnęłam.

- Jasny gwint - mruknęłam. - Mosiądz nie powinien być taki ciężki.

Żyły wystąpiły Adamowi na szyi, gdy odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

- To żeliwo. A teraz w górę!

Gdy napięliśmy grzbiety, stopy zagłębiły się nam w grunt. Mimo to udało się nam jedynie nieznacznie dźwignąć wieko. Nawet żeliwo nie powinno być takie ciężkie. Musieli je zabezpieczyć jakimś

strzegącym zaklęciem, by utrudnić dostanie się do środka. Albo wydostanie na zewnątrz.

Mięśnie drżały mi z wysiłku, ale zachęcona bliskością Maisie zdwoiłam usiłowania. W końcu udało się nam unieść ciężkie wieko i przerzucić je obrotem poza krawędź marmurowej skrzyni. Rąbnęło głucho o ziemię.

Pochyliliśmy się, by zajrzeć do środka. Z początku serce stanęło mi w piersi na myśl, że otworzyliśmy niewłaściwy grobowiec. Błada, wymizerowana postać przypominała coś rodem z filmowego horroru.

Poszarpana szara suknia, z której rozdarć wyglądała skóra i kości. Twarz pokrywał czarny muślinowy całun. Potem dotarł do mnie smród. Niemytego ciała i ekskrementów. Zasłoniłam dłonią usta i nos w obawie, że zwymiotuję. Zerknęłam na Adama, któremu przerażenie otworzyło szeroko oczy.

- Co do...

Moje pytanie przerwało mrożące krew w żyłach zawrodozenie. Rzuciłam ponownie spojrzenie w kierunku sarkofagu, w którym umazane krwią palce zaciskały się na całunie. Odskokczyłam instynktownie i wycelowałam w upio-

ra broń. Adam wyciągnął rękę i sięgnął do środka, by usunąć tkaninę z twarzy.

- Maisie? - Sapnęłam.

Imię zabrzmiało jak pytanie, gdyż istota w sarkofagu dużo bardziej przypominała Strażnika Krypty niż moją siostrę-bliźniaczkę. Kości policzkowe sterczały ze skóry tak wysuszonej, że kły i reszta zębów, wystawały z niemal nieistniejących warg. Niewidzące niebieskie oczy miały się dziko w oczodołach. Czarno-rude włosy były zmatowiałe, miejscami pokryte zaschniętą krwią, a gdzie indziej sterczały jak kolce jeżozwierza.

-Maisie, skarbie? Słyszysz nas? - zapytał szeptem Adam.

Jej głowa obróciła się w kierunku źródła dźwięku, ale miast uspokoić, zdawało się to ją rozjuszać.

Wysokie, piskliwe warczenie, podobne do skowytu zranionego zwierzęcia, odbijało się echem na cmentarzu. Ku magowi skoczyły patykowate ramiona, zakończone palcami zagiętymi jak szpony.

Adam szarpnął się do tyłu na czas, by ich uniknąć. Strach zapalił się w jego oczach, kiedy ponad miotającym się ciałem spotkał się wzrokiem z moim zszokowanym spojrzeniem.

- Pomóż mi.

Jak najdelikatniej chwyciłam siostrę za młójące nadgarstki, ale chociaż była tak wycieńczona, miałam trudności z poskromieniem jej. Spory problem, skoro mieliśmy zamiar zabrać ją stąd niepostrzeżenie.

- Maisie, to ja, Sabina. Musisz się uspokoić i być cicho. Nie docierało to do niej. Była wygłodzona, przerażona

i rozwścieczona. Adam usiłował mi pomóc przytrzymać ją. Nasze wysiłki jedynie pogarszały sytuację. Walczyła usilniej, przechodząc od wściekłych warknięć do kłapania zębami na widok każdego dostępnego fragmentu naszych ciał.

- Cholera! - krzyknął mag.

Strużka krwi spłynęła z jego przedramienia i kapnęła

Maisie na twarz. Siostra prychnęła, usiłując szaleńczo dosięgnąć kropli bladym językiem.

Żałosny widok wbił mi w serce igłę lodu.

- Obwiąż czymś ranę. Trzymam ją! - warknęłam, odrywając od Adama drugą rękę Maisie.

- Nic mi nie jest - odparł z napięciem w głosie. Spiorunowałam go wzrokiem.

- Zapach twojej krwi nie pomaga. Opatrz to. Natychmiast.

Mięśnie szczęk mu się napięły, ale w końcu się odsunął, by oderwać od koszuli pasek materiału.

Zadowolona, że się tym zajął, skupiłam się na próbach poskromienia siostry bez ranienia jej, jednak zapach i smak krwi Adama sprawił, że usiadła w sarkofagu, pragnąc jej więcej. Maisie udało się uwolnić jedną rękę. Paznokcie jak szpony przeorały mi boleśnie twarz. Skóra rwała gorąco wzdłuż płytkich skaleczeń.

- Przestań, Maisie!

Odsunęłam głowę poza zasięg jej kłapiących zębów. Przelotnie zastanowiłam się, czy nie wspomóc jej własną krwią, ale natychmiast porzuciłam ten pomysł. Pozwolenie jej na posilenie się z moich żył było zbyt niebezpieczne. Była za bardzo wygłodniała. Poza tym, pozostawało jedynie kwestią czasu, zanim zjawi się tutaj Lawinia, by sprawdzić moją reakcję na jej drobny upominek. Uszczuplanie własnych zasobów nie wchodziło w grę.

- Adam, w schowku w motocyklu jest pojemnik z krwią.

Nie opierał się. W jednej chwili stał obok, a w następnej już go nie było. Maisie uniosła się, napierając na mnie. Wyteżałam wszystkie siły, by ją przytrzymać.

Raczej poczułam, niż zobaczyłam powrót maga.

- Maisie!

Do moich nozdrzy dotarł zapach zwierzęcej krwi i w tym samym momencie ciało siostry zeszywniało. Z warczeniem obróciła głowę. Skoczyła na Adama i wyrwała mu pojemnik z rąk.

Odrzuciła w tył głowę i zaczęła łać czer-

wony płyn do ust. Pyskał jej na policzki, ciekł po brodzie, zaplamił poszarpane resztki chitonu.

Prychała i siorbała z plastiku jak pies chcący wylizać miskę do ostatniej kropli. W końcu odrzuciła słoik i zaczęła oblizywać sobie palce, a potem brodę.

W tym czasie cofałam się wolno, okrążając grobowiec, aż stanęłam obok Adama. Wiedziałam, że jedna marna porcja krwi nie wystarczy, żeby zaspokoić potrzeby Maisie. Zwłaszcza że w pośpiechu połowę rozlała na siebie. Z górą tydzień była pozbawiona pokarmu, a w dodatku zniosła i to, że

Lawinia, i bogowie raczą wiedzieć kto jeszcze, żerowała na niej. Jej desperacja była więc uzasadniona. A jeśli moje podejrzenia były słuszne, fizyczny i psychiczny uraz związany z uwięzieniem będzie skutkował dwu- lub trzykrotnie większym zapotrzebowaniem na krew niż normalnie. Najbardziej

jednak niepokoiło mnie to, iż krew, którą dopiero co pochłonęła, da Maisie dosyć sił, by na serio porwać się na aortę moją lub Adama.

Patrząc na umazaną krwią, przypominającą trupią czaszkę twarz Maisie, wysysającej krew z tkaniny ubrania, poczułam prawdziwy strach. Namacalny, przenikający do szpiku kości lęk. Taki, który

dopada cię, gdy sądziłaś, że wszystko już w życiu widziałaś, ale raptem następuje coś takiego, co wykracza poza twoje najgorsze koszmary. Bo kiedy oszalała kobieta otworzyła wreszcie oczy, nie dostrzegłam w nich mojej siostry. Realistyczna, wspaniałomyślna i serdeczna Maisie wymeldowała się, a na jej miejsce wprowadziła się ta krwiożercza bestia.

- Więcej. - Grobowy ton sugerował uszkodzenie strun głosowych. Na skutek głodu, czy dni spędzonych na krzykach o pomoc, tego nie wiedziałam.

Adam podniósł rękę.

- Zaraz ci damy, ale najpierw musimy cię stąd zabrać. -Więcej! - krzyknęła zjawą, która niegdyś była moją

siostrą.

Powoli wysunęłam się naprzód.

- Maisie, skarbie, Adam musi cię teraz zabrać do domu. Da ci krwi natychmiast, gdy się tam znajdziecie. Dobrze?

Odrzuciła w tył głowę i zawyła:

- Krwi!

-Maisie, przestań! - Skoczyłam ku niej i chwyciłam wystrzępiony brzeg chitonu. - Musimy cię stąd zabrać!

Jej ciało zakołysało się, a ona sama zarechotała. Kolana zatrzeszczały, kiedy schyliła się, by spojrzeć mi w twarz.

- Szsz. - Brudny palec przejechał po moim policzku. -Czarny pies wyje na rozstajach. - Odrzuciła głowę w tył i zawyła jak wilk do księżyca.

Każdy włoszek na moim ciele stanął na baczność. Złodowaciałymi nagle rękami chwyciłam Maisie za ramiona. Spokojnym tonem powiedziałam:

- Pora odejść. Poderwała głowę jak ptak.

- Przezroczysty zegar tyka, tyka, tyka.

Chłód przepłynął mi wzdłuż kręgosłupa, jakby ktoś przeszedł po moim grobie. Wypowiedziane przez nią słowa pochodziły wprost z wizji, jaką miałam w Nowym Jorku. Nie wiedziałam, co znaczą, ale wypowiedzenie ich przez siostrę uznałam za bardzo zły znak.

- Chwyć ją, Adamie. Musicie się stąd wynosić. -Ale...

Szarpnęłam głową, by przez ramię spiorunować go wzrokiem.

- Natychmiast!

Wtedy ruszył do działania i objął Maisie ramionami. Zarechotała ponownie, gdy trzymał ją mocno

przy piersi jak niemowlę. - A co z tobą?

Wyjęłam zza paska drugi pistolet, wypatrując wzrokiem nadchodzących zdarzeń.

- Cholera, nekromanto, zjeżdżaj stąd!

Zawahał się. I w tym ułamku sekundy skrzekliwy śmiech Maisie gwałtownie się urwał. Nagła cisza przytłaczała ciężarem. W następnej chwili moja siostra, wyglądająca jak Carrie po balu maturalnym, szepnęła:

- Za późno.

Zanim zdołałam zareagować na bezpośrednią grozę jej cichych słów, drzwi pobliskiej krypty otworzyły się z trzaskiem. Czerwono odziane postaci wyroiły się na polankę. Moment później zatrzeszczały na niej wyładowania magii, towarzyszącej teleportowaniu się kilkunastu członków kasty.

Powodowana instynktem i adrenaliną obróciłam się i zaczęłam strzelać.

- Zjeżdżaj! - wrzasnęłam przez ramię do maga.

Kule gęsto latały w powietrzu. Próbowałam załatwić jak najwięcej wrogów. Moim celem było odwrócić ich uwagę wystarczająco długo, by Adam mógł się stąd wynieść w diabły. Kiedy jednak nie

poczułam w otoczeniu żadnego zgęstnienia magii, zaryzykowałam spojrzenie przez ramię.

Serce zgubiło rytm, a oddech świsnął, jakby mnie ktoś zaprawił pięścią w dołek.

Lawinia przechyliła głowę i uśmiechnęła się do mnie. Miała na sobie głęboko wyciętą szkarłatną suknię, jakby uczestniczyła w jakimś uroczystym balu, a nie w zasadzce. Obok niej stał znajomo wyglądający demon zemsty, którego widok zmroził mnie do szpiku kości. Ale to mosiężna garo-ta wokół szyi Adama sprawiła, że serce stanęło mi w piersi.

-Jesteśmy zachwyceni, że postanowiłaś wstąpić na nasze przyjęcie - odezwała się najukochańsza babunia1. -Rzuć te pistolety, zanim mój przyjaciel odetnie głowę nekromancie. Pamiętasz

Eurynome'a, prawda, skarbie?

1 Nawiązanie do książki Mary L. Molesworth, *Grandmother Dear: A Book for Girl and Boys* (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 29

Zacisnęłam mocniej wilgotne dłonie na kolbach pistoletów.

- To mnie chcesz. Pozwól im odejść.

Lawinia uśmiechnęła się z przymusem i skrzyżowała ramiona na piersi. Cała banda jej lizusów zamilkła, czekając na rozkazy.

- Nadal wierzysz, że wszystko kręci się wokół ciebie? Chyba można się tego spodziewać po jedynaczce.

- Nie jestem jedynaczką. - Skinęłam w stronę Maisie, która zmagала się z dwoma wampirami kasty. -

Jeśli jednak mam skłonność do takiego zachowania, to możesz o to winić wyłącznie siebie.

Oczy jej się zwęziły.

- Rzeczywiście, gdyby to ode mnie zależało, to żadna z was by nie żyła. - Machnęła w powietrzu upierścienioną dłonią. - Ten błąd zostanie jednak niebawem naprawiony. A teraz zrób, co babcia powiedziała, i rzuć broń.

Serce mi dudniło, a na plecy wystąpił zimny pot. Zabawna rzecz w związku ze zgrywaniem bohaterki

- nikt ci nigdy nie powie, jak trudno okazać męstwo, kiedy srasz ze strachu. Gdybym jednak rzuciła broń, straciłabym okazję zakończenia tego. Wiedziałam to z równą pewnością jak to, że jest to jedyny sposób ocalenia Adama i Maisie.

Zamiast opuścić pistolety, podniosłam je - jeden zała-

dowany pociskami zabijającymi wampiry a drugi konwencjonalnymi. Czas zwolnił bieg. Adam coś

krzyknął. Ruch z mojej lewej. Włoski na karku zaszczypały mnie, ostrzegając przed bliskim

wybuchem magii. Nie ma czasu się wahać.

Wydech.

Naciśnięcie spustu.

Wybuch.

Chaos.

Zakłęcie walnęło we mnie z impetem pociągu towarowego. Zawrót głowy, gdy ścięło mnie z nóg. Miażdżący ból, gdy uderzyłam ciałem o kamień. Nieuchronny ślizg, zakończony rąbnięciem gnatami o ziemię. Wiedziałam, że zakłęcie pochodzi od Eurynome'a. Byłam już poddana tej szczególnej formie magicznej tortury na peronie nowojorskiego metra. Na szczęście tamtej nocy towarzyszył mi Giguhl, który interweniował, gdy magia pustoszyła moje ciało. Teraz jednak obycie z czarem nie zmniejszyło jego siły. Magia rozpełzła mi się pod skórą na podobieństwo tysięcy ognistych mrówek, usiłujących pożreć mnie od środka.

Zagubiona w mgle bólu byłam jedynie niejasno świadoma pierzchających postaci i szaleńczych krzyków. Rozbłysk światła rozjaśnił na czerwono naczynka krwionośne powiek. Jakimś cudem udało mi się unieść jedną z nich. Jasne, obłok dymu wznosił się z miejsca, gdzie jeszcze przed momentem stała Lawinia. Kłębiły się tam oszalałe sylwetki, zasłaniając pole widzenia.

Eurynome wwierał się we mnie jak anioł zemsty. Tuż za nim Adam wysiłał się, by pozbyć się z szyi mosiężnego drutu. Usta, które całowałam zaledwie kilka godzin temu, otwierał teraz niesłyszalny śmiertelny krzyk.

- Uciekaj!

Chciałam zawołać, ale słowo wydostało się w postaci cichego skrzeczenia. Łzy napłynęły mi do oczu.

Gorzko-słodkie. Ból. Tak. Żal. Ale także ulga. W końcu moje kule trafiły w cel. Dwa miesiące za późno. Ale jednak.

Padł na mnie cień. Zasłonił mi Adama. Już niedługo. Zamknęłam oczy, przyjmując swój los.

- Przeprowadź ją do mnie!

Podniosłam gwałtownie powieki. Skrzeczenie przedarło się przez ból jak nóż. Serce zamarło mi w piersi. Nie widziałam nic prócz kopyt Eurynome'a, ale ten krzyk erynii poznałabym wszędzie. W końcu słyszałam go za każdym razem, gdy wywołałam niezadowolenie Dominii alfa.

-Nie!

Język wydawał się zbyt duży w stosunku do ust. Brutalne łapy chwyciły mnie za ramiona. Słaba i z zawrotem głowy, walczyłam z demonem z całych sił. Które w najmniejszym stopniu nie były wystarczające. Ani trochę.

Eurynome ciągnął moje bezwładne ciało w stronę grupki postaci odzianych w szaty braterstwa. Oczy piekły mnie od łez. Bracia rozstąpili się, by odsłonić rozwścieczone oblicze Lawinii Kane, świadrującej mnie wzrokiem.

Ból wywołany atakiem Eurynome'a stłumił gorąco jej dłoni na mojej twarzy. Jednak głowa poleciała mi w tył na skutek siły ciosu. Surowe rysy bladego oblicza Lawinii pojawiły się ponownie w polu widzenia. Tak jak i czerwone kółko o poszarpanych brzegach na jej piersi, plujące krwią.

Niewłaściwa kula trafiła we właściwy cel.

Mój wzrok skoczył ku zwęglonym, dymiącym szczątkom wampira, którego trafił odpowiedni pocisk.

A przeznaczenie szepnęło mi do ucha: „I kto tu teraz jest sługą?”.

Lawinia pochyliła się, a moje kończyny zlodowaciały na skutek doznanego niepowodzenia.

- Będiesz wrzeszczeć z bólu, zanim cię wyślę do Irkali!

Jej groźba nie zrobiła na mnie wrażenia. W chwili, w której pojęłam, że przeżyła, wyłączyłam się.

Wycofałam się w głąb siebie, całkowicie odseparowana od obietnicy przyszłych cierpień. Nic nie mogło boleć bardziej od świadomości, że popełniony przeze mnie błąd podpisał wyrok śmierci na Adama i Maisie. To, że przypieczętował mój własny los, nie miało znaczenia.

- Daj z siebie wszystko - zasepleniłam.

Ostre palce zagłębiły się w moją szczękę, każąc mi spojrzeć w oczy błyszczące wściekłością i szaleństwem.

- Najpierw jednak zmuszę cię, byś się przyglądała, jak wysnę do sucha tego kundla, twojego kochanka!

To załatwiło sprawę. Chociaż tak bardzo starałam się pozostać odseparowana od straszliwej rzeczywistości, łzy zaczęły swobodnie płynąć. Jak to się mówi? Duma poprzedza upadek? Cóż, mój

się dokonał w chwili, gdy zrozumiałam, że cydrowy pocisk chybił celu.

- Puść go.

Lawinia przysunęła się bliżej, ściskając mocniej moją brodę.

- Co mówiłaś?

Przełknęłam pokrywający mi język smak żółci i miedzi.

- Oszczędź go.

- Ah-ha. Poproś ładniej.

- Proszę.

- Jeśli zamierzasz błagać, zrób to właściwie. Kogo prosisz? Zamknęłam oczy.

- Proszę, oszczędź go, Dominio.

Puściła mnie, jakby nie mogła znieść tego, że mnie dotyka.

- Żałosne. - Splunęła mi pod nogi. - Nikt z mojej krwi nie błaga o ocalenie życia maga!

Odwróciła się plecami, lekceważąc mnie jak wyrzutka. Tuż za nią udało mi się w końcu dostrzec

Adama. Mimo nowych skaleczeń na wardze i czole oraz rąk spętanych

z przodu mosiężnymi okowami prezentował się bardzo dzielnie, stojąc wyprostowany i z zadartą

wysoko głową. W jego wzroku płonęły silne emocje. Wiedziałam, że nie ma co liczyć, iż łśni w nich miłość. Zaszło wszystko to, co przewidział, a nawet gorsze rzeczy. Wstyd i żal opływały mnie jak

kwas. To, że błagałam o jego życie, nie miało znaczenia. Gdyby nie moja głupota, w ogóle nie znalazłby się w niebezpieczeństwie.

W pobliżu wampirów trzymających Adama krzepki mężczyzna o wojskowej czuprynie w kolorze

miedzi trzasnął Maisie z backhandu. Jej ciało załamało się momentalnie; wampir przerzucił je sobie z łatwością przez bark. Eurynome szarpnięciem poderwał mnie z ziemi. Stopy wysiły się, by

podtrzymać ciężar ciała; potknęłam się. Moja niezdarność zapewniła mi uderzenie w potylicę. Ta

sama ręka, która mnie trzepnęła, chwyciła garść włosów, by mnie podnieść. Przy uchu zabrzmiał mi

ponury głos Eurynome'a.

- Gdzie jest teraz twój faworyt, dziwko?

Podniósł łapę, by walnąć mnie ponownie, ale powstrzymał go głos Lawinii.

- Przestań! Musimy mieć pewność, że zostanie jej dość dla Mistrza. - A do reszty rzezimieszków
zawołała: - Zabierzcie ich wszystkich do środka! Czas zacząć rytuał przywołania!

Witraże kopuły przedstawiały sceny z Rajskiego Ogrodu. Nie historię znaną za sprawą Biblii
śmiertelnikom, ale opowieść o Adamie i Lilith, o exodusie Wielkiej Matki do Morza Czerwonego i
jej ostateczne połączenie się z wypędzonym Kainem.

Rotundę oświetlały setki świec. Ustawione w niszach i na podłodze rzucały groźne cienie na oblicza
posągów, trzymających wartę na obwodzie posadzki.

Mosiężne łańcuchy raniły mi nadgarstki i kostki. Płó-

cienny knebel dławił gardło, obcierając wrażliwe kąciki ust. Zimne powietrze przyprawiało o gęsią
skórkę na ramionach i nogach, odsłoniętych za sprawą sięgającej kostek zwiewnej tuniki, do której
ubrania mnie zmusili.

Leżąc na czarnym marmurze, obróciłam głowę i spojrzałam ponad wypolerowaną kamienną podłogą
na sąsiednią płytę, ze spoczywającą na niej na brzuchu moją siostrą. Członkowie kasty ubrali Maisie
w taką samą tunikę jak moja, ale na jej wychudzonej sylwetce tkanina ledwie się wybrzuszała. Leżąc
tam, wyglądała bardzo nieruchomo, bardzo krucho. Nie wydała dźwięku od chwili, gdy zemdląca na
skutek uderzenia wampira. Miałam nadzieję, że Maisie pozostanie nieprzytomna w trakcie wszystkich
możliwych okropieństw, jakie zaplanowała dla nas babcia.

Weszła Lawinia, prowadząc procesję swoich pachołków. Pierwszy szedł Eurynome w towarzystwie
członków kasty, mających połyskujące w świetle medaliony w kształcie ośmioramiennej gwiazdy. Za
nimi podążało bractwo, zakapturzone i w szatach, zawodząc cicho nad niesionymi świecami. Na
końcu mrocznego pochodu dostrzegłam mignięcie złotych włosów i nagiego ciała. Za-klęło mnie w
piersi. Prawdopodobnie Lawinia czerpała chorą radość z rozebrania Adama do naga i zmuszenia go,
by nosił zaledwie strzęp materiału na biodrach. W nadziei poniżenia go. Prawda była jednak taka, że
nigdy nie wyglądał na silniejszego, niż kiedy wiedziony przez bractwo szedł z wysoko podniesioną
głową na śmierć. Koło Hekate na podbrzuszu kontrastowało wyraźnie z olśniewająco białą opaską na
biodrach.

Strzelił ku mnie wzrokiem. Przysięgam, że przez moment widziałam w głębi jego zielonych oczu tęsknotę i żal. Jednak prowadzący go członek bractwa pchnął go w plecy i mag się zatoczył. Szybko odzyskał równowagę, ale zniknął z linii mojego wzroku. Wyciągnęłam szyję, próbując go dostrzec, ale Lawinia się poruszyła i zasłoniła mi widok.

Po moim policzku przesunął się lodowaty palec. Pochyliła się nade mną z szelestem jedwabiu i rozsiewając zapach brudnych miedziaków.

- Zmieniłam zdanie - odezwała się. Oczy mi rozbłysły, ale w duchu wiedziałam, że nie ma co liczyć na to, że jej następne słowa okażą się wybawieniem. - Chociaż bardzo bym chciała, żebyś się przyglądała, jak wyszę twojego nekromantę, to muszę przyznać, że nienawidzę magowskiej krwi. Ma swoje zalety, ale jej smak jest po prostu... - wzdrygnęła się - ...ohydny. - Odsunęła się. - Okazja jest jednak zbyt dobra, by ją zmarnować. Na szczęście, doskonale rozwiązanie objawiło się samo. -

Strzeliła palcami.

Trzej bracia ruszyli przed siebie i zaczęli rozluźniać więzy Maisie. Krzyknęłam mimo knebla i szarpnęłam się w pętających mnie łańcuchach.

- Pomysł, by twoja siostra żerowała na twoim kochanku, jest znakomity. Ponieważ tyle czasu zabrało ci odnalezienie jej, jest słaba i rozpaczliwie potrzebuje krwi. Dobry posiłek dostarczy jej sił, by przetrwała rytuały. Tak, poezja sprawiedliwości jest rozkoszna.

Walczyłam mocniej. Szmata tłumiła moje krzyki, a metal wbił się we mnie, aż krew popłynęła swobodnie. Lawinia poklepała mnie po ramieniu.

- Strasznie się cieszę, że się zgadzasz. - Odwróciła się do braci i zawołała: - Zaczynajcie!

Mężczyźni klepali Maisie po twarzy, póki się nie obudziła ze wzdrygnięciem. Jej organizm strawił już część krwi, którą wcześniej wypila, i teraz pragnęła jej więcej. Trzej kolejni członkowie bractwa pośpieszyli, by pomóc ją unieruchomić. Walczyła z nimi jak szalona, cała będąc kłami i pazurami.

Lawinia jęknęła, najwyraźniej zaniepokojona tymi komplikacjami.

- Eurynome, pomóż śmiertelnikom, proszę.

Demon zemsty wyłonił się z grupy ze stukotem kopyt na kamiennej posadzce. Opuścił baranie rogi i odepchnął śmiertelnych. Z łatwością poskromił Maisie, obejmując ją stalowymi ramionami. Potem dźwignął ją i poniósł ku Adamowi.

Dwa wampiry złapały maga za ręce i pchnęły naprzód. Teraz, ponieważ nekromanta widział, co się dzieje, jego opanowanie zniknęło. Ręce miał spętane, więc do walki użył barków i głowy. Za to nieposłuszeństwo dostał pięścią w brzuch. Gdy opadł na kolana, wyprężyłam się w więzach. Łzy popłynęły mi po twarzy, a gardło zapiekło od stłumionych krzyków.

Lawinia klasnęła i skinęła na stojącego po prawej ręce Adama wampira. Wyjął nóż z pochwy. Mag ujrzał błysk stali i szarpnął się. Ostrze chlasnęło skórę tuż nad sercem. Krew rozkwitła i spłynęła nekromancie po piersi i brzuchu, plamiąc biały materiał. Zapach posoki uderzył Maisie jak wstrząs elektryczny. Sycząc, wyprężyła ciało w objęciach Eurynome'a, gotowa do zerwania.

- Puść ją - poleciła Lawinia.

W chwili, gdy demon rozluźnił chwyt, Maisie skoczyła na Adama. Zacisnęłam powieki, gdy żółć podeszła mi do gardła i zdławił mnie płacz. Dość mi było słyszeć, co się dzieje; docierało do mnie zachłanne ssanie Maisie i jęki cierpienia maga, ale Lawinia była zdecydowana wycisnąć z tego

przedstawienia każdą kroplę bólu. Siłą uniosła mi powieki, trzymając moją głowę w uścisku ramion.

Zmusiła mnie, bym się przyglądała, jak moja siostra-bliźniaczka pochyła się nad szyją mężczyzny, którego kochałam.

- Patrz, co z nimi zrobiłaś - szepnęła Lawinia. Szarpnęłam głową, starając się rozpaczliwie pozbyć widoku rudoczarnej głowy Maisie, podskakującej nad torsem Adama. Tyle krwi. Za dużo. Grymas

bólu wykrzywił jego bladą, kochaną twarz.

Paznokcie Lawinii zagłębiły się w delikatną skórę mo-

ich oczodołów, przyprawiając je o krwawienie. Byłam jednak zbyt oszalała z powodu poczucia winy i przerażenia, by zarejestrować ból. Jeśli to w ogóle możliwe, to zasłaniająca mi pole widzenia czerwień stanowiła błogosławieństwo.

- Och, nie, musisz to obserwować i zrozumieć. Twoje istnienie sprowadza cierpienie na wszystkich, którzy mieli pecha cię spotkać. Bądź świadkiem tego, jak ich zniszczyłaś. Tak jak zabiłaś moją

ukochaną Phoebe.

Znieruchomiałam. Wiedziałam zawsze, że stanowią dla Lawinii bolesne przypomnienie śmierci mojej

matki, ale aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy z głębi jej zdeprawowanej nienawiści. Z

niesprawiedliwego obwiniania mnie o to. Decyzje mojej matki zależały od niej samej. Moje narodzenie się nie było ani moim wyborem, ani winą. Jej śmierć nie była dziełem moim, tylko Lawinii.

Ta prosta prawda uderzyła mnie z jasnością elektrycznego gromu.

Przypomniałam sobie wcześniejsze oskarżenia Adama, że dążę do śmierci. I pojęłam, że miał rację.

Tak samo jak Lawinia mnie, ja także obwinałam się z powodu straszliwych okoliczności i wynikającego z nich dramatu moich narodzin. Wierzyłam, że z powodu zawstydzającego pochodzenia nie zasługuję na to, by żyć. Nie zasługiwałam na miłość czy zrozumienie, uczucie bądź współczucie.

To Lawinia zaaranżowała te okropieństwa. Całymi latami hołubiła w sobie nienawiść. Od początku mną manipulowała. A ja to wszystko kupowałam, bo nie znałam innego sposobu na życie. Teraz byłam mądrzejsza. Stało się tak dzięki magowi, który ofiarował mi miłość; dzięki siostrze, która opowiedziała mi o rodzinie; i dzięki lojalnemu demonowi, który pokazał mi znaczenie przyjaźni.

Wspierali mnie mimo moich zapewnień, że nikogo nie potrzebuję. Byłam cholerną idiotką, że pozwalałam, by jad Lawinii zatruł mi zdolność osądu. To ona była bezwarto-

ściowa. Egoistyczna. Była tą, która nienawiścią i pragnieniem zemsty podsyciała własne działania. Nie ja. Już nie.

Ale wraz z tym, jak świtało mi to w głowie, pojawiała się przekonanie, że jest już za późno. Oczy mnie piekły, gdy widziałam, jak Adam z każdą chwilą staje się bledszy. Chęć walki opuściła już jego mięśnie i bezwładnie opadł w zachłanne objęcia Maisie.

Potem, jakby ktoś przerzucił wyłącznik, całe jego ciało zeszywniało. Białka oczu wzięły górę nad źrenicami. Ostatnie westchnienie oznajmiło jego poddanie się. A potem mag, którego kochałam, osunął się bezwładnie na podłogę.

Martwy.

Krzyk, który mi się wzniósł do gardła, pochodził nie ze strun głosowych, ale z samego dna mojej duszy. Ciało wypełniła wściekłość tak mocna, że mogła skruszyć góry.

Maisie zatoczyła się w tył, kończyny jej drżały, gdy patrzyła na zakrwawione ciało Adama. Zastryk energii przywrócił jej trochę świadomości i zrozumienia tego, co uczyniła. Z szeroko otwartymi, nawiedzonymi oczami odrzuciła w tył głowę.

- Nie!

Jej oszalały krzyk odbił się od kopuły. Lawinia puściła mnie i podeszła do ciała maga, by je dokładnie obejrzeć. Zacisnęłam powieki piekących oczu i zebrałam siły do kolejnego pierwotnego wrzasku.

Zamiast powietrza wydostającego się z moich płuc coś się poruszyło. Gwałtowne emocje ustąpiły mocy, narastającej w mojej przeponie. Tym razem wściekłość i miłość się połączyły, splatając się razem jak wstęgi DNA, by stworzyć siłę potężniejszą od jakiegokolwiek, jaką do tej pory przywołałam.

Objęłam jej palący ból. Roznieciłam ogień. Zawołałam do Hekate i Li-lith o pomoc.

Lilith, Wielka Mroczna Matko i Bogini Nocy. Hekate, Bogini Rozstajów i Nosicielko Światła, wysłuchaj moich próśb. Obdarz

mnie swą wielką i straszliwą mocą, by zrównoważyć szanse. Rozbij moje kajdany i napełnij mnie swoją ciemną energią. Pomóż mi pomścić to bluźnierstwo.

Głośny trzask odbił się echem w pomieszczeniu. Moje ciało opłynął przyptyw ciemnej mocy. Kiedy uderzył we mnie, odrzuciłam w tył głowę. Wypełnił mnie. Siła tej pierwotnej magii sprawiła, że wyprostowałam się gwałtownie. W sali rozeszła się fala uderzeniowa.

Czasza w górze pękła. Kolorowe szkło rozprysło się na milion kawałków i spadło deszczem na rotundę. Pomieszczenie wypełniły wołania i krzyki, gdy ludzie i członkowie kasty biegali, nurkując w poszukiwaniu schronienia.

Ściany wokół popękały jak wydmuszki jajek. Do szkła dołączył strzaskany tynk i kamienie. Budynek zatrzeszczał i jęknął, wyrażając obietnicę zawalenia się. Czarne i czerwone aury tańczyły na obrzeżach mojego pola widzenia. Mrugnęłam; zrozumiałam, że moje kajdany pękły równocześnie z witrażami. Wybuch energii i ostre odłamki powaliły kilku moich wrogów na ziemię. Skupiłam wzrok na tej suce w czerwieni. Siedziała na posadzce obok ciała Adama, sprawiając wrażenie oszołomionej.

Moje płonące spojrzenie zogniskowało się na Lawinii jak naprowadzany termicznie pocisk.

Wystudiowanymi ruchami wyjęłam knebel z ust i rzuciłam go na podłogę.

- Lawinia Kane. - Miałam inny głos. Głębszy, podszyty echem, jakbym przemawiała teraz za trzy osoby: za siebie, Lilith i Hekate.

Oczy Lawinii rozbłysły. Wstała szybko i cofała się, póki się nie potknęła o ciało Adama; kopniakami usuwała z drogi braci i członków kasty. Podniosłam się powoli. Nie czułam teraz strachu. Istniała tylko moc i cel. Zmysły mi buzowały, wchłaniając wszystkie dźwięki, kształty i zapachy w pomieszczeniu i poza nim. Czułam na skórze wibrowanie powietrza. Językiem smakowałam strach i zmieszanie Dominii. I sprawiało mi to przyjemność.

Eurynome wszedł między Lawinię i mnie. Przechyliłam głowę, by na niego spojrzeć. Moja rozszerzona świadomość rejestrowała oddalone dźwięki. Spojrzenie czarnych oczu demona skoczyło ku odłamkowi tynku, który spadł na prawo ode mnie, prawie muskając mój bark. Nawet nie drgnęłam.

Powietrze zamigotało, sygnalizując zamiar zastosowania przez demona kolejnego zsyłającego ból zaklęcia, będącego jego znakiem rozpoznawczym. Aura wokół niego rozbłysła na ułamek sekundy przed tym, gdy drzwi świątyni otworzyły się z trzaskiem. Zaklęcie Eurynome'a strzeliło ku mnie jak płomień. Czar opłynął stożek chthonicznej mocy, którą otoczyła mnie bogini. Na widok przybyłej kawalerii czarne wargi demona rozwarło zdumienie.

- Eurynome! - zawołał znajomy głos.

Demon zemsty obrócił głowę w prawo i ujrzał błysk zieleni, pędzący ku niemu jak strzała. Giguhl zwarł się z Eurynome'em, po czym obaj polecili poślizgiem po posadzce i rąbnęli o ścianę.

Nie miałam czasu przyglądać się temu, jak Giguhl wykorzystuje szansę załatwienia raz na zawsze demona zemsty. Nie zatrzymałam się także, by popatrzeć, kogo jeszcze mój faworyt sprowadził na imprezę. Zarówno w środku, jak i na zewnątrz budynku czułam obecność ich wszystkich - Rei, Pussy Willow, Mac, Georgii i około dwudziestu magów, wilkołaków, wampirów oraz sprzymierzonych z nimi wróżów. Chociaż bardzo ceniłam sobie ich pomoc, moim jedynym celem była Dominia.

- Lawinia!

Jej głowa obróciła się gwałtownie, wzrok mnie znalazł wśród mgiełki kurzu i ciał zaścielających dzielącą nas drogę.

- Szybko! - zawołała. - Przywołajcie mistrza!

Po jej prawej ręce dwaj członkowie kasty - wampir i mag - pochylili się nad starożytną księgą. Trzeci, stojący

przed tymi dwoma, trzymał nóż przy szyi Maisie. Tkwiła bez sił w jego uchwycie, używana jako tarcza, którą osłaniał swoich towarzyszy. Szalone, nawiedzone oczy Maisie spotkały się z moimi.

Błądą twarz, tunikę i ręce plamiła krew Adama. Podniosła wzrok i mogłabym przysiąc, że przez nanosekundę widziałam w tym rozpaczliwym spojrzeniu iskrę dawnej Maisie. Tej, którą znałam, zanim Lawinia rozdzieliła nas i złamała w nas ducha.

Czas decyzji. Mogłam załatwić członków kasty. I zapobiec temu, że Kain dołączy do towarzystwa.

Ale Maisie stała na linii ognia.

W rotundzie rozległ się rozdzierający uszy grzmot. Jedna z belek podtrzymujących kopułę spadła na podłogę, miażdżąc dwóch śmiertelników z bractwa. Lawinia pobiegła ku drzwiom, pchając przed sobą Maisie i zawodzących członków kasty. Obecni rozpięchli się, gdy inni bojownicy poszli pośpiesznie za jej przykładem. Chęć rzucenia się w pościg była silna, ale nie zostawiłabym Adama i Gi-guhla. Żywych czy martwych, nigdy więcej nie porzucę członków mojego zespołu.

Pognałam przed siebie, przeskakując nad ciałami poległych i walcząc z maruderami biegnącymi do wyjścia. Zatrzymałam się z poślizgiem kilka stóp od miejsca, gdzie Giguhl bił się nadal z

Eurynome'em. - Giguhl! - poleciłam. - Wykończ go! Jakby dźgnięty ostrogą mojego rozkazu Giguhl

zdawał się rosnąć i krzepnąć. Eurynome uniósł łapy, by rzucić zaklęcie. Kiedy w powietrzu strzeliła rozgrzana do białości błyskawica, Giguhl zanurkował pod nią i przetoczył się w bok. Ruszył szybko i ostro na demona zemsty. Szponami chlasnął go w pysk. Z rany trysnęła czarna krew. Zanim

przeciwnik o baranich rogach mógł się za to odwzajemnić, Giguhl zadał kilka szybkich ciosów w tułów Eurynome'a, spychając go w kierunku łukowatej ściany. Uderzenie wywołało nowe, grube pęknięcie w już niepewnym murze.

Pośpieszyłam ku nim, zdecydowana pomóc Giguhlowi szybko z tym skończyć. Mój faworyt nie

dysponował tego rodzaju magią, która mogła odesłać Eurynome'a do Irkalli. Nie miałam jednak pozycji do czystego strzału, gdyż Giguhl stał na linii ognia. Wyrwałam z kamiennych rąk jednego z posągów żelazną włócznie.

- Łap, G!

Giguhl przechylił lekko głowę, zauważył lecącą w jego stronę dzidę i złapał ją. Płynnym ruchem obrócił oręż i przebił nim na wylot pierś Eurynome'a. Żelazo przyszpiliło demona zemsty do ściany.

- Zmiataj stamtąd! - wrzasnęłam.

Giguhl nie zatrzymał się, by protestować. Rzucił się po prostu w prawo, robiąc mi miejsce. Moje ręce wystrzeliły naprzód.

- *Iddumu bara nadzu!* - Błyskawica czarnej energii skwierczała u koniuszków moich palców.

Włócznia zadziałała jak uziemienie, przewodząc zaklęcie prosto w pierś Eurynome'a. W jednej chwili demon wił się i krzyczał, chcąc uniknąć zaklęcia, a w następnej był słupem czarnego węgla i popiołu.

Szczęka mi opadła na skutek szoku; Giguhl poderwał się z ziemi i podbiegł do mnie.

- Jasny gwint! Usmażyłaś go!

Przełknęłam zółć, która wywołana zapachem palącego się mięsa i siarki podeszła mi do gardła.

- Musimy stąd spieprzać! - Rzuciłam spojrzenie na ciało Adama.

Giguhl znieruchomiał u mego boku.

- Co się stało? - szepnął załamany.

W popękanej komnacie rozległ się kolejny głośny trzask. Nie było czasu na oględziny zwłok czy żałobę.

- Lawinia się stała. - Pociągnęłam Giguhla ze sobą. - Chodź, musimy zniknąć.

Tryb działania kryzysowego izolował mnie od straszliwej rzeczywistości, jaką stanowiło patrzenie na pozbawioną życia ziemską powłokę mężczyzny, którego kochałam. Kiedy kryzys się skończy, rzeczywistość

uderzy we mnie jak bomba atomowa. Jeśli przeżyję.

Giguhl podniósł delikatnie ciało Adama i wziął je w kołyskę ramion. Z ręką na plecach demona

przebiegłam przez drzwi, odwracając wzrok od zamkniętych oczu nekromanty i płamiącej jego tułów krwi.

Dotarliśmy do wyjścia na ułamek sekundy przed tym, jak stalowa rama strzaskanej kopuły się zapadła. Skoczyliśmy w noc, ścigani przez grzmot uderzenia i chmurę kurzu, która eksplodowała za naszymi plecami. Zataczając się, weszliśmy na balkon. Oparłam się plecami o kamienną balustradę i spojrzałam na zapadlisko.

- Było groźnie.

Magiczny werbel przeszył noc. W jego następstwie usłyszałam w końcu dobiegające z cmentarza odgłosy walki. Odwróciłam się powoli.

- O, bogowie! - sapnęłam.

Kiedy byłam zajęta w środku, draby Lawinii wpadły wprost w oczekujące ich ramiona mojej prywatnej kawalerii. A ta sprowadziła wsparcie w postaci kilkunastu Strażników Pytyjskich i rycerzy królowej Maeve, jeśli sądzić po ich uniformach. Poza tym między grobami na obrzeżach pola bitwy

kręciły się Zen i PW.

Kiedy się temu przyglądałam, przez nekropolię przeszedł cyklon. Grupa braci przeleciała w powietrzu, przypominając konfetti. Widziałam już wcześniej ten manewr. Poszukałam wzrokiem

Errona Zorna, który stał na szczycie grobowca, mając u boku Ziggy'ego. Nie wiem, kto lub co skłoniło go do zmiany zdania, ale miałam jedynie czas na to, by poczuć wdzięczność z powodu ich obecności.

Musiałam znaleźć Lawinię, zanim uda się jej przywołać Kaina.

- Giguhl, zanieś Adama do Rei. Potem poszukaj Lawinii. Musimy ją powstrzymać.

Demon skinął poważnie głową.

- Uważaj na siebie, Rudzielcu. Nasze spojrzenia się spotkały.

- Ty też, G.

Skinąwszy ostatni raz głową, zmienił położenie bezwładnego ciała maga w ramionach i pobiegł w stronę schodów. Odwróciłam się i wspięłam na barierę. Daleko na obrzeżach pola walki

spozstrzegłam Lawinię, trzech członków kasty i Maisie. Dominia zaatakowała od tyłu wróża. Jej kły rozdarły mu

szyję tak szybko, że nawet nie wiedział, co się stało. Kiedy jego ciało osunęło się na ziemię, Lawinia uwolniła go od miecza. Spojrzała w górę i spostrzegła mnie. Objęła Maisie za szyję i uniosła oręż w geście pozdrowienia. Opalizująca stal wróżów błysnęła paskudnie w blasku księżyca.

Poczułam kiedyś ukąszenie takiego ostrza. Magiczna klinga, zaprojektowana specjalnie do zabijania wampirów, była jeszcze bardziej zabójcza w rękach mojej babki.

Nie tak zabójcza jednak jak ja. Moc Lilith i Hekate nadal śmigła mi w żyłach jak błyskawica. Rzecz, którą Lawinia Kane miała niebawem odkryć.

Wzniosłam ręce do nieba i obróciłam twarz ku blednącemu księżycowi. Pulsowała we mnie mroczna energia. Zanurkowałam, robiąc salto w powietrzu. Noc przeszył mój okrzyk wojenny.

Pora to zakończyć.

ROZDZIAŁ 30

Ledwie dotknęłam stopami ziemi, gdy wampir kasty skoczył na mnie z obnażonymi kłami. Nie zwalniając, posłałam w niego piorun podziemnej magii. Gdy jego ciało wybuchło, żar polizał mi plecy.

Nogi poruszały się szybciej. Załatwiłam grupkę śmiertelników bractwa. Mój wzrok przyciągnęło mignięcie czerwieni między dwiema kryptami. Ruszyłam za Lawinią.

- Sabina! - Okrzyk Rei zatrzymał mnie w miejscu.

Odwrociłam się i ujrzałam siwowłosą nekromantkę przypartą do muru. Stała przed leżącym na wznak ciałem Adama, odpierając ataki trzech magów kasty. Zabiegłam jednego od tyłu i skręciłam mu kark.

Nie zatrzymałam się, by popatrzeć, jak pada, tylko ruszyłam na następnego. Ten zauważył mnie i się odwrócił, by cisnąć płonąca kulę. Ponownie ocalił mnie stożek mocy. Stałam wyprostowana i uśmiechnęłam się z wyższością do zszokowanego nekromanty.

Uniósłszy ręce, posłałam w niego trochę własnej magii. Chrząknął, gdy zaklęcie trafiło go w brzuch.

Momentalnie zapłonął. Padł z krzykiem, paląc się żywcem. Nekromant-ka, która została, obróciła dyszel i uciekła. Posłana przeze mnie błyskawica trafiła ją w plecy i rzuciła na grupkę trzech

wampirów kasty. Ich ubrania zajęły się ogniem i cztery ciała utworzyły wirujący stos pogrzebowy.

Oddychając ciężko, odwróciłam się do Rei. Zamiast wyrazu ulgi twarz miała ściągniętą w maskę niepokoju.

- Gdzie jest Maisie? - zapytała.

- Lawinia.

Rysy jej stężały. Zerknęła w dół, na ciało Adama, po czym podniosła oczy pełne łez. Zanim się odezwała, podniosłam rękę. Nie mogłam się teraz tym zajmować.

- Wynoś się stąd w cholerę.

Objęła mnie, ściskając przelotnie, ale mocno.

- Niech cię bogini strzeże. - Zniżyła głos do groźnego szeptu. - Idź i zabij tę sukę!

Odsunęłam się od niej i odwróciłam, zanim emocje mogłyby wziąć nade mną górę. Biegłam prosto w kierunku krypt, między którymi zniknęła Lawinia. Zmusiwszy nogi do szybszego biegu, wypadłam z wąskiej alejki gotowa do działania, jednak zamiast babki natknęłam się na mężczyzn, którzy wcześniej zawadzili śpiewy w rotundzie. Wampir nadal trzymał nóż przy gardle Maisie, ale wyglądało na to, że moja siostra jest ponownie nieprzytomna. Księga, z której intonowali przedtem wersy, leżała na krawędzi płyty grobowca. Ich głosy splatały się w słowa, których nie rozumiałam. Ruszyłam biegiem, odrzucając w bok wampira z nożem. Piorun chtonicznej magii rąbnął w niego i usmażył go na miejscu. Drugi wampir zostawił nekromantę i skoczył w moim kierunku. Wpadł na mnie, zanim zdołałam trafić go zaklęciem. Potoczyliśmy się po trawie, okładając się wzajemnie pięściami i chlastając kłami. Znalazł się na mnie i przyszpilił do ziemi. Chwyciłam go za nadgarstek, by powstrzymać spadający nóż.

Złoty medalion członka kasty tańczył w trakcie zmagania między nami, uderzając mnie w twarz.

Uwolniłam rękę, chwyciłam amulet i szarpnęłam. Urwał się z łatwością. Ścisnąwszy talizman palcami, dźgnęłam wampira jednym z ośmiu ramion gwiazdy. Krzyknął, jego ręka skoczyła ku wybitemu oku. Podrzuciłam biodra i wysadziłam przeciwnika z siodła. Uniósłszy się ponad jego

wijące się ciało, podniosłam ręce i zebrałam moc, gotowa zmiażdżyć go zaklęciem.

Atak nastąpił od tyłu. Cichy świst metalu rozcinającego powietrze. Chrząknięcie. Ostre pieczenie ostrza kaleczącego skórę. Przechyliłam się, ściągając barki i odrzucając w tył głowę. Pomimo szczypiącego bólu instynkt kazał mi się zgiąć, by uniknąć kolejnego nieuchronnego ciosu. Upadłam i potoczyłam się w bok w chwili, gdy ostrze kolejny raz rozcięło powietrze.

Stal wróżów działała szybko, zaklęta w niej magia unieruchamiała mięśnie lewej połowy mojego ciała. Wstałam z wysiłkiem, by stawić czoło Lawinii. Podniosła ponownie miecz, w jej oczach błyszczała żądza mordy. Krzywiąc się z powodu rozprzestrzeniającego się odrętwienia, przyjąłam pozycję do walki. Leżący na ziemi wampir odżył na tyle, by usiąść prosto. Moja babka zerknęła na niego kątem oka.

- Przywołajcie Mistrza! Szybko!

Mag kasty podjął swoją monotonną melorecytację. Z każdym słowem czułam, że czas ucieka.

Wampir pozbierał się z ziemi i pokuśtykał, by wspomóc maga. Po drodze podniósł z trawy paradny sztylet. Spięłam się do skoku, by go zaatakować, ale Lawinia ciachnęła mieczem powietrze, zyskując tym sobie moją pełną uwagę.

- Tym razem nie pokrzyżujesz mi planów, mała dziwko. - Robiła wypadki i parowała ciosy, spychając mnie dalej od siostry. - Kiedy Mistrz się zjawi, pożałujesz, że w ogóle przyszedłeś na świat!

Spomiędzy otaczających nas krypt za plecami Lawinii wyłoniły się Zenobia i PW. Byłam zaskoczona, że kapłanka wudu pozwoliła, by Pussy z nią przysła, kiedy jednak dostrzegłam przytroczony do pleców wróża worek, zro-

zumiałam, iż Zen polegała na swojej zaufanej pomocnicy, jak ja na Giguhlu. Poza tym PW mogła być wciąż słaba po napaści, ale pochodziła z rasy wróżów. To oznaczało, że z łatwością może eliminować śmiertelników. Do diabła, odpowiednio uzbrojona i zmotywowana byłaby nawet w stanie uporać się z

wampirami czy magami. Zwłaszcza przy jej porywczym temperamencie i z umiejętnościami wudu.

- Nie przeszkadza ci, że chcąc osiągnąć swoje cele, musisz polegać na kimś potężniejszym od ciebie?

- odezwałam się do Lawinii, mając nadzieję odwrócić jej uwagę od przybyłych.

Uśmiechnęła się i mignęła mieczem.

- Przystaniesz ze mnie drwić, gdy Kain uczyni cię swoją niewolnicą. Nie uważasz, że to ironiczne, iż chtoniczna magia, której wyuczyleś cię nekromanci, będzie bronią, którą Mistrz się posłuży, by ich zniszczyć?

Zamarłam, gdy kilka elementów układanki wskoczyło na swoje miejsca. Wszystkie te sytuacje, kiedy Lawinia miała okazję mnie zabić. Zamiast walczyć ze mną na Jackson Square, domagała się, bym się poddała. Mgliste groźby. Rytuały. Kain chciał mnie wziąć żywcem. Potrzebował mnie żywej, by móc się posłużyć moimi chtonicznymi mocami w jakimś niecnym celu.

- Cóż, to z pewnością zmienia obraz sytuacji - powiedziałam na wpół do siebie. Lawinia zmarszczyła brwi. Uśmiechnęłam się. - Boisz się Kaina. I założę się, iż nieźle by się wkurzył, gdybyś mnie zabiła, zanim zdołałby się mną posłużyć.

- Nie boję się nikogo - odparła, ale jej oczy zdradzały, że kłamie.

Adeptki wudu uwijały się cicho za plecami pochylonego nad Maisie wampira. Zen spryskała teren bursztynowym płynem. PW zapaliła cygaro i wręczyła je Zenobii. Podryfował ku mnie słodki, dymny zapach. Wargi mi

drgnęły, gdy pojęłam, czego Zen się po mnie spodziewa. Póki nie nadejdzie odpowiednia pora, muszę odwracać uwagę Lawinii.

- Rany, nie sądziłam, że dożyję dnia, w którym Dominia alfa ugnie kark przed samcem!

Zamiast odpowiedzieć na drwinę, uderzyła. Podniosłam lewą rękę, by się obronić przed atakiem.

Ostrze przeszło przez mięśnie powyżej przegubu dłoni, aż krew trysnęła z rany. Krzyknęłam, gdy żrący ból rozdarł mi ciało i padłam w tył. Gdy Lawinia się zbliżała, by zadać kolejne pchnięcie, mag kasty zawołał:

- Nadchodzi!

Moja babka zatrzymała się i popatrzyła przez ramię. Spojrzałam tam i mrugnęłam. Przestrzeń obok wampira błyszczała.

- Teraz, Sabino! - krzyknęła Zen.

Powietrze było w tej chwili bardziej zwarte. Sylwetka mężczyzny. Uderzyłam nadgarstkiem o ziemię i zagłębiłam go w niej. Zrobiwszy to, zawołałam:

- Duchy Loa, Hekate, Wielka Matko Lilith, przyzywam was, byście poprowadziły te duchy przeciwko moim wrogom!

Mężczyzna. Półprzezroczysty. Szopa rudych włosów -takich, jakie widziałam w śnie o wilkołaku i strzelbie. Mistrz Mahan. Kain.

Połączenie zaklęcia Zenobii i mojej krwi sprawiło, że grunt się poruszył i wybrzuszył. We wnętrzu pobliskich grobowców rozległy się straszliwe jęki i dudnienie. Wampir się skulił i rozejrzał.

Przejrzysta sylwetka mistrza zafalowała i znieruchomiła. Lawinia zamarła, w jej czujnym spojrzeniu czaił się niepokój.

- Co to za hałas? - krzyknęła.

Nie musiałam odpowiadać, gdyż w następnej chwili na powierzchnię wyrwał się pierwszy zmartwychwstaniec. Osobnik - stan rozkładu nie pozwalał się domyślać

plci - wyskoczył jak z katapulty z pobliskiego grobowca w pobliżu miejsca, gdzie magowi i wampirowi niemal się powiodło przywołanie Kaina.

Przepychając się między ludźmi, zombi ruszył wprost na wampira, który, sądząc z krzyków, nigdy wcześniej nie widział nic podobnego. Nekromanta upuścił księgę i usiłował uciec. Wskoczyło dwóch ożywieńców, by go schwytać. Mag krzyknął, gdy ich gnijące kości zagłębiły się w jego kark.

Trudno go było obwinać o tchórzostwo -nikt nigdy nie spodziewa się zombi!

Kiedy nekromanta wydał śmiertelne rżenie, błyszcząca sylwetka Kaina zniknęła z trzaskiem na skutek zaniku zaklęcia przywołującego. Dłonie szkieletu zacisnęły się na głowie wampira, wyrywając kępę rudych włosów; blada skóra zwisała w farfocłach. Czaszka poddała się z głośnym, mokrym

pląnięciem. Odwróciłam wzrok, gdy zombi padł na ziemię, by uctować na wijącym się ciele wampira.

- Nie! - Lawinia z przerażeniem przyglądała się spektaklowi. - O, bogowie! Co za bluźnierstwo!?

Podniosłam się na drżących nogach.

- Skoro ty i Kain jesteście tak zainteresowani moją chtoniczną magią, to pomyślałam sobie, że pokuszę się o małą demonstrację.

Kolejni zmartwychwstańcy wyłonili się z grobów. Czwórka oderwała się od całej grupy i ruszyła na Lawinię. Zamiast uciekać z krzykiem, babka błysnęła kłami i przyjęła pozycję walki. Gdybym nie nienawidziła jej z siłą ogni tysiąca białych karłów, mogłabym ją podziwiać za to, w jaki sposób stawiała im czoło.

- Czekaście! - zawołałam.

Zwróciły się ku mnie puste oczodoły ziejące w szarych czaszkach.

- Ona jest moja.

Ożywieńcy wycofali się, niektórzy nawet kłaniając się

wśród trzeszczenia gnatów. Gdy się zbliżyłam, Lawinia śledziła mnie uważnym spojrzeniem. Odgłosy

bitwy cichły w oddali. Wzniosły się stłumione okrzyki radości. Jednak dopóki Lawinia oddychała, walka się nie skończy.

Podniosłam miecz. Ciepło dłoni Lawinii nie wyparowało jeszcze z jego rękojeści.

- Jesteś idiotką - stwierdziła z wyniosłą pogardą babka. Zawahałam się, kołysząc przed sobą mieczem.

- Wiem.

Za plecami Lawinii, idąc ku nam, zataczał się trzeci członek naszej pokreconej rodziny - blada,

umazana krwią zjawa. Na widok mroczącej wzrok Maisie żądzy mordy pojęłam, że siostra także miała

wszelkie prawo pragnąć śmierci babki. Prawdę mówiąc, nawet większe niż ja. Lawinia

wykorzystywała mnie i manipulowała mną przez całe życie, ale tragedia, jaka w ciągu kilku zaledwie dni spotkała Maisie, przekraczała wszystko, co wycierpiałam za sprawą Dominii.

Lawinia zadarła głowę, najwyraźniej zmieszana, że tak łatwo się z tym zgodziłam.

- Nie powstrzymałaś go dzisiejszej nocy. On cię znajdzie - powiedziała wolniej.

Dosyć miałam mglistych pogroźek i archaicznych prorocstw.

- Mam jedno pytanie - stwierdziłam, zamiast odpowiedzieć na jej ponurą przepowiednię.

- Nie - warknęła. - Nigdy cię nie kochałam. Roześmiałam się.

- Serio? Sądzisz, że jeszcze się tego nie domyśliłam? Rozpostarłam szeroko ręce i wskazałam ruchem głowy

moją zakrwawioną postać i otaczające nas pobojuwisko. Zmrużyła oczy.

- To dlaczego się wahasz? Rób swoje lub przyznaj, że się boisz.

Miała rację, zwlekałam. Nie dlatego, że się bałam, ale

dlatego, że to pozwoliłoby raz na zawsze zrównoważyć szale.

- Moje pytanie brzmi: „Czy to nie ty mi zawsze mówiłaś, żebym nigdy nie odwracała się plecami do nieprzyjaciela?”.

Zmarszczyła brwi.

- Tak. I co z tego?

Wtedy zaatakowała Maisie. Jej kły wbiły się głęboko w kark Lawinii. Zaskoczona Dominia zamarła.

Maisie zacisnęła ramiona wokół naszej babki, wgrzyzając się głębiej i chlepcząc zachłannie z jej aorty.

Lawinię ponownie ożywiła chęć odwetu; wrywała się i wołała o pomoc. Nie było już jednak nikogo,

kto mógłby jej przyjść z odsieczą. Wkrótce jej bladość przybrała niebieskawy odcień nadciągającej śmierci.

Mijając kłaniających się zmartwychwstańców, pokuśtykałam w stronę płyty, na której członkowie

kasty trzymali wcześniej Maisie. Dotarłam tam, gdy Lawinia wykrzyknęła moje imię. Podniosłam

książkę i wsunęłam ją za pasek spodni. Krzyki gwałtownie się urwały. Uwolniłam chtoniczne moce

bogini do ziemi, gdzie było ich miejsce. Kiedy mroczna, cienista energia opuszczała mnie, wirując, do moich uszu dotarł mokry, rozdierający dźwięk. Zamknęłam oczy, fala gorąca paliła mi plecy.

Ding dong, suka nie żyła.

Ta świadomość powinna napełnić mnie radością. Tymczasem czułam się wydrążona. Kompletnie pusta. Podniosłam wzrok i ujrzałam, że Zenobia, PW i Giguhl przyglądają się spektaklowi z ponurymi minami.

- Idźcie jej pomóc - powiedziałam cicho. Na przekór temu, iż wiedziałam, że postąpiłam słusznie, pozwalając Maisie zabić Lawinię, nie mogłam teraz spojrzeć siostrze w oczy.

- Hmm, Sabina? - odezwał się Giguhl. - A co z nimi? - Gestem wskazał ożywieńców.

Westchnęłam i odwróciłam się ku gnijącemu tłumowi. Nie dręczyła mnie myśl, że będę musiała zabić ich wszystkich, tak jak załatwiłam Kevina. Tym razem instynktownie wiedziałam, że zmartwychwstańcy po prostu czekają na mój rozkaz.

- Wykonaliście zadanie. Zwalniam was. Spoczywajcie w pokoju.

Zombi posłuchali natychmiast. Kiedy szurając nogami, wlekli się w stronę swoich krypt i grobów,

Giguhl i Zenodeszli do klęczącej Maisie. Od jej skulonego ciała dobiegał cichy, żałobny jęk, gdy siostra kołysała się obok pogorzeliiska, które niegdyś było naszą babcią. Sumienie powiedziało mi, że powinnam do niej podejść.

Ale nie mogłam. Obraz Maisie żerującej na Adamie był zbyt świeży. Poza tym nie wiedziałam, czy potrafiłabym być w tej chwili czyjąkolwiek pocieszycielką. Adam nie żył. Maisie była załamana, a

ja... nic nie czułam. Żadnej nadziei na przyszłość. Żadnego przekonania, że wszystko się ułoży. Do diabła, nie byłam nawet pewna, czy naprawdę wygrałam, jeśli wziąć pod uwagę przewidywanie Lawinii, że Kain nie przestanie mnie ścigać.

Kiedy jednak się odwróciłam, wiedziałam jedno: pozwolić Maisie zabić Lawinię stanowiło właściwą

decyzję. Nie czułam się okradziona z okazji do wzięcia rewanżu, uważałam, że sprawiedliwości stało się zadość. Maisie dała posmakować naszej babce jej własnego gorzkiego lekarstwa.

Miałam jedynie nadzieję na dwie rzeczy. Po pierwsze, że Maisie szybko wykuruje się z obrażeń - tak fizycznych, jak i emocjonalnych. A po drugie, że w końcu będę w stanie spojrzeć siostrze prosto w twarz i nie widzieć tego dzikiego potwora, który zabił mężczyznę, którego kochałam.

ROZDZIAŁ 31

Widok z szerokiego bulwaru ukazywał zielony przestwór, upstrzony szczątkami, kałużami krwi i

szczerniałymi kręgami pozostałymi po zabitych wampirach. Białe kamienie grobów szpeciły oparzeliny. Powietrze cuchnęło zużytą magią i śmiercią. Kilkoro wróżów i magów pochylało się nad zwłokami powalonych towarzyszy, opatrując ich rany lub wypowiadając szeptem błogosławieństwa pod adresem zmarłych.

Mechanizm obronny, który izolował mnie od rzeczywistości, przestawał już działać. Zakończenia nerwów skwierczały jak gołe przewody elektryczne pod napięciem. Ramię i plecy krzyczały z bólu skutkiem odniesionych obrażeń. Jednak największych cierpień dostarczały rany w sercu. Bo chociaż Lawinia nie żyła, osiągnięcie celu -nawet niebezpośrednio - przyszło zbyt dużym kosztem.

Przystanęłam, gdy prawda uderzyła mnie z siłą tarana. Dawid przewidział konieczność dokonania trudnych wyborów, obarczonych długofalowymi konsekwencjami. Czy wiedział, że postanowię zrobić to na własną rękę i skrewię, zapoczątkowując w ten sposób obecny łańcuch zdarzeń? Czy też każda decyzja zrodziłaby ten sam skutek? I w jaki sposób wybory dokonane dzisiejszej nocy wpłyną na przyszłość nas wszystkich? Oczywiście to, że pozwoliłam Maisie zabić Lawinię, będzie ważnym czyn-

niem. Z drugiej strony, śmierć naszej babki pozwoli wprowadzić w życie traktat pokojowy między wróżami, magami i wampirami. Czy jednak można było ufać Tanith w roli sojuszniczki? Albo czy królowa lub Orfeusz posłuchają mnie, kiedy im powiem, że jakikolwiek rozejm będzie kruchy, póki żyje Kain? W świetle ogromnej osobistej straty brzemień tych doniosłych pytań było niemal niemożliwe do udźwignięcia.

Spojrzałam na księżyc, pozwalając, by ciężar zagnieździł mi się głęboko w kościach. Zamknęłam oczy i przywołałam w pamięci twarz Adama. Pojęłam, że było to wspomnienie z zadymionego wampirzego baru w Los Angeles, gdzie widziałam go pierwszy raz. Bardzo się starał pozostać niezauważony, ale mężczyznę takiego jak Adam trudno przeoczyć. Łza spłynęła mi po policzku.

Trudno nie zauważyć na wiele sposobów.

Niech Wielka Matka weźmie cię w ramiona i ochrania, póki do ciebie nie dołączę.

Trawa zachrząściła pod moimi krokami. Podniosłam wzrok i ujrzałam wyłaniającą się spomiędzy dwóch krypt siwowłosą nekromantkę.

-Rea?

Wytarła czoło zakrwawioną ręką.

- Sabina! Dzięki bogini, nic ci nie jest!

- Co ty tutaj jeszcze robisz? Dlaczego ryzykujesz, pozostając w tym miejscu? - Cierpienie i niepokój dodało moim słowom żrącego tonu. Kiedy pomyślałam o tym, że mogła zostać ranna... lub jeszcze gorzej, ścisnęło mnie w piersi.

- Może jestem starą kobietą, Sabino, ale nie jestem tchórzem. Poza tym muszę dokonać uzdrowień.

-Ale...

Przecięła dłonią powietrze.

- Co się stało, to się nie odstanie. Tamy puściły; objęłam ją ramionami.

- Tak mi przykro.

Ściągnęła gwałtownie srebrzyste brwi.

- Z jakiego powodu, do cholery? Mówiłam ci, że proroctwo Maisie się sprawdzi.

Odsunęłam się od niej z twarzą mokrą od łez. -Co?

Uśmiechnęła się do mnie.

- Przepowiednia. Dotycząca tego, że zjednoczysz mroczne rasy i zapobiegiesz wojnie. Rozejrzyj się.

- Zatoczyła ręką krąg. - Połączyłaś wróżów, magów, demony, wilkołaki, wampiry i, do diabła, nawet ludzi. Lawina nie żyje. Wojna już nam nie grozi.

Wzdrygnęłam się. Czy żal z powodu śmierci Adama pomieszał jej zmysły?

- Co? Nie obchodzi mnie...

- A powinno, bo przegrałaś. - Nawiązywała do zakładu, jaki zawarłyśmy, kiedy Maisie objawiła nam swoje proroctwo. Powiedziałam wówczas nekromantce, że nie wierzę w przeznaczenie ani w moją

zdolność do zjednoczenia kogokolwiek. Odpowiedziała, że rezerwuje sobie prawo utarcia mi nosa, kiedy się okaże, iż nie miałam racji. -A ponieważ przegrałaś, uważaj się oficjalnie za frajerkę.

Biorąc pod uwagę Kaina, uznałam jej słowa za odrobinę przedwcześnie. Bardziej jednak niepokoił mnie jej brak emocji.

- Dobrze się czujesz, Rea? - zapytałam, przykładając dłoń do jej czoła. - Wcześniej chodziło mi o to, że przykro mi z powodu Adama.

Zmarszczyła brwi.

- To nie była twoja wina. Poza tym wszystko się w końcu ułożyło.

- Co? - szepnęłam. Jak mogła powiedzieć coś podobnego?

- Muszę się jednak przyznać, że przywrócenie go światu wymagało użycia wszelkich zasobów, jakie miałam do dyspozycji.

Mój żołądek wywinął salto. Chwyciłam ją za ramiona. -Co?!

Obrzuciła mnie spojrzeniem.

- Sabina? Co...

Moją uwagę zwrócił ruch za plecami Rei. Zza grobowców, niczym zjawa, wynurzyła się znajoma sylwetka. Kolana ugięły się pode mną. Wsparłszy się o kryptę, klęłam jednocześnie i dziękowałam bogini za moce chthoniczne, które ostatni raz pozwoliły mi ujrzeć ducha Adama. W mojej przeponie wezbrał krzyk lamentu.

- O bogowie! Adam!

Ból był dosłownie zbyt silny, by go znieść. Rea, najwyraźniej obojętna na moje cierpienie, odwróciła się i oparła dłoń na biodrze.

- Adam? Powiedziałaś ci, żebyś siedział spokojnie. Duch podniósł wzrok i znieruchomiał z jedną dłonią

przyciśniętą do piersi, a drugą wspartą o solidną ścianę grobowca. Biały bandaż na torsie zdobiła jaskrawoczerwona plama.

- Rana ci się znów otworzy, jeśli będziesz się tu zataczał. - Głos Rei docierał do mnie z wielkiej

dali.

Dopiero wtedy zauważyłam, że w przeciwieństwie do zjawiskowej sylwetki Dawida, nie byłam w stanie patrzeć wskroś Adama.

- Musiałem... - Urwał. - Sabina?

Na dźwięk jego głosu kolana zupełnie się przede mną ugięły.

- Adam? - szepnęłam łamiącym się głosem.

Zrobił krok w moją stronę. Ruch wywołał na jego twarzy grymas bólu. Coś w tej minie - tak rzeczywistej i niezjawiskowej - przekonało mnie ostatecznie, że jest prawdziwy. Żywy.

O bogowie. On żyje!

Ruszyłam przed siebie bez jednej świadomej myśli. Biegłam tak szybko, że nie jestem pewna, czy w ogóle do-

tykałam stopami ziemi. W końcu - w cudowny sposób - moje ramiona otoczyły jego masywną postać i przylgnęłam do niego jak bluszcz. Głaskał mnie z wahaniem, gdy pierś rozrywał mi gwałtowny, głośny szloch.

- Hej - odezwał się. - Wszystko w porządku. Chciałam się wytłumaczyć, ale nie znajdowałam słów.

Zaledwie kilka sekund wcześniej byłam przekonana, że nigdy nie dojdę do siebie, ale teraz w duszy ponownie rozpalila mi się porzucona już nadzieja.

Z daleka słyszałam Reę, mamroczącą coś o zapewnieniu nam odrobiny prywatności. Ocierałam głowę

o jego bark. Chciałam się wytłumaczyć, ale nie znajdowałam słów. Dłonie Adama znalazły moją twarz, nakłaniając mnie delikatnie, bym na niego spojrzała.

- Czy ktoś nie przeżył? - Głos miał ochryply. - Maisie...

Rozpoczęła się kolejna runda szlochów, pozbawiających mnie możliwości mówienia. Niezdolna zapanować nad sobą, rzuciłam się ponownie na maga i przycisnęłam wargi do jego ust. Z początku oddał pocałunek niezdecydowanie, a potem rozluźnił się i pogłębił go językiem.

Obejmowałam Adama, ścisnęłam dłońmi jego plecy. Szarpnął się gwałtownie, sycząc z bólu.

Znieruchomiałam, zauważywszy w końcu jaskrawobiały bandaż przecinający mu pierś.

- Cholera! - zawołałam. - Nie wierzę w to! Oderwał wzrok od opatrunku.

- Nic mi nie jest. To tylko trochę bolesne. - Uśmiechnął się i pochylił do kolejnego pocałunku.

Pojąwszy, że błędnie mnie zrozumiał, powstrzymałam go, oparłszy dłoń obok bandaża. -Nie.

Twarz mu stężała.

- Hej, pierwsza mnie pocałowałaś! Pokręciłam głową.

- Nie, głuptasie, nie protestuję przeciwko kolejnym pocałunkom. Sądziłam, że nie żyjesz!

Zrozumienie zaświtało mu w oczach.

- O bogowie, Sabino.

- Widziałam, jak p-padasz... a potem leżałeś nieruchomo. .. Myślałam, że jest już za późno, a ja nie miałam okazji ci powiedzieć... - Głos mi się załamał, gdy ponownie popłynęły łzy.

Przytulił mnie do siebie, obejmując ramionami. Otaczając swoim zapachem sandałowca. Wdychałam woń głęboko, gdy Adam kołysał mnie w objęciach, całując delikatnie we włosy i szepcząc:

- Wszystko w porządku, jestem tutaj.

Burza emocji minęła szybko, pozostawiając wyczerpanie. Oderwałam twarz od barku maga i ujęłam w dłonie jego drogą twarz. Spojrzałam mu w zaczerwienione oczy, w których błyszczały jego własne uczucia.

- Kocham cię - powiedziałam. - Przepraszam, że cię zraniłam, wykradając się samotnie. Próbowałam cię chronić. Was wszystkich. A skończyło się na tym, że tylko pogorszyłam sytuację. Wybaczysz mi?

Minę miał poważną, zbyt poważną, jak na mój gust.

- Kochasz mnie?

Przechyliłam głowę. Czy to było podchwytliwe pytanie?

- Oczywiście, że tak.

- Zatem powinienem ci pewnie powiedzieć, że wybaczyłem ci twój postępek pięć minut po tym, jak

się zorientowałem, że zniknęłaś.

Szczęka mi opadła.

- Co? Ale wszystko, co powiedziałaś... Oparł czoło o moje.

- Było podyktowane strachem. - Przełknął mocno. Kiedy przemówił ponownie, głos miał nabrzmiały uczuciem. - Myśl o tym, że sama się z tym mierzysz, świadomość, że umrzesz samotnie, przerażała mnie bardziej niż cokolwiek w życiu.

Delikatnie pocałowałam go w usta.

- Ja też się bałam - szepnęłam. Przed oczami stanęło mi wspomnienie żerującej na nim siostry.

Odsunęłam się. - Jasny gwint! Maisie!

Zamarł.

- Czy Lawinia... - Głos mu się załamał, jakby nie potrafił zwerbalizować obawy, że Maisie może nie żyć.

Pokręciłam głową.

- Nie, ona żyje. Uważa jednak, że cię zabiła. Chwycił mnie za rękę i pociągnął.

- Chodźmy.

Jego obrażenia spowalniały marsz; zanim pokonaliśmy połowę drogi do głównej alei cmentarza, w polu widzenia pojawił się Giguhl. Na widok Adama demon znieruchomiał jak posąg. W następnej chwili stał się rozmazaną plamą zieleni. Mag nie miał czasu zebrać się w sobie, kiedy Giguhl był już przy nim.

- Żyjesz, nekromanto! Adam jęknął.

- Już niedługo, jeśli nie przestaniesz mnie ścisnąć! Zawstydzony demon postawił delikatnie Adama na ziemi. Łuskowata łapa spoczęła ciężko na barku maga.

- Cholernie dobrze cię widzieć! - powiedział demon z szerokim uśmiechem.

Nekromanta odwzajemnił uśmiech Giguhla.

- Ciebie też. - Ujął moją dłoń i ścisnął. - Wygląda na to, że Drużyna A jest zdolna do dalszej walki.

- Jasne - potwierdził demon. - Ale jeśli ci to nie przeszkadza, to wolałbym, żeby następny dzień

nigdy nie nastął.

- Amen. - Uśmiechnęłam się do nich obu. Giguhl odwrócił się do mnie.

- A co do ciebie, to żadnych więcej popisów w stylu Zosi-samosi.

Moja radość przygasła. Pora była ponieść konsekwencje.

- Przepraszam, G. Chciałam was chronić.

Demon skrzyżował ramiona na piersi i wydał czarne wargi.

- Krwiopijco, proszę. Zdaje ci się, że nie poznałem cię do tej pory? Doceniam troskę, ale kiedy następnym razem postanowisz zrobić coś bez przygotowania, przyjdź najpierw pogadać z Gigim, dobra?

Uśmiechnęłam się do niego.

- Jesteś najlepszym sługą, Giguhl, jakiego może sobie życzyć dziewczyna.

- No cóż, kiedy wrócimy do Nowego Jorku, odbędziemy miłą długą pogawędkę na temat naszych ról w tym związku.

Otworzyłam usta, ale moją uwagę zwrócił ruch w pobliżu grobów. Spomiędzy dwóch mauzoleów

wyłoniły się niedobitki naszej armii. Zen i Rea wspierały po obu bokach Maisie. Głowa mojej siostry wisiała tak nisko, że potargane rudo-czarne włosy spadały jej zasłoną na twarz. Zastrzyk krwi Adama i Lawinii odżywił nieco jej organizm, ale skórę nadal miała bardzo bladą.

- Maisie! - zawołał Adam na wpół utykając, na wpół biegnąc w jej kierunku.

Powoli podniosła głowę. Zamiast jednak drgnąć z zaskoczenia czy zamrugać w oszołomieniu oczami, omiotła go martwym spojrzeniem. Widząc brak reakcji z jej strony, Adam potknął się i zatrzymał kilka stóp przed nią.

- Maisie? - szepnął.

Drżącą ręką sięgnął po jej dłoń. Ścisnęło mnie w żołądku, kiedy się odsunęła.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała jadowitym tonem. - Jestem nieczysta.

Ruszyłam do przodu, by interweniować, ale Rea pokręciła głową. Bezradna i cierpiąca z powodu ich

obojga zacisnęłam dłonie w pięści.

- Nie, nie jesteś, Maze. Wszystko w porządku. - Spróbował ponownie, i tym razem pozwoliła, by delikatnie położył dłoń na jej barku. - To nie twoja wina.

Jej ciało zaczęło nieopanowanie drżeć.

- Zabiłam ją, Adamie.

Przyciągnął ją do siebie, gdy jej ciałem wstrząsnął szloch.

- Szsz... Wszystko będzie dobrze.

Łapa stojącego obok mnie Giguhla znalazła moją dłoń. Spojrzałam na demona, mając w oczach łzy.

Pierwszy raz od chwili, gdy pozwoliłam Maisie włączyć się do akcji i zabić naszą babkę, zastanawiałam się, czy podjęłam właściwą decyzję. Z nas dwóch siostra miała mniejsze doświadczenie ze stosowaniem przemocy. Tyle wcześniej przeszła. I chociaż jej działanie pokrywało się z moim sposobem myślenia, wiedziałam, że Maisie nigdy by tego nie zrobiła, gdyby nie była

przekonana, że Adam nie żyje. A nawet gdyby była w stanie wykrzesać z siebie taką wściekłość, by zabić Lawinię, to nigdy nie zdecydowałaby się zerować na Dominii, jak o to chodzi. O ile wiedziałam, aż do dzisiejszej nocy Maisie nie ssła nigdy żywej istoty. To siostra sprawiła, że zaczęłam się żywić paczkowaną krwią, co było bardziej humanitarne. A rewanżując się jej za przysługę, zapoznałam ją z brutalniejszą stroną wampirzego życia. Przyswojenie krwi - Adama i Lawinii - oraz morderstwo będą ją prawdopodobnie prześladowały przez dłuższy czas.

Gdy Adam nadal pocieszał Maisie, dołączyli do nas kolejni magowie i wróże. Utworzyliśmy

luźny krąg i wielu z obecnych spoglądało na mnie, szukając przewodnictwa. Jeżeli spodziewali się przemówienia, to byli rozczarowani. Nie miałam dość energii ani chęci, by się rozwodzić na temat odniesionego nad naszymi wrogami wielkiego zwycięstwa. Westchnęłam tylko głęboko.

- Sądzę, Zen, że najlepiej będzie, abyś wraz z PW udała

się z nami na dwór. Zrobi się gorąco, kiedy władze śmiertelnych odkryją, co tutaj zaszło.

Jakby na zawołanie, do moich uszu dotarł dźwięk syren. Musieliśmy się stąd wynosić. Zen obejrzała się na zrujnowany budynek, świadectwo stoczony walki.

-Prawdopodobnie tak będzie najlepiej - stwierdziła w końcu. - Jeżeli tylko będziemy mogli wrócić, kiedy będziemy chcieli.

Rozejrzałam się, licząc szybko obecnych.

- Gdzie są Mac i Georgia? Erron, Ziggy?

- Zniknęli, gdy tylko walka się skończyła - wtrącił się Giguhl.

W duchu do długiej listy moich żalów dodałam niemożność pożegnania się z nimi. Mac i ja się posprzeczałyśmy, jasne, ale wilkołaczycza w końcu się przemogła. Tak jak i Erron. Może kiedyś będę mogła podziękować im wszystkim osobiście.

Teraz jednak musiałam zabrać pozostałych w bezpieczne miejsce, a potem uporać się z przesłuchaniem, czekającym mnie w kwaterze głównej wróżów. Bez wątpienia trójka przywódców mrocznych ras niecierpliwie czekała na wiadomość o śmierci Lawinii, by móc ogłosić zwycięstwo i przejść do realizacji swoich planów.

Jeden z wróżów wystąpił naprzód - wysoki, muskularny mężczyzna o postawie kogoś nawykłego do rozkazywania. Han, uznałam.

- Królowa poleciła nam zatrzeć wszelkie ślady walki. Pozostawienie dowodów jest zbyt ryzykowne.

Syreny się zbliżały. Giguhl zerknął zezem na wróża.

- A jak właściwie zamierzasz to zamaskować? - Wskazał gestem otoczenie. - Tylko się temu przypatrz.

Czerwone migające światła, odbijające się od ścian budynku, oraz piszczące opony sygnalizowały przybycie gliniarzy. Wallace, Strażnik Pytyjski, którego poznałam w Nowym Jorku, spojrział na Adama, czekając na decyzję.

- Za późno - powiedział mag. - Stańcie wszyscy w kręgu.

- Ale królowa... - zaprotestował Han.

- Byłaby jeszcze bardziej wkurzona, gdybyśmy musieli wykupić za kaucją z aresztu kapitana jej gwardii! - warknął nekromanta. - Stańcie w kręgu!

Wszyscy ruszyli pośpiesznie, chwytając za ręce najbliższych sąsiadów. Nie było czasu na wahanie się i rozglądanie. Na zastanawianie się nad tym, co zaszło. Na martwienie się tym, co przyniesie jutro.

Adam chwycił mnie za prawą rękę, a Giguhl za lewą. Po skórze przebiegło mi napięcie elektryczne.

Przeniosłam wzrok z najlepszego przyjaciela na kochanka, po czym spojrzałam w ciemne, nawiedzone oczy siostry bliźniaczki.

Narastająca moc sprawiła, że ścisnęło mnie w piersi. I wtedy, gdy spojrzałam w niebo, by podziękować bogini za ocalenie wszystkich, na których zależało mi najbardziej na świecie, rozległo się wołanie:

- Stać! Ręce do góry!

W powietrzu rozległ się trzask i już nas nie było.